ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XV. — OGÓLNEGO ZBIORU TOM LX.

TOM IV. — ZESZYT I.

Październik

WARSZAWA.

1890.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29 Senatorska, 29

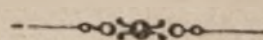
SPIS RZECZY.

Broszurę, zawierającą **„Zestawienie przedmiotów, zawartych w 52 tomach „Ateneum“ z lat 1876—1888“**, *odbitą w niewielkiej liczbie egzemplarzy, można nabywać w redakcyi „Ateneum“ po kopiejek 70 za egzemplarz, a z przesyłką pocztową po kop. 80.*

Druk ukończono dnia 7 października 1890 r.



Z GALICYI.



Wrzesień, 1890 r.

Wycieczka do Krosna. — Szkoła tkacka. — Nasze nafciarstwo. — Ruina majątkowa w Wielkopolsce barona Ludwika Graevego i następstwa tego faktu w Galicyi.— Zakład leczniczy w Rymanowie. — *Noblesse oblige*. — Ustąpienie hr. Jana Tarnowskiego ze stanowiska marszałka krajowego.

I.

Święty Medard! — magiczne dwa wyrazy... Jeżeli w dzień tego świętego słońce świeci, można się spodziewać dłuższéj pogody; przeciwnie, jeśli się zasłoci, deszcz będzie padał przez długich dni czterdzieści.

Rzadko która przepowiednia rolników zrobiła się tak powszechną jak ta, i rzadko która lubi się tak sprawdzać jak właśnie ta.

Wiedzą o tém wszyscy, nawet „łyki miejskie“, mówiąc słowami jednego z mych przyjaciół warszawskich, nic więc dziwnego, że gdy członkowie Towarzystwa politechnicznego w licznie 50-ciu, przyjechali d. 7-go czerwca r. b. wieczorem na główny dworzec kolei żelaznéj we Lwowie, że wtedy ten i ów, patrząc na czarne chmury, co wkoło widnokrąg zajmowały, pytał pełen niepokoju:

— A co tam jutro powie Św. Medard?

I można się było niepokoić. Towarzystwo wybierało się o mil kilkadziesiąt od stolicy do Krosna i Rymanowa, by zwiedzić w tych miejscowościach: szkołę tkacką, kopalnie nafty i nowy zakład leczniczy, słota zatém mogła nietylko studya utrudnić, lecz także przyjemność zmniejszyć. A wszyscy ci panowie, acz spokojni, zamyśleni, w okularach, z tytułami profesorów, inżynierów, inspektorów, myśleli tym razem więcéj ponoś o zabawie, niż o nauce — téj drugiéj bowiem

mają dosyć w swoich biurach, gdy przeciwnie pierwszéj — należy szukać w lecie daleko za murami stolicy nadpełtwiańskiéj. Lwów może niejednemu bardzo się podobać, ale że w lecie jest nieznośny, na to chyba wszyscy się zgodzą.

Wraz z uczonymi, wsiadło do wagonów także kilku dziennikarzy — gdzie tego nasienia dziś nie ma — gdy zaś ósma na miejskim zegarze wybiła, pociąg ruszył ku górom.

A kiedy ci śpieszyli od wschodu, ja z pewnym artystą krakowskim pędziłem równocześnie od zachodu, ponieważ w tym samym czasie zaprosił mnie do Krosna pewien stary przyjaciel, któregom dawno nie widział.

Cudny to kraj, przez który przebiega koléj Transwersalna. Od Chyrowa począwszy, gdzie na wzgórzu stoi imponujący, acz niezbyt estetyczny zakład wychowawczy OO. Jezuitów, a skończywszy na Podgórzu pod Krakowem, wszędzie spotykasz wspaniałe widoki, żyzne łany, rwące strumienie, schludne miasteczka, zamków ruiny i lasy cieniste!... Koléj wijąc się między górami, to wspina się na znaczne wyżyny, to na dół opada, stacye zbyt może liczne, są pełne gwaru, zwłaszcza w niedziele i dni świąteczne, odkąd bowiem na kolejach rządowych zaprowadzono tanią taryfę strefową, liczba podróżnych znacznie na nich się zwiększyła; gdy miniesz Sanok i wjedziesz na tak zwane Podole sanockie, gdzie ziemia może jeszcze żyźniejsza, niż na Ukrainie, spotykasz piękne rezydencye szlachty zamożnéj, i wszystko tu wskazuje, że człowiek na tym pasie osiadły jedynie z roli czerpie całe bogactwo; w miarę jednak jak się daléj posuwasz, zalatuje cię woń nieznana, poczém ukazują ci się wagony o kształtach dotąd nie widzianych, niby cylindry olbrzymie z kominami na górze. Są to wagony cysternowe, w których naftę przewożą. Jeszcze lat temu pięć, pierwsze takie wagony, należące do braci Nobel, spotkałem za Moskwą, na drodze do Niżnego-Nowogrodu, i wielce mnie one wtedy zaintrygowały. Dziś jest ich w saméj Galicyi kilka tysięcy, najwięcéj zaś między Krosnem a Krakowem.

Gdym wjechał na pas naftodajny, nie zbyt wesołego doznałem wrażenia. Pełno tu fabryk z przemysłem naftowym związanych, składów maszyn, kuźnic, a prawie na wszystkich nazwiska niemieckie, lub téż żydowskie, bo trudno u nas jedne od drugich odróżnić. Nazwisko nasze swojskie, to prawdziwy kruk biały.

Mijamy Jasło, jeszcze chwila a ukaże się Krosno. I oto już je widać tam, na wzgórku, spowite w mgle szaréj, co się z gór zwiesza.

Wczesnym rankiem stanął pociąg na stacyi.

— Nie jedź pan do miasta, zaraz przyjdzie pociąg ze Lwowa —

zawołał do mnie jakiś jegomość całkiem mi nieznany.—Koni mamy nie wiele, więc może i pan kogo z sobą zabierzesz.

— Z największą chęcią — odrzekłem i poleciwszy stangretowi, który na mnie czekał, żeby się jeszcze zatrzymał, puściłem po relsach wzrok ku wschodowi, skąd miał lwowski pociąg nadjechać.

Po peronie przechadzało się kilku panów wyfrakowanych, w białych krawatach i jakiś jegomość w czarnéj kapocie, w butach ze lśniącemi cholewami. Tamci mieli miny poważne, nawet surowe, ten wielce z siebie zadowoloną, uśmiechniętą. O tamtych już na pierwsze wejrzenie byłby każdy powiedział, że życie biurowe było ściśle złączone z ich zawodem; przeciwnie ten drugi lubił ruch, świéże powietrze, a zapewne stokroć wprawniéj, niż piórem władał nożem rzeźnickim. Była to deputacya sławetnego miasta Krosna, z zastępcą burmistrza na czele. Co do samego burmistrza, którym w Krośnie jest August Lewakowski, wielce sympatyczny członek delegacyi polskiéj w Wiedniu, ten ważniejszemi sprawami zajęty bawił wtedy we Lwowie i w przyjęciu gości nie mógł wziąć udziału.

Skoro mówię o burmistrzu, muszę tu nadmienić, że stary ten tytuł ginie już w Galicyi. Społeczeństwo nasze, mające gusta wielce arystokratyczne, nie lubi tytułów mieszczańskich, więc téż burmistrza zrobiło już prawie wszędzie prezydentem. U nas każdy pisarz kancelaryjny jest co najmniéj „komisarzem“, każdy zawiadowca stacyi kolei żelaznéj „naczelnikiem“ a każdy kierownik towarzystwa choćby najbardziéj miniaturowego, wielkim „prezesem“. Już to tytułomania kwitnie w Galicyi jak nigdzie indziéj.

Przechadzaliśmy się tedy po peronie, póki nie zadzwoniono. Wszyscy w miejscach swych stanęli. W pół minuty świszcząc, sapiąc, zgrzytając, wtoczył się na stacyą z upragnieniem wyglądany pociąg lwowski.

Gdy konduktorowie pootwierali wszystkie wagony, goście zaczęli się z nich wysypywać jak owoce z rogów obfitości.

Teraz wystąpił zastępca burmistrza i palnął mówkę siarczystą, a gdy na nią słowy stosownemi przywódca Towarzystwa odpowiedział, dały się słyszéć tony jakiejś kapeli, która acz fałszywie, grała jednak głośno i ogniście. Odwróciłem głowę. Pośrodku peronu stało ośmiu chłopaków młodych, gołowąsych, w uniformach z pąsowemi wyłogami i nowiusienkich czapeczkach ze lśniącemi daszkami. Trzymali oni w rękach dęte instrumenty, duże a połyskujące, w które dmuchali z większą energią niż wprawą. Była to świéżo utworzona kapela krośnieńskiéj ochotniczéj straży pożarnéj.

Już lat temu kilkanaście, ludzie dobréj woli widząc, że w Gali-

cyi rok rocznie idzie z dymem domów bez liku, postanowili zawiązywać w całym kraju ochotnicze straże pożarne, by te w razie potrzeby, groźnemu żywiołowi tamę kładły. Dziś mamy już w Galicyi, sto kilkadziesiąt takich straży. Niektóre z nich, w miejscowościach ważniejszych, potworzyły sobie także własne kapele. Ponieważ nastąpiło to i w Krośnie, słuszną tedy było rzeczą, iżby goście lwowscy zostali powitani na dworcu przez tych wirtuozów domorosłych, którym oby Bóg ich harmonii nie pamiętał.

Tak byli z przyjęcia wszyscy zadowoleni, że nikt nie zwrócił uwagi na to, co się w wyższych regionach działo i dopiéro gdyśmy na wózki wsiadali, ten i ów uczuł drobny deszczyk siekący go po twarzy. A niósł go od północnego zachodu wiatr zimny, przenikliwy, jakby listopadowy.

A to psotnik ten Św. Medard!

Konie szybko ruszyły, my pod parasolami zwrócilismy wzrok ku miastu. Leży ono na pagórku, w miejscu gdzie Lubatówka wpada do Wisłoka, i na pierwsze wejrzenie każdy się domyśli, że niegdyś musiało być warowne. Wszystkie domy przytuliły się do siebie, jakby z obawy przed nadciągającym nieprzyjacielem, te zaś, które od pola stoją, tworzą z innemi prawie koło, niegdyś bowiem opasywał je w tém miejscu mur obronny z licznemi basztami. Dziś mury leżą w gruzach i ledwie w kilku ogrodach można jeszcze oglądać ich szczątki. Na nich rosną dziś krzewy, drzewa owocowe, nawet jesiony i lipy stuletnie. Wszystko mija, ach! wszystko!

Sławném było niegdyś Krosno. Królowie, od Kazimierza W. począwszy, obdarzali je różnemi przywilejami, cały handel węgierski tu się koncentrował, rzemiosł kwitło w niém 23; mury jego były tak mocne, że sam Maciéj, król węgierski, musiał w r. 1474 od nich odstąpić, okazałych kościołów miał kilka, życie wesołe zawsze w niém wrzalo, więc téż niedarmo nazywano je *parva Cracovia*. Dziś Krosno zstąpiło do rzędu miasteczek drugorzędnych, zamiast murów wieńczą je ogrody zielone, z wieków dawniejszych zostały w rynku tylko podsienia, z łukami szeroko rozpiętemi, o których archeologowie utrzymują, że sięgają wieków średnich; fara ufundowana przez Kazimierza W. i potężny na jéj wieży dzwon, Urban, mogący śmiało z Zygmuntem na Wawelu współzawodniczyć.

Gdyśmy przez wąską uliczkę na rynek wjechali, prawdziwie miłego doznałem wrażenia. Rynek czysty, wybrukowany, zamieciony, a żydów brudnych, obdartych, którzy w innych miasteczkach galicyjskich wszystkie place zalegają, tu nie ma na lekarstwo. Wprawdzie

w Krośnie żyje ich spory zastęp, lecz przynajmniéj nie cisną się oni do śródmieścia i innym drogi nie zastępują.

Każda wycieczka, choćby nawet ściśle naukowa, dopiéro wtedy jest prawdziwie przyjemna, gdy się zaczyna od znacznego jadła a zdrowego napitku. Pamiętał o tém dyrektor kopalń naftowych barona Graevego, p. J. Gniewosz, osobistość niezmiernie typowa, o któréj, gdy będzie czas i miejsce potemu, kiedyś obszerniéj napiszę, więc wszystko tak urządził, że w jego prywatném mieszkaniu odbyło się sute śniadanie, na którém przeróżnym toastom końca nie było. A podczas gdy inni jedli i pili, ja mniéj od nich głodny, przypatrywałem się sali, w któréj gościnny gospodarz stoły w podkowę ustawił.

Sala to obszerna, wysoka, czworoboczna, od sufitu do saméj posadzki obwieszona utworami polskiego pędzla i ołówka. Obrazów olejnych, akwarel, szkiców, rysunków jest tu kilkaset, wszystkie nasze.

Zwiedziliśmy farę, pełną wewnątrz grymasów barokowych i wielce naiwnych malowideł ze szkoły niemieckiéj; długą chwilę spędziliśmy w jéj zakrystyi, gdzie proboszcz miejscowy, 85-cio letni staruszek pokazywał nam pamiątki po królu chłopków i królowéj Marysieńce; zwiedziliśmy klasztor Franciszkanów z grobowcami Oświęcimów, który w głównym ołarzu ma obraz przedstawiający wskrzeszenie Piotrowina przez Św. Stanisława, przypisywany Van Dykowi, o czém jednak ośmielę się wątpić; a gdyśmy tak oddali Bogu co bożego, ruszyliśmy gremialnie do szkoły tkackiéj.

Istnieje ona w Krośnie dopiéro drugi rok, a mieści się w starym budynku, w którym nie ma ani jednéj izby przestronnéj. Dwudziestu młodych ludzi pobiéra w niéj naukę na poprawnych warstatach pod kierownictwem kilku zdolnych profesorów, a zaś jéj wyroby rozchodzą się już po całéj Galicyi. Pod jednym z nią dachem, znajdują się składy spółki tkackiéj, która wszystko cokolwiek szkoła wyrobi, w świat puszcza. Warto się temu przypatrzéć. Jakie tam są drelichy wyborne, jakie serwety i obrusy, a jakie płótna! Wyroby szkoły krośnieńskiéj idą już dziś o lepsze z najcelniejszemi wyrobami zagranicznemi. I tyle dokazano w ciągu dwóch lat. Ale z jedną wielką trudnością szkoła wciąż jeszcze walczy. Oto cokolwiek wyrobi, musi posyłać do blichu i apretury aż do Czech, ponieważ w kraju nie mamy takich zakładów. Że towar odbywszy taką podróż podwójną, znacznie jest potem droższy, rzecz to całkiem jasna. A mimo takich wydatków, wyroby szkoły krośnieńskiéj są jeszcze o $^1/_3$ tańsze niż czeskie lub niemieckie, choć w dobroci wcale im nie ustępują. Ich cena bardziéj się obniży, gdy zakład dla blichu i apretury przyjdzie nareszcie do skutku. Od lat kilku myśli o nim wydział krajowy, wszelako

dopiéro w roku przyszłym z dziedziny marzeń zstąpi on na pole realne. W kilka miesięcy po mojéj bytności w Krośnie, odbyła się tamże piękna uroczystość. Oto ze Lwowa przyjechali rozmaici dygnitarze, z samym namiestnikiem na czele, aby być przy założeniu kamienia węgielnego pod szkołę tkacką. Gdy więc szkoła otrzyma odpowiedni budynek, tkactwo, zatrudniające w tych stronach kilka tysięcy drobnych warsztatów, wejdzie na tory całkiem nowe i niewątpliwie stanie się jedną z głównych gałęzi przemysłu krajowego.

Od lat kilkunastu mówi się wiele o galicyjskim przemyśle domowym, lecz rzadko kto wié, jaka jest jego geneza.

W r. 1875, gdym we Lwowie redagował pismo „Tydzień“, które jak na nasze stosunki, cieszyło się niezwykłem powodzeniem, przyszedł raz do mnie p. Gniewosz, teraźniejszy dyrektor kopalń naftowych w Krośnie, i wręczył mi spory rękopis z żądaniem, bym go przeczytał i jeśli uznam za stosowne, w swojém piśmie wydrukował. Pan Gniewosz, doskonały znawca stosunków krajowych, przebiegł w swojéj pracy prawie wszystkie powiaty Galicyi, a zbadawszy sumiennie co i gdzie kiedy robiono, zwracał uwagę na tę niezmiernie ważną okoliczność, że nasz przemysł domowy, zabity przez tandetę niemiecką, mógłby się jeszcze dźwignąć i rozwinąć, gdyby nim się kto sumiennie zaopiekował.

Przeczytawszy rękopism, ogłosiłem go natychmiast w „Tygodniu“. Hr. Włodzimierz Dzieduszycki, znawca i miłośnik wszystkiego, co się do ludu odnosi, zwrócił na tę rzecz baczną uwagę i odtąd jeszcze więcéj niż dawniéj, zaczął się przemysłem domowym zajmować. Wystawa lwowska z r. 1877 zdziałała w tym kierunku więcéj, niżeśmy się sami spodziewali. Z przedmiotów, pozbieranych skrzętnie z całéj Galicyi a wyrobionych przez samych włościan, najczęściéj bez pomocy maszyn, przekonali się wszyscy, że prowincya nasza, byłaby bez porównania bogatsza, gdyby w niéj kto drobny przemysł należycie uorganizował. Od tego téż roku zaczyna się w tym kierunku skuteczniejsza działalność. Dziennikarstwo nawołuje, mówcy sejmowi zachęcają, wydział krajowy stosunki bada, w końcu sejm przeznacza rok rocznie znaczniejszą kwotę na cele przemysłu domowego i zakłada liczne szkoły przemysłowe. Że Kraków nie od razu zbudowano, to rzecz znana; cudów nie mogliśmy jeszcze dokonać, wszakże nie da się zaprzeczyć, żeśmy już bardzo wiele uczynili, i jeżeli sejm nie ustanie w pół drogi, synowie nasi będą niewątpliwie spożywali owoce pracy teraźniejszéj. Tkactwo, niegdyś bardzo rozgałęzione na całém Podkarpaciu, należy do tych gałęzi przemysłu, które łatwiéj niż inne mogą się utrzymać, ponieważ kraj sześciomilionowy spotrzebowuje nie

mało wyrobów tak bawełnianych jak lnianych. Ale tkactwo dopiero wtedy oprze się na trwałych podstawach, gdy prócz zakładu dla blichu i apretury, otrzyma także kilka wzorowych przędzalni. Dziś przędzę sprowadzamy wszystką z zagranicy, gorszą z Niemiec, przedniejszą z Belgii. Jedna fabryka pociąga za sobą drugą, trzecią, dziesiątą. Tak było wszędzie, tak będzie i u nas. Oby tylko nie trzeba na nie czekać zbyt długo!

Co do publiczności, ta wobec wyrobów krajowych zachowywała się z początku z wielkiém niedowierzaniem. I dziwić się temu ten nie będzie, kto zna nasz charakter narodowy i martyrologię przemysłu galicyjskiego. Wszak nam od wieków podoba się zawsze lepiéj obce niż własne, prócz tego wiedząc, co przez sto lat działo się w Galicyi nie chcieliśmy uwierzyć, by cokolwiek mogło nam się udać. Powoli jednak lody zostały przełamane, dzięki czemu bazary krajowe, pozakładane tak w Krakowie jak we Lwowie dla wyrobów domowego przemysłu, wyprzedają rok rocznie wszystko, co mają na składzie. A więc z ufnością patrzmy w przyszłość.

II.

Cztery lata temu, opisywałem na tém miejscu moją wycieczkę do Słobody Rungórskiéj, miejscowości położonéj na Pokuciu, za miastem Kołomyją, którą wówczas nazywano galicyjską Pensylwanią. Od tego czasu wiele się zmieniło. Nafta w Słobodzie zaczęła się wyczerpywać, za to wytrysnęły bardzo obfite źródła w Krośnieńskiém i Gorlickiém. Ponieważ sprawa nafty należy u nas do najważniejszych, nie wezmą mi czytelnicy przeto za złe, jeśli dziś poświęcę jéj trochę więcéj miejsca.

Prawie w tym samym czasie, t. j. około roku 1854-go, gdy Ameryka odkryła u siebie obfite źródła nafty, zaczęto i w Galicyi zapuszczać się w głąb ziemi, ponieważ wiele oznak zatém przemawiało, że oléj skalny i u nas się znajduje. Dwaj farmaceuci, pp. Łukasiewicz i Zech, byli pierwsi, którzy postanowili badać ropę, wydobywającą się w okolicach podkarpackich na wierzch ziemi, a któréj chłopi z dawien dawna używali zamiast smarowidła i oleju do oświetlania. Gdy w poszukiwaniach swoich trafili ci panowie na wosk ziemny, ich gorliwość jeszcze się spotęgowała, przeczucie bowem zaraz im powiedziało, że mają do czynienia ze skarbami ziemnemi wielkiéj wartości. Do Ignacego Łukasiewicza przyłączył się trzeci człowiek myślący. Był nim Tytus Trzecieski, właściciel Polanki pod Krosnem. Ten zwrócił baczną uwagę na wioskę Bóbrkę, któréj właścicielem był Karol Kloba-

sa, i po zawiązaniu spółki, rozpoczęli ci panowie w Bóbrce formalną eksploatacyą.

W owéj epoce dobywanie nafty odbywało się w sposób pierwotny. Poprostu kopano studnię i cembrowano ją drzewem, aby jéj ziemia nie zasypała. Pokłady skaliste, które górnik w swoim pochodzie spotykał, rozsadzano z początku prochem, następnie dynamitem, co, jak wiadomo, było rzeczą kosztowną i bardzo niebezpieczną. Po roku, niekiedy dopiéro we dwa lata, zagłębiano się na 70 lub 80 metrów. Kto w téj głębokości nie znalazł jeszcze ropy, a miał większy fundusz, ten szedł daléj, posiłkując się odtąd świdrem ręcznym, którego prawidłowa średnica wynosiła 18 do 31 cali. W ten sposób kopano drugą studnię, tylko już dłutem, nie łopatą. Otwór tak wiercony, w miejsce dawnéj cembrzyny, zabezpieczano od osypów rurami blaszanemi, wsuwając jedne w drugie, a świder zwężając. Jeżeli wszystko odbywało się prawidłowo, natenczas po dwóch lub trzech latach, górnik zagłębiał się najwyżéj na 300 stóp. W owéj epoce nie było prawie wypadku, żeby kto poszedł głębiéj. Ilu ludzi przy tém zginęło, kto to zliczy! Zwłaszcza w pierwszym okresie, t. j. wtedy, gdy robotnicy w ziemię sami się zapuszczając kopali zwykłe studnie, bardzo wielu ginęło ich od gazów.

W ostatniém sześcioleciu zaczęto wiercić studnie systemem kanadyjskim. Ciekawa ta robota odbywa się w sposób następujący:

Na końcu bloka pochyło leżącego i mającego wielkie podobieństwo do wiejskiéj stępy, wisi świder żelazny, w kształcie dłuta potężnego. Parowa maszyna porusza świder, który powoli w ziemię się zagłębia. Co dziesięć metrów przyczepia się do świdra drąg jesionowy, dobrze okuty, który jest łącznikiem między nim a blokiem, a zaś w przestrzeń już wywierconą wpuszcza się rurę żalazną. Tym sposobem drągi u góry wciąż łączą się z sobą, świder zaś coraz głębiéj w ziemię zapada. I aby mu pracę ułatwić, wiertniczy, pod blokiem siedzący, chwyta najwyższy drąg w rękę i nadaje mu pół obrotu. Skutkiem tego dłuto w dole skręca się i ziemię wierci. Kto na tę pracę patrzy, nie może wyjść ze zdumienia. Jest ona nad wyraz prosta i zdaje się, że należy do najłatwiejszych. Tymczasem tak nie jest. Wszystko od tego zawisło, żeby świder zagłębiał się prostopadle, w razie bowiem gdyby się zwichnął i poszedł w ukos, wszystko byłoby stracone—niemniéj trzeba się bardzo pilnować, żeby nie nastąpiło zagwożdżenie. Dzieje się to zaś zawsze, ilekroć świder urwie się z kilkoma żerdziami i w przepaść runie. Wtedy nie ma prawie ratunku. Świder padając psuje rury, żerdzie druzgocą się i cały otwór zabijają. W takich wypadkach poszukiwacze nafty najczęściéj uważają szyb za

stracony i gdzieindziéj idą szczęścia szukać. Nie czynią zaś tego jedynie w takim razie, jeżeli wszystkie oznaki za tém przemawiały, że już nie daleko ropa się znajdowała. Wtedy rozpoczyna się tak zwane „odgważdżanie“ szybu, które jest mozolniejsze i kosztowniejsze od samego wiercenia. Do bloku, na którym świder wisiał, przyczepiają teraz rozmaite narzędzia ratunkowe, jak haki, szczypce i t. p., i temi usiłują wyciągnąć najpierw żerdzie potrzaskane, po nich na dnie leżący świder. Udaje się to czasem, lecz nie zawsze. Byłem obecnym przy takiém odgważdżaniu szybu, i zaiste nie mogłem się dość nadziwić ludzkiéj cierpliwości. Szyb był zagwożdzony na 200 metrów, a wydobywano z największą trudnością kawałki drzewa, mające długości ledwie po kilkanaście cali. Przy takiém zajęciu, europejczyk przeistacza się w pracowitego chińczyka. Dzięki kanadyjskiemu systemowi, wiercenie studni, mającéj 300 do 400 metrów głębokości, a takich mamy już dosyć, nie trwa dziś dłużéj niż 3 do 4 miesięcy. Uczyniono tedy w tym kierunku postęp olbrzymi, o jakim pierwsi pionierzy przemysłu naftowego pewnie nie marzyli.

Gdzie się właściwie nafta znajduje? Oto zagadka, na którą nietylko ja, lecz nawet najznakomitsi geologowie nie potrafią jasno odpowiedzieć. Z początku mniemano, że cały pas naftodajny nie jest u nas szerszy, niż na 3—5 mil; obecnie, po rozmaitych odkryciach, ustaliło się przekonanie, że jego szerokość wynosi najmniéj mil 15. Niektórzy idąc daléj, zapewniają, że nafta znajduje się na całéj przestrzeni między Karpatami a górami Świętokrzyskiemi. Gdym znanego ekonomistę i geologa, Stanisława Szczepanowskiego zainterpelował w téj rzeczy, odrzekł, że w Galicyi eksploatuje się dotąd ledwie 1% całego terenu naftowego. A więc jeszcze 99 razy tyle skarbów znajduje się w ziemi ukrytych, ileśmy ich dotąd na wierzch wydobyli.

Podczas gdy w krainie zakaukaskiéj nafta z łatwością wytryska, ponieważ prawie wszędzie przykrywa ją tam skorupa ziemi, mająca kilkadziesiąt, niekiedy ledwie kilkanaście metrów grubości, u nas przeciwnie trzeba jéj szukać nieraz w głębokości kilkuset metrów, co eksploatacyę robi niezmiernie kosztowną. Cyfry lepiéj to wyrażą. Jeden metr wywiercony systemem kanadyjskim kosztuje mniéj więcéj 50 guldenów, studnia zatém mająca np. 400 metrów, a takich jest już u nas dosyć, kosztuje około 20,000 guld. Jeżeli po dokonaniu téj pracy ropa obficie wytryśnie i da dziennie choć 30—50 beczek, natenczas przedsiębiorstwo sowicie się opłaci, przeciwnie, jeśli właściciel studni będzie otrzymywał dziennie tylko 1 lub 2 beczki, a to, niestety, zdarza się zbyt często, wtedy, miasto spodziewanych milionów następuje bankructwo. Prócz tego jest jeszcze rzecz jedna, która porządnéj

eksploatacyi wielkie stawia przeszkody, a niekiedy wprost ją nawet uniemożliwia. Oto według naszych ustaw górniczych, kopiący studnię, jeśli nie nabędzie na własność większego kawałka ziemi, ma prawo tylko do 10 metrów kwadratowych, a ponieważ ropa tworzy pod ziemią formalne sadzawki, często przeto się zdarza, że o 10 metrów od pana X*, mającego już ropę w swojéj studni, osiedlił się p. Y* i ten wykopawszy nową studnię swemu sąsiadowi wszystko zabrał. We Wietrznem, leżącém w pobliżu Krosna, gdzie dziś są najobfitsze studnie, główna linia naftowa dostała się w ręce towarzystwa amerykańsko-wiedeńskiego, które osiągnęło rezultaty, o jakich dotychczas w Galicyi nikt nie słyszał. Byłem tam, jadąc z Krosna do Rymanowa, i nie mogłem wyjść ze zdumienia. Prawie każda wieża wiertnicza w Wietrznem, mająca wysokości od 12 do 15 metrów była od góry do dołu naftą oblana. Pochodzi to stąd, że ropa znajdując się w tém miejscu w bardzo wielkiéj obfitości, po wywierceniu otworu, bucha do góry na kształt studni artezyjskiéj. Dzięki temu niektóre studnie w Wietrznem dają dziennie po 1,000 beczek. W jedném tylko półroczu roku ubiegłego, odstawiono z Wietrznego do Krosna 3,000 wagonów cysternowych, z których każdy zawierał 90 beczek. Cały ten zapas nafty przyniósł gotówkę 1,350,000 guldenów. Rocznie zatém samo Wietrzne daje blisko 3 miliony guldenów. Pomiędzy tamtejszymi nafciarzami, inżynier Suszycki wykopał studnię, z któréj dobywał dziennie po 500 beczek. Pewnego atoli poranku amerykanie, podsunąwszy się pod jego granicę, wykopali nową studnię i wszystką ropę mu zabrali. Taka gospodarka nazywa się po prostu rabunkowa i ona to naszemu nafciarstwu najwięcéj zaszkodziła. Ledwie jeden co znajdzie, zaraz stu innych w koło go obsiada, potém wszyscy razem nic nie mają. To zabiło sławny niegdyś Borysław, to stało się przyczyną częściowéj ruiny Słobody Rungórskiéj. I dopóty lepiéj nie będzie, póki nafciarze nie zaczną nabywać większych obszarów, by tam, gdzie się może pomieścić najwięcéj 20 studzien, nie zakładano ich 200 lub 300. A coś podobnego stało się właśnie w Słobodzie. Przeciwnie w Bóbrce, o któréj wyżéj pisałem, cały pas naftodajny znajduje się dotąd w rękach Klobasów, dzięki czemu ci ludzie czerpią wciąż stamtąd miliony rocznie. Aby zakupywać większe terytorya, na to potrzebaby znacznych kapitałów, których u nas nikt nie znajdzie. Milionerzy nie chcą ryzykować, a zaś o spółkę trudniéj w Galicyi, niż gdziekolwiek indziéj. Nie można się więc dziwić, jeśli śmietanę zjadają u nas Amerykanie, którzy w to przedsiębiorstwo nie wahają się milionów aganżować, a nam zostawiają tylko serwatkę. Nieufność do nafciarstwa jest tak wielka, że w całéj Galicyi nie ma ani jednéj

instytucyi finansowéj, któraby nafciarzy wspierała. Walczą oni tedy z nieprzezwyciężonemi trudnościami i rok rocznie niemało ich ginie.

Jeden z lepszych znawców krajowych stosunków tak pisze w tym przedmiocie:

„Wszelkie usiłowania dzielnego pioniera, którym jest znany powszechnie Stanisław Szczepanowski, nie doprowadziły do zawiązania większego towarzystwa, które, rozporządzając odpowiedniemi kapitałami, mogłoby sprawę nafty wprowadzić na te tory, na jakich znajdować się powinna. A starał on się o to w chwili, gdy krocie i miliony trwoniono na giełdzie wiedeńskiéj, i gdy po świeżym krachu giełdowym w stolicy naddunajskiéj, puściliśmy się na niebezpieczne fale giełdowego handlu zbożowego, które lekkomyślnym naszym kapitalistom pochłonęły znów przeszło 6 milionów guldenów. Gdyby Szczepanowski miał do rozporządzenia choćby tylko jedną szóstą część téj sumy, to nasze górnictwo naftowe nie znajdowałoby się dziś przeważnie w rękach obcych, a wrogich nam spekulantów, którzy miliony u nas zarobione, za morze wywożą. Bynajmniéj nas téż nie dziwi, że Słoboda Rungórska, która Szczepanowskiemu swój rozwój zawdzięcza, nie stała się takim wzorem, jakimby być powinna. Szczepanowskiemu, gdy poważne siły krajowe nie pośpieszyły mu z pomocą, nie pozostało nic innego, jak część tych kopalń oddać w ręce obce i z niemi pracować. Kotlina Słobody Rungórskiéj rozciąga się na przestrzeni 80 morgów. Gdyby na tém terytoryum powstało było jedno przedsiębiorstwo, a najwyżéj dwa lub trzy, natenczas Słoboda byłaby się stała źródłem bogactwa krajowego. Gdy jednak rozdrobniono tę przestrzeń na mnóstwo małych własności i gdy miasto 20-tu wież wiertniczych stanęło ich tam sto kilkadziesiąt, prostem tego następstwem było: zamięszanie i rabunek. A mimo to od r. 1880 począwszy, ze Słobody wydobyto przeszło 20 milionów guldenów!“

Chociaż geologia przy szukaniu ropy wielkie oddaje usługi, mimo to nie można się na nią spuszczać bezwarunkowo, bo jakkolwiek uczy ona, gdzie i jakich warstw spodziewać się należy, to jednak na pewne nigdy nie powié, gdzie ropa jest, a gdzie jéj nie ma. Znam wypadki, że w miejscowościach, o których geologowie stanowczo twierdzili, że stokroć prędzéj włosy im na dłoni wyrosną, niż tam ropa się znajdzie, że właśnie w tych punktach przedsiębiorcy wiercili studnie z dobrym wynikiem. I na odwrót. Fachowi geologowie niejednokrotnie tam kopali, gdzie śladu nafty nie było. W poszukiwaniach tedy za naftą, stokroć więcéj warte długoletnie doświadczenie, to bowiem przynajmniéj wié, gdzie ropy nie ma, niż wiedza fachowa, z którą często gę-

sto idzie w parze wielka zarozumiałość, pociągająca za sobą zwykle straty.

Przed 10-ciu laty posiadałem w ziemi Sanockiéj, w pobliżu Ustrzyk wieś Czarną. U moich granic, w Polanie, Anglicy wywiercili studnię, która im dziennie dawała około 1,000 beczek nafty. Zachęcony tym przykładem, chciałem szukać ropy w Czarnéj. I zdawało mi się, że ona tam być musi, skoro w bardzo wielu punktach dobywała się na wierzch ziemi. Uprosiłem jednego z przyjaciół, który z nafciarstwem był obeznany, aby przyjechał do Czarnéj i osądził co mam czynić. Przyjechał, obejrzał i rzekł: „Nie kop, bo tu nafty nie będzie!“ — Jam nie kopał, ale ten, co odemnie nabył ten majątek, zaufawszy jakiemuś bardzo rozumnemu profesorowi, zakopał grube tysiące i nic nie znalazł. A więc ani wydobywanie się na wierzch nafty, ani nawet gazy, które często gęsto na powierzchni ziemi płoną, nie są pewnikiem, że w danéj miejscowości ropa się znajduje. Ją daje tylko hazard, lub téż bardzo racyonalne szukanie. Spółki amerykańskie, mogące nam pod tym względem za wzór służyć, tak postępują: złożywszy kapitał krociowy, z mniejszym bowiem nie powinno się nawet brać do téj rzeczy, zakupują one znaczniejsze terytorya i robią kilka, czasem nawet kilkanaście szybów „próbnych,“ niezbyt głębokich, a więc nie drogich. Sonda w ten sposób zapuszczona, wprowadza górników na właściwą żyłę naftową, co gdy raz się stanie, przyszłość towarzystwa jest zabezpieczona.

III.

Po zwiedzeniu w Krośnie szkoły tkackiéj, — udaliśmy się z p. Gniewoszem do Krościenka w zamiarze przypatrzenia się robotom w studniach naftowych, będących własnością Graevego.

Studzien jest tam ośm czy dziewięć i prawie wszystkie wiele obiecują. Niektóre z nich są już bardzo głębokie, sięgają do 400 metrów. Jedną zastaliśmy zagwożdżoną. Naczelny inżynier, p. Tymoftjewicz wyciągał z niéj właśnie drzazgi żerdzi połamanych i spodziewał się już za dni kilka ukończyć tę pracę Syzyfa, która bez przerwy trwała trzeci miesiąc. Wyżéj już mówiłem, że odgwożdżenie szybu jest kosztowniejsze, przedewszystkiém mozolniejsze od jego wiercenia.

Miły to był widok, gdy obok bramy tryumfalnéj, zrobionéj z samych rur i narzędzi wiertniczych, ujrzeliśmy kilkudziesięciu robotników, na których czele stali dozorcy i kierownicy kopalń. A sami to ludzie nasi, jednego Niemca między nimi nie było, przytém pracowici,

sumienni, uczciwi. Z początku przedsiębiorcy krajowi używali Kanadyjczyków, którzy kazali sobie płacić sumy bajońskie. Teraz nasze Bartki i Maćki wiercą lepiéj niż Kanadyjczycy, a biorą trzecią część tego, co tamci. Mimo to ich dochody są znaczne, zdolny bowiem wiertniczy zarabia miesięcznie około 100 guldenów, co dla naszego wieśniaka jest mieniem wcale pokaźném. Na pochwałę tych ludzi muszę tutaj dodać, że wielki zarobek wcale ich nie psuje. Przeciwnie, podnoszą się tak pod względem intelektualnym, jak moralnym. Nie trudno między nimi znaleźć takich, którzy w krośnieńskiéj kasie oszczędności mają złożonych po 1,000 guldenów i więcéj, do nauki chętnie się garną, i w dni świąteczne, po pracy, cisną się do swojéj czytelni, którą im dyrektor założył. Okazuje się z tego, że stokroć łatwiéj dochodzi się przez dobrobyt do oświaty, niż odwrotnie, więc téż racyę ci mają, którzy Galicyę starają się podźwignąć z upadku materyalnego, bo im więcéj będzie ona miała chleba, tém szerszém korytem oświata w niéj popłynie.

W chwili, gdyśmy kopalnie bar. Graevego zwiedzali, czy z nas kto przypuszczał, że on sam znajdował się właśnie wtedy nad krawędzią przepaści? A jednak tak było... To, co teraz chcę opowiedzieć, wybiega daleko po za sferę spraw osobistych, idzie mi o rzucenie nieco światła na sprawę, którą rzadko kto zna bliżéj.

Lat temu sześć czy siedm, baron Ludwik Graeve, bogaty właściciel dóbr w W. Ks. Poznańskiém, potomek rodziny niemieckiéj, lecz sam polak, poseł do parlamentu niemieckiego z ziemi Śremskiéj, — przybył do Galicyi w zamiarze przypatrzenia się tutejszym stosunkom ekonomicznym. Skoro raz nabrał przekonania, że w biédnéj naszéj prowincyi dałoby się jeszcze bardzo wiele zrobić, gdyby ktoś poświęcił się przedewszystkiém skarbom w jéj ziemi ukrytym, postanowił nie zwlekać i dać impuls do dźwignięcia przemysłu krajowego. Po słowach nastąpiły czyny. W Pustomytach, miejscowości położonéj między Lwowem a Stryjem, zbudował dwa wapienniki, największe, jakie kiedykolwiek w Austryi widziano; we Lwowie, w spółce z niejakim Wangiem założył fabrykę mączki kościanéj; w Krośnieńskiém zaczął kopać naftę; w spółce ze Stanisławem Szczepanowskim nabył pokłady węgla brunatnego w Nowosiołkach, pod Kołomyją; w Boryni eksploatował wosk ziemny, nakoniec w Kołomyi otworzył fabrykę superfosfatów. Czyniąc to wszystko, popełnił dwa błędy: 1) że rozpoczął od razu za wiele; 2) że ufając ludziom zanadto, powierzał swoje przedsiębiorstwa najczęściéj takim osobistościom, które marnując pieniądze, już tém samém nadużywały jego zaufania. A z jakimi współzawodnikami miał równocześnie do walczenia, o tém może się każdy przekonać, z faktów

następujących. W pobliżu Pustomyt, gdzie stoją wapienniki Graevego, mieszkałem długie lata, lepiéj przeto niż ktokolwiek inny mogę wiedzieć, co tam się działo. Najpierw właściciel téj miejscowości, jakiś Wołoch z pochodzenia, mimo spółki, którą z Graevem zawarł, tak interesami pokierował, że Graeve musiał od niego nabyć, na co nie był przygotowany, kawał przestrzeni z kamieniem wapiennym, i zapłacić mu za niego 40,000 guldenów. Późniéj, gdy już wapno zaczął wypalać, miejscowi żydzi, posiadający w okolicy liczne piece wapienne, umówili się między sobą i cenę swego towaru zniżyli do połowy. Skutkiem téj *camorry*, Graeve nie mógł nic sprzedać. W końcu, gdy przesilenie przetrwał, ci sami zawistnicy podpalili mu olbrzymie pomosty, ustawione kosztem kilkudziesięciu tysięcy, po których na wózkach wtacza się kamień wapienny do pieców. Dziś wapienniki już się rentują, ale nim to nastąpiło, ile kapitału wpierw pochłonęły? *Mutatis mutandis* dałoby się to samo powiedzieć o innych przedsiębiorstwach Graevego. Wszędzie brak zaufania, wszędzie lekkomyślność lub téż nieuczciwość ludzi, wszędzie ma się do czynienia z konkurencyą, nie przebierającą w środkach. Było tak przez 100 lat w Galicyi, jest tak samo i dziś. Graeve długo walczył z wszelkiego rodzaju trudnościami, w końcu jednak fatalizm okazał się od niego potężniejszym. Gdy mu pieniędzy brakło, dobra jego Wielkopolskie, z powodu że nie było kupca polaka, nabyła na własność komisya kolonizacyjna. Gdy w kraju powstał z tego powodu gwałt, Graeve ogłosił w dziennikach list zawierający szczerą prawdę. Streszczam go w kilku słowach:

„Dobra zostawił mi ojciec obdłużone, a gdym po jego śmierci zaczął gospodarstwo w nich ulepszać, i gdym kupił jeszcze drugi majątek, musiałem zaciągnąć pożyczki u osób prywatnych, które mi zaufały. Przedsiębiorstwa moje galicyjskie rozwijały się prawidłowo, niestety jednak znaleźli się ludzie (smutno powiedzieć, że byli to Polacy), którzy starali się podkopać i zniweczyć cały mój kredyt, bez którego żadne większe przedsięwzięcie nie może się obejść. Napróżno zgłaszałem się do rozmaitych instytucyi finansowych z prośbą, aby na mój koszt wysłały rzeczoznawców do moich fabryk i kopalń, którzy łacno byliby się utwierdzili w przekonaniu, że moim interesom nic nie grozi; żaden z banków tego nie uczynił, a każdy odmówił mi kredytu. Prócz tego, jakby na dany znak, ci wszyscy, którzy mi pożyczyli na hypotekę, wypowiedzieli swoje kapitały. Znalazłszy się w tak smutném położeniu, miałem do wyboru jednę z dwóch dróg: albo czekać, żeby moje dobra poszły na licytacyę, bądź téż starać się je sprzedać, w ostateczności choćby nawet komisyi kolonizacyjnéj. W pierwszym wypadku, ci, co mi zaufali, byliby wszystko stracili; w wypadku drugim mogłem

przynajmniéj w obec nich dopełnić moich zobowiązań. Nie chcąc ich rujnować, obrałem drogę drugą—i odpowiedzialność za ten czyn przyjmuję na siebie.“

Taka była treść tego listu tragicznego. Nazwałem go tragicznym, bo kto stosunki tak zna, jak ja, ten wié, jak bolesna prawda w nim się zawierała. Przyjeżdża do nas człowiek młody, pełen zdrowia, sił i zdolności, najlepsza fama go poprzedzała, umié pracować, ma tyle pieniędzy, ile ich potrzeba, żeby coś zrobić, zaczyna działać, w dzień ślęczy nad rachunkami, noce spędza w wagonie, walczy i ufa, że mu się powiedzie, co przedsięwziął, — tymczasem stosunki miejscowe sprzysięgają się przeciw niemu, i on pada zniesławiony! Czy to nie tragiczne?

W każdym innym kraju, przedsiębiorca, mający chęć do pracy, wytrwałość i znajomość rzeczy, znajdzie pieniędzy tysiące, krocie, nawet miliony. Tam społeczeństwo mu pomaga. U nas dzieje się przeciwnie. Jeśli co rozpoczniesz kapitałem np. stu tysięcznym, to nasze instytucye finansowe udzielą ci kredytu na pięć tysięcy, ale pod warunkiem, że prócz twego podpisu dostarczysz jeszcze dwóch innych a dobrych, t. j. takich, które wraz z twoim przedstawia wartość przynajmniéj 300,000 guldenów, jeżeli nie więcéj. Czy w takich warunkach może się udać cokolwiek? Za to gdy przedsiębiorcą będzie tuzinkowy spekulant, to choćby sam grosza nie miał, wszystkie banki otworzą przed nim swoje kasy i na każdym kroku będą go gorliwie wspierały. Nic téż w tém dziwnego, że taki robi u nas majątek.

Finansowa ruina barona Graevego jest dla nas formalną klęską. Jeśli w ostatnich czasach gdzieniegdzie pojawiali się już ludzie, którzy myśleli o przedsiębiorstwach i fabrykach, wszyscy oni teraz zwiną chorągiewkę, i znów na całym obszarze Galicyi da się słyszéć hasło: „U nas nic się nie uda!“ Po przeprowadzoném wykupnie propinacyi znaczne kapitały wpłynęły do Galicyi. Niedawno temu ktoś obliczył, że w samych kasach oszczędności i w Towarzystwach zaliczkowych, leży obecnie przeszło 60 milionów. Coby temi pieniędzmi można zrobić! Niestety nie zrobi się nic, bo gdybyś kogo zachęcał do jakiego przedsiębiorstwa, każdyby ci odpowiedział spokojnie: A Graeve?

Kończąc o téj smutnéj sprawie, muszę jeszcze zanotować jeden objaw wielce pocieszający. Dziennikarstwo galicyjskie, tak skore do miotania się na wszystko i wszystkich, nawet do oszczerstw, po katastrofie, która Graevego spotkała, zachowało się w obec niego z całą rezerwą, nawet z współczuciem. Brali za złe mężowi politycznemu, że w Wielkopolsce ustąpił z areny, ale żałowali zacnego człowieka, który nie z własnéj winy popadł w nieszczęście.

Bez porównania bardziéj surowe było dla niego dziennikarstwo warszawskie.

IV.

Zimno robiło się coraz dokuczliwsze. Chmury zsuwając się po stokach Bieszczadu zaciemniały widnokrąg, zdawało się, że mgłą gęstą spadając na ziemię, lada chwila zamieni się w śnieg biały, który ziemię pokryje. Prócz tego, wiatr smagał nas po twarzach i rękach. Wycieczkowicze dygotali z zimna, bo rzadko który z nich miał cieplejsze ubranie. Szkoda, że zapomnieli, iż za dawnych, lepszych czasów, Władysław Jagiełło i jego wielki kuzyn, ks. Witołd, do „św. Ducha nie zrzucali nigdy kożucha, a po świętym Duchu zawsze pamiętali o kożuchu.“ Już to klimat mamy arcyprzyjemny, prawdę powiedziawszy, na rok, ledwie przez dwa miesiące, a i to nie zawsze, cieplejsze słońce nam przyświeca...

Nie przez pesymizm napisałem te słowa. Bynajmniéj! Nasunęły one mi się pod pióro jedynie dlatego, że kiedym onego dnia mijał Iwonicz, znany z doskonałych źródeł jodowych, i śpieszył do Rymanowa, że wtedy myślałem o klimacie, jako o rzeczy, która prawidłowemu rozwojowi naszych zdrowisk, więcéj niż cokolwiek innego stoi na przeszkodzie. U nas, prawdę powiedziawszy, sezon kąpielowy trwa ledwie przez lipiec i sierpień. W tych dwóch miesiącach zjechałoby się do tego lub owego zdrojowiska nieraz kilka, może nawet kilkanaście tysięcy osób, lecz czy można w jakikolwiek zakład wkładać miliony, skoro goście, przebywający ledwie dwa miesiące, nigdyby w nim tyle nie zostawili, ileby on powinien mieć dochodu, żeby się opłacał? Przeciwnie, gdyby u nas sezon kąpielowy trwał pięć miesięcy, od początku maja do końca września, jak gdzieindziéj, natenczas zdrojowiska galicyjskie, których dobroć jest już uznana, miałyby nietylko sławę europejską, lecz robiłyby także fortunę. Tymczasem, prawdę powiedziawszy, wszystkie one ledwie kawęczą.

Chociaż jesteśmy już prawie w górach, wózki nasze toczą się równiną, po szosie doskonałéj, Rymanów bowiem leży na Podolu sanockiém i tak samo, jak Krosno, osiadł na wzgórzu niewielkiém. Gniazdo to niegdyś za Aleksandra Jagiellończyka należało do Wiktoryna z Sienna, późniéj do Ossolińskich, teraz jest własnością Potockich. Kupił je lat temu kilkanaście hr. Stan. Potocki dla wspaniałéj, złotéj brody, nazywany w Galicyi także Rewerą, i tu z żoną, z domu Działyńską, córką Tytusa, stale zamieszkał. Nie wspominałbym o tém, bo co tam kogo może obchodzić, kto jakie dobra posiada, gdyby nie oko-

liczność, że Rymanów z całém swojém znaczeniem, tak jest związany z tą rodziną, że ani go dziś od niéj oddzielić, ani nawet bez niéj zrozumiéć nie można.

Stanisławowie Potoccy byli bezsprzecznie ludźmi wyjątkowymi. Szlachetni oboje, do zaparcia się miłosierni, zapominający prawie zawsze o sobie, a pamiętający o bliźnich, zajęli cnotami iście ewangielicznemi takie stanowisko w Galicyi, że dziś nikt o nich bez głębokiéj czci nie wspomina. Piszę to nie dla reklamy, ale składam hołd prawdzie. Po śmierci Stanisława, który w młodym wieku rodzinę osierocił, pozostała wdowa zajęła się Rymanowem tak energicznie i razem umiejętnie, że tylko jéj jednéj zawdzięcza on swój wzrost i znaczenie.

Z miasteczka trzeba jechać wąwozem cztery kilometry do właściwego zakładu leczniczego, który leży między wzgórzami, po obu brzegach rzeczułki niegłębokiéj, lecz wartko płynącéj. Tam téż skierowały się nasze wózki.

Towarzystwo politechniczne, wybierając się do Krosna, miało zamiar zwiedziéć jeszcze Iwonicz, gdy jednak właściciel téj miejscowości, na wystosowane doń zapytanie, ażali nie będzie miał nic przeciw temu, nie raczył nic odpowiedziéć, zmieniło Towarzystwo projekt i udało się tém chętniéj do Rymanowa, ile że hr. Potocka sama się do niego zgłosiła z prośbą gorącą, by uczestnicy wycieczki nie pomijali jéj domu.

Ale nie w nim nas przyjmowała. Jéj pałac w miasteczku stoi opuszczony. Od śmierci męża przeniosła się do malutkiéj leśniczówki, leżącéj w pobliżu zakładu, i tam przebywa z całą rodziną, gdyż chce być jak najbliżéj instytucyi, która tylko jéj jednéj swoje istnienie zawdzięcza. Myliłby się jednak i ten, ktoby przypuszczał, że oczekiwała nas przed ową leśniczówką, w pozie poważnéj, patryarchalnéj, mając za sobą lokaja wygalonowanego, który na srebrnéj tacy niósł chléb i sól. I tak nie było. Ona, wraz z swoim synem, stała na moście, przez który się do łazienek przechodzi, i tam, mimo zimna, z głową odkrytą, bez lokajów i bez służebnic, witała nas serdecznie, z wylaniem szczerém, niewymuszoném, a ktokolwiek dotknął się jéj ręki czarnéj, spracowanéj, musiał sobie powiedziéć, że ta dama nie bawi się w marzenia i zajęcia sentymentalne, lecz służąc innym za przykład, ciężko sama pracuje. Jéj fortuna niewielka, ledwie dobra szlachecka, cztery tysiące morgów, w tém lasów dobrze przetrzebionych większa połowa, to nie magnackie dziedzictwo, nazwisko zaś wielkie, tak po mieczu, jak po kądzieli i trzeba jego ciężar umiéć z godnością dźwigać. I nie

wiem, zaiste, czy jest gdzie ród arystokratyczny, któryby wierniéj stał przy dewizie *noblesse oblige*, niż ci potomkowie ostatniego Rewery!

W Rymanowie i jego okolicy za lat dawniejszych, i jak się zwykło mawiać, lepszych, kiedy to niemiecka tandeta nie zalewała jeszcze naszéj prowincyi, cała ludność wiejska oddawała się najrozmaitszym rzemiosłom, które zapewniały jéj chléb powszedni, nawet dobrobyt. Powoli rzemiosła zaczęły upadać, zaczém poszła nędza włościan. Dopiéro gdy Potoccy dobra te kupili, wieśniak znów się podźwignął. Nowi dziedzice pozakładali rozmaite szkoły, jak koronkarskie, rzeźbiarskie, koszykarskie, zdolniejszych uczniów wysyłali na naukę za granicę, prócz tego czynili wszystko, co jest w ludzkiéj mocy, by i inne rzemiosła, jak garbarstwo, siodlarstwo, ślusarstwo mogły odżyć na nowo. I śmiało rzec można, że im się to w znacznéj mierze powiodło. Czy uwierzyłby kto, że samych chodaczków dla dzieci, które za namową hr. Potockiéj zaczęli wyrabiać szewcy rymanowscy, rozchodzi się dziś rocznie za kilka tysięcy i krajowy bazar w Krakowie nie może ich nastarczyć? Goście kąpielowi, którzy z Królestwa do naszych wód przyjeżdżają, potwierdzą, że nie przesadzam. Kilka tysięcy guldenów rocznego dochodu, to chléb dla kilkunastu rodzin szewckich. A talerze, noże, łyżki, skrzyneczki misternie przez rzeźbiarzy rymanowskich wyrzezane, czy nie rozchodzą się dziś po całéj Galicyi, nawet daleko za jéj granicami? Sam spotkałem w Kursku pewną damę russką, która z zachodu wracając, wiozła z sobą do domu kilkanaście wyrobów rymanowskich. A co ten lud nieoświecony, biedny, jest wstanie zrobić własnemi rękami, tośmy widzieli na wystawie, którą pani Potocka zaimprowizowała w kurhauzie na nasze przyjęcie. Jedna sala, wysoka, przestronna, była tam obwieszona od góry do dołu tysiącém najrozmaitszych przedmiotów a począwszy od zamków, które nawet w wiekach średnich byłyby uchodziły za „majstersztyki“ ślusarskie, skończywszy zaś na serdaczkach tak białych i lekkich, że zdawało się, iż je zrobiono z puchu łabędziego, wszystko tam było dobre, praktyczne, wzorowo wykonane. Oto co potrafi nawet nasz chłop, jeśli kto o niego dba i ciężką jego ręką umiejętnie kieruje. Inżynierowie, przyzwyczajeni do machin parowych i wielkich fabryk, patrząc na te okazy przemysłu domowego, byli zdumieni...

Zwiedziliśmy cały zakład. U stoku wzgórz nad rzeczułką, malowniczo porozrzucane, stoją domki dla gości, niektóre między niemi nawet gustownie zbudowane; dom z łazienkami, dzikiém winem wkoło opleciony, czysty i pełen powietrza; kurhauz nowy, ogromny, z salą, w któréj sto par może wygodnie tańcować; park, jakkolwiek niedawno założony, już się zalesia — za rok, dwa, będzie ta ustroń je-

dną z najpiękniejszych w kraju. Gości rok rocznie przybywa i sława Rymanowa tak daleko już się rozeszła, że ze stron najdalszych chorzy się zjeżdżają i nie dla wszystkich jest miejsce. A ktokolwiek bodaj godzinę spędził w téj miejscowości, odjeżdża przeświadczony, że nie byłoby tu ani w połowie tak ludno i przyjemnie, gdyby nie zacna właścicielka, która wszystko duchem swoim ożywia.

Gdyby się komu zdawało, żem panegiryk Potockim wypisał, tobym się poczuwał do obowiązku odpowiedziéć, iż będąc skłonniejszym do rzucania ludziom gorzkiéj prawdy w oczy, niż do prawienia im komplimentów, jedynie w tym celu właścicielce Rymnowa tylem miejsca w niniejszym liście przeznaczył, że wobec faktu, iż prawie cała arystokracya, z wyjątkiem trzech lub czterech, do „biernych“ u nas należy, gorliwe zajmowanie się ludem przez tę zacną damę i jéj praca granicząca z heroizmem, zasługują na to, by wszyscy znali i szanowali jéj imię. Więcéj takich magnatów w naszéj biednéj prowincyi a stosunki pod niejednym względem zmienią się na lepsze.

Zdaje się, że przybywa nam druga postać, takiego samego ducha i hartu woli. Jest nią matka hr. Zamoyskiego, właściciela Kórnika, który niedawno temu kupił dobra zakopańskie. Myśli i ona o założeniu rozmaitych szkól w tym zakątku tatrzańskim, prócz tego sprowadza z Kórnika do Zakopanego cały instytut żeński, w którym sto panienek jéj kosztem było wychowywanych. O rezultatach jéj pracy, będziemy jeszcze mieli czas mówić, dziś wystarczy, gdy zaznaczę, że Galicya zyskała szlachetną damę, która wie także, że *noblesse oblige.*

V.

Przesilenie marszałkowskie, oddawna spodziewane, stało się w ciągu sierpnia czynem spełnionym. Hr. Jan Tarnowski, który po ś. p. Mikołaju Zyblikiewiczu objął laskę marszałkowską, złożył ją u stóp tronu, nim zaś list niniejszy pojawi się w „Ateneum“, ks. Eustachy Sanguszko zostanie mianowany nowym marszałkiem. Tak się ułożyły rzeczy i bardzo wątpię, by cokolwiek mogło się w nich zmienić.

Ustąpienie hr. Tarnowskiego nie wywołało w kraju prawie żadnego wrażenia, a to z dwóch powodów. Najpierw wszyscy od roku przewidywali, że to się lada dzień stanie, następnie, mimo niezaprzeczonych przymiotów serca i umysłu, ustępujący marszałek nie był osobistością, aż tak wybitną, iżby z nią można było wiązać szersze nadzieje.

Gdy ś. p. Zyblikiewicz, uniósłszy się krewkością swego temperamentu, nagle zrezygnował, w kraju zakipiało. Jedni chcieli go na dawném stanowisku koniecznie utrzymać, drudzy nad tém przemyśliwali, kogoby na jego miejsce postawić. W pierwszéj chwili jedynym kandydatem na marszałka był Adam Sapieha, znany ongi pod nazwą „księcia czerwonego“. Był on tak pewny, iż go ten zaszczyt nie minie, że wyjechał nawet do Wiednia i tam oczekiwał swojéj nominacyi. Stało się jednak inaczéj. Stronnictwo krakowskie, którego „człowiekiem“ był Zyblikiewicz, bojąc się, żeby laska marszałkowska nie dostała się po nim księciu czerwonemu, z którym zdawien dawna darło koty, (książę chciał zawsze prowadzić politykę własną, chociaż prawdę powiedziawszy, na własny program nie umiał się nigdy zdobyć), otóż wpływowe to stronnictwo wytężyło teraz wszystkie siły i podsunąwszy kandytaturę hr. J. Tarnowskiego, wysadziło z siodła ks. Sapiehę. Książę wielce tém rozgoryczony, coraz mniéj udziału brał odtąd w życiu polityczném, zresztą i zdrowie nie pozwalało mu długo w kraju przebywać. Klimat cieplejszy był dla niego niezbędny.

Hr. Tarnowskiego przyjął kraj głuchém milczeniem. Wprawdzie ten i ów dziennik jęczał boleśnie, że Stańczycy znów przeparli na to wpływowe stanowisko swoją osobistość, ogół atoli zachowywał się biernie, wychodząc słusznie z zasady, że nowego marszałka tak długo nie będzie można sprawiedliwie osądzić, dopóki się nie pozna jego czynów.

Hr. Tarnowski od samego początku zaczął sobie jednać serca osób bliżéj siebie stojących i zdobywać ogólną sympatyę. Poważny, pełen taktu, dla wszystkich równo grzeczny, przy tém dla kraju najlepszemi chęciami ożywiony, usiłował, o ile to było w jego mocy, sterować jak najwprawniéj łodzią naszéj autonomii, ale mimo to już od początku wszyscy wiedzieli, że uczynił on poświęcenie ze swojéj osoby i usłuchawszy komendy stronnictwa, którego jest karnym szermierzem, przyjął urząd nie sprawiający mu najmniejszéj przyjemności. Kto lubi życie wiejskie, zaciszne, w gronie rodziny, kto nie pragnie gwaru świata i owych zaszczytów niby to wielkich; a w gruncie rzeczy prawie zawsze tylko błyskotliwych, temu mieszkanie we Lwowie, choćby nawet w pałacu sejmowym, nie sprawia wielkiéj przyjemności. Prócz tego względy materyalne odgrywają tu także rolę niepoślednią. Marszałek krajowy, prócz mieszkania, pobiéra 10,000 guldenów rocznéj pensyi. Na oko niby to dużo w rzeczywistości jednak, taka kwota mogła wystarczyć ś. p. Zyblikiewiczowi, który jako kawaler, nie potrzebował dawać ani wielkich obiadów, ani rautów wspania-

łych, ale w żadnym razie nie wystarczała hr. Tarnowskiemu, którego stanowisko społeczne żądało od niego okazałéj reprezentacyi. Tak więc rad nie rad znacznie więcéj wydawał, niż dawniéj, a to dla człowieka, nie będącego milionerem, nie było rzeczą przyjemną. Prócz tego, jaka to przykrość dla rolnika, gdy miasto doglądać swego gospodarstwa, do czego ma prawdziwe zamiłowanie, musi po całych dniach słuchać referatów, przewodniczyć to sesyom wydziału krajowego, to rozmaitym komisyom, uczyć się mów i toastów, uczęszczać na rozmaite festyny i uroczystości, słowem być niewolnikiem urzędu, do którego nie czuje najmniejszego powołania? A mimo to, jako prawdziwy gentelman pełnił on swoje obowiązki sumiennie— równocześnie jednak liczył w duchu dni, kiedy się to utrapienie skończy. Cesarz dowiedziawszy się o zamiarach hr. Tarnowskiego, zrobił go swoim tajnym radcą i użyczył mu tytułu ekscelencyi. Był to więc cukier, który miał mu pigułkę osłodzić. Marszałek wprawdzie ją przełknął, lecz po niejakim czasie znów uczuł gorycz. Powiadają, że do jego zniechęcenia w wielkiéj mierze i to się przyczyniło, że teraźniejszy ustrój wydziału krajowego jest tego rodzaju, że marszałek, mimo chęci najszczerszych, nie może sam wiele uczynić. Drażniło to w wysokim stopniu Zyblikiewicza i ostatecznie skłoniło go do ustąpienia, to samo miało być także jednym z powodów, dla których hr. Tarnowski podał się do dymisyi. Być może, że i ta okoliczność wpłynęła na jego postanowienie, nie ulega wszakże wątpliwości, że względy osobiste były tu decydujące.

Ks. Eustachy Sanguszko, który po nim obejmie laskę marszałkowską, jest osobistością zacną i przez wszystkich poważaną, a że pod względem przekonań politycznych stoi bliżéj środka sejmowego, aniżeli jego partyi krańcowych, więc łatwiéj niż ktokolwiek inny będzie mógł zadowolić wszystkie stronnictwa. Czy będzie jednak szczęśliwszym od swego poprzednika i wiele zdziała, to rzecz zupełnie inna. W każdym razie, ten się tak prędko nie zniechęci, gdyż na objęcie tego urzędu był oddawna przygotowany, prócz tego względy majątkowe nie będą u niego żadnéj roli odgrywały.

O ks. Sapieże mowy już nie ma. Czy w sferach decydujących wyszedł całkiem z rachuby, czy téż przez wzgląd na swoje zdrowie, niechciał więcéj ubiegać się o godność, która może i jemu samemu życie by zatruła. W każdym razie człowiek ten ustępuje z widowni politycznéj, i prawdopodobnie już niedługo cisza po nim zapanuje. A jednak mało mieliśmy w kraju ludzi, mogących z tą co on łatwością odegrać rolę pierwszorzędną, ku pożytkowi kraju, a sławie własnego nazwiska. Bogaty, w hierarchii społecznéj stojący wysoko, obdarzony świetną

wymową i bystrym umysłem, mający błyski niepospolite, niekiedy nawet genialne—mógł książę Adam takiemi warunkami rozporządzając, zostać nietylko marszałkiem lub namiestnikiem, lecz nawet prezydentem gabinetu w Wiedniu i oddać Galicyi niezmierne usługi. Wszystko atoli rozbiło się o jego charakter polsko-magnacki, na który składają się najczęściéj: nerwowość idąca w parze z niestałością i bezgraniczna pycha, marząca o autokratyzmie, a niezręcznie przykryta płaszczem demokratycznéj miłości bliźniego... Te wady były owemi skałami podwodnemi, a o kantach ostrych, na których rozbiła się polityczna łódź tego męża ze wszech miar niepospolitego.

Gdy przebiegam w pamięci nasz cały okres autonomiczny, a trwa on już lat 28, nie mogę dość odżałować, pierwszego marszałka, którym był ks. Leon Sapieha. Ten jeden znał doskonale sprawy krajowe, ten jeden pracował i nie przez próżność stał na czele autonomii. Wszyscy zaś co po nim nastąpili, z wyjątkiem Zyblikiewicza, byli w mniejszym lub większym stopniu figurantami. Czy ks. Sanguszko wstąpi w ślady ks. L. Sapiehy, niedaleka przyszłość to okaże.

VI.

Stał się fakt, który naszych panów demokratów wielce rozgoryczył. Profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, dr. Michał Bobrzyński, został przez cesarza mianowany wiceprezydentem krajowéj rady szkolnéj. Aby tę nominacyę należycie zrozumieć i ocenić, trzeba powiedzieć słów kilka o tém, co ją poprzedziło.

W czasach, kiedy Galicya, dzięki niezmordowanéj inicyatywie Agenora Gołuchowskiego, zdobywała prawie codzień nowe ustępstwa, cesarz pismem odręczném utworzył dla niéj krajową radę szkolną, aby czuwała nad całém naszém szkolnictwem tak ludowém, jak średniém. Zakres działania rady szkolnéj był tak wielki, że nawet nominacye profesorów gimnazyalnych do niéj należały.

Po śmierci Gołuchowskiego, którego Niemcy w Wiedniu nie darmo królem Galicyi nazywali, ministrowie zaczęli obcinać prerogatywy rady szkolnéj, między innemi odjęli jéj prawo mianowania profesorów gimnazyalnych, i przez namiestnictwo lwowskie, o ile to zresztą było w ich mocy, usiłowali zrobić z niéj narzędzie powolne ich zamiarom i celom. Prezydentem rady szkolnéj, jest sam namiestnik. Dopóki był nim Gołuchowski, obznajomiony doskonale ze sprawami i oddający się pracy z niewyczerpaną energią, wszystko szło dobrze, lecz gdy po nim nastąpili najpierw Potocki, późniéj Zaleski, osobisto-

ści wprawdzie zacne, lecz w szkolnictwie nie bardzo zamiłowane, znaczenie rady szkolnéj bardzo podupadło, gdyż nie wszystko w niéj tak szło, jakby iść było powinno. Namiestnicy, nie mając czasu, delegowali rozmaitych radców, by ich zastępowali, a że ci nie uważali tych obowiązków za stałe, więc im się téż nie oddawali z należytą gorliwością. Że wśród takich warunków bieg spraw nie mógł się odbywać prawidłowo i z należytą dla szkolnictwa korzyścią, to rzecz zrozumiała. Wtedy poruszono myśl utworzenia dla téj instytucyi stałéj wiceprezydentury, aby odtąd każdoczesny namiestnik mógł być tylko nominalnym jéj prezydentem. Wice prezydent byłby natomiast wszystkiém, t. j. właściwym zwierzchnikiem rady szkolnéj.

Gdy projekt powyższy zaczął przybiérać kształty wyraźniejsze, dzienniki liberalne, wielce się zaniepokoiły. Kto zostanie wiceprezydentem?—pytały. Jużcić nie może nim być nikt inny, tylko ktoś taki, kto ze szkolnictwem jest należycie obznajomiony, a więc jakiś inspektor szkół średnich". Naiwna obawa, tkwiąca w tych słowach, aż nadto biła w oczy, by ktokolwiek mógł się jéj od razu niedomyśléć. Ponieważ obóz postępowców nie posiada ani jednéj osobistości po za profesorami i inspektorami, którаby mogła stanąć na czele szkolnictwa, więc wolał forytować na to ważne stanowisko nawet biurokratę, niż dopuścić, żeby je objął któryś z konserwatystów, np. Stanisław hr. Tarnowski, Stanisław hr. Badeni, bądź téż dr. Michał Bobrzyński. Tymczasem argumenty, tym razem przez obóz postępowy wytoczone, nie mogą się utrzymać wobec krytyki bezstronnéj. Ktokolwiek zna nasze stosunki, ktokolwiek wié, z jaką łatwością każdy Polak, zostający dla chleba urzędnikiem państwowym, przejmuje się duchem biurokratyzmu, często gęsto nawet serwilizmu, ten musi wraz ze mną przyznać, że inspektor, na stanowisku wiceprezydenta, byłby powolném narzędziem w rękach namiestnika, względnie ministra oświaty. Ważną tę pozycyę mógł tedy zająć jedynie mąż pod względem materyalnym całkiem niezawisły, przytém mający szersze horyzonty i wysokie wykształcenie, ponieważ w instytucyę jego pieczy powierzoną, musi on tchnąć swego ducha. Czy właśnie takim mężem będzie prof. Bobrzyński, tego z góry nie możemy przesądzać, chociaż wszelkie oznaki, za tém przemawiają, że się kraj na nim nie zawiedzie. Mąż, jak on, światły, pracowity, energiczny, materyalnie niezawisły, przy tém znający lepiéj niż którykolwiek profesor naszego ducha narodowego, może on szkolnictwo galicyjskie wprowadzić na nowe tory i prawdopodobnie je wprowadzi. To, że prof. Bobrzyński jest jednym z filarów stronnictwa krakowskiego, bynajmniéj za tém nie przemawia, że i w szkolnictwie zechce on się trzymać skrajnego konserwa-

tyzmu. Inną jest arena polityczna, a inną szkolna. Tam walczy się o władzę dla swego stronnictwa, tu szermierzy się o najwyższe dobro kraju, o jego oświatę. A więc bądźmy spokojni. Mąż z charakterem potrafi być samodzielnym i tam gdzie dobro powszechne tego zażąda, nie da się wodzić na pasku przez swoich sojuszników politycznych.

Józef Rogosz.





ASCETKA.

II.

Miała słuszność matka Romualda; w psychicznéj istocie siostry Mechtyldy sprężyną, nad innemi panującą, była pogarda dla świata. Posiadała ona żarliwą wiarę w rzeczy niebieskie i wielką zdolność do idealnych uniesień, lecz górującém nad wszystkiemi jéj uczuciami uczuciem, pierwszém źródłem ich wszystkich, była pogarda dla świata. Powstała w niéj ona i niezmiernego wzrostu dosięgła wskutek całego szeregu przyczyn, częścią z jéj własnéj natury, częścią z zewnętrznego świata pochodzących. Dzieciństwo i pierwsze lata młodości miała szczęśliwe; spędziła je w niezmąconéj harmonii rodzinnéj, we wszystko upiększającym dostatku, w świeżości i ciszy wiejskiéj. Ten doskonale pogodny poranek życia, rozłogami szerokich pól od różnorodnych spotkań i doświadczeń odsunięty, głęboko wpoił w nią wiarę w dobroć ludzi, w radość bytu, w konieczność szczęścia. Ani w życiu jéj i otoczeniu, ani w jéj własnéj naturze nie było nic, co mogłoby dać jéj poznanie, obudzić choćby przeczucie złego. Poprostu, nie myślała o niém wcale i choć niekiedy przesuwały się przed nią słabe jego cienie, w świetle, które ją otaczało nie spostrzegła ich, lub prędko o nich zapominała. Miała lat prawie dwadzieścia, a była jeszcze cała błękitną, jak to niebo, które przywykła od krańca do krańca obejmować wzrokiem. Świéże, bez granic ufne uczucia i nadzieje kipiały w niéj i śpiéwały, jak srebrne wody w zdroju. Była prostą, świéżą, bez granic ufną i—nieświadomą.

Świadomość złego, które ostrym mieczem z oczu zdejmuje zasłony i serca rozdziéra, nie spełniła względem niéj swojéj niezbędnéj czyn-

ności stopniowo i powoli, jak bywa najczęściéj, ale okrutnie i nagle. Nagle zobaczyła ona rzeczy, przed któremi mrużą się z przerażeniem i boleścią najświadomsze nawet oczy. Była to wojna. Jednak, w ciemnościach nagle około niéj i w niéj powstałych, świeciła jeszcze jedna gwiazda. Przed strasznym momentem, który na dwie zupełnie różne połowy przeciął jéj życie, kochała i była kochaną. Jak ścigana sarna, z obłąkaném od trwogi okiem, lecz niezgasłą jeszcze nadzieją ratunku pędzi ku swoim znanym, domowym, bezpiecznym zaciszom leśnym, tak ona zwróciła się ku temu, którego obraz wśród bezdennych jéj rozczarowań i przerażeń chronił w niéj od ostatecznego zgonu wiarę w dobroć ludzi i nadzieję szczęścia. Pomimo wszystko, ta wiara i nadzieja żyły jeszcze na dnie jéj serca, a w siłę wzmagały się przez to, że przed tym, którego kochała, przyszłość otwierała się pełna różnorodnych nędz i smutków. To właśnie pocieszało ją najwięcéj. Cierpieć z nim i dla niego wydawało się jéj powinnością i szczęściem. Na pustyni zwątpienia, wiarą i nadzieją świeciły jeszcze przed nią ciemne, duże oczy, które od jasnych rzęs i włosów nabiérały wielkiéj słodyczy i głębi, a niedawno jeszcze—choć zarazem i tak dawno! — rozkochaném wejrzeniem wtórzyły młodym ustom, przyrzekającym jéj wieczną miłość. Przyszła i obok tego, który jéj wieczną miłość przyrzekał, znalazła inną, a tak jéj zdawna bliską i drogą, że gdyby wśród nich dwojga wybiérać jéj kazano, serce jéj długo pomiędzy miłością a przyjaźnią wahaćby się musiało. Lekkomyślna, samolubna, czy namiętna, ta kobiéta, która z nią dzieciństwo i młodość spędziła, bez wahania i skrupułu użyła jéj nieobecności, a swoich zalotnych, przemyślnych powabów, aby serce jego jéj odebrać i ją przy nim zastąpić. Na ten widok, nie powstała w niéj nawet myśl o walce, lub o dopominaniu się o swoje prawa pierwszeństwa. Usunęła się z pozorną obojętnością i przed wszystkimi w ciemni nocy ukrytym płaczem, w którym skonała cała jéj przeszłość. Gdy przestała płakać, śmiała się z własnego szaleństwa, które tak długo ją oślepiało. Jakto! nie widywałaż i przedtém zawodów, krzywd, cierpień, śmierci? Owszem, teraz gdy zaczęła pilnie w pamięci grzebać, przypomniała sobie, że je widywała, lecz za rzadkie i nikłe cienie poczytywała to, co właśnie było jedyną stałą prawdą świata i życia. Do obrazu téj prawdy, który stanął przed nią, niczego już nie brakowało. Patrzała na ludzką niedolę, słabość i zmienność, widziała jak umiérają ludzie, idee i uczucia. Złość i znikomość dwoma mieczami przecięły w niéj do ostatka korzenie dawnego jéj życia; na krwawych ranach jéj serca zasiały się nuda próżni i trwoga—przed wszystkiém. Zaród melancholii, który istnieje w każdéj istocie ludzkiéj, gorące uczucia i umysł do zastanawiania się zdolny posiadającéj, w pogodzie

jéj lat minionych bezpłodny, teraz zakiełkował i szybko wybujał. Ani zabawa pocieszyć, ani praca zająć jéj nie mogły. Wśród zabawy ścigały ją wspomnienia widzianych i poniesionych cierpień, od pracy odrywała jéj ręce wiedza o kruchości wszystkich zdobyczy. Czyliż w obec powszechności zła, wesołość nie jest największém złem, a w obec powszechnéj znikomości praca najwyższém głupstwem? Jedna i druga należą do tych złudzeń, któremi człowiek sam przed sobą zasłania nędzę swoją i świata. Ona dość już miała złudzeń i rozczarowań, pięknych snów i okrutnych przebudzeń, nie chce już ani jednych, ani drugich, nie chce nic, nie ufa niczemu, nie spodziewa się niczego... jak atom po przestworzu, dusza jéj w cielesnéj swojéj powłoce błądzi po wzgardzonym świecie, nudą próżni przejęta i ani przeznaczeń swoich, ani dróg i końca nie rozumiejąca. Dostatek materyalny posiadała, więc powszednie troski nie przybiegły jéj ze swoją surową, lecz niekiedy zbawienną pomocą, nie była zaś z tych, którzy bez celu dla uczuć i myśli spokojnie i błogo tuczyć się mogą bezpiecznym, obfitym chlebem. Popadła w nędzę moralną, tém sroższą, że ją poczytywała za jedną tylko kroplę z oceanu nędzy powszechnéj.

Wtedy, kilka książek przeczytanych, parę wypadkowych, lecz przez nią skwapliwie wyzyskanych spotkań, o całéj przyszłości jéj zdecydowało. Za młodą była i za prostą, aby mogła wiary religijnéj nie posiadać, ale dotychczas była w niéj ona raczéj wyuczonym na pamięć wyrazem, powziętém od dzieciństwa przyzwyczajeniem, aniżeli organiczną częścią moralnéj jéj istoty. Teraz ujrzała w niéj przedmiot czci i miłości, którego na ziemi jéj zabrakło. Należała do tych, którzy, ażeby módz żyć, muszą wierzyć, kochać, mieć ideał i ku niemu dążyć. Brak ideału zabijał ją; odnalezienie go było dla niéj już niespodziewaném, więc niewysłowioném szczęściem. Nie była już samą, bo czuła wieczną, choć niewidzialną, obecność tego, który jest doskonałą wielkością, dobrocią i siłą; nie była zawiedzioną, bo znowu wierzyła i ufała; przestała czuć zimno i nudę, bo kochała i widziała przed sobą wyraźną, widną drogę. Ta droga, przez najzupełniejsze możliwie uduchownienie życia, wieść ją miała jako do ostatniego kresu swojego, do przybytku zaziemskiéj doskonałości i radości. Rzuciła się na nią z uniesieniem takiém, z jakiém tonący rozbitek wyskakuje na ląd, niespodzianie wyłaniający się z powodzi i bardzo prędko, logiczném następstwem swoich okropnych wspomnień, nowych pragnień i nadziei i swojéj namiętnéj natury, zaszła nią do klasztoru.

Tu, w ciężkiéj porze nowicyatu, doświadczała już takich zadowoleń i słodyczy, jakich nawet w najpogodniejszych i najweselszych latach przeszłości swéj nie zaznała. Bywało to podówczas, gdy speł-

niała grube, mozolne, częstokroć wstrętne roboty, które zapełniać były powinny czas téj srogiéj próby. Fizycznie należała do istot wątłych, wytwornych, stworzonych do miękkiéj pieszczoty i troskliwych starań. Na cienkim wysmukłym szkielecie miała cienką i prawie przezroczystą skórę, drobne i giętkie kończyny, lekkość chodu i elastyczność ruchów. Kiedy w szaréj sukni i białym welonie próbantki, ciężkiemi miotłami wymiatała ogromne korytarze klasztoru, albo nad balią schylona myła naczynia gliniane i żelazne, albo z kuchni i oficyn. przenosiła ku ściekom ciężkie cebrzyki, pełne brudnych i cuchnących płynów, możnaby mniemać, że w delikatne jéj członki wstępowała jakaś moc z zewnątrz i że przez nią tylko stawało się jéj podobném wykonywać to, co wykonywała. Czasem, mniemać było można, że złamie się ona pod brzemionami, które na plecach swych nosiła, lub ze znużenia i skwaru omdleje, wśród wielkich ognisk kuchennych, albo dławiących par i swędów pralni. Jednak, ona z tych prac tak ciężkich, że trudy skazańców cięższemi nad nie nie bywają, wychodziła zawsze ze spokojném rozpromienieniem na twarzy i doskonałém zadowoleniem w duszy. Wnet téż śpieszyła do nowych, niezmordowana i niczego więcéj nie pragnąca, jak tego znoju i bólu, wśród których zapominała o przeszłości, a pracowała na przyszłość. Bo istotnie, te trudy, które ponosiła teraz, nie byłyż tylko wschodami do wyższych stopni udochowniania się i pozbywania wszystkiego, co jest troską o ciało i trwogą przed jego cierpieniem? Te wysokie rzuty uczuć i myśli ku niebu, których właśnie w strumieniach potu i bólach członków doświadczała, nie byłyż obietnicą i świtaniem tych najwyższych zachwyceń, których dostąpi kiedyś, gdy sobie na nie u Pana zasłuży? Nakoniec, wiedziała o tém, że po niejakim czasie próby, zwierzchność zakonna, stosownie do objawionego przez nią stopnia powołania i przysposobienia, miejsca jéj w swoim przybytku udzielić albo odmówić będzie miała prawo. Więc możliwém to było, aby znowu wyrzuconą została na świat! Myśl ta przejmowała ją taką ohydą i grozą, że niźli wpaść znowu we wzgardzony i przeraźliwy odmęt ludzi i ich życia, gotową była raczéj w łzach i jękach skonać u stóp ołtarzy klasztornych. Ta trwoga i niepewność zdwajały jéj gorliwość i były najlepszemi z mistrzyń, uczącemi ją kruszenia w sobie ostatków własnéj woli i wymiatania z myśli, pamięci i chęci, aż do ostatnich pyłów, przyniesionych z dawnego życia. Ale zakonnice nie miały chęci, ani prawa oddalania tego tak wyraźnie objawiającego się powołania, od świętego dla nich celu i siostra Mechtylda w czasie przez regułę klasztorną oznaczonym wykonała swoją profesyę, czyli złożyła śluby zakonne. Dnia tego, gdy po złożeniu w ręce biskupa przepisanych przy-

siąg, w habit i welon już przyodziana, legła pośrodku klasztornego chóru, okryta całunem, trupiemi głowami bielejącym i gromnicami ostawionym, gdy kościół i chór rozbrzmiały żałobną, tylko u ludzkich trumien śpiewaną pieśnią, całun podnosił się i falował od łkań dwu jéj współtowarzyszek i w tém tylko miejscu, w którém ją przykrywał, nieruchomemi liniami zarysowywał wysmukłe i delikatne jéj ciało. Tamte w téj stanowczéj i posępnéj chwili uczuły może dla samych siebie niespodziewany grom przerażenia, ostatni bunt ziemskich żalów, tę instyktową grozę, która wszelką istotę żyjącą przejmuje w obec przypomnień śmierci, i głośno, rozdzierająco płakały. Ona roztapiała się także, ale nie w żalu, ani w trwodze, tylko w niewysłowienie słodkiém rozważaniu dobroci Pana, który do łona swego na wieki ją przygarniał. Nigdy już więc na podobieństwo liścia przez wichry gnanego, błąkać się nie będzie po zochydzonym świecie, ani duszy swojéj plamić jego pyłem, ani serca ranić jego mieczami.

Odtąd surowa reguła zakonna, któréj ciernie własny jéj zapał pomnażał i zaostrzał, coraz silniéj i szczelniéj zamykała ją w swém ciasném, lecz dla niéj pełném zajęć i radości kole. Raz tylko ujrzała była przed sobą groźbę zetknięcia się ze światem. Posiadając biegłość w rysunku i wykwintnych kobiécych robotach, otrzymała rozkaz udzielania nauki jednego i drugich dorastającym wychowankom klasztoru. Gotowa do posłuszeństwa, uklękła przecież u stóp przełożonéj i pokornie, gorąco błagała, aby to umartwienie, najsroższe dla niéj z pomiędzy wszystkich, to jedyne, które nieznośny wstręt w niéj obudza, usunięte od niéj być mogło. Poprzedniczka matki Romualdy zrozumiała ją i wysłuchała. Zamiast do świeckich dziewcząt, siostra Mechtylda przeznaczoną została do nauczania rysunku i robót w klasztornym nowicyacie, gdzie celem pracy było przyozdabianie świątyni pańskiéj, gdy tam, udzielone przez nią umiejętności, na świat wyniesione, posłużyłyby tylko do pomnożenia jego marnych złudzeń i występnych ohyd. Dla niéj więc nie istniały rozlegające się w znacznéj części klasztornych gmachów gwary i śmiechy dziecięcéj gromady, ani wychylające się z korytarzy lub po ogrodach rozsypane chóry dziecinnych i młodziutkich głów. Nie słyszała ich i nie widziała. W absolutném oddaleniu od wszystkiego co nie było dążeniem ku Bogu, nic i nikogo oprócz celi, chóru, ołtarzy i swoich sióstr w Chrystusie nie widując, z ciałem w przeróżne sposoby dręczoném, przedstawiała ona, sama o tém nie wiedząc, jedną z najdziwniejszych zagadek bytu ludzkiego: możność istnienia szczęścia na dnie téj najposępniejszéj z melancholii, jaką jest: z pogardy dla ziemi powstały ascetyzm. Była zrozpaczoną przez ziemię i pocieszaną przez niebo melancholiczką.

Była zbliżającą się do doskonałego unicestwienia w sobie wszystkiego, co nie było dążeniem ku niebu — ascetką.

III.

Miała już za sobą trzydzieści kilka lat życia i przeszło dwanaście spędzonych w klasztorze, gdy zachodzić w niéj poczęły niespodziewane zmiany. Uczuła nagłe wyczerpanie sił, nie fizycznych, ale tych wewnętrznych, o które jedynie dbała i których nieustanna, wytężona praca była dotychczas źródłem jéj szczęścia. Z wiary jéj i miłości nie ubył najmniejszy atom, ale przestały ją one odżywiać. Modliła się z chłodem w duszy, wśród rozmyślań doświadczała przerw, w których bezmyślną skamieniałością ogarnięta, przestawała czuć, że żyje. Z nieznaną przedtém trudnością rozstając się ze snem, leniwie szła na poranne jutrznie; w wielkie msze południowe machinalnie wtórzyła ustami słowom kapłana, daremnie walcząc z nieprzezwyciężoną siłą, która wzrok jéj przykuwała do zawieszonego za wysokiém oknem kawałka białego obłoku, lub do wlewającéj się przez nie strugi świateł słonecznych. Usiłowała spuszczać oczy ku ziemi, albo zwracać ku ołtarzowi, ale zupełnie nie wiedziała, jak i kiedy znowu wznosiła je ku górze i wlepiała w obłok lub w światło słońca. Były dnie, kiedy w samotnéj swojéj celi albo w kaplicach, podobnych do wyzłoconych grobów płakała potokami łez i przyczyny ich, najsurowiéj badając siebie, dojść nie mogła, tylko na sercu czuła nieznośny ciężar, z pod którego ono wydobyć się i ku Bogu wzlecieć nie mogło. Co jednak w tych zmianach, którym duch jéj to słabiéj to silniéj ulegał, dręczyło ją najwięcéj, to że utraciła tak jasne przedtem uczucie nadprzyrodzoności, a stało się to właśnie wtedy, gdy żarliwość jéj nabożeństwa przechodzić się zdawała granice siły ludzkiéj i zdumiewała te nawet z zakonnic, które najbardziéj oddawały się pobożnym ćwiczeniom, zarówno jak te, które same do nich najleniwsze, widziały w nich jednak wyższy stopień doskonałości zakonnéj. Nagle, osłabła, ostygła, usnęła i saméj sobie wydawała się lampą zagasłą, trupem mechanicznie poruszanym jakąś obcą, przemieszkującą w nim siłą.

Z punktu widzenia przyrodzonego, stan, w który siostra Mechthylda popadła, był prostym wynikiem długich i jednostronnych wysileń, znużeniem umysłu i potrzebą dla niego nowéj strawy. Dla tego stanu, jak i dla tych, które go poprzedziły nauka posiada nazwy i wytłómaczenia. Siostra Mechtylda nazywała go próbą, którą Pan dla doświadczenia jéj zesłał na nią i którą tylko wola Jego skrócić mogła. Jak Chrystus w Ogrójcu, błagała, ażeby kielich ten oddalonym od

niéj mógł zostać, lecz dopóki brzegi jego ręka Zbawcy przy ustach jéj trzymała, piła z niego pokornie i cierpliwie.

Pokorna, cierpliwa, ale stanem duszy swojéj zasmucona i strwożona, po przeczytaniu w swojéj celi żywota patrona dnia, siostra Mechtylda szła ku téj części gmachów klasztornych, w któréj mieścił się nowicyat, na codzienne parogodzinne lekcye haftów i malowania, przez nią próbantkom i nowicyuszkom udzielane. Swoim szybkim, cichym chodem, z rękami na piersiach u złotego krzyża splecionemi, zstąpiła z wysokich, pomiędzy dwoma grubemi murami ku jednemu z korytarzy spływających, wschodów. Była to pora, w któréj jedne z zakonnic oddawały się zajęciom swoim na pensyi, w nowicyacie, w gospodarskich oficynach, w ogrodach, inne po celach swoich czytały żywot patrona dnia i nad nim rozmyślały. Na klasztornych korytarzach panowała ta głęboka cisza, którą posiadać mogą tylko rozległe pola i grubemi murami obwiedzione miejsca. Szerokie albo wąskie, u góry śpiczasnemi sklepieniami wysoko zakończone, z białemi ścianami, wśród których tu i ówdzie czerniały stare obrazy lub wysokie drzwi do sal zgromadzeń i przyjęć wiodące, tu i owdzie śmiejące się oszklonemi, wystrojonemi, wyzłoconemi kapliczkami, w których stały ołtarzyki w śnieżne koronki owinięte, albo ze srebra ulane posągi, korytarze klasztorne, liczne, w różne kierunki wydłużające się i załamujące, do sieci mistycznych dróg podobne, stały całe w głębokiéj ciszy.

Jesienią i zimą, od białych lub szarych płacht nieba, rozwieszonych za oknami, w potężnie grube mury oprawionemi, padały tu wieczne półzmroki, pod wysokiemi sklepieniami zamieniające się prawie w ciemność. Ale teraz, przez drobne szyby w gotyckie łuki żelaznych krat ujęte, wpływało światło wiosennego słońca, szerokie, złote pasy kładło na podłogi, mnóstwem wąskich, ruchliwych promieni wspinało się po ścianach, i w złotéj powodzi topiło kapliczkę, szklanemi ścianami zaokrąglającą się pośród korytarza, na który weszła siostra Mechtylda. Weszła, postąpiła kilka kroków i uderzona niebywałym tu nigdy widokiem, stanęła. W kapliczce, przed ołtarzykiem w śnieżne koronki owiniętym i otoczonym kwiatami, klęczało dziecko. Była to siedmioletnia dziewczynka, mała i wątła, od któréj ciemnéj sukienki odbijała śnieżnie białość pończoszek, fartuszka i krézy, obejmującéj szyję. Jasne, w dwie cienkie koski splecione włosy, mnóstwem złotych nitek, niby promyków, wznosiły się nad jéj czaszką i opadały na małą, różową twarz, ku obrazowi świętego wzniesioną. Oczy także wnosiła w górę, małe, różowe ręce u saméj prawie białéj

krézy splotła i w żarliwéj modlitwie, prędko, prędko wstrząsała głową i drobnemi usty poruszała.

Siostra Mechtylda była zdziwiona. Wstęp na ten korytarz, jak i na wiele innych, surowo wzbroniony był pensyonarkom. Skąd się ta wzięła tutaj? Gdyby choć drobny początek skrzydeł u ramion, możnaby mniemać, że była aniołem, który przed ołtarzyk w koronki i kwiaty ustrojony, spłynął na smudze słonecznéj, ukośnie przerzynającéj wnętrze kapliczki i w któréj zawrotnie igrały miliardy pyłków. Siostra Mechtylda zrazu jakby do ucieczki przyśpieszyła kroku, lecz potém, cicho, zwolna, zbliżyła się i wśród szklanych ścian kapliczki, za modlącém się dzieckiem stanęła. Dziewczynka więcéj uczuła niż spostrzegła czyjąś bliską obecność, obejrzała się i z przestrachem porwała się z klęczek. Wiedziała, że jéj tu znajdować się nie wolno. Ale zakonnica, końce białych palców na ramieniu jéj kładnąc, zapytała:

— O co tak gorąco Św. Jana prosiłaś?

Ze spuszczonemi powiekami, róg białego fartuszka w palcach kręcąc dziecko, po chilowém wahaniu się, szeptem zaczęło:

— Te słówka niemieckie, proszę pani, takie trudne, że żadnym sposobem nauczyć się ich nie mogę... Wczoraj panna Joachima gniewała się na mnie, że ich nie umiałam... Dziś zrana uczyłam się, uczyłam się... i nic... co nauczę się, to zapomnę...

— O cóż więc Ś-go Jana prosiłaś?

— Żeby mi pomógł nauczyć się niemieckich słówek.

Usta siostry Mechtyldy miały wyraz surowego zamyślenia, ale we wzroku jéj, ku małéj głowie spuszczonym powstawał uśmiech.

— Jakim sposobem przyszłaś tu? — zapytała.

Dziecko po raz pierwszy oczy ku niéj podniosło.

— Starsze panny mówiły, że na klasztornych korytarzach jest taka ładna, ładna kapliczka Ś-go Jana. Poszłam jéj szukać... Nie wiedziałam gdzie... ale szłam... szłam... takie ładne korytarze... Przed Najświętszą Panną, co tam taka śliczna stoi i z rączek promienie sypie, troszkę pomodliłam się i znów poszłam Ś-go Jana szukać... aż i znalazłam!

Bohaterski czyn swój opowiadając, ożywiła się, drobnym palcem wskazywała stronę, z któréj przyszła i w któréj modliła się przed Najświętszą Pannę, z rączek sypiącą promienie. Z oczu siostry Mechtyldy uśmiech spłynął i na jéj usta.

— Dla czegóż tak gorliwie szukałaś właśnie kapliczki Ś-go Jana? — zapytała.

— Bo to patron tatki...

Ciężéj na ramieniu dziecka oparły się palce zakonnicy. Jakby potwierdzając to, czego domyślała się już i wprzódy, przeciągle szepnęła:

— Tak!

Spojrzeniem, które stało się dziwnie miękkiém, we wzniesionych ku niéj oczach dziecka utonęła. Głos jéj drżał trochę, gdy po chwili zapytała jeszcze.

— A matce twojéj, jak na imię?

— Klara...

— Tak! — powtórzyła siostra Mechtylda, dłoń jéj od ramienia dziewczynki podniosła ku jéj włosom, po których przesunęła się z pieszczotą, ale raz tylko... Nagle, jakby sztyletem jakiegoś przypomnienia pchnięta, zakonnica wyprostowała się i popędliwym ruchem dziecko od siebie usunęła. Z roztkliwionych przed chwilą jéj oczu posypały się iskry gniewu i z gniewem prawie krzyknęła:

— Czego tu przyszłaś? Pannom z pensyi przychodzić tu nie wolno! Idź! idź! i pamiętaj, abyś nie przychodziła tu już nigdy, nigdy, nigdy!

Odwróciła się i wzdłuż korytarza pomknęła krokiem tak gwałtownym i nierównym, że z za załomu drugiego wychylająca się zakonnica, widokiem téj siostry, w ten sposób biegnącéj zdziwioną została. Ona sama bowiem, mistrzyni pensyi, chodziła zawsze prędko, z podniesioną twarzą i z takim rozmachem, że brzegi welonu, jak skrzydła rozwiewały się u jéj ramion. Długoletnie zarządzanie i kierowanie pensyą, wyrazem śmiałości i energii okryło całą postać téj zakonnicy niemłodéj, silnéj, o niełdanych, grubych, lecz bardzo ożywionych rysach. Dla potrzeb pensyi, czytywała ona wiele książek i prowadziła wiele rozmów, z religią związku nie mających; przywykła rządzić, rozkazywać, głos podnosić, kroku przyśpieszać, z odkrytą twarzą patrzéć na mnóstwo luzi płci obojéj. Teraz także śpiesznie i z frasunkiem na twarzy dokądściś biegła, piętami głośno o podłogę uderzając, i z rozwiewającym się u twarzy i ramion welonem. Tak jéj było pilno i tak czémś myśl miała zajętą, że gdy siostra Mechtylda przy rozmijaniu się z nią, z nisko pochyloną głową wymówiła zwykłe pozdrowienie: „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“—odpowiedziała tylko: „na wieki!“ i resztę wyrazów połykając, daléj biedz miała. Ale, siostra Mechtylda drogę jéj zastąpiła.

— Matko Norberto!

— A co? co, siostro? Do matki wielebnéj lecę! Taki mam straszny kłopot... dwóch nauczycieli tracimy... aż dwóch od razu... i to w starszych klasach, gdzie siostry zastąpić ich nie potrafią... Jeden

zachorował, drugi wyjeżdża... co tu robić? Do matki wielebnéj radzić się lecę, jakim sposobem, jaknajprędzéj wynaleść innych...

— Matko Norberto!

— Bo to widzi siostra, lekcye przerywać się nie mogą... nie ma gadania, to na sumieniu naszém leży... Siostry dobre dla małych, ale tam, gdzie główki już rozgarnięte, porządnéj nauki trzeba... A tu nagle aż dwóch... no, skąd my ich teraz weźmiemy? Kłopot! Ale co siostrze? Tak prędko szłaś, jakbyś pensyę na swojéj głowie miała i takie kolory na twarz ci wybiły? Czy nie chora siostra, broń Boże?

Z ogniami na policzkach i z błyszczącemi oczami, głośniéj niż mówiła zwykle, siostre Mechtylda odpowiedziała.

— Zdrowie i choroba nasza, są w ręku Pana, ale o czystość duszy troszczyć się on nam rozkazał i ją to właśnie na niebezpieczeństwo narażają nieporządki na pensyi panujące.

— Nieporządki! na pensyi! a toż co? jakie? — z przerażeniem prawie zawołała matka Norberta.

— Panny z pensyi dostają się na wzbronione im korytarze klasztorne... Tylko co jedną z nich w kapliczce Ś-go Jana widziałam...

Matka Norberta z przestrachu ochłonęła. Znać oskarżenie przez siostrę zaniesione, nie wydało się jéj zbyt ważném. Jednak, zwyczajnym sobie ruchem poprawiając wiecznie podnoszącą się jéj do połowy czoła białą opaskę, z rozmysłem zaczęła.

— Tak, tak, to niedobrze! co zabronione, to zabronione! Nie ma gadania!... Posłuszeństwo na pensyi, rzecz konieczna! I któraż to siostra tam widziała, jaką, dorastającą, małą?

— Malutkę — odparła siostra Mechtylda i w głosie jéj coś drgnęło.

— Ach te malutkie! — westchnęła matka Norberta, najtrudniéj z niemi... takie to słabe, nierozumne... ani ich karać, ani znowu na wszystko pozwalać... A nie wie siostra wypadkiem, jak się nazywa ta?...

— Powiedziała mi swoje imię: Klarcia...

Po grubych wargach siostry Norberty przebiegł żartobliwy uśmiech.

— Ach, ta! z całéj pensyi najmniejsza! Nie ma jeszcze miesiąca, odkąd matka ją tu przywiozła, bo biédne dziecko chorowało i podobno hodować się nie mogło w tym klimacie, w którym mieszkają jéj rodzice... Tęskni bardzo za rodzicami i takie to wątłe...

Zdawało się, że mówiąc to, matka Norberta u surowéj siostry dla malutkiéj wychowanki swojéj o przebaczenie prosiła. Ale siostra

Mechtylda wyprostowała się; niezłomny upór wybił się znowu na delikatne i ostre jéj rysy.

— Matko Norberto, święta reguła nasza rozkazuje zakonnicom, które od zajęć około pensyi są wolne, usuwać się od wszystkiego co obrazy świata przed nimi stawiać może. Panny z pensyi błąkające się po klasztornych korytarzach przypominają świat... i budzą grzeszne wzruszenia...

Mowy téj matka Norberta wysłuchała z nogi na nogę przestępując i żółtą, kościstą ręką po wiele razy poprawiając opaskę na czole. Potém z lekkiém wzruszeniem ramion, odparła.

— No dobrze, dobrze, siostro, napomnę ją... nie ma gadania, za nieposłuszeństwo napomnę...

— Trzeba ją skarcić! — zawołała siostra Mechtylda i namiętna zaciętość błysnęła z oczu jéj i zasyczała w głosie.

IV.

Tego wieczoru, gdy zakonnice po ostatnich w chórze modlitwach rozpierzchły się ku swoim celom, matka Norberta mijając siostrę Mechtyldę i kroku trochę zwalniając, przemówiła.

— Stało się, jak żądałaś, siostro, malutka w obecności całéj klasy w kącie za karę stała. Za nieposłuszeństwo ją ukarałam i nie ma gadania! Dziecko płakało.

Mocno swoim pękiem kluczy zadzwoniła i głośno piętami o podłogę uderzając, daléj pobiegła. W ręku siostry Mechtyldy płomyk zapałki drżał długo, nim zetknął się z knotem małéj lampy, która słabém światłem celę jéj oświeciła. Malutka to była celka, ale schludna i nie bez wdzięku. Ściany wysokie, śnieżnie białe, wysoko nad niemi zaokrąglające się sklepienie sufitu, posadzka jak w całym prawie klasztorze kunsztowna i błyszcząca. Na białém tle ścian, krzyż czarny, z białą postacią Chrystusa, kropielnica z wodą święconą, drzwi ciężkie, ciemne i okno z żelazną kratą, wyraźnie widzialną na tle zasłaniającéj je z zewnątrz ciemności wieczoru.

U dołu, wąskie, biało zasłane łóżko, z twardém wezgłowiem, stolik z lampką i nabożnemi księgami, dwa stołki, gliniany dzbanek z wodą — nic więcéj. Ale ona czuła tu jeszcze urok rzeczy niewidzialnéj, lecz niewymownie miłéj, którą była — samotność. O téj porze zwłaszcza, po całodziennném, koniecznêm zetknięciu się ze światem zewnętrznym, choćby nim były tylko siostry w zakonie i najzwyklejsze widoki klasztoru, gdy wchodziła do swojéj celi, uczuwała się w zupełności sam na sam z duszą swoją i z Bogiem. Dla niéj, oprócz

czystości jéj duszy na ziemi i Boga w niebie, nie istniało nic, więc najroskoszniejszą jéj była ta chwila, w któréj, z jedynemi przedmiotami swojéj miłości i troski nie czuła się już rozdzieloną żadnym szmerem i widokiem, w któréj posiadała doskonałą pewność, że nikt i nic, choćby szelest sunącego po ziemi habitu, lub z okna do stóp jéj spadający promień słońca, nie zmąci cichych, nieskończonych jéj rozmów z jéj własną duszą i Bogiem. Zamykająca drzwi jéj celi zakonna reguła, lepiéj strzegła jéj doskonałéj samotności, niżby to gdzieindziéj czynić mogły najmocniejsze wrzeciądze i zamki. To jéj sprawiało rozkosz doskonałego bezpieczeństwa, wśród któréj długie godziny na wąskiém i twardém łóżku przesiadując, myślą zstępowała w swoje wewnętrzne, najskrysze głębie. Były to nieskończone rachunki sumienia, w których każdą chwilę, myśl, wzruszenie dnia ubiegłego, rozbijała na najdrobniejsze atomy, ważąc je, zgłębiając, źródeł ich dochodząc, poszukując pomiędzy niemi takich, któreby tworzyły przyczynę i powinność pokuty i poprawy. W tém tak skrupulatném rozglądaniu tak jednostajnego przecież życia, była surowość niezmierna i szczerość bez granic. Najlżejszego pyłku tego, co w jéj oczach było grzechem nie przebaczała sobie, ani przed sobą i Bogiem osłaniać nie usiłowała. Jedno słowo, bez wymówienia którego obejść się mogła, jeden kąsek chleba, już bez uczucia głodu przełknięty, jeden przelotny uśmiech lub jedna sekunda lenistwa, były to dla niéj plamy, które coprędzéj z duszy swéj ściérała pokorą, skruchą, prośbą o przebaczenie, czasem kolącą szatą z włosianéj tkaniny, na resztę nocy przywdziewaną. Bywały jednak dnie, w których, najmniejszego z owych pyłków grzechu, pomimo najgorliwszego poszukiwania, w sobie nie znalazłszy, doświadczała takiego szczęścia, jakiego zwykle doświadcza człowiek, gdy za rąbek szaty pochwytuje swój wysoki, z uporem wielkich miłości ścigany ideał. Czuła się wtedy lekką i białą jak płatek śniegu, bliską Bogu, pełną nadziei. Gasząc lampkę, wymawiała ciche, głęboko odczuwane słowa wdzięczności i na twardém posłaniu wyciągając ciało, od klęczącéj albo leżącéj na zimnych posadzkach postawy zbolałe i zziębłe, zamykała do snu oczy z takim uśmiechem, z jakim to czyni dziecko na łonie łagodnéj matki. Pokryta morzem cienia i ciszy, usypiała w bezbrzeżnym spokoju dalekości świata, zgody z Bogiem, słodyczy jutra, pewności zbawienia.

Tak było przez lat dwanaście. Dziś przecież cisza i samotność celi nie wywarły na nią zwykłego wrażenia. Wnet po zapaleniu lampki, rozpoczęła według zakonnego swego zwyczaju rachunek sumienia, ale że było ono obarczone ważnym grzechem, poznawała to po wielkim, bolącym ciężarze, który pierś jéj uciskał i był podobny do

połączonych z sobą uczuć trwogi i żalu. I uczucia te i grzéch swój, wraz z ich źródłem, ona musiała określić przed sobą jasno i szczerze, aby nie popełnić zbrodni w jéj oczach największéj — obłudy względem Boga. Kłamać, ukrywać, osłaniać choćby cokolwiek przed Bogiem, więc oszukiwać Tego, który dał jéj wiarę i nadzieję, wówczas gdy wszystkie wiary i nadzieje była postradała, który ją utulił w słodycz i wiekuistość nieba, wówczas gdy drżała i szalała z bólu nad goryczą i znikomością ziemi, byłoby czynem niskim, którego nawet zaczątek powstać w niéj nie mógł. Więc twarzą w twarz z najgłębszą swoją myślą, powiedziała sobie, że to dziecię, dziś w oszklonéj kapliczce przed świętym obrazem ujrzane, wywarło na nią pociąg zupełnie ziemski i niezmożony. Nie; przed sobą, ani przed Bogiem ukrywać, ani osłaniać nie chciała, że wiedziała dobrze, kim jest to dziecię, jakiemi oczami na nią spojrzy, jakie podobieństwa i przypomnienia widok jego ku niéj przywoła, i dlatego właśnie, że to wiedziała, zbliżała się ku niemu coraz prędzéj i nieprzezwyciężeniéj, tak jak wszelkie ciało zbliża się do swojego magnesu, a człowiek do cienia swojego straconego szczęścia. Kiedy dłoń na ramieniu tego dziecka położyła, na sekundę, na mgnienie oka uczuła, że małe to stworzenie bardzo kocha i namiętnie zapragnęła ogarnąć je ramionami, do piersi przycisnąć, pocałunkami okryć, tak jakby ono było drogim cieniem jéj straconego szczęścia. Więc choćby przez błyskawicę czasu kochać mogła coś, co nie było Bogiem i niebem, co było marnym zlepkiem gliny, brudną grudą ziemskiego błota, zjawiskiem, które wobec wieczności ma trwanie oddechu, a wobec prawa śmierci, jest trupim szkieletem, przyobleczonym w prędzéj czy późniéj opaść zeń mające łachmany ciała i pozory życia! Ale niestety, całą tę nędzę bardzo kochała przez chwilę dlatego, że była ona czarodziejskiém źwierciadłem, które nagle z nadzwyczajną wyrazistością i siłą, ukazało w sobie odbicie jéj dalekiéj, wzgardzonéj, znienawidzonéj przeszłości. Więc, oddalone powracać mogło, na dnie duszy śpiące—budzić się z głośnym krzykiem, z pamięci wyrzucone—być niezapomnianém! Więc po tak długich latach czuć ona mogła jeszcze za ziemskiemi uczuciami żal gryzący i wielką, ciężką boleść wspomnień!... Uczuła się przerażoną, lecz uczucia tego zatrzymać w sobie nie mogła, choć usiłowała, bo utraciła całkiem świadomość miejsca, chwili i saméj siebie, spadła na nią nawałnica wspomnień i całą jéj istotę: myśl, pamięć, uczucie, uniosła w przeszłość. Możnaby rzec, że za olbrzymie walki, śród których na długo zwyciężoną została, przeszłość w téj chwili mściła się nad nią, z taką siłą w nią derzyła. Poddała się jéj, bo oprzéć się nie mogła. Nie wiedziała o tém, że należy do tych głębokich natur, których rany

nigdy nie goją się zupełnie i wspomnienia nie umierają. Na zakonném łóżku swém siedząc, z ciałem nieruchomém, nie czyniła rachunku sumienia. Nie widziała ani ścian celi, ani krzyża, ani kraty... Była w swojém rodzinném, cichém, ciepłém gnieździe, na szerokich polach, zasłanych iskrzącym się śniegiem lub falujących zielonem i złotem zbożem, na łąkach kwiecistych, w ogrodach cienistych, nad brzegami błękitnéj rzeki, pod wielką kopułą nieba, w blaskach słońca, w promieniach księżyca. Wszystkie te miejsca i widoki pamięcią i wyobraźnią odwiédzała z kolei, spotykając wśród nich wszędzie, na każdéj ścieżce i w każdém oświetleniu, tłum żyjących istot miłych lub drogich, tak zapamiętanych, jakby rozstała się z niemi wczoraj. Widziała zwierzęta i ptaki, słyszała głosy pierwszych i drugich. Ze szczególną wyrazistością przypominała sobie rój strzałek, na przezroczystych skrzydłach latający nad wodą i w wodzie rosnące lilie, nad któremi chyżo zwijały się jaskółki. Widziała także ludzi, ich kształty, rysy, ruchy, słyszała ich głosy, śmiechy, ulubione słowa, zwyczajne zwroty mowy. Siła jéj wspomnień długim snem, do którego je zmusiła, spotężniona, z przepaści przestrzeni i czasu wywołała duchy dawno pomarłych pocałunków, które musnęły jéj czoło, usta, policzki i mnóstwem drgnięć, z których każde niosło z sobą echo dawno zamarłych rozkoszy, rozbiegło się po jéj ciele. Nadewszystko wyraźnie jednak i najdłużéj widziała miejsce i chwile, które swojém złotem wszystko gasiły, to samo miejsce i tę samą chwilę, których obraz stanął był przed nią za kratą rozdzielającą presbiteryum kościelne od chóru klasztornego, wtedy, gdy po raz pierwszy mała dziewczynka podniosła na nią swoje zapłakane oczy i wymówiła swoje imię, a dostojnik kościoła wznosił u ołtarza rozbłysłą jak słońce monstrancyę. To miejsce i ta chwila były ostatnim szczytem jéj ziemskiéj miłości i jéj ziemskiego szczęścia, których dalekie lecz przenikliwe echa napełniły ją teraz, gdy wstąpiła nań znowu pamięcią i wyobraźnią. Powolnym, automatycznym ruchem podniosła z kolan swoją chudą rękę i chwilę na nią popatrzała. Ta ręka spoczywała podówczas w jego dłoni; rzuciła wzrokiem na swoją kibić; opasywało ją wtedy jego ramię. Stawały się wtedy na świecie i w krótce dziać się miały rzeczy, które dla niego, zarówno jak dla niéj były wielkie i drogie. Więc dwoma najpotężniejszemi łańcuchami wzajemnéj miłości i wysokich myśli z nim związana, długo spoczywała w jego objęciu cicha, ufna, jak w morzu szczęścia. Krople z tego morza, teraz także wysączyły się z siedliska wspomnień i w żyłach jéj z krwią zmieszane, biegły po nich strugami wzruszeń. Ostre jéj rysy złagodniały i zdawały się wypełniać, po ustach błądziły uśmiechy i nieruchome źrenice

napełniały mgły upojenia. Było to na wąskiéj polnéj ścieżynie, w cieniu rozrosłych leszczyn, przy pełnym blasku południowego słońca. Płomień wstydu ją ogarnął, spłoniona powstała szybko i na znajdującą się w pobliżu rówieśnicę zawołała: Klarciu! Klarciu! Teraz także po dwakroć imię to wymówiła, a jednocześnie z jasnością, która z halucynacyą graniczyła, ujrzała dobywającą się z gęstwiny zboża i po zielonéj miedzy biegnącą różową dziewczynę, z pękiem bławatów w rękach, w lekkich i jasnych muślinach. Biegnąc z leszczynowego krzaku, spłoszyła stado drobnych ptaków, które z piskliwą wrzawą i trzepotem skrzydeł podniosły się w powietrze, duży motyl nad głową jéj leciał, głosy szumiały z cicha; daleko, w górze, płynęły białe obłoki i łagodziły żar słońca... pogoda letnia, cisza polna, radość wszech istot, miłość, przyjaźń... Stwórco! jakże pięknym jest twój świat! Niebo jego— to na drogocennym bławacie haft dyamentowy, ziemia— kobierzec z traw i kwiatów, powietrze— ocean świeżości i woni, serce człowieka—kielich po brzegi nalany szczęściem!... Nagle, z tą samą wyrazistością, z jaką ujrzała i uczuła rajski rozkwit życia swojego i świata, zobaczyła i uczuła okrutną ich ruinę. Słyszała huk wystrzałów, patrzała na płonące ściany swego domu, na trupy i klęskę braci, na ludzi, którzy wzajemnie tępiąc się, w łunie pożaru, mieli barwy, rysy, skręty żrących się szatanów, na sceny do téj podobne wszędzie dokoła... na tę nakoniec ostatnią, gdy w dwu najdroższych dla niéj dłoniach skruszyło się jéj dawne, ufne, pogodne serce i gdy ujrzała spadającą na całą już ziemię grubą, czarną, zupełną ciemność. Wszystkiém, co pod tym płaszczem ciemności było i żyło, wzgardziła; od mąk wzgardy, po rozkosz uwielbienia do Boga uciekła, a jednak, teraz, gdy znowu ciemność pełna trupich bladości i krwawych przerażeń spadła w jéj oczach na tak zwodniczą, ale tak rajską piękność ziemi, uczuła takiż jak niegdyś ciężki, gorzki żal. Był to jeden z tych żalów, z których wyrastają wysokie i chore kwiaty melancholii.

Jak melancholicy miała ona teraz w głębi myśli splątane jęki i skargi, a na dnie piersi kamień cierpienia, który jéj z oczu łzy wyciskał. Na swojém białém, wąskiém łóżku siedziała jak senna, z członkami zdjętemi taką niemocą, że splecione jéj ręce na czarnym habicie wyglądały, jak rzeźba z marmuru. Z szeroko rozwartych jéj oczu grube łzy padały powoli, równo, na wychudzone policzki i czarny habit, na złoty u piersi krzyż i marmurowe ręce, które piekły, tak były gorące; ale ona tego nie czuła. Nie czuła nic, oprócz ciężkiego, gorzkiego żalu za rajsko piękną ziemią, na którą spadła ogromna ciemność, z larwami znikomości i zła na dnie. Zło, znikomość, grzeszenie, cierpienie i umieranie powszechne i konieczne, Stwórco, oto twój świat!

Niebo jego—obłudny błękit, z którego w ufnych spadają grady i gromy, ziemia jego—kretowisko, w którém tajemnie na stopy przechodniów czyhają zjadliwe gady, powietrze jego — ocean smutku i trwogi, serce człowieka—kielich po brzegi nalany łzami! Ludzkość jest zbiorowiskiem mar, które zapominają o tém, że lada powiew rozwiać je może, szkieletów, niepomnych na to, że lada chwila opadną z nich łachmany ciała. Gromada szaleńców wyobrażających sobie, że doścignie, co ściga, i o różne ściany roztrzaskująca sobie głowy i serca; głodnych nędzarzy żrących się o kości; głupich pawiów, pyszniących się kroplą barwniku, pierze ich zaprawiającą; dzieci, które z samych siebie wypuszczają bańki mydlane i klaszczą im z zachwyceniem, a przez to tylko żyć mogą, że zapominają o tém, co było wczoraj i co będzie jutro. W powietrzu, w wodach, w gęstwinach traw i drzew, w siedliskach zwierząt i ludzi, dobroci, litości, bezpieczeństwa nie ma. Wszędzie toczą się srogie boje i padają śmiertelne ciosy. Nawet polne kwiaty, niewinne i wspaniałe, ścina kosa i sierp, a te, które rosną w nieznanych samotnościach umiérają same i rozkładają się na niewidome atomy—tak jak człowiek i jego uczucia, które niewinnością i wspaniałością im podobne, a w jego trującym oddechu zmieniają się w nagie i zgniłe badyle. Wszystkie zresztą płody i zjawiska ziemi, dobre czy złe, są cieniami, które płyną, płyną przez ocean czasu, wzajemnie wypierając się, i nikną w nieskończoności. Nic nie trwa. Nie ma na ziemi takiéj rzeczy, w dziedzinie materyi i ducha, którąby mogła nie uledz rozkładowi, więc zgniliźnie. Zarówno chmury jak kwiaty, członki człowieka jak jego nadzieje, są obecną lub przyszłą, dokonywującą się lub dokonaną zgnilizną. Śmierć toczy wszystko, jak robak drzewo. Komórki, składające tkaniny ciała nowonarodzonego, umiérają w pierwszym już dniu jego życia, zastępują je nowe, które jutro umrą, aż przyjdzie dzień, w którym nie przybędę żadni zastępcy i obietnica trupa stanie się jego spełnieniem. Bo tylko śmierć obietnice swoje spełnia, ale czyni to już niezmiennie i powszechnie. Zresztą, wszystko ma usta pełne przyrzeczeń a nic ich nie dotrzymuje.

Całe stworzenie, od wierzchu do dna przestrzeni i od krańca do krańca czasu, przebiega nieunikniony, powszechny duch zniszczenia i przenika nieskończony, powszechny, jęk zawodu. Stwórco, oto twój świat!

Tak myślała i płakała cicho, nieruchomo, wielkiemi łzami, które równo i powoli padały na czarny habit, na złoty krzyż u piersi i na ręce, które piekły, tak były gorące; ale ona tego nie czuła. Tak była przyzwyczajona zawsze i tylko z Bogiem rozmawiać, że i teraz myśl jéj, jak z dna otchłani, do niego przemawiała.

— Panie Wszechmocny, dlaczego nie przemienisz? Ojcze najlepszy, czemu nie litujesz się? Bezmiarze światła, dlaczego nie oświecasz? Ręko najmocniejsza, czemu nie dźwigasz? Wiedzo doskonała, czemu nic naprawiasz? Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, czyż one są zgładzone? Chryste Zbawicielu, cóż jest zbawioném? Chryste Odkupicielu...

To imię wstrząsnęło nią i przywróciło jéj przytomność. Spojrzała na krucyfiks, porwała się na nogi i śmiertelnie przerażona krzyknęła.

— Chryste! wszakże ja bluźnię!

Z załamanemi dłońmi i obłędem w oczach myślała, że ten jeden dzień zniszczył długoletnią pracę jéj serca i woli, oddalił ją od Boga, którego obraziła uczynkiem, myślą i słowem: uczynkiem, bo przez chwilę poddała się była pociągowi ziemskiemu; myślą, bo przez długie godziny tonęła w ziemskich wspomnieniach; słowem, bo, o zgrozo! spór z Bogiem toczyła. Tak: przez litość i żal nad ziemią, czyniła wyrzuty jéj Stwórcy i Panu. Naśladowała więc fałszywych mędrków i ohydnych bluźnierców świata, hańbiła święte miejsce, na którem się znajdowała, gubiła swoją duszę. Gdyby w téj chwili umarła,—zakonnica występna, duch złego uniósłby ją do piekła, jak prawowitą swoją własność. Ale potępienie wieczne i jego męki wydawały się jéj niczém, w obec żałości, któréj doznała na myśl, że obraziła Boga i powiększyła przestrzeń, dzielącą ją od tego jedynego przedmiotu miłości jéj i czci. Niedarmo była nikczemną grudą ziemskiéj gliny. Wszystko, co o naturze ziemi myślała, i w niéj istniało. Napełniała ją, zarówno jak ziemię, złość grzechu, uczucia ulegały powszechnemu prawu znikomości. Popełniła to, czém brzydziła się najwięcéj: zdradę. Zdradziła Boga.

Nie płakała już tak, jak przedtém cicho i nieruchomo, ale ulewą łez, z piersią pełną jęków, z rozpacznie do krucyfiksu wyciągniętemi rękami. Potém jednak płacz jéj ustał, ręce w dół opadły, podniosła głowę. Nie; nie podda się ona powszechnemu prawu świata, głową przebije powszechne brudne morze i wzniesie się nad nie, weźmie się za bary z powszechną znikomością i zdepcze tę marę. Stopą o ziemię uderzyła w taki sposób, jakby tę kulę z gliny i błota, z pod nóg swych wytrącała. Niech leci w bezdenną otchłań! Ona wzbije się nad nią, samotna i zwycięska wzleci ku źródłu doskonałego dobra i zmiesza się z niém w krainie wieczności. Nie miała najlżejszego przypuszczenia, że w téj chwili ściśléj niż kiedykolwiek łączyła się z naturą swego rodu, w pysze i samolubstwie; czuła owszem ogromną żądzę wydarcia się z pośród ludzkości, wyniesienia się nad nią, karcenia i gnębienia tego,

co ją upodobniało z ludzkością i do ziemi przykuwało. Cóż to było, jeżeli nie ciało, ta szmata przepojona wyziewami ziemi, ten zbiornik pokus. Ono to było tym przyjacielem ziemi, który w niéj litość dla ziemi obudzał, spólnikiem szatana, wrogiem Boga. Nie dość jeszcze surowo obchodziła się z niém dotąd, nie zdołała go jeszcze podbić. Upokorzyło się było wprawdzie, przycichło, ale było to znać tylko podstępne zaczajenie się, aby w chwili sposobnéj, tém skuteczniejszą napaść wykonać... Ach, kusicielu, wrogu, wiecznie odradzający się wężu!...

Teraz linia jéj ust przybrała wyraz nienawistnéj zaciętości, oczy błyskały ostro i srogo. Bardzo blada, stanowcza, prędkiemi, ale pewnemi ruchy zdejmowała czarny welon, z pod którego głowa jéj ukazała się, cała owinięta w białe płótna, zaledwie tu i owdzie przepuszczające na szyję i czoło drobne pasma czarnych włosów, odejmowała od piersi krzyż złoty, rozpinała u szyi habit, aż nagle upadła na klęczki przed krucyfiksem, pod słabém światłem lampki do połowy obnażona. Jednocześnie, blade i delikatne, ale w téj chwili sprężyste i silne jéj ramię wyciągnęło się nad pochyloną nieco głowę, w powietrzu świsnęła i na białe, cienkiemi kośćmi sterczące plecy, na kształtne, spadziste ramiona, na pierś dziewiczo szczupłą i drobną, na szyję wdzieczną linią dobywającą się z pod białych płócien, raz po razie szybko, miarowo, mocno opadać zaczęła—dyscyplina.

-- Tak, tak! Jeszcze częściéj, jeszcze mocniéj! Nigdy za często, nigdy za mocno! Gdyby to było podobném i gdybyś ty, Panie na to pozwalał, jakże byłoby dobrze całkiem ten łachman rozszarpać i z więzienia jego wypuścić ptaka—duszę!

Możnaby mniemać, że ta sama siła z zewnątrz, która dopomagała jéj w spełnianiu ciężkich i wstrętnych robót, gdy była jeszcze nowicyuszką, wstąpiła teraz w jéj ramię. Niezrównanie gibkie i zręczne, było ono niezmordowaném. Na plecach jéj, ramionach, piersi, szyi, powstawały długie różowe blizny, stawały się coraz gęstsze, zaogniały się, czerwieniały, aż sączyć zaczęły krople, potém wąskie strumyki krwi.

Ona, z tém krwawém ciałem tak niewzruszoném, jakby z kamienia wykutém było, z szybko i prawie rytmicznie świszczącą w ręku dyscypliną, w oczach tkwiących w krucyfiksie miała wyraz zachwycenia. W strasznym jéj bólu była rozkosz, dla wszystkich, oprócz niéj jednéj, niepojęta. Cierpiała tylko nad tém, że więcéj cierpiéć nie może i od czasu do czasu usta jéj drgały szeptem:

— Niech więcéj boli, o Panie, spraw, aby więcéj bolało!

W myśli, z zadawanych sobie ciosów składała Bogu ofiary.

— Za grzechy moje! Za to, że zamiast do Stwórcy, do stworzenia miłość uczułam. Za wspominanie rozkoszy ziemskich! za litość nad ziemią! za spór bluźnierczy o niezbadane twoje wyroki!

— Jeszcze raz, jeszcze, jeszcze!

Słabła przecież, mimowolne łzy, dwoma sznurkami po jéj policzkach ciekły i na piersi, mięszały się z wysączoną przez blizny krwią zachwiała i znowu umocowawszy się na klęczkach, ze wzmożoną raz jeszcze siłą na plecy dyscyplinę opuściła.

— Za grzechy świata! Za nędze ziemi! Panie! Panie! Raz jeszcze, raz, raz... za grzechy świata! za nędze ziemi!

Znowu więc za światem wzgardzonym, za ziemią nieszczęsną wołała, ale już nie mogła mieć o tém świadomości, ani modlić się, ani katować się dłużéj. Dokonała swego zamiaru, zgnębiła ciało tak, że zgasły w niém siła, myśl i uczucie. Z ręki jéj wypadła dyscyplina i ona sama z lekkim stukiem na podłogę celi runęła przed krucyfiksem, twarzą ku ziemi. Poranione jéj plecy, z obu stron rozpostarte ramiona i owijające nogi zwoje czarnego habitu, nadawały jéj postać żałobnego i skrwawionego krzyża.

Wtedy, za oknem, na którego pobielałych szybach rysowały się czarne i twarde linie kraty, powstawać zaczął świt pięknego dnia. W wielkim klasztornym ogrodzie robiło się widno i błękitno, na skraj nieba wstępował rumiany obłok, lekkie wietrzyki latały po drzewach, szemrząc w zieleni: słońce wschodzi! słońce wschodzi! W gnieździe zawieszoném u gzemsu okna, tuż przy jego szybie, obudziła się i wesoło zaszczebiotała jaskółka.

(*D. c. n.*). *El. Orzeszkowa.*





POLITYKA EUROPEJSKA
U SCHYŁKU XVIII WIEKU.

Albert Sorel. „L'Europe et la révolution française“. Ouvrage couronné par l'Académie française, grand prix Gobert. Paris. Plon. II éd. T. I. 1887. T. II. 1889.

Kiedy przed kilkunastu laty p. Albert Sorel (wspólnie z p. Funck-Brentano) ogłosił swój „Wykład prawa międzynarodowego“, wielki podniósł się krzyk w uczonych kołach, które zmonopolizowały niejako dla siebie — najbezinteresowniéj zresztą — tę najbardziéj platoniczną dziedzinę naukową. Urzędowy organ tych kół, „Przegląd prawa międzynarodowego“, wychodzący w Gandawie, sprzeniewierzywszy się na chwilę wykwintnéj uprzejmości dyplomatycznéj, z jaką zwykł przemawiać, nie wahał się napiętnować pracy niepowołanych nowicyuszów jako „prawo międzynarodowe pozytywistyczne, materyalistyczne, odarte ze wszelkiego charakteru idealnego [1]). Oburzenie takie nie było bez powodu. „Przepisy prawa międzynarodowego, mówili inkryminowani autorowie, są analogiczne do praw historyi, praw polityki, w innym rzędzie zjawisk — do przepisów hygieny“. Prawo międzynarodowe, mówili w inném miejscu „nie istnieje po za obrębem zwyczajów, przestrzeganych przez narody i zobowiązań, zaciąganych przez państwa“ [2]). Podobne wyznanie wiary, albo raczéj niewiary, musiało brzmiéć nutą heretycką dla członków „Instytutu“ gandawskiego. Jak w bajce Andersena, ci uczeni dworacy „Europy“ ustroili swą panią we wspaniałą, z subtelności filozoficznych i etycznych mi-

[1]) Artykuł p. Rolin Jacquemyns (redaktora naczelnego) w „Revue d. dr. intern.“ 1877, T. IX, 142. Por. z surową oceną Holtzendorff'a Einleit. in d. Völkerr. (1885) 517, wychodzącą z tych samych zasad.

[2]) A. Sorel et Funck-Brentano: Précis du droit des gens (1877) 7 i nast. 494.

sternie utkaną szatę „prawa międzynarodowego“: niespodzianie wystąpił nierozważny śmiałek, co w prostocie ducha ma odwagę wyznać, że widzi samo tylko nagie ciało.

Niestety, śmiałek ten, p. Albert Sorel, wiele posiada danych po temu, aby widzieć dokładnie i jasno. Długoletni sekretarz główny senatu, obecnie po Franciszku Charmes'ie obejmujący ważne stanowisko dyrektora politycznego w ministeryum spraw zagranicznych francuskiém, nietylko z książek, lecz oraz z obserwacyi bezpośredniéj czerpał wiadomości o sprawach politycznych; autor pięknych studyów o „Traktacie paryskim 1815 r.“ i „Historyi dyplomatycznéj wojny francusko-niemieckiéj“, miał sposobność na badaniu losów własnego kraju wyrobić sobie trzeźwy, choć gorzki, pogląd na istotę stosunków międzynarodowych. Niezmieszany gromami, rzucanemi nań przez idealistów gandawskich, ciągnął daléj swe poszukiwania historyczne, wydając w r. 1878 „Kwestyę wschodnią w XVIII w.“ a w 1885 i 1887 dwa tomy wielkiego dzieła, dwukrotnie odznaczonego przez Akademię francuską, stanowiącego niejako jędrne a plastyczne uzasadnienie prawd pesymistycznych, wypowiedzianych w „Prawie międzynarodowém“. Na to dzieło, jakkolwiek podziśdzień jeszcze nie zamknięte, pragnę poniżéj zwrócić uwagę czytelników polskich, która mu się z wielu względów należy [1]).

Ułożywszy sobie nietyle roztoczyć oderwany obraz Europy w okresie 1789—1795 r. ile przedstawić studyum z psychologii stosunków międzynarodowych wogólności, cofa się S. daleko w przeszłość, stawiając na wstępie zasadnicze a doniosłe pytanie: jakie były „obyczaje i tradycye“ Europy przedrewolucyjnéj? Przedewszystkiém — od tego rozpoczyna odpowiedź — w wieku XVIII „nie było Europy“ wcale, jeśli pod nazwą tą rozumieć stowarzyszenie państw, złączonych pewną solidarnością wspólną, pewną powszechnie uznaną zasadą prawną, jeśli pojmować „Europę“ jako „rzeczpospolitą chrześciańską“. Samo pojęcie Europy takiéj było do tego stopnia obce rządzącym zarówno i rządzonym, że potrzeba było ćwierci wieku wojen, ażeby się do pojęcia tego wdrożono tylko, i elementarne próby zorganizowania chaosu europejskiego, podjęte przez kongresy wiedeński

[1]) W r. 1883 wydał „*Essais d'histoire et de critique*“, stanowiące jakby przygotowanie do głównego dzieła i ściśle powiązane z niém treścią. W ostatniéj pracy o „Montesquieu“ 1887 również powraca S. do swéj myśli przewodniéj, że „la sagesse de l'Europe au XVIII s... c'est encore le dernier mot de la sagesse du XIX... on a sacrifié de nouveaux millions d'hommes sans'avoir avancé d'un pas“ 119—123. Oprócz tego drukuje S. rozliczne monografie z XVIII w. w „Temps“ i „Revue hist.“

wiązania, bez zwrócenia waluty [1]). Pracują gorączkowo „czarne gabinety“, gdzie otwiéra się i odczytuje najtrudniejsze depesze cyfrowane; szczególną sławą cieszyli się pod tym względem urzędnicy wiedeńscy. Często uciekano się do gwałtów — antycypując poniekąd morderstwo posłów francuskich w 1799 r. — i rozważny Bielfeld, profesor prawa publicznego i wyrocznia w téj dziedzinie, mówiąc w swych „Instytucyach“ (1760) o kuryerach dyplomatycznych, radzi dobiérać do takich misyi osoby „dobrze zbudowane.“

Wreszcze główne narzędzie polityki, *ultima ratio*, wojna, dostrajała się zgodnie do całości obrazu. Pojęcie wojny prewencyjnéj rozciągnięto do tego stopnia, że zlało się, do niepoznania, z pojęciem napastniczéj. W r. 1755 Anglicy napadają na okręty francuskie bez wypowiedzenia wojny. W Wersalu przypuszczano, że stało się to z inicyatywy Austryi, projektowano zatém niespodziane opanowanie Belgii, do czego zachęcał król pruski, obiecując, że równocześnie rzuci się na Czechy. Okazuje się jednak, że Prusy w tym samym czasie potajemnie zawierają z Anglią układ, zwrócony przeciw Francyi, o czém Austrya pośpiesza dwór wersalski powiadomić, proponując Francyi i Rosyi wspólny atak na Prusy. Fryderyk atoli uprzedza wszystkich i zajmuje Saksonię. Oto początek wojny siedmioletniéj, ze wszechmiar charakterystyczny. W prowadzeniu wojny również powściągliwości ani śladu. Straszliwe spustoszenie Palatynatu przez wojska francuskie 1689 r., okrucieństwo nieludzkie wojny siedmioletniéj, szturm oczakowski stanowią ilustracye wystarczające w téj mierze. Zdobytéj ziemi nie traktuje się jako część integralną własnego terytoryum, lecz jako zdobycz zrabowaną, tymczasową, którą może wypadnie oddać niezadługo, a na razie należy z niéj wycisnąć, co się da. „Król pruski, pisze rezydent saski w 1771 r., kazał zabrać około 7,000 dziewcząt polskich w wieku od lat 16—20 i wymaga, aby z każdéj określonéj ilości zagonów dostawiono mu jedną dziewczynę, oraz krowę, trzy dukaty gotowizną... łóżko i cztery poduszki i dwa wieprze,“ dziewczęta te wraz z „posagiem“ transportowano do Pomeranii pruskiéj, „gdzie szybkość wzrostu ludności pozostawiała wiele do życzenia“ [2]). Zaznaczmy, że Fryderyk czynił tu tylko, dla „racyi stanu“ i na większą skalę, to samo, co jego ojciec, porywający z Wielkopolski „wysokich drabów,“ praktykował z namiętności dla gwardyi poczdamskiéj [3]).

---

[1]) Por. u Kalinki „Sejm czter.“, I. §§ 57 i 58 o „pensyach“ i „pożyczkach“ zagranicznych. — [2]) „La question d'Orient au XVIII s.“, 228. — [3]) Jarochowski: „Opow. i stud.“ (1877), 119—140.

Tak przedstawiają się „obyczaje polityczne“ staréj Europy; z kolei rozpatrzmy się w „tradycyach.“ Dla Francyi tradycye te polityki zewnętrznéj sprowadzają się przedewszystkiém do wymagań położenia geograficznego, które, wobec granic naturalnych, z trzech stron się wznoszących, dopuszczało rozrost jedynie od strony Flandryi i Alzacyi. Obok tego czynnika normalnego staje inny, powiązany z burzliwą, chciwą sławy, do wojny chętną naturą galską — idea monarchii uniwersalnéj, powstała z zapatrzenia się na postać ogromną franka-monarchy świata, Karola W. W sposób wysoce zajmujący wykazuje Sorel równoległy rozwój tych dwóch kierunków za Filipa Augusta, Filipa Pięknego, Henryków, aż wreszcie za Richelieu'go i Mazarin'a urabia się zdrowy „systemat klasyczny“, mający na celu zatrzymanie się w granicach naturalnych i wzmożenie natomiast potęgi państwa przez doskonałą jego spoistość i jednolitość. Ludwik XIV-ty poszedł odmienną drogą, wstępując raczéj w ślady Karola VIII-go i jego awanturniczych wypraw włoskich; po pierwszych swych „wojnach o granice“, po zdobyciu upragnionych dla Francyi ziem nadreńskich, wdał się w szereg „wojen dla przepychu“, któremi oniemal przyprawił siebie i kraj o zgubę. W zamysłach Louvois, w wymowie politycznéj Bossuet'a, w postawie wyniosłéj króla dają się odnaleść rysy te same, jakie po wieku wystąpić miały w zachowaniu się Konwentu i Napoleona — jak znowu groźna koalicya z Marlborough'iem, Anglikiem, na czele odpowiada innéj, któréj duszą jest Pitt młodszy [1]). Ludwik XV-ty, zamiast powrócić do zbawiennego „systematu klasycznego“, ponownie, a tak niefortunnie, nawę państwową na tory polityki „uniwersalnéj“ skierował, że utraciwszy Kanadę, Luizyanę, Indye, dopuścił zachwiania Turcyi, upadku Polski, wzmocnienia Anglii, Prus i Austryi. Równolegle z takim przebiegiem dziejów wytworzyła się i głęboko zakorzeniła w narodzie nienawiść ku dwom „wrogom dziedzicznym“ Francyi: Anglii i Austryi. Gdy zaś ostatnie ciężkie straty i porażki poniesione były w aliansie z Austryą, ustaliło się w opinii publicznéj przekonanie, że alians ten był dziełem przekupstwa i zdrady, i odtąd „system austryacki“ stał się dla każdego patryoty francuskiego synonimem klęski narodowéj. „Małżeństwo Maryi Antoniny z delfinem miało przypieczętować na wieczne czasy przymierze 1756 r. Zamiast tego na głowie nieszczęsnéj arcyksięż-

[1]) Odległe echo historyczne odzywa się w odbiciu powtórném później jeszcze. „Z kimże teraz prowadzicie wojnę? — pytał Thiers zrozpaczony Ranke'go w październiku 1870 r., po upadku cesarstwa i ogłoszeniu rzeczypospolitéj. „Z Ludwikiem XIV-ym“—odparł chłodno Ranke.

niczki złożyły się razem nienawiść i uprzedzenia, nagromadzone przez trzy wieki współzawodnictwa... i niepopularność niesłychana, jaka czekała ją we Francyi, streściła się od początku w słowie, które miało stać się dla Maryi Antoniny wyrokiem detronizacyi i śmierci: w słowie „Austryaczka“ [1]).

Tradycye polityczne Anglii, już z natury bardziéj wyraziste i jednolite, doczekały się konsekwentniejszego rozwinięcia historycznego. Utrzymanie się przy hegemonii handlowéj—oto cel ostateczny téj polityki, jak ją zowią na kontynencie, „kartagińskiéj“; pewność siebie, nieugiętość, bezwzględność w stosunkach międzynarodowych, wynikająca z wyjątkowo bezpiecznego położenia geograficznego — oto jéj rys charakterystyczny. Nieprzyjaźń historyczną ku Francyi, niegdy prowincyi angielskiéj, dziś współzawodniczce w handlu lewantyńskim i koloniach, podnieca obawa o dogodne dla przyszłéj potęgi morskiéj porty belgijskie i portugalskie. Nowy tu jeszcze czynnik wchodzi w rachubę, który silnie wpłynął na stosunek Anglii do Prus i Austryi. Anglia, cała w oceanie skąpana i dla pocisków niedostępna, ma jednak, od XVIII w., na lądzie stałym swą piętę hanowerską, gdzie łatwo a dotkliwie można jéj dosięgnąć. W stosunku do Rosyi zachodzi zwrot około 1780 r.; do tego czasu była Rosya dla Anglii tylko starym a dobrze widzianym kundmanem, i lord Chatham chętnie nazywał siebie „dobrym Rosyaninem“; od téj daty dopiéro poczyna się ochłodzenie pewne z powodu Turcyi i Indyi, gdzie Francuzi przestali już być niebezpieczni. Dla Polski nigdy nie żywiono nad Tamizą nic, oprócz obojętności zupełnéj, a to już z téj prostéj racyi, że angielskie okręty handlowe—nietylko wojenne, jak późniéj tłómaczył się Palmerston,—nigdy nie mogły podnosić się po Wiśle. W ciągu dziesięciolecia, poprzedzającego wypadki 1789 r., dokonywa się zmiana radykalna w zapatrywaniu się Europy na Anglię. Niepowodzenia w Ameryce zatarły pamięć świetnych sukcesów angielskich podczas wojny siedmioletniéj; gorzéj jeszcze usposabiał opinię publiczną Europy ciężki kryzys wewnętrzny, jaki w tym samym czasie przechodziła Anglia. Zamieszki religijne w Szkocyi 1778 r., konspiracye w Irlandyi, rozruchy uliczne w Londynie 1782 r., skandaliczny proces Hastings'a

---

[1]) Patryotyzm nie pozwolił Sorelowi dotknąć sprawy zaboru przez Francyę Korsyki w 1768 r. Oburzona brutalném pogwałceniem prawa narodów przez rząd francuski, cesarzowa Katarzyna, w pięknym liście do przywódcy korsykańskiego. Paolego (w czerwcu 1769 r.), radzi Korsykanom nie tracić otuchy, lecz *„s'opposer à l'oppression, défendre et sauver la patrie d'une usurpation injuste, combattre pour la liberté“* (Ogł. w „Sborniku Imperat. Rossijs. Istor. Obszcz.“, t. X (1872). str. 342 i 343.

w 1786 r.; król obłąkany na tronie, niezaradni następcy Chatham'a u steru rządu, przekupstwo ustalone i jawne w izbie niższéj — były to wszystko symptomaty gwałtownego a powszechnego rozkładu. Wyrocznia Europy, stary Kaunitz, z politowaniem oświadcza, że „na Anglię nic już rachować niepodobna"; Fryderyk II lekceważąco odzywa się o dawnym swym sprzymierzeńcu; cesarz Józef nazywa Anglię „mocarstwem zupełnie podupadłém, pozbawionêm powagi i potęgi, zepchniętém do kategoryi państw drugorzędnych." Bielfeld jest tylko wiernym tłómaczem tych poglądów, kiedy porównywa Anglię z ginącą Polską; w istocie dla polityków owoczesnych nie jest Anglia niczém innêm, jak „Polską wyspiarską, Polską zamożną, skupioną w sobie, zawdzięczającą swą odporność pozorną szczęśliwemu przypadkowi, który nie dał jéj sąsiadów." W kancelaryach dyplomatycznych francuskich obficie rodzą się projekty łatwego zdobycia trzech królestw, i pełno w archiwach z téj epoki planów awanturniczych wylądowania zbrojnego nad Tamizą. Późniejsza zażartość polityków Konwentu, blokada kontynentalna, indyjskie plany Napoleona i przygotowania czynione w porcie bulońskim, są tym sposobem z góry niejako wskazane. Nigdy bardziéj nie pomylono się w dyagnozie politycznéj. Sprawdziło się do słowa spuszczone z uwagi zdanie Monteskiusza, że „gdyby jakie obce mocarstwo zagroziło sławie lub dobrobytowi Anglii, drobne interesy ustąpiłyby natychmiast przed wielkiemi i wszystko odrazu zjednoczyłoby się w ręku władzy wykonawczéj." Po za chorym królem, nędznym gabinetem, parlamentem nikczemnym, stał zdrowy, wielki, potężny naród. Podczas wielkich kataklizmów politycznych, jakie miała przejść Europa, „wykazała Anglia większą dyscyplinę, niż Prusy, większą konsekwencyę, niż Rosya, większą wytrzymałość, niż Austrya; rozwinęła potęgę, przewyższającą wszystko, o czém kiedykolwiek marzyły wszystkie te trzy państwa, razem wzięte, i skoalizowane dwory wiedeński, petersburski i berliński nie potrafiły stworzyć organu wykonawczego, który pod względem energii, inteligencyi i wytrwałości mógłby wytrzymać porównanie z rządami młodszego Pitta" [1]).

„Industryą narodową Prus jest wojna", pisał Mirabeau z Berlina w 1786 r., w przededniu śmierci Fryderyka. Z osobliwéj téj „industryi" niemniéj pożytku osiągnęły Prusy, niż Anglia ze swojéj; ukształtowały też sobie odpowiednią metodę polityczną. Wszystko

[1]) Niedawno u nas w dyskusyi historycznéj odnowiono w téj materyi — z odwrotnego końca—zapatrywania zeszłowieczne (p. K. Waliszewski); pozwalam sobie na tym punkcie pisać się na przeciwny pogląd Sorela.

w państwie dla armii, wszystko przez nią w Europie — taki jest drogowskaz polityki pruskiéj od czasów wielkiego kurfirsta jeszcze. Zostawia Fryderyk następcy swemu w spuściźnie liczne i wyćwiczone wojsko i dobrze opatrzony skarb; już w roku następnym zbiérają Prusacy tanie laury w Holandyi. W r. 1790, ciągle „z groźbą wydobytego do połowy oręża“, zawierają przymierza z Turcyą i Polską, długo uprzednio pospierawszy się o szczegóły, w końcu „pisząc wszystko, czego się od nich wymaga,“ w tém niezłomném przekonaniu, że „istnieje korektywa nader prosta dla zobowiązań lekkomyślnych: zastrzeżenie sobie w myśli, że obiecawszy wszystko, nie dotrzyma się niczego.“ Polityka Hertzberg'a, „stanowiąca epokę w historyi krzywoprzysięstwa,“ nielitościwie oświetlona przez Kalinkę, w treściwém przedstawieniu historyka francuskiego uwydatnia wszystkie swe skręty wężowe, obejmując rozleglejszy widnokrąg europejski. Schodząc się w zapatrywaniach z historykiem polskim, znalazł Sorel możność głębiéj sięgnąć w swym wykładzie, i przez nader szczęśliwą i energiczną charakterystykę Berlina i Prus z końca zeszłego wieku, dopełnia i wyjaśnia szczegóły polityki zagranicznéj. Mistrzowski portret Fryderyka Wilhelma II-go, „rycerskiego pośrednika narodów,“ jak zwano go w Warszawie; obraz otaczającéj go zgrai iluminatów, metres, brzuchomówców i pietystów; treściwie a z humorem opowiedziane dzieje małżeństw morganatycznych króla i zachowania się w téj sprawie kościoła luterańskiego, charakterystyka Berlina owych czasów, „gdzie nie przebywa *nec vir probus nec femina casta*,“ całego wreszcie gmachu państwowego, nad którym niebezpieczny obserwator (Mirabeau) wypisał dewizę „zgnilizna przed dojrzałością“ — cały ten ustęp, świetny pod względem literackim, jakkolwiek nie zawiera rzeczy zupełnie nowych (oparty głównie na dziele Philippsohn'a), jest w wysokim stopniu pouczający. Jedna moralność we wszystkiém: „król, który znalazł w swym konsystorzu kazuistów, zdolnych zrywać węzły, krępujące kaprysy matrymonialne monarchy, mógł być pewny, że znajdzie w swym urzędzie kanclerskim jurystów, co potrafią złamać niedogodny traktat“ (II, 377). Z wewnętrznych stosunków Prus staje się dla nas zrozumiałém, jak późniéj te same Prusy mogły „wydać Polskę na stracenie, zobowiązawszy się do jéj obrony; porzucić znienacka Austryę i przeciw niéj konspirować, nakłoniwszy ją uprzednio do wojny i z nią się sprzymierzywszy; dać pierwsze hasło do kapitulacyi dynastycznéj, gdy pierwsze były głosiły wojnę krzyżową królów; uczestniczyć w złupieniu Niemiec, dla których całości chwyciły były za oręż; z najpierwszych wrogów rewolucyi zostać pierwszymi jéj spólnikami; jednem sło-

wem, jak mogły z przewrotnością pruską, bez geniuszu Fryderyka, połączyć obłudę austryacką, bez cnót Maryi Teresy."

Naprzeciw Prus Austrya. Wobec wzrostu Francyi i Prus ścieśniła ona tradycyjną swą politykę wszechwładztwa europejskiego do skromniejszych granic. Dwa ma wyraźne cele główne za Józefa II-go: panowanie w Niemczech, z wyparciem, jeśli nie pochłonięciem Prus, oraz ujednostajnienie różnolitego amalgamatu, z jakiego składa się państwo. Obok tych intencyi głównych, inne drugoplanowe, również nie od wczora się datujące: projekty zdobyczy w Turcyi, Włoszech, Polsce. W zasadzie kierunek tu ten sam, co w Prusach, choć przejawia się łagodniéj; Marya Teresa, „Nowa Heloiza dyplomacyi... płakała, biorąc..., Fryderyk, wolteryanin, śmiał się." Józef II-gi nosił się całe życie z myślą zamiany Belgii na Bawaryę, odebrania Szląska, postawienia Prus „*extra statum nocendi*", ewentualnie ich podziału. Wreszcie wypływa na wierzch nowa a uporczywa myśl odebrania od Francyi zagrabionych ziem nadreńskich, ojcowizny domu lotaryńskiego. Zwrócił był uwagę polski historyk, rozważający losy Austryi w téj saméj epoce, na uderzające zjawisko, że „ta różnolicowa aglomeracya plemion, jedynie przez dynastyę związana, znosiła najdotkliwsze klęski wojenne... i owszem wychodziła z nich wzmocniona, ale kiedy własny jéj rząd chciał ludność różnojęzyczną w jednolitą przetapiać masę, wnet zamiast zjednoczenia i siły nastawał w niéj rozkład" [1]. Nie daje objaśnienia w zajmującéj téj kwestyi ogólnikowy nieco ustęp Sorela o Austryi, téj „małéj Europie pośród wielkiéj," jak ją nazywa, stosując do niéj wyrzeczenie Michelet'a o Niemczech. „Nie jest Austrya, ściśle mówiąc, państwem, gdyż nie posiada instytucyi (?), nie jest nawet rządem, jest dyplomacyą administracyjną." Pozostaje niewytłómaczoném, w jaki sposób państwo, które lada chwila miało się rozsprzęgnąć, gdyby nie szczęśliwy traf śmierci Józefa, zdołało przenieść bez uszczerbku straszliwe ciosy za nieudolnego Franciszka II-go.

Pomijając ciekawe ustępy o Hiszpanii, Holandyi, Niemczech, któreby nas zbyt daleko zaprowadziły, opuszczamy również krótki rozdział o Turcyi, Szwecyi i Polsce, nader sympatycznie skreślony, lecz nazbyt powierzchowny. Korzystał tu autor głównie ze starych pism Rulhière'a i Ferrand'a, conajmniéj niewystarczających; dzieło Kalinki, jakkolwiek dwukrotnie powołuje (I, 523; II, 68), zna widocznie jedynie ze wzmianki o niém w *Revue des deux mondes*. Z tém wszystkiém, nie jest dalekim od prawdy, kiedy powiada, że „w Polsce

---

[1] Kalinka. II. § 115.

cały świat miał swoją partyę, za wyjątkiem Rzpltéj, i na cały téż świat rachowali Polacy—oprócz na siebie samych“ [1]).

Wybucha nareszcie rewolucya we Francyi. Gorące głowy wszystkich krajów przyjmują ją z entuzyazmem, na swój sposób wszakże wszędzie ją tłómacząc: „lud powstaje w Belgii, aby przywrócić to, co zniósł w Paryżu, rządy średniowieczne i przywileje Kościoła; za przykładem francuskim ożywia się w Irlandyi agitacya katolicka, na Węgrzech arystokratyczna, w Polsce monarchiczna.“ Ze swéj strony dyplomaci zaciérają ręce. Dla nich Francya jest już tylko, według słów Burke'a, „*avulsum humeris caput et sine nomine corpus*,“ „czarną dziurą na karcie Europy,“ jak pisze Grimm do Katarzyny; kwestya podziału Francyi już wchodzi na porządek dzienny w gabinetach. Kiedy więc z jednéj strony Konstytuanta paryska wspiéra powstanie arystokratyczne i katolickie w Bruksélli, z drugiéj — król pruski przez posła swego w Paryżu, Goltza, wchodzi w stosunki z „cnotliwym“ Pétion'em, późniejszym merem Paryża, królobójcą i żyrondystą, w celu podburzenia ludu przeciw Maryi Antoninie, a tém samém i Austryi. Chwilę tę zupełnéj nicości rządu francuskiego uważa Hertzberg za właściwą dla wystąpienia z długo chowanym pod korcem kunsztownym planem otrzymania z rąk tureckich Torunia i Gdańska; Leopold znowu, w chwili groźnego niebezpieczeństwa, umié pozyskać dla siebie Anglię i oderwać ją od pruskiego sprzymierzeńca przez energiczną groźbę, że gotów dywersyę francuską odstąpieniem Belgii okupić; staje tym sposobem konwencya reichenbachska i pojawiają się projekty Goltza i Lucchesini'ego wspólnego zdobycia dla Austryi Flandryi lub Alzacyi, z wynagrodzeniem Prus na Szląsku austryackim. Gotowy a wyborny pretekst dają domy książęce i szlacheckie, mające posiadłości w Alzacyi, które przeciw dekretom rewolucyjnym zanoszą protest do cesarstwa niemieckiego.

Zbroją się na lądzie stałym, zbroi się Anglia; Francyi, jakkolwiek gorączkującéj, sprawami wewnętrznemi zaprzątniętéj, narzuca się nieodbicie kwestya wojny. Zgromadzenie narodowe ima się téj sprawy, *par excellence* praktycznéj, w sposób zupełnie charakterystyczny dla metafizyków politycznych, wykarmionych na marzeniach ks. Saint-Pierre'a o pokoju wieczystym, na abstrakcyach Mablego i Roussa. Dekretuje (22 maja 1790 r.) zasadę, — którą następnie uświęca w tyt. VI Konstytucyi,—że „naród francuski zrzeka się wszelkich wo-

[1]) Do spraw polskich 1790—1794 r. korzystał Sorel z niewydanych pamiętników hr. de Langeron, przechowywanych w archiwum francuskiego ministeryum spr. zagr.; podaje z nich ustępy ciekawe, II, 69, 459 i nast.

jen zaborczych i nigdy nie użyje swéj potęgi przeciwko wolności innego narodu.“ Zasada taka, przecząc tradycyom Francyi, tradycyom obowiązującym Europy, przy dogodniejszych nawet warunkach nie dawała się urzeczywistnić, anachronizmem zaś zupełnym było jéj wygłoszenie pośród huku piętrzących się fal rewolucyjnych, które niebawem z żywiołową potęgą miały zerwać wszystkie tamy, zalać wszystkie lądy. „Republika pokojowa“ we Francyi równém była kłamstwem, jak „republika chrześciańska“ w Europie. W istocie, już w czerwcu tegoż roku występują na jaw starania patryotów francuskich o zabór Awinionu i hrabstwa Venaissin, należących, z prawnego tytułu darowizny i kupna, do stolicy apostolskiéj, lecz niezbędnych dla zaokrąglenia terytoryum francuskiego. Dalekowidzący Mirabeau z wielkim trudem powstrzymuje od czynu zaborczego, brzemiennego w następstwa; „nałożyłem kaganiec temu żarłocznemu Zgromadzeniu,“ pisze do przyjaciela nazajutrz po swém zwycięstwie. Nie było to zwycięstwo trwałe,— bo ledwie po roku, a nazajutrz po sankcyonowaniu konstytucyi, zawierającéj zastrzeżenie się uroczyste przeciw zaborom, dekretuje Konstytuanta, niewiele oglądając się na papieża, a na zasadzie „głosowania powszechnego,“ przyłączenie do Francyi posiadłości papieskich. Niezadługo odzywają się głosy patryotyczne już za anektowaniem Belgii, i gorący Desmoulins nie uprzytomnia sobie bynajmniéj, że głosząc tego rodzaju pretensye, idzie śladem tradycyi znienawidzonego Ludwika XIV-go. Jeszcze rok—i mężowie, co z miłości pokoju odebrali królowi prawo wypowiedzenia wojny, wzniecają łunę pożaru europejskiego; pierwszy pośród nich polityk, Brissot, zniecierpliwiony cierpliwością mocarstw, proponuje, aby z wynajętymi ludźmi, przebranymi za ułanów austryackich, urządzić napad na wioskę pograniczną francuską, wywołać oburzenie narodu i wymódz wojnę.

Takiém beznadziejném „*ambo meliores*“ otwiéra Sorel drugi tom swego dzieła. Godną kontynuacyę stanowi obrazek rodzajowy polityki gabinetu pruskiego, którego emisaryusze w Paryżu występują z buntowniczemi przemowami w klubach, sypią pieniędzmi bez miary, Lafayette'a i ministra Montmorin'a podburzają do wojny z Austryą. W Berlinie sam król na audyencyach poufnych ciągnie za język ambasadora francuskiego, Moustier'a, aby wyrwał się z propozycycyą aliansu przeciw Austryi. Jednocześnie, w charakterze dobrego sąsiada, pośpiesza ostrzedz przez Bischoffswerdera w Wiedniu o wojowniczych zamiarach Francyi, ofiarując zaczepne przeciw niéj przymierze. Tak zarysowują się budujące zaczątki „świętego przymierza.“ Przeszkodą był jeszcze podówczas wrogi stosunek Prus do Rosyi, do którego

pragnęły wciągnąć Anglię. Wszakże podczas rozpraw w izbie niższéj (na wiosnę 1791 r.) poglądy przewidującego Pitt'a ustąpić musiały połączonemu wpływowi względów dla handlu baltyckiego i tradycyjnych dla Rosyi sympatyi City londyńskiéj, oraz antypatyi historycznych dla Francyi, reprezentowanych przez ognistą wymowę Burke'a [1]).

Tymczasem w Paryżu opuszczona rodzina królewska z niecierpliwością wyczekuje zbawczéj a bezinteresownéj interwencyi mocarstw, zagrożonych przecie we wspólnych najżywotniejszych interesach. Wierny, poświęcający się dla królowéj, a tak dyskretny młody hr. Fersen puka do wszystkich dworów. Następuje niefortunna ucieczka do Varennes; burza w Paryżu wciąż się wzmaga. W najwyższym stopniu staje się dramatyczną antyteza między rozpaczliwemi wysilkami dworu (wobec apatyi króla i złéj woli emigrantów, właściwie jednéj tylko Maryi Antoniny), a chłodném, powolném, t r a d y c y j n é m postępowaniem mocarstw. Nikt dotychczas z tą co Sorel siłą i dokładnością zarazem nie przedstawił téj właśnie tragicznéj antytezy. Leopold II, austryak, kształcony we Włoszech, czerpiący nauki z pism Machiawela i doświadczenia Kaunitz'a, tę samą wykrętną dyplomacyę stosuje względem Fryderyka Wilhelma i względem rodzonéj siostry, która wśród nawału trosk w ciągu jednéj nocy posiwiała. Fryderyk Wilhelm znowu wobec emigrantów występuje w roli szlachetnego obrońcy tronu i ołtarza, kiedy w téj saméj chwili, w pertraktacyach z gabinetem wiedeńskim z powodu zamierzonéj wyprawy na Francyę, z ust mu nie schodzi żądanie „indemnizacyi“. W samém tém żądaniu nowa hipokryzya: mówi się tylko o ewentualnych kosztach wojennych, że zaś ze względu na zły stan finansów francuskich nie można być pewnym zapłaty, więc przewidujący pruscy mężowie stanu z góry już, przed rozpoczęciem wojny, proponują dla Austryi, w celu zabezpieczenia oczekiwanych dopiéro „kosztów“, pewny zastaw pod postacią Alzacyi, dla siebie pewniejszy jeszcze pod postacią Wielkopolski. Jedyny istotnie bezinteresowny paladyn sprawy monarchii i szlachty francuskiéj, Gustaw III ginie z ręki szlachty szwedzkiéj — dziwaczny paradoks historyczny, mniéj przecie dziwa-

---

[1]) Sorel zna, lecz nie wyzyskał należycie w tém miejscu „Archiwum ks. Woroncowa“, gdzie zwłaszcza w T. IX i XII mieszczą się nader cenne materyały do historyi polityki anglo-rosyjskiéj z końca z. w. Podobnież należy uczynić zarzut historykowi francuskiemu, że zbyt powierzchownie zużytkował doniosłe wydawnictwa petersburskiego Ces. towarz. hist.; posiłkując się niemi uwzględnia wyłącznie prawie ustępy francuskie, wagi drugorzędnéj.

czny, niż ów inny, jaki tworzą Stanisław August i Ludwik XVI, obadwaj pod zarzutem „konspiracyi monarchicznych“.

Niepodobna w tém miejscu śledzić wszystkich perypetyi ciemnych knowań zakulisowych polityki europejskiéj między 1790 a 1792 r., w których przedstawieniu nietyle nowych szczegółów potrafił Sorel wydobyć na światło dzienne, ile wzorowo jasnym wykładem przy wielkiéj przenikliwości, mając zawsze na uwadze ścisły związek spraw napozór od siebie oddalonych, zdołał je w jedną całość syntetyczną ogarnąć. Podnosimy, zarówno jako próbę umiejętności autora w rozwikłaniu splątanych nici dyplomatycznych, jak ze względu na liczne szczegóły, po raz pierwszy przez Sorela ogłoszone, zajmujący rozdział o negocyacyach berlińskich w grudniu 1791 r. (II, 334—355). Nielitościwa charakterystyka emigrantów francuskich, paralela interesująca, jakkolwiek zbyt śmiała, przeprowadzona między nimi a targowiczanami (II, 165—176, 250—261, 560—564), również należy do świetniejszych ustępów dzieła. W końcu powiédzmy słówko o znakomitym talencie Sorela do portretowania historycznego; chętnie przeplata opowiadanie treściwemi a dosadnemi wizerunkami osób działających, choćby podrzędnych tylko. Wyróżniają się pod względem zwięzłości i dokładności portrety Kaunitza (I, 446), Leopolda (II, 62, 63), Maryi Antoniny (130, 131), Franciszka II (374), Dumouriez'a (403—406). Tom trzeci i ostatni dzieła, który według zapowiedzi autora (I, 6), obejmie okres rządów Konwentu, o ile podobna sądzić z ogłoszonych dotąd urywków [1]) będzie godném zamknięciem wielkiéj pracy historycznéj, „męskiéj i zdrowéj“, jak trafnie wyraził się p. Doucet, sekretarz akademii, przedstawiając ją do nagrody; pracy, która stanowić będzie piękne a niezbędne dopełnienie wielkiego dzieła Taine'a.

Szymon Askenazy.

---

[1]) Np. piękny ustęp ogłoszony przez S. w „Rev. d. d. mondes“ (1889 T. XCIV) p. t. „La politique de Robespierre“.





Z TEORYI I FAKTÓW PRZYRODNICZYCH.

V.

Prawo zachowania energii w zjawiskach życiowych. — Istota ruchu mięśni. — Pomoc okazywana fizyologom przez fizyków.—Czém pracuje mięsień.—Rozmaite znaczenie pokarmów.—Obrona i zwalczanie teoryi Liebiga.—Jak patrzéć na zjawiska fizyologiczne. — Znużenie mięśni. — Ergograf.— Wpływ woli i podrażnień nerwowych na pracę mięśnia. — Praca umysłowa a znużenie mięśniowe. — Ciepło zwierzęce — Płuca a tkanki. — Prawo specyficznéj energii zmysłowéj. — Badania nad zmysłem smaku.

Praca i ciepło, oto dwie główne postaci energii, w jakich objawia się nazewnątrz żywotność organizmów. Gdy zaś mowa o pracy, przedewszystkiém mamy na myśli najbardziéj w oko badacza wpadający ruch mięśni. W pracy téj najwcześniéj dopatrzono bezpośredniego niemal związku z przemianą energii w materyach martwych i w badaniu téj pracy starano się oddawna już odszukać potwierdzenia prawa zachowania energii, rozszerzając je na całą żywą przyrodę. Wiele w tym kierunku podejmowano prób; ostatnia, najściśléj wykonana, doprowadziła do najbardziéj zadawalniających rezultatów, gdyż pozwoliła bezpośrednio z mierzenia wielkości pracy mięśnia określić mechaniczny równoważnik ciepła. Badania te zawdzięczamy prof. Danilewskiemu.

Fizyolog jednak nie poprzestaje na mierzeniu i badaniu ostatecznych objawów energii ciała zwierzęcego; pilno mu wniknąć w istotę samego ruchu życiowego, zachodzącego w komórkach i tkankach, przyjrzéć się istocie samego zjawiska; a gdy nie może zmysłami pochwycić tego, co kryją w sobie najdrobniejsze pierwiastki organizowanéj materyi, to przynajmniéj umysłem stara się odtworzyć obraz istotnych procesów, tworzy teorye, które tę samą oddać mu mają

usługę, jaką teorya mechaniczna ciepła oddaje fizykowi lub teorya atomów chemikowi. Fizyolog mniéj co prawda od fizyka i chemika jest szczęśliwy na tém polu, lecz bynajmniéj niemniéj wytrwały. I cóż, spytajmy, zrobiono dotychczas, aby wyjaśnić istotę ruchu mięśnia?

Powiadano niegdyś, że komórki mięśniowe obdarzone są biegunami niejako magnetycznemi i że wzajemne przyciąganie się ich i odpychanie sprowadza skurcz i osłabienie mięśnia. Z drugiéj strony mniemano, że skurcz mięśnia zależy od „ducha życiowego“, który przez nerwy przypływa do mięśnia i wzbudza zakłócenie pomiędzy krwią a powietrzem. Izaak Newton wygłosił teoryą, według któréj eter ma być przyczyną działalności mięśni: siła życiowa — powiada on — naprzemian to zagęszcza, to rozcieńcza eter we wnętrzu mięśnia. Haller sądził, że *vis nervosa* w nerwie drażni *vis insita* w mięśniu i tym sposobem wywołuje ruch. Weber przypuszczał, że siła ściągająca mięsień jest w istocie tém samém, co siła elastyczna ciał martwych. Jeśli posłuchamy sądów jeszcze nowszych fizyologów, wszędzie dostrzeżemy, iż o ruchu mięśni mówi się jako o „zupełnie ciemném zjawisku“ (du Bois-Reymond). „Elastyczność i rozciągliwość mięśnia“ — oto słowa Forstera — „stanowią przedmiot trudny i zawiły“. „Ruch mięśni zupełnie jeszcze nie jest wyjaśniony“ powiada Hermann.

A przy tém wszystkiém wytłómaczenie zjawiska kurczliwości mięśnia stanowi jedno z najponętniejszych zadań fizyologii. Pozorna prostota zjawiska, łatwość, z jaką dostrzegamy w niém przemianę pracy na inne postaci energii, w każdym niemal badaczu rodzą przeświadczenie, że brak tylko jednego ostatniego kroku do rozwiązania téj zagadki — a jednakże wszystkie dotychczasowe usiłowania pozostały bezowocne. Lecz oto występuje na arenę profesor fizyki W. Moore Coleman i stara się podać rękę fizyologom i pomódz im wyjść z tego labiryntu. Do téj chwili nie udało mu się to jeszcze w zupełności, lecz oryginalność jego wywodów bądźcobądź zasługuje na to, aby się nad niemi zastanowić.

Mięśnie nie posiadają, jak wiadomo, budowy jednorodnéj, lecz złożone są z równoległych włókien. Każda wiąska włókien składa się z licznych komórek, które zarówno w kierunku podłużnym jak i poprzecznym ułożone są w szeregi. Wszyscy zgadzają się na to, że komórki te podczas skurczu mięśnia zmieniają swą postać i że średnice ich podłużne skracają się, a poprzeczne wydłużają. Lecz to bynajmniéj nie odkrywa nam jeszcze całéj tajemnicy, należy bowiem zapytać: co wpływa na komórkę, co ją pobudza do zmiany postaci? Jeśli powiadamy, że części komórki wzajemnie się przyciągają, to nic więcéj objaśniamy tém to zjawisko, aniżeli mówiąc, że kamień pada

z powodu ciążenia, lub że żyjemy, gdyż tkwi w nas siła życiowa. Otóż, jak powiada p. Coleman, liczne powody każą przypuszczać, że komórka mięśniowa składa się z błonki, czyli mniéj lub więcéj trwałéj ścianki i że wnętrze jéj ma w sobie ciekłą lub gazową zawartość. Wskutek bezustannego krążenia, zawartość mięśnia i innych komórek ulega bezustannéj wymianie przez ściankę według fizycznych praw osmozy. Podczas skurczu wytwarza się, obok innych produktów, także kwas węglany, a oprócz tego, jak przy wszelkich procesach chemicznych wywiązuje się ciepło. Ciepło, jak wiadomo z fizyki, sprowadza rozszerzanie ciał. Aby zaś objaśnić właściwą komórkom mięśniowym zmianę postaci, p. Coleman przywołuje na pomoc zasadę matematyczną, że kula posiada największą objętość ze wszystkich ciał jednakowéj powierzchni, i twierdzi wprost, że komórka mięśniowa, dzięki siłom dotąd bliżéj niezbadanym, dąży, jak wiele znanych ciał nieożywionych, do przybrania postaci kulistéj. Biorąc pod uwagę istotne warunki histologiczne, autor badaniem matematyczno-fizyczném stara się pogląd swój obronić. Badania Colemana przypominają nam poniekąd zaznaczone w poprzedniéj kronice prace fizyka Quinckego, starającego się uprzystępnić fizyologowi zrozumienie ruchów protoplazmy. Widzimy, jak fizyka cząsteczkowa coraz szersze obejmuje dziedziny i coraz większe oddaje usługi; czy trwałe, to przyszłość okaże, — bądźcobądź, trudno twierdzić, ażeby droga ta była błędną.

Że wszystkie objawy energii życiowéj poprzedzone być muszą zużyciem energii chemicznéj, złożonéj w pokarmach, to nazbyt dobrze wiadomo choćby najogólniéj wykształconemu czytelnikowi. Trochę już zawilszą staje się sprawa, gdy mamy do czynienia z pytaniem: jakie to właściwie pokarmy do danego celu służą? A więc naprzykład: jaki pokarm stanowi źródło pracy mięśnia, skąd bezpośrednio czerpiemy materyał do siły fizycznéj? Na pytanie to liczni odpowiadali fizyologowie; zdawałoby się téż, że oddawna już jest ono w nauce rozstrzygnięte. Lecz nowsze czasy znów kilka w tym kierunku prac, niezupełnie z dawnemi rezultatami zgodnych, przyniosły, a to skłania mnie do poświęcenia téj kwestyi wzmianki.

Niezbędnemi dla organizmu zwierzęcego pokarmami są ciała białkowe, zawierające azot, oraz tłuszcze i wodany węgla wolne od azotu, a złożone tylko z węgla, wodoru i tlenu. Ponieważ ciała białkowe stanowią główną część składową mięśnia, przeto słynny Liebig energicznie bronił w swoim czasie teoryi, iż właśnie one dostarczają materyału dla pracy mięśni.

Lecz teorya Liebiga nie ostała się wobec licznych doświadczeń,

które pozwalały wprost przeciwne wyprowadzać wnioski. Pettenkoffer i Voit głównie, a obok nich szereg innych fizyologów, stwierdzili, że mięsień pracuje przeważnie, jeśli nie wyłącznie, materyałem bezazotowym. Do najciekawszych w tym względzie badań należą próby wykonane przez Ficka i Wislicenusa. Dwaj ci badacze wstępowali od jeziora Brienz na szczyt Faulhornu, sięgający 1956 metrów nad poziom morza. Podczas sześciogodzinnego wznoszenia się, a także przez następne sześć godzin, zbierali oni mocz i oznaczali zawarty w nim azot. W czasie zaś tym, oraz przez 12 godzin przed doświadczeniem przyjmowali tylko bezazotowe pokarmy: mączkę, tłuszcz i cukier. Z azotu znalezionego w moczu obliczali ilość rozłożonego białka. Wynosiła ona u Ficka 38, a u Wislicenusa 37 gramów. Z ciepła spalania węgla i wodoru w białku obliczano najwyższą wartość dla ciepła spalania białka, i znaleziono, że 37 gramów dostarcza 250 jednostek ciepła, co odpowiada 106,000 kilogramometrów pracy. Ciężar ciała Wislicenusa wynosił 76 kilogram., a zatém przy samém wznoszeniu na szczyt góry praca równała się $76 \times 1956 = 148656$ kilogramometrom. Pracę serca i oddychania w tym czasie Fick i Wislicenus obliczają na 30,000 kilogramometrów. Prócz tego należy uwzględnić, że przy każdym kroku — nawet po równéj ziemi — wykonywamy pracę, która zamienia się na ciepło i ginie; że również inne części ciała, głowa, ręce podczas wznoszenia się wykonywają ruchy i t. d. Zatém w istocie wykonaną była praca znacznie większa aniżeli odpowiadająca siłom napiętym w rozłożoném białku. Wynika stąd, że jako źródło siły musiały być téż zużyte bezazotowe składniki pokarmów i organizmu. Późniejsze doświadczenia wykazały z całą stanowczością, że wydzielanie azotu (który stanowi miarę zużywania białka) przy najuciążliwszéj pracy równe jest lub tylko nieznacznie większe od wydzielania azotu w spoczynku (*ceteris paribus*), że natomiast bardzo znacznie wzmaga się wydzielanie dwutlenku węgla (kwasu węglanego) oraz przyjmowanie tlenu w dniach pracy mięśniowéj, że zatém podczas pracy zostają niszczone przeważnie bezazotowe materyały pokarmowe.

Wniosek ten od lat przeszło dwudziestu uważany jest w fizyologii za niezachwiany. To téż niespodzianemi były rezultaty najnowsze, jakie w tym względzie otrzymał p. Argutinsky, pracując pod kierownictwem prof. Pflügera. Autor na zasadzie otrzymanych przez siebie danych powraca do staréj teoryi Liebiga i broni faktu, że mięsień pracuje wyłącznie na koszt materyału azotowego. Rezultat ten nie mógł nie wywołać głębszéj krytyki doświadczeń p. Argutinskiego; że zaś krytyki téj podjął się jeden z najsłynniejszych współczesnych

fizyologów, J. Munk, liczyć się przeto z nią wypada. Munk wykazuje poważne błędy w doświadczeniach Argutinskiego, błędy tak zasadnicze, że nie pozwalają one przypisywać żadnéj naukowéj wartości wnioskom autora. Przytém, rozbierając wszystkie dotychczasowe prace, w związku będące z zajmującą nas tu sprawą, reasumuje je w ten sposób: nie mamy dotychczas żadnego powodu wątpić o tém, że praca mięśniowa przedewszystkiem i przeważnie dokonywa się kosztem materyi bezazotowéj; wówczas dopiéro, gdy organizmowi brak téj materyi, czerpiemy siłę do pracy z ciał azotowych.

Ta druga zwłaszcza część wniosku zasługuje na uwagę. Że nietylko wodany węgla, jak chcieli niektórzy, lecz i tłuszcze służyć mogą za materyał dla pracy, wynika z dość dawnych już prac Külza i Voita. Faktem jest także, iż można zwierzęta mięsożerne przez czas dowolnie długi odżywiać wyłącznie chudem mięsem, a więc przeważnie białkiem, a sprawność mięśni nie cierpi na tém. Trudno wobec tego przypuścić co innego, jak to tylko, że i białko może być spożytkowane jako źródło siły mięśniowéj. Wynika więc, jak widzimy, że wszystkie trzy główne grupy materyałów pokarmowych spożytkowane zostają przez mięsień. Zdawałoby się przeto, że wszyscy badacze, i Liebig także, mają słuszność. Jednakże nie o to chodzi. W badaniach fizyologicznych więcéj niż gdziekolwiek badacz musi się uwolnić od szukania owego schematyzmu w zjawiskach przyrody, do którego tak bardzo skłonny jest umysł ludzki. Wszędzie chcielibyśmy widzieć doskonały porządek, chcielibyśmy módz powiedzieć: to służy do tego wyłącznie celu, tamto do owego i t. d. W zawiłym wszakże świecie przemian, odbywających się w organizmie naszym, panować musi pewna niezależność od warunków zewnętrznych; przy spełnianiu tak ważnéj czynności, jaką jest np. praca mięśniowa, organizm nasz do pewnego stopnia musi być niezależny od składu otrzymywanego pożywienia. Wielką byłaby jego niedoskonałość, gdyby za byle drobną zmianą w pożywieniu sprawność mięśniowa ulegała także natychmiast zmianie. Prawdą jest, że mięsień pracuje kosztem materyałów bezazotowych, póki są one doprowadzane w dostatecznéj ilości lub znajdują się w nadmiarze, jako zapas w tkankach ciała, lecz po wyczerpaniu ich zużywać się zaczyna białko. Ten drugi proces przy dłuższém trwaniu staje się dla organizmu stanem patologicznym, lecz nikt granicy dokładnéj nie przeprowadzi i nie wskaże, kiedy organizm w prawidłowych jeszcze, a kiedy już w nieprawidłowych znajduje się warunkach. Że praca materyałem azotowym przez pewien czas bez szkody odbywać się może, na to zgadzają się wszyscy; lecz z drugiéj strony niemniéj jest pewne, że gdy organizmowi nie

brak koniecznych dla utrzymania normy ilości pożywienia bezazotowego, wówczas praca zachodzi tylko kosztem tego ostatniego. We wszystkich niemal działach fizyologii napotykamy tego rodzaju niezależność funkcyi od chwilowych warunków. Przypomnijmy sobie tylko, że w braku pewnych części mózgu, inne obejmują czynności brakujących.

Mięsień nuży się pracą i wyczerpuje. Lecz według jakich praw, w jaki sposób? Co sprzyja pracy mięśnia, co nań niekorzystnie wpływa? Czy są i jakie są różnice indywidualne?

Pierwsze badania odnośne podjęte były przez Webera i Helmholtza, którzy wykonywali doświadczenia nad wyciętemi mięśniami żaby. Naturalnie, iż warunki takich doświadczeń bardzo były nieodpowiednie; późniejsi przeto fizyologowie (Hartnack, Cyon, Richet) starali się zbliżyć do warunków rzeczywistych i w tym celu podczas doświadczeń utrzymywali sztuczne krążenie krwi w mięśniu. Doświadczenia zaś, dokonywane na mięśniach ludzkich przy pomocy dynamometrów i t. p. przyrządów, wogóle zbyt były surowe i niedokładne.

Otóż, w ostatnich czasach profesor turyńskiego uniwersytetu A. Mosso, który w fizyologii zasłużone już wyrobił sobie stanowisko dzięki dużéj liczbie niezmiernie pomysłowych i dowcipnych prac głównie nad krążeniem krwi w mózgu, obmyślił przyrząd daleko czulszy, t. zw. ergograf, który z dość dużą ścisłością pozwala mu badać prawa znużenia mięśni ludzkich. Ergograf ma dwie główne części: poduszkę, na któréj umieszcza się ręka z przedramieniem w ten sposób, że pięść umocowana jest nieruchomo, podczas gdy palce swobodnie poruszać się mogą, i przyrząd piszący, złożony z pióra, które przymocowane do badanego palca (zwykle trzeciego) i z drugiéj strony utrzymywane w równowadze przez ciężar, może kreślić linię na czernionym, obracającym się około osi cylindrze. Na dany znak osoba, któréj mięśnie badamy, podnosi na palcu pewien ciężar, utrzymując go aż do zupełnego znużenia. Pióro skutkiem drgań mięśnia, kréśli krzywą linię, któréj fale coraz mniéj są wyniosłe, aż wreszcie przechodzi w poziomą. Z przebiegu téj linii widać, jakim wahaniom siła mięśniowa ulega. Wynika przedewszystkiem z doświadczeń Mossa, że duża zachodzi różnica pomiędzy krzywemi liniami dwu osób, jakkolwiek mniéj więcéj tego samego wieku i téj saméj napozór siły. Skurcz mięśni w jednym razie szybko może opaść od samego początku pracy, w drugim przez dłuższy czas opada i stopniowo. I nietylko każda osoba ma sobie właściwą krzywą znużenia, lecz, co ważna, typ krzywéj dla danéj osoby pozostaje przez lata całe charakterystyczny. Pory roku je-

dnakże wywierają pewien wpływ na przebieg linii. Jedna z badanych przez Mossa osób (fizyolog Aducco) w saméj rzeczy utrzymuje, iż zgodnie z różnicami, jakie wskazują krzywe, zauważyła, że *maximum* siły mięśniowéj posiada podczas miesięcy zimowych. W innym szeregu badań widział Mosso, jak siła mięśniowa znacznie się zmniejszyła wskutek choroby oka.

Najciekawszym jest szereg doświadczeń, wykonanych w celu zobaczenia, czy jest różnica pomiędzy pracą mięśnia pod wpływem woli a pracą, pochodzącą wprost z podrażnień odnośnych nerwów. Okazało się, że bodziec woli jest w stanie sprowadzić większe wysiłki i zmusić do podnoszenia większych ciężarów, lecz zdolność do pracy przytém szybko się wyczerpuje, natomiast pobudzenie sztuczne nerwu nie sprowadza co prawda ilościowo wielkich rezultatów, lecz za to sama praca trwać może dłużéj.

Przekonawszy się, że podczas pracy mięśni nużą się także ośrodki nerwowe, Mosso postarał się dowiedzieć, jaki wpływ wywiéra wytężona praca umysłowa na siłę mięśni. W tym celu robił następujące doświadczenie zarówno na sobie samym, jak i na docencie uniwersytetu turyńskiego, p. Maggiora. Obadwaj probowali swą siłę mięśniową rano o 8-éj godzinie, poczém udawali się na egzamin studentów. Zajęcie to, jak powiada Mosso, bardzo jest nużące wobec dużéj liczby egzaminowanych, z których każdy słuchany być musi nie mniéj jak 20 minut. Po egzaminie znów każdy z profesorów zaznaczył ślad swéj sprawności mięśniowéj na ergografie, i okazało się, że siła mięśni uległa bardzo znacznemu zmniejszeniu. Mosso nie poprzestaje na zanotowaniu tego faktu, lecz stara się go objaśnić.

Dwie są drogi prowadzące, od mózgu do mięśni, mianowicie nerwy i naczynia. Dotychczas wszakże w fizyologii nie znamy żadnego faktu, któryby nas upoważniał do przypuszczania, że nerwy pośredniczą w przenoszeniu znużenia. Odnośnego mechanizmu szukać przeto należy w naczyniach krwionośnych. A w tym razie sądzić trzeba, że albo wskutek nadmiernéj pracy mózgowéj do obiegu krwi dostają się pewne produkty zatruwające niejako mięśnie i nie pozwalające im rozwinąć całkowitéj ich energii, albo téż, że odwrotnie mięśnie ustępują pewne substancye krwi i w ten sposób stają się do dalszéj wytężonéj pracy niezdolne. Działoby się tu coś podobnego do tego, co zachodzi podczas postu, mianowicie, mniéj szlachetne organy ustępują substancyi nerwowéj swoje zapasy żywności, aby w ten sposób skompensować niezwykle duże straty ponoszone przez szlachetne ośrodki.

Pierwsza z dwu tych hypotez, według Mossa, jest prawdopodobniejszą. W poszukiwaniach nad wpływem postu i odżywiania na

znużenie mięśniowe, krzywe otrzymane przy poście, co prawda, podobne są do krzywych po znużeniu umysłowém, lecz jednakże ważna pomiędzy obudwoma zjawiskami zachodzi różnica. Mianowicie osłabienie mięśniowe, będące skutkiem postu, znika szybko po przyjęciu pokarmu; natomiast po znużeniu nerwowém odżywianie w słabym stopniu wpływa na powrót do sił. W tym drugim razie trzeba znacznie dłuższego czasu i snu, ażeby mięsień do normalnych mógł powrócić warunków.

Udało się zresztą bezpośrednio dowieść, że znużenie wytwarza w krwi pewne substancye trujące. Wiadomo, że w normalnych warunkach doskonale udaje się transfuzya (przelanie) krwi z jednego psa, do drugiego, bez żadnych szkodliwych następstw. Otóż, gdy z psa zmęczonego wysiłkiem mięśniowym, mniéj więcéj połowę krwi przelano w naczynia innemu, normalnemu psu, ten ostatni okazał się zmęczonym, przybitym, a nawet opadły go pewne zaburzenia w kanale pokarmowym.

Pomijam mniéj, w téj chwili przynajmniéj, ważne szczegóły z pracy Mossa, która w fizyologii bezwątpienia poczesne zajmie miejsce. Zasługą włoskiego fizyologa we wszystkich niemal jego pracach jest nadzwyczajna prostota środków, dowcip w pomysłach i metodach badania, z jakiemi przystępuje do rozstrzygania najciemniejszych, najmniéj napozór dostępnych zagadnień życiowych.

Z powodu nowych doświadczeń Berthelota dotknąć dziś muszę innéj jeszcze nader ważnéj dla fizyologii sprawy, mianowicie dotyczącéj ciepła zwierzęcego.

Gdy Lavoisier poznał, że ciepło zwierzęce jest wynikiem zjawiska palenia, natychmiast nasunęło mu się pytanie, czy palenie to odbywa się w płucach, gdzie, jak wiadomo, krew pochłania tlen a wydziela dwutlenek węgla, czy też zachodzi we wszystkich częściach organizmu po przyjęciu przez tkanki krwi obładowanéj tlenem. Poglądy Lavoisiera w tym względzie zmienne były. Od owego czasu wszakże pytanie to zostało rozstrzygnięte na korzyść drugiego przypuszczenia, gdy odkryto działanie czerwonych ciałek krwi na tlen, mianowicie zdolność hemoglobiny tworzenia z tym gazem w płucach luźnego, nietrwałego związku chemicznego, przenoszenia go do tkanek i oddawania tlenu substancyom zdolnym do utleniania się.

Główna wszakże część pytania, jak mianowicie produkcya ciepła rozdziela się pomiędzy płuca i tkanki, pozostała nie rozwiązaną, brakło bowiem doświadczeń, na zasadzie których obliczenie to mogłoby być dokonane. Obecnie przeto doświadczenie to przeprowadził Berthelot. Mierzył on ilość ciepła wywiązującą się przy łączeniu tlenu z krwią, i to zanim tlen jeszcze wytwarza dwutlenek węgla.

Badania te wymagają niesłychanéj dokładności; chodzi tu bowiem o oznaczenie nader drobnych ilości ciepła, oraz o usunięcie działania cieplnego, wynikającego z tworzenia się dwutlenku węgla. Okazało się, że 100 objętości krwi pochłaniają średnio 19,7 objętości tlenu, przyczém ilość wywiązanego ciepła, odniesiona do ciężaru cząsteczki tlenu (O_2) czyli do 32 gramów, wynosi 14,77 jednostek ciepła. Ponieważ reakcya ta, czyli pochłanianie tlenu przez krew, odpowiada czynności oddechowéj płuc, można przeto przyjąć, że 14,8 ciepłostek stanowi ilość ciepła wywiązującego się w tym organie. Wiadomo zaś, że ciepło powstające przez utlenienie węgla, aż do przeobrażenia go w dwutlenek, wynosi dla téj saméj ilości tlenu 97,65 ciepłostek, czyli około 7 razy więcéj. Można zatém ciepło zwierzęce rozłożyć na dwie części: pierwsza, stanowiąca około $^1/_7$, wywiązuje się w samych płucach przez pochłanianie tlenu, druga zaś, stanowiąca $^6/_7$, rozwija się w całym organizmie wskutek właściwego utleniania.

Biorąc za podstawę powyższe obliczenie, Berthelot roztrząsa inne jeszcze dla ekonomii organizmu ludzkiego nader ważne sprawy. Tak np. zajmuje się pytaniem, czy powietrze, pochłaniane przy oddychaniu przez płuca, sprowadza podwyższenie czy obniżenie temperatury. Szczegółów rozumowania i rachunku nie będę tu przytaczał, zacytuję jedynie ich wynik. Samo pochłanianie tlenu dąży, jak się okazuje, do podnoszenia temperatury krwi w płucach, zaś wydzielanie się pary wodnéj i dwutlenku węgla do obniżania. Otóż normalne warunki życia naszego poruszają się pomiędzy skrajnemi warunkami największego i najmniejszego ciepła, a granice te, jak dowodzi rachunek nie bardzo są od siebie oddalone. Zgadza się to najzupełniéj z dawien dawna znanym faktem, iż życie ludzkie zawarte jest na bardzo cienkiéj linijce pośród olbrzymiéj skali temperatur, obejmującéj kulę ziemską. Lekkie uchylenie od normy o kilka zaledwie stopni w górę lub dół skali sprowadza gwałtowne zakłócenie w organizmie i śmierć.

Berthelot w związku z temi badaniami oznacza z całą ścisłością ciepło spalania wielkiéj liczby zarówno ciał wchodzących w skład pokarmów ludzkich, jak i nieostatecznie jeszcze spalonych produktów przemiany materyi. Otrzymane liczby posłużą w dalszym ciągu do nader zajmujących rozważań dla spraw fizyologicznych organizmu, niemniéj jak dla zboczeń, objawiających się bardzo często w niezupełném spaleniu pokarmów. Na téj drodze fizyologia i patologia spodziewać się mogą w niedalekiéj zapewne przyszłości bardzo cennych zdobyczy.

W fizyologii organów zmysłowych, pierwszorzędne ma znacze-

nie prawo specyficznéj energii zmysłowéj, wygłoszone już w roku 1826 przez Jana Müllera. Prawo to powiada, że wrażenia, jakie otrzymujemy przy drażnieniu pewnego nerwu zmysłowego, zawsze są te same, niezależnie od tego, w jaki sposób drażnienie nerwu się odbywa. Jedno więc i to samo podrażnienie, jedno i to samo zjawisko świata zewnętrznego, działając na różne nerwy zmysłowe, wyzwala zawsze odmienne wrażenia, gdy tymczasem różne podrażnienia, działając na jeden i ten sam nerw zmysłowy, zawsze wywołują to samo wrażenie.

Usiłowania fizyologów dokładnego sprawdzenia tego prawa na wszystkich zmysłach najzupełniéj są uprawnione, ponieważ zależnie od tego, czy okaże się ono prawdziwém w odniesieniu do wszystkich zmysłów czy téż nie, pogląd nasz na pobudzenia nerwów i na wrażenia zmysłowe bardzo może być różny. Ponieważ zaś wszystkie nerwy, które łączą same organy zmysłowe, znajdujące się na obwodzie ciała, z organami ośrodkowemi, absolutnie są podobne do siebie pod względem morfologicznym i fizyologicznym, przeto rzecznicy prawa o specyficznéj energii zmysłowéj przypuścić musieli, że każdy rodzaj wrażenia posiada odpowiednio zbudowany organ albo na obwodzie ciała albo w ośrodku nerwowym i że przez podrażnienie tego organu powstaje właściwe, specyficzne wrażenie.

Badanie t. zw. wyższych zmysłów (wzroku, słuchu) utrwaliło w nauce pogląd na słuszność prawa Müllera. Przyjęto istnienie nietylko oddzielnych organów dla poszczególnych zmysłów, lecz dla wrażeń poszczególnych barw i tonów odszukano nawet oddzielnych zakończeń nerwowych. Dziś wiemy, że drażnienie pewnéj części powierzchni siatkówki lub pewnego włókna nerwu wzrokowego wyzwala nietylko wogóle wrażenie światła, lecz zawsze światła pewnéj określonéj barwy. Końcowym częściom organów zmysłowych teorya ta musiała jeszcze inną własność przypisać, mianowicie, że i położeniem swém i budową stają się one dostępne tylko na pewne określone podrażnienia, będąc zabezpieczone od innych. Nerw rozgałęziający się w siatkówce oka, pobudzony zostaje tylko przez drgania świetlne, natomiast drgania dźwiękowe przenikają tylko do gałązek końcowych nerwu słuchowego; odwrotnie drgania eteru świetlnego nie są w stanie dosięgnąć labiryntu ucha, a fale powietrza w żaden sposób dojść nie mogą do komórek siatkówki. Prawo specyficznéj energii zmysłowéj zyskałoby znakomite w nauce poparcie, gdyby się udało i dla innych zmysłów wykryć taką specyalizacyą w czynnościach oddzielnych części składowych danego organu zmysłowego.

Badania odnośne dla zmysłu smaku podjął w ostatnich czasach p. H. Oehrwall. Przedewszystkiém chodziło mu o stwierdzenie roz-

maitych rodzajów wrażeń smakowych. Poglądy odnośne rozmaitych fizyologów bardzo się między sobą różniły. Gdy wszakże w czasach ostatnich udało się wyraźnie odróżnić czyste wrażenia smakowe od współczesnych wrażeń czuciowych i węchowych, zgodzono się ogólnie na przyjęcie czterech różnych rodzajów wrażeń smaku: słodyczy, goryczy, kwaśności i słoności.

Nie ma, jak twierdzi Oehrwall, rozmaitych odcieni tych czterech zasadniczych wrażeń smakowych; różnią się one tylko intensywnością. Nie ma również przejść od jednego wrażenia do drugiego. Przez zmieszanie nigdy nie można, tak jak np. w barwach, otrzymać wrażeń pośrednich lub coś trzeciego różnego od obydwu składowych części (naturalnie, biorąc pod uwagę, że zmieszane substancye nie działają na siebie chemicznie). Przez zmieszanie ciała kwaśnego ze słodkiém nigdy nie otrzymujemy gorzkiego lub słonego, ani téż nic, coby odpowiadało białości w stosunku do barw, lecz albo jednocześnie obydwa wrażenia smakowe, albo jedno tylko, mianowicie to, które większą ma intensywność. Również nie ma w zakresie wrażeń smakowych zjawisk t. zw. kontrastowych i kompensacyjnych. Przytaczane zazwyczaj na poparcie kontrastu przykłady, że np. słodycz psuje smak wina, a sér poprawia, przy bliższém rozejrzeniu nie są wcale działaniami kontrastowemi. Chodzi tu raczéj o wrażenia węchowe, niż smakowe. Bezpośrednie mierzenie stopnia rozcieńczenia kwasu siarczanego, przy którym ciało to daje jeszcze wrażenie kwaśności, dowiodły, że uprzednie spożycie roztworów cukru bynajmniéj nie zaostrza wrażenia kwaśności.

Gdy w ten sposób stwierdzoném zostało, że słodycz, kwaśność, gorycz i słoność stanowią cztery zasadniczo różne rodzaje wrażeń, przystąpił p. Oehrwall do pytania, czy dla rozmaitych tych rodzajów wrażeń istnieją oddzielne przyrządy obwodowe, czy téż powstają one skutkiem rozmaitego sposobu oddziaływania na nerwy smakowe. Za pierwszém przypuszczeniem przemawiały poznane już dawniéj fakty: popierwsze, że pewne ciała sprawiają odmienne wrażenia smakowe na końcu i na podstawie języka, i powtóre, że czas trwania oddziaływania dla wrażenia goryczy na końcu języka dłuższy jest, niż dla innych wrażeń, u podstawy zaś języka jednakowo długi dla wszystkich rodzajów.

Metoda, jaką posługiwał się p. Oehrwall w swych badaniach, polegała na drażnieniu odpowiedniemi ciałami małych obszarów powierzchni języka i jakkolwiek duże w wykonaniu przedstawiała trudności, to jednakże doprowadziła do pożądanych rezultatów.

Wiadomo z anatomii, że końcowe organy nerwów smakowych

stanowią brodawki językowe (*papillae*), które według zewnętrznéj postaci odróżniamy jako: pieńkowate (*circumvallatae*), nitkowate (*filiformes*) i grzybkowe (*fungiformes*). Najodpowiedniejszemi do badania okazały się te ostatnie. Należało oczekiwać, że jedne bardziéj są wrażliwe na jeden rodzaj substancyi, inne na inny, że może nawet niektóre wyłącznie odpowiadają tylko na specyalne bodźce i t. p. Badane substancye brane były w roztworach: gorzki roztwór 2%-wy chlorowodanu chininy, kwaśne 2, 4 i 5%-we rostwory kwasu winnego, słodkie roztwory cukru do 40%; słonych dotąd nie badano.

Ze 125 badanych brodawek 27 (21%) nie oddziaływało ani na kwas winny, ani chininę, ani na cukier, podczas gdy 98 (78,4%) oddziaływało na jedną z tych substancyi lub na więcéj. Pomiędzy temi 98, na kwas winny oddziaływało 91 (wyłącznie tylko na kwaśność 12), na cukier 79 (wyłącznie na słodycz 3), na chininę 71 (wyłącznie na gorycz 0); na cukier i kwas winny jednocześnie 72 (wyłącznie na tę kombinacyę 12), na chininę i kwas winny 67 (wyłącznie 7), na cukier i chininę 64 (wyłącznie 4); na wszystkie trzy ciała 64. Pomiędzy 98 brodawkami zatém oddziaływało na kwas winny, lecz nie na cukier 19; na cukier, lecz nie na kwas winny 7; na kwas winny, lecz nie na chininę 24; na chininę, lecz nie na kwas winny 4; na cukier, lecz nie na chininę 15; na chininę, lecz nie na cukier 7.

Jakkolwiek więc powyższe badania zachowują ścisłą wartość tylko dla wybranych tu ciał w określonych stężeniach, to jednakże bardzo wyraźnie, jak tego dowodzi obszernie p. Oehrwall, przemawiają one za istnieniem specyficznych zakończeń w nerwach smakowych. Prawo Jana Müllera zyskuje w ten sposób znakomite poparcie.

Maksymilian Flaum.





Z BELETRYSTYKI ZACHODU.

VI.

James Payn. Stanowisko w literaturze powieściowej i charakterystyka jego utworów. Ostatnia powieść: *The burut million*. 3 vol. 1890.

Złota nić powieściopisarzy angielskich, co się snuła od Dickensa i Thackeray'a, aż do George Eliot'a zdaje się być przerwaną. Wśród tej powodzi, wśród tej nieprzejrzanej masy powieści, która tłocznie drukarskie zawala, napróżnobyć szukał utworów geniuszu. Nie wiemy nawet, czyby o takowy dbała dzisiejsza publiczność angielska. Ma ona przecież jeszcze jednego z powieściowych hegemonów, ostatniego żyjącego mistrza wielkiéj plejady, George'a Meredith, a pozostawia go osamotnionego jak orła w swém skalistém gnieździe. Wprawdzie jest on w powieści tém, czém Robert Browning był w poezyi — wyrafinowanym umysłem, delikatnym psychologiem piszącym i mogącym być zrozumianym jedynie przez pokrewne sobie, wysoce wykształcone duchy, ale chociaż nigdy na szeroką popularność liczyć nie mógł, to można się było atoli spodziéwać dlań większéj poczytności, aniżeli téj, jakiéj istotnie używa. Smak publiczny w Anglii widocznie mniéj wykwintną zadawalnia się strawą. Najbardziéj cenieni powieściopisarze nie wznoszą się po nad sferę mierności.

Wiele powodów ten stan rzeczy tłumaczy. Za pierwszy uważamy właśnie to nieprzerwane, ciągłe spożywanie nowych powieści. Anglicy daleko mniéj są skłonni do rozmowy towarzyskiéj, aniżeli inne społeczeństwa. Często zdaje się ona być dla nich ciężarem. Nawet w ścisłém domowém kółku, w wieczornych godzinach, naokół lampy i przy kominie, panuje długogodzinne milczenie: każdy członek rodziny czyta powieść jaką, mężczyźni i kobiéty, młodzieńcy i dzieci.

Ażeby znaleźć drogę do sympatyi publiczności, różniącéj się płcią, wiekiem, wykształceniem, doświadczeniem, nastrojem umysłowym, nie należy być ani wyjątkowo głębokim, ani filozofem, ani poetą, ani erudytą. Zalety tego rodzaju raczéj odstręczają aniżeli przyciągają czytelników, którzy szukają w powieści zwyczajniejszéj karmi, których ociężała, leniwa fantazya nie kusi się o podniebne harce, którzy nigdy nie są bardziéj zadowoleni aniżeli wtedy, gdy znajdą w powieści wierne echo rzeczywistości, odblask bytu codziennego.

Jako inny powód, dla którego płaska, pozioma pospolitość tak się rozgospodarowała w powieści angielskiéj, uważamy młodzieńczą świeżość ich wyobraźni i niezaprzeczoną ich naiwność. Dla tych organizmów fizycznemi ćwiczeniami zahartowanych, żyjących życiem prostém i daleko więcéj do natury zbliżoném aniżeli się zazwyczaj przypuszcza, nie potrzeba nadzwyczajnych wysiłków wyobraźni: lada zajmująca anegdotka ma dla nich powab nowości i jest źródłem interesu. Dla stępionych nerwów francuskich potrzeba co najmniéj sali anatomicznéj, gdzie romansopisarz, jak operator, rznie organizm duchowy na kawałki i odkrywa cały proces psychiczny. Ukryte sprężyny działania interesują ich więcéj aniżeli samo działanie. Dla Anglików, to ostatnie jest wystarczającém. Akcya, oto do czego Anglicy przywiązują znaczenie przeważne, kiedy Francuzi, słusznie czy niesłusznie, uważają ją w powieści za rzecz podrzędną.

Nie wiemy czy się kiedy w przyszłości ich modła krytyczna zmieni, czy powieści takie, jakie piszą we Francyi Alf. Daudet, Bourget, Maupassant i ich szkoła, zakrzewią się na angielskim gruncie. Nie jest to w każdym razie ewentualnością bliską. Wszystkie zwyczaje narodowe, wszystkie skłonności i popędy, cały temperament indywidualny i społeczny zatrzymują ich przy powieści, którą byłoby przesadą nazwać sensacyjną, ale która się w bliższym lub dalszym promieniu około téj osi obraca. Na tém polu jest cały zastęp pisarzy utalentowanych, których się czyta z przyjemnością i z interesem. Nie są to wcale potężne umysły, wnikające w głębiny organizmu towarzyskiego, nie są to twórcy charakterów raz na zawsze unieśmiertelnionych przez fikcyę, ale z pod ich piór obfitych wypłynęło mnóstwo studyów i obrazów społecznych, które pozwalają czytelnikowi stworzyć sobie o współczesnym świecie Wielkiéj Brytanii pojęcie dokładne.

Pomiędzy powieściopisarzami, co się nie pną na wierzchołki a zadawalniają szczerym poklaskiem niezliczonych czytelników, James Payn jest jednym z najsympatyczniejszych. Bez wątpienia należy mu się to samo miejsce co panu W. Black, pani Oliphant, pani Edwardes, trójcy, która najlepiéj uosabia ten kierunek uczciwy, umiarkowany,

unikający ostateczności. Nie wypłynął on od razu na pierwszy plan, ale że się na nim znajduje obecnie, nikt nie zaprzeczy. Zdobył on sobie swe stanowisko nieprzerwaną pracą. Co rok obecnie pisze conajmniéj dwie trzytomowe powieści. Oddawna zgubiliśmy się w ich liczbie. Płodność taka nie jest mu wyrzucana, a przeciwnie poczytywana za dowód bujnéj wyobraźni. Złośliwi zauważą może, że nie trzeba jéj wiele, ażeby takie opowiadać zdarzenia. Pozwalamy sobie być przeciwnego zdania. Nawet do tego rodzaju powieści pisanych łatwo i nieledwie improwizowanych potrzeba prawdziwego talentu, témbardziéj że nie są do siebie podobne i że węzeł intrygi i główne działające osobistości są zawsze świeże i ponętne.

Nie mogąc wymieniać wszystkich jego powieści, zatrzymamy się nad temi, które zostawiły nam trwalsze nieco wrażenie. Za jedną z najlepszych uważać można „*From Exile*“. Słynny proces Tichborne'a, który przykuwa do siebie uwagę gorączkową całego społeczeństwa angielskiego, dał pochop wielu romansopisarzom i dramaturgom do wzięcia go za osnowę do swych utworów. Nie zrozumieli oni, że są wypadki wyjątkowe, które wszelkie dodatki i wszelkie wymysły jedynie osłabić mogą, gdyż rzeczywistość o wiele je przewyższyła. Szekspir wypowiedział oddawna ten aforyzm. Ów rzeźnik, przybierający na siebie rolę wielkiego pana i domagający się na drodze prawnéj o wejście do imienia, rodziny i fortuny magnackiéj, ów samozwaniec co choć udowodniono mu fałszerstwo, choć lata długie spędził w więzieniu, zachował nietylko wiernie swą rolę i swe pretensye ale i przyjaciół co mu wiernymi pozostali, nie potrzebuje żadnych arabesek i fioritur pisarskich, aby uderzyć wyobraźnie współczesne. Protokuły posiedzeń sądowych były ostatniém słowem realizmu a jednocześnie najoryginalniejsze z baśni. James Payn dał dowód prawdziwego talentu już przez to, że opowiadając powieść na téj saméj osnowie, nie osłabił wrażenia pierwiastkowego.

Wielkiéj popularności używała także powieść „*Under one roof*“. Tłem, na którém akcya się rozwija jest spirytyzm. Rozciekawiał on przed jakiemi dwudziestu laty wyższe społeczeństwo angielskie a popularny romansopisarz, zawsze czujny ażeby wyzyskiwać żyłę kopalnianą powszechnego interesu, z prawdziwą delikatnością ręki dotknął téj kwestyi. Dar zawiązania intrygi, podsycenia interesu, zawikłania powieściowego węzła i nader udatne jego rozplątanie posiada Payn w wysokim stopniu. Niejeden z francuskich pisarzy mógłby pod tym względem pójść do jego szkoły, a tém więcéj to zasługuje na uwagę, że nigdzie nie posiłkuje się instynktami brudnéj zmysłowości a jest, przeciwnie, z gruntu i na wskroś uczciwy i przyzwoity. Nigdzie ten dar

podniecania interesu nie jest posunięty do wyższego stopnia jak w powieści „*Confidential Agent*“. Może ona być postawiona obok typowych utworów Gaboriau, a ma nad nimi tę wyższość, iż nigdy nie przekracza granic prawdopodobieństwa. Możemy polecić tę powieść tłumaczom angielskich powieści na nasz język, którzy tak często trafem, ale nie umiejętnym wyborem kierować się zdają. Jesteśmy przekonani, że przygody młodzieńca, który był strażnikiem dyamentowego naszyjnika nadzwyczajnéj ceny, który dał go sobie wydrzeć, był podejrzéwany, potępiony i prześladowany i który nad niezliczonemi przeszkodami zatryumfował, odkrywając spisek co go w swéj sieci chciał zdusić — jesteśmy pewni, że wywoła takie samo zajęcie u polskich czytelników, jakie wywołał u angielskich. Powodzenie téj istotnie sensacyjnéj powieści było takie jak pokrewnych mu nastrojem powieści Wilkie Collins'a.

Ale nie należy sądzić ażeby James Payn mimo swego pochopu do wyzyskania prądów chwilowo ujawniających się w społeczeństwie, mimo swego niezaprzeczonego talentu w opowiadaniu trzytomowych anegdotek i *fait-divers*, nie posiadał wyższych ambicyi, ażeby nie wzniósł się do ścisłego, sumiennego kreślenia charakterów. Nie czyni on wprawdzie tego z pedantyzmem, ale przeciwnie z utrzymaniem tego dobrego humoru, téj werwy i że tak powiemy, lekkości, która jest znamienną jego cechą. To usposobienie „*sympathetic*“, jak je nazywają Anglicy, nie przeszkadza mu zatopić swego analitycznego noża aż po rękojeść, gdy tego uznaje potrzebę. Jest w pośród jego powieści jedna: „*For Cash only*“, która świadczy o zdolnościach innego, głębszego zakroju, drzémiących w nim a zazwyczaj w ruch nie wprowadzanych. Kto czytał ją, ten nie zapomni obrazu fabrycznego miasta Stockeville. Jest to malowidło mistrzowskie, karton o rysach wydatnych. Rywalizacya dwóch naczelników wielkiego domu przemysłowego stanowi osnowę téj powieści, a autor skreślił na tém tle ponurém, gorączkowém, dwa charaktery, sir Peter Fibberta i p. Lyster'a, takiéj dosadności, takiéj jedności, iż żyją, jak Dickensowskie postacie, życiem samodzielném.

Po takim wysiłku autor powrócił znowu do swoich zwyczajnych utworów, z pośród których „*The Canon's Ward*“, „*The Talk of the Town*“ i „*The Luck of the Darells*“, z łatwością znalazły powodzenie dawniejszych. Nietylko w powieściach ale i w drobniejszych nowelkach i humoreskach sił swoich probuje. Pomiędzy temi ostatniemi na specyalne uwzględnienie zasługują, dwa jego zbiory pod tyt. „*High Spirits*“. Jowialność i humor Jamesa Payn'a noszą cechę na wskroś angielską. Są na ich dnie spostrzeżenia pełne oryginalności, niespo-

dziewane, zbliżenia przedmiotów i idei, które przez swoje przeciwieństwo budzą najnaturalniéj w świecie śmiech; jest w nich także doświadczenie życiowe, empiryczna filozofia, która zamiast się wyrażać w pretensyonalnych aforyzmach, przybiera formę humorystycznych uwag i wyskoków figlarnych. *Humour* u Jamesa Payn'a nie ma w sobie cmentarnych, mefistofelowskich podrygów Edgara Poë albo Nataniela Hawthorne; nie znać w nim także tych wysilków systematycznych do wywołania konwulsyjnego śmiéchu, jakich pełno u Marka Twain'a: jest on daleko prostszy, naturalniejszy. Swift jest jego protoplastą, a jeżeli nie zawsze jest wysoce wyrafinowany, to posiada dla Anglików nieocenioną zaletę, dobroduszném wesołości. „*He is so funny!*" oto wykrzyknik, który jest zwykłym epitetem tego pisarza i paszportem do jego popularności.

Jeżeli nam się udało w tych kilku rozproszonych rysach dać czytelnikowi wyobrażenie o talencie Jamesa Payn'a, to nie postawi go on ani na wyżynach romansopisarstwa, ani lekceważyć go nie będzie. Jest to pisarz uczciwy, moralny, zajmujący, bystry, wesoły. Bierze się jego powieści do ręki bez wygórowanych oczekiwań, bez innéj nadziei jak spędzenia wieczoru w towarzystwie człowieka posiadającego rzadki dar opowiadania i nietylko, że nie spotyka się zawodu, ale nieraz staje się on użytecznym przewodnikiem do mało znanych zakątków świata społecznego, nieraz spostrzeżenia jego trafne stają się pobudką do samodzielnych. Trzydziestoletnia z górą działalność jego nie zużyła, nie wyczerpała jego sił twórczych. Każdy nowy jego utwór zwiększa koło jego czytelników i jego przyjaciół. Gdyby Anglia posiadała akademię literacką na wzór francuskiéj z ograniczoną liczbą nieśmiertelnych, prawdopodobnie koledzy nie uważaliby jego wybór do takiego koła jako naglący, ale ilekroć publiczność w przypadkowych wotowaniach manifestuje swoje przeważające zamiłowania, on zawsze staje w pierwszym rzędzie.

Nie dziwota tedy, że i świeży jego romans: „Spalony milion", znalazł zwykłe powodzenie. Już sam tytuł zaciekawiał. Dawna to uwaga, że pieniądz albo dyabeł figurując w tytule powieści, już same przez się znęcają czytelników. Zdaje się nam, że dyabeł stracił wiele na swéj dawnéj popularności i że całkowicie spadkobierstwo odziedziczył po nim pieniądz. Można nawet powiedzieć, że jest to spadkobierstwo w prostéj linii! Ciekawość, wywołana tytułem, usprawiedliwiona jest zresztą całkowicie samą treścią powieści.

Autor wprowadza nas do rodziny wielkiego lichwiarza, Józefa Tremenhere. Nieraz już typ taki malował, ale tutaj dał nam specyalny jego podgatunek. Dostarczając przez długie lata pieniędzy arysto-

kracyi i złotéj młodzieży, wyrobił on sobie wielkie stosunki towarzyskie i nawet w pośród grona swych ofiar udało mu się zachować przyjaciół. Chociaż celem jego życia było zrobienie wielkiego majątku i chociaż dla urzeczywistnienia jego w środkach nie przebierał, miał on czasami skrupuły, czasami dał się powodować instyktem sympatyi osobistéj, a zawsze posiadał słowność, rzetelność i swego rodzaju uczciwość, która mu pozyskała rodzaj królestwa w tym świecie handlarzy pieniędzmi, świecie przepotężnym wśród arystokracyi angielskiéj, która z powodu specyalnego, obowiązującego własność gruntową prawodawstwa, musi nieraz uciekać się do środków podstępnych, aby kapitałów sobie dostarczyć. Tego rodzaju wyjątkowy stosunek istnieje pomiędzy starym lichwiarzem a młodym lordem Charrington'em, który, jeszcze przed dojściem do pełnoletności, stracił cały rozporządzalny majątek za jego pośrednictwem i do jego kieszeni. Spogląda on nań z pewnego rodzaju, sympatycznem pobłażaniem i otworzył mu nawet dom swój w dniu, gdy najmłodsza z jego trzech córek, Grace, obchodzi swoje siedmnastoletnie urodziny. O ile dwie starsze córki lichwiarza, Agnieszka i Filipina, są osobami mało sympatycznemi, o tyle ta najmłodsza jest kwiatem uroczym pełnym naiwności i wdzięku, biała gołębica wychowywana w gnieździe puhacza. Nie ma ona najmniejszego wyobrażenia o naturze interesów swego ojca, w którym widzi szlachetnego filantropa podającego pomocniczą rękę bliźnim. Pomiędzy nią a młodym lordem Charrington, zawiązuje się od razu żywsza sympatya, która ze strony lorda szybko przedzierżgnie się w gorętsze uczucie.

W chwili, w któréj opowiadanie się rozpoczyna, stary lichwiarz dostaje ataku choroby sercowéj, która go przekonywa, że życie jego wisi na włosku. Tylko jego sekretarz i powiernik operacyi finansowych, Edward Roscoe, zna groźny stan jego zdrowia. Ale nawet w tajemnicy przed nim, udaje się p. Tremenhere do jednego z najpierwszych i najuczciwszych prawników londyńskich i tam sporządza swój testament. Wyborna jest scena, gdy się prawnik wzdraga przyjąć na siebie te obowiązki i na które się zgadza o tyle tylko, o ile ma nadzieję wpłynąć na zmianę zamiarów testatora. A zamiary te są surowe dla jego córek. Fortuna jego wynosi potężną sumę miliona funtów szterlingów, ale każdéj ze swych córek zapisuje tylko drobną sumkę 10,000 w razie gdyby poszła za chrześcianina; całość majątku przechodzi na te któreby poślubiły żydów, a w razie gdyby żadna z nich takiego małżeństwa nie zawarła, cała fortuna dostałaby się odległemu krewnemu. p. Vernon, niewiadomemu ze swego pobytu i losów życia, a w jego braku cały milion miał się dostać skarbowi państwa. Testament to dziwaczny i tém do zrozumienia trudniejszy, że autor nie

przedstawia nam lichwiarza jako fanatycznego żyda: ma on to czynić raczéj w obronie, żeby się jego mienie nie rozproszyło w rękach utracyuszów zięciów, goniących za posagami jego córek. Potrzeba było jednak autorowi takiego rozporządzenia, wkrótce nagłą stwierdzonego śmiercią, ażeby cały dalszy tok powieści usprawiedliwić.

Na pierwszy plan występuje obecnie ów sekretarz zmarłego, jego współwyznawca Edward Roscoe. Trzyma on w swéj ręce i jest wszechwładnym nad osobami dwóch starszych sióstr, które się w nim obie kochają i są we wzajemnéj o siebie zadrości. Z prawdziwym talentem wywija się on z trudności codziennych, które są tém większe, że jak się dowiadujemy, jest on potajemnie poślubiony z Filipiną. Przewrotny i nikczemny ten człowiek dokłada wszelkich starań, aby wywołać takie małżeństwo dwóch drugich sióstr swéj żony, ażeby cały majątek stał się jego udziałem. Ukrywa swe małżeństwo dla tego, ażeby zneutralizować działalność starszéj siostry, a dokłada wszelkich starań, ażeby się pozbyć najmłodszéj, co się tém łatwiejszém być zdaje, iż jéj wdzięki i urok wywołać są w stanie z łatwością miłość dla niéj w każdym co się do niéj zbliża. Pierwszy plan jego połączenie Grace z lordem Charringtonem jest zniweczony śmiercią niespodziewaną tego sympatycznego młodzieńca: spada on z konia na wyścigach i zostaje zabity na miejscu. Wtedy wpada Edwardowi Roscoe na myśl sprowadzić z Ameryki swego własnego brata Ryszarda i oddać mu rękę bogatéj dziedziczki, zagwarantowawszy dla siebie wielkie pieniężne korzyści. Ale chociaż ten przybywa i zaczyna gorzeć dla Grace miłością, to intryga ta staje się niepotrzebną, gdyż Grace oddała swe serce młodemu Walterowi Sinclair, świeżo przybyłemu z Ameryki młodzieńcowi o szlachetnym charakterze i niezależnym umyśle. Całemi siłami Edward i dwie siostry starsze, wspólniczki téj intrygi, pchają zakochaną parę do małżeństwa, które ma być jéj materyalną ruiną i wykreślić ją z rzędu współzawodniczek do posiadania owego miliona. Lecz w ich życzeniach następuje odrazu całkowity zwrot w chwili, gdy w skutek przejętego listu, Edward Roscoe dowiaduje się nieomylnie, iż Walter Sinclair jest istotnie Walterem Vernon, synem owego krewnego, na którego cały majątek miał być przelanym. Wszelkie środki są używane, ażeby małżeństwo, tak groźne dla ich interesów, zostało zerwane. Wisi ono na włosku w skutek śmiertelnéj choroby Grace, która w nią wpada dowiedziawszy się o istotnym charakterze święcie przez się czczonego ojca. Małżeństwo chwilowo zerwane, zawieszone, ma znowu przyjść do skutku, dzięki interwencyi prawnika i opiekuna Grace, kochającego ją po ojcowsku i który się zgadza raczéj na utratę jéj skarbu, aniżeli życia związanego z rojonem przez nią stadłem.

Katastrofa się zbliża. Edward Roscoe, przyparty do muru przez rozkochaną w sobie starą pannę, wyjawia jéj że jest mężem jéj siostry i w gwałtownéj scenie, jaka ma miejsce pomiędzy nimi w samotném miejscu nad jeziorem w ich wiejskiéj rezydencyi, spycha ją do wodnéj otchłani i pozbawia życia. Zostawałoby mu tylko zgładzić przez truciznę Grace, przychodzącą wówczas do zdrowia po ciężkiéj chorobie, ażeby stać się posiadaczem całego miliona. Ale w chwili, gdy ma zamiar sztański ten plan wykonać, tropiony jest z kilku stron naraz, a pomiędzy innymi przez swego własnego brata Ryszarda, będącego na wpół obłąkanym. Obaj znajdują śmierć w tém samém jeziorze, gdzie niedawno przedtém Edward wtrącił był nieszczęśliwą ofiarę swéj chciwości. W pozostałych po nim papierach opiekun Grace i jéj narzeczony Walter Sinclair znajdują dowody, że spadkobiercą majątku jéj ojca jest nie kto inny jak on właśnie. Ponieważ jednak to odkrycie byłoby dla Grace śmiertelnym ciosem, pokazując jéj sromotne oszustwo dokonane przez jéj ojca na ojcu jéj ukochanego, ten ostatni, w popędzie szlachetności i bezinteresowości, pali ten dokument. W ten sposób znika wszelki sposób udowodnienia jego praw do spadkobierstwa i w myśl testatora cały jego milion funtów szterlingów, niepodzielony, przeszedł na własność skarbu i użyty został na spłacenie długu narodowego do swéj wysokości. Grace i jéj wspaniałomyślny małżonek zadawalniają się złotą miernością, znajdując swe szczęście we wzajemnéj miłości i poczuciu swych obowiązków.

Opowiedzieliśmy umyślnie szczegółowo osnowę i perypecye téj powieści. W wypadkach bowiem, nie zaś w psychologiczném umotywowaniu charakterów, ani w obronie idei zasadniczych, kruszy swe kopie cała ta szkoła powieściopisarzy angielskich, do któréj James Payn należy. Charaktery ujawniają się w wypadkach, które wywołują lub do których są wplątane. Dodaje to życia, akcyi, ale bardzo często stawia bardziéj myślącego czytelnika w powątpiewaniu co do ich możliwości. Wszelkie abstrakcyjne rozprawy odsunięte są systematycznie na stronę i wykluczone. Rzadko temat lepiejby się do nich nadawał, jak w téj powieści, gdzie dwie rasy, dwie religie są sobie przeciwstawione. Ale autorowi nie chodzi tu bynajmniéj o rozwiązanie kwestyi, nad którą się biedził Nathan — mędrzec lesyngowski; nie postarał się nawet o wytłómaczenie nam powodów religijnych i rasowych, jakie powodowały ostatnią wolą starego lichwiarza. Nietylko że tego dramatycznego przeciwieństwa nie zamierza wyzyskać, ale na całą wyznaniową stronę rzucił zasłonę i przedstawił nam w trzech córkach żyda, osoby najzupełniéj wszelkiéj wyłączności religijnéj pozbawione! Nie podobna jest, ażeby nie był spostrzegł, że sam przed sobą dobrowolnie

zamknął pole, na którém genialne pióro George Eliota prawie jedynego doznawało szwanku. Nie tknął problematu moralnego ani psychicznego i widocznie tknąć ich nie myślał. Wystarcza mu interesująca fabuła i sposób istotnie kuglarskiéj zręczności, z jaką rozwiązuje nagromadzone trudności. A niechaj melodramatyczne wypadki, jakich tu pełno, nie zadziwiają czytelnika. Potajemne małżeństwo córki i wywołana jego odkryciem nagła śmierć ojca, krewny powracający z Ameryki pod fałszywém imieniem i nieznający swego prawdziwego, morderstwo dokonane na kobiecie któréj inaczéj pozbyć się nie było łatwo, gwałtowna śmierć złoczyńcy: wszystko to są epizody, które wzniecają i utrzymują interes anegdotyczny i które są jądrem saméj powieści. Bezwątpienia gardzą tego rodzaju obrazami krzyczącemi ci pisarze, dla których dramat odgrywający się w głębi duszy ludzkiéj ma nietylko większą wartość ale jedynie jest studyowania godzien; jeżeli posługuje się morderstwami, jak np. Paweł Bourget w swoim „Andrzeju Cornelis“, to dla tego ażeby nam dać dyagnozę duszy przez ideę morderstwa opętanéj, ale nie biorą tego jako środek do pozbycia się jednéj lub kilku maryonetek, w których istnienie kazali nam wierzyć. W powieściach angielskich téj szkoły, gdyby wypadków jaskrawych nie było, cóżby pozostało?

Nie należy jednak grzeszyć pedantyzmem i zbyt surowo o téj sensacyjnéj powieści się wyrażać. Niesie ona chwile zapomnienia strapionym i rozrywki zmęczonym. Jest dobrodziejką masy. Nawet jéj moralność elementarna, ukaranie występku, nagrodzenie cnoty, doprowadzenie sympatycznéj pary przez różne trudności do małżeńskiego kobierca, nawet ten optymizm dobroduszny ma swą racyę bytu, gdy się weźmie na uwagę jak wielką pedagogiczną doniosłość ma powieść w epoce naszéj, jak wyłączną nieledwie karmią się stała dla mnóstwa nawpół wykształconych ludzi. Nie odbierać im wiary w życie i niesprowadzać ich na manowce, jest zaletą.

Ten.





PRZEMYSŁ I PRAWODAWSTWO PRZEMYSŁOWE

W SZWAJCARYI.

I.

Przeszłoroczna wystawa wszechświatowa w Paryżu potwierdziła jeszcze raz, że Szwajcarya zajmuje bardzo zaszczytne miejsce w dziedzinie przemysłu europejskiego. Każdy Szwajcar z dumą wchodził do oddziału mechanicznego, w którym biały krzyż w czerwoném polu gęsto powiewał i osłaniał sobą olbrzymy mechaniki.

Czyż nie jest to dziwném istotnie, że kraj prawie dwa razy mniejszy od Galicyi, mający nie więcéj nad 3 miliony ludności, z ziemią nieżyzną, z klimatem dość surowym, nie przylegający do żadnego morza, otoczony dokoła wielkiemi krajami przemysłowemi, wewnątrz podzielony górami na małe kraiki, nie posiadający ani pokładów węgla kamiennego, które w znacznéj części stanowią o wysokim stopniu rozwoju przemysłu angielskiego i belgijskiego, ani kopalni żelaza, nietylko współzawodniczy z najbardziéj przemysłowemi krajami u siebie w domu, ale ubiega się z nimi na rynkach światowych i posyła im nawet do domu własne towary?! Hafty szwajcarskie idą w znacznéj ilości do Anglii i północnéj Ameryki; paryskie wyroby złotnicze, sprzedawane do różnych krajów za wysoką cenę, w znacznéj części bywają pochodzenia genewskiego.

Czy może robotnicy szwajcarscy prześcigają innych europejskich, i to stanowi przyczynę ogromnego rozwoju przemysłu Szwajcaryi? Posłuchajmy, co mówi w tym względzie René Lavollée, który w znacznéj części opiéra się na świadectwie dyrektorów fabryk szwajcarskich. „Robotnik szwajcarski — powiada on — posiada niewątpliwie cenne przymioty: czynność, inteligencyę, wytrwałość, trzeźwość,

uczciwość, sumienność, możnaby prawie powiedzieć—grunt charakteru; lecz jest przytém ciężki, dosyć powolny, rutynista; daje się kierować z trudnością, nie znosi żadnego przymusu; gotów jest raczéj wyrzec się roboty, aniżeli ją przyjąć w innych niż postawił warunkach; zdolny jest zaniedbać pracę, jeżeli ta przypada w godzinach, które wydają się mu nieodpowiedniemi. Nie cofa się on przed żadném zadaniem, lecz ma wyraźny wstręt do wszystkiego, co nakłada nań obowiązek albo do pracy pośpiesznéj, albo do pewnych niezwykłych wysileń mięśni lub uwagi. Woli on zarabiać mało, żyć skromnie i oszczędnie, aniżeli zarabiać dużo i zmieniać przytém swoje nawyknienia, albowiem można o każdym Szwajcarze, tak wogóle, jak poszczególnie powiedzieć, że wydaje się on zazdrośniejszym w sprawie oszczędzania się aniżeli zarabiania“ [1]).

Cóż więc jest powodem tego wysokiego stopnia rozwoju przemysłu, jaki widzimy w Szwajcaryi? Nieraz już zadawano sobie to pytanie. Ze wszystkich odpowiedzi najczęściéj się powtarzała i najwięcéj była uzasadniona ta, która wskazywała, jako na główną przyczynę powodzenia przemysłu Szwajcaryi, jéj dobrą organizacyę polityczną i w ścisłym z nią stosunku pozostające organizacye: szkolną, finansową i przemysłową.

Szwajcarya, która do niedawna jeszcze była krajem przeważnie rolniczo-pasterskim, staje się coraz bardziéj przemysłową. W 1860 r. ludność, zajmująca się pierwotną produkcyą, wynosiła jeszcze przeszło 46% całéj ludności, a zajmująca się przemysłem 35,5%; w 1880 r. stosunek ten już się zmienił na szkodę produkcyi pierwotnéj, albowiem zajmująca się tą ostatnią ludność zeszła do 41%, a ludność przemysłowa wzrosła do przeszło 37%. Przemysł jednak szwajcarski przechodzi obecnie bardzo ciężkie chwile. Najgorzéj stoi sprawa z przemysłem bawełnianym, który przed dziesięciu jeszcze laty był w stanie kwitnącym. O upadku tego przemysłu świadczą zgorzałe fabryki, pozostawione bez naprawy w zwaliskach.

Najważniejszemi gałęziami przemysłu szwajcarskiego są: bawełnicza, jedwabnicza i zegarmistrzowska ze złotniczą połączona. Pierwsza zatrudnia około 90,000 robotników, t. j. prawie trzydziestą część ogółu ludności; druga—65,000; trzecia wreszcie—44,000.

Przemysł bawełniczy silnie jest rozwinięty w kantonach: st.-galleńskim, appenzelskim, turgowijskim, glaruskim, zürichskim i argowijskim. W połowie jest on fabryczny, a w połowie jeszcze domowy,

---

[1]) Les classes ouvrières en Europe — Etudes sur leur situation matérielle et morale par René Lavellée. Paris. 1884. T. II. str. 5 i 6.

ale ten ostatni wciąż się zmniejsza, albowiem domowa produkcya w porównaniu z fabryczną coraz bardziéj niedogodne przedstawia warunki. Przemysłowcy, budując fabryki, korzystali z licznych motorów wodnych, jakiemi są rzeczki i potoki spadające ze znacznéj wysokości. Wytwór bawełniczy w znacznéj części idzie na zaspokojenie potrzeb domowych ludności szwajcarskiéj, ale i wywóz za granicę jest ogromny. Pomimo trudnego współzawodnictwa z Anglią, Szwajcarya dotrzymuje jéj kroku.

Przemysł bawełniczy obejmuje następujące gałęzie: przędzenie. tkactwo, bielenie, farbowanie albo drukowanie. Osobną gałąź stanowi wyrób muślinów w kantonach Appenzell i St.-Gallen, a z nią się wiążą hafciarstwo i koronkarstwo. Pod względem przędzenia, Szwajcarya zajmuje pierwsze miejsce po Anglii. Szczególnie trzy gałęzie cieszą się znacznym wywozem zagranicznym: hafciarstwo, tkactwo różnokolorowe i drukowanie tkanin. W pierwszéj gałęzi Szwajcarya zajmuje pierwsze miejsce: wysyła ona swoje hafty do Anglii i do północnéj Ameryki. Tkaniny różnobarwne idą w ogromnéj ilości do obu Indyi, które także zabierają sporo tkanin drukowanych, które nadto znajdują znaczny pokup pomiędzy ludnością dokoła morza Śródziemnego zamieszkałą.

Wszystkie gałęzie przemysłu bawełniczego znajdują się obecnie w ciężkiém położeniu. Produkcya tkanin cienkich prawie upadła. Niedomaganie szwajcarskiego przemysłu bawełniczego, prócz ogólnych przyczyn dla całego przemysłu w Europie, ma jeszcze własne specyalne; temi są: rujnująca konkurencya angielska. która mając przepełnione towarami magazyny, sprzedaje je po cenach nieopłacających wyprodukowania, byle tylko ich się pozbyć; podwyższenie ceł ze strony Niemiec, Austryi, Włoch i wreszcie Francyi; nakoniec prawo fabryczne z 1877 r., utrudniające wyzysk robotnika, skutkiem czego kapitaliści szwajcarscy zakładają fabryki we Włoszech i we Francyi, gdzie jeszcze nie rozciągnięto takiéj opieki nad robotnikami jak w ich ojczystym kraju.

Przemysł jedwabniczy lepiéj się trzyma od bawełniczego, chociaż i on nie jest już w dawnym kwitnącym stanie. Jedwab' sprowadzają z Lombardyi, Chin i Japonii. Przędzeniem onego zajmują się głównie w kantonach: zürichskim, bazylejskim, lucernskim, w Schwytz, Uri, Unterwalden. Skręcanie jedwabiu odbywa się przeważnie w kantonie zürichskim. Tkactwo jest upowszechnione w kantonach: Zürich, Zug, Uri, Schwytz, Unterwalden, w Argowii, St.-Gallenie, Szafhuzie i Bernie. Zürich — jak widzimy — przedstawia punkt środkowy i główny przemysłu jedwabniczego. Współzawodniczy on z Turynem,

a ustępuje tylko Rzymowi i Medyolanowi. Przemysł ten w Szwajcaryi jest jeszcze w znacznéj części domowym. Wiele kobiet zimową porą trudni się u siebie w domu skręcaniem i tkaniem jedwabiu, także w kantonie zürichskim — podług statystyki zawodowéj Greulicha — na 3921 mężczyzn zajętych w przemyśle jedwabniczym, przypadało kobiet 25,283. Bardzo ważną gałęzią tego przemysłu jest wyrób wstążek w Bazylei, zaniesiony do tego miasta przez emigrantów francuskich po odwołaniu edyktu nantejskiego. Szwajcarya, względnie do swéj ludności, wyrabia 7 razy tyle wstążek jedwabnych co Francya, chociaż ta zajmuje w téj gałęzi pierwsze miejsce. Produkcya jedwabnicza w dobrych latach dochodziła w Szwajcaryi do 80 milionów fr.

Zegarmistrzowstwo jest przemysłem Szwajcaryi francuskiéj: panuje ono w Genewie i w jurajskich okolicach kantonu wodyjskiego, neufchatelskiego i berneńskiego, gdzie szczególnie ważnemi dla tego przemysłu punktami są: Chaux-de-Fonds i Locle w kantonie neufchatelskim i Val Saint-Imier i Porrentruy w kantonie berneńskim. Roczną produkcyę zegarków obliczano na 50 milionów. Przemysł złotniczy szczególnie kwitnie w Genewie, która w tym względzie jest małym Paryżem.

Budowa maszyn, którą Szwajcarya tak silnie zaimponowała na przeszłoroczněj wystawie paryskiéj, odbywa się głównie w Zürichu, Winterthurze, i Oltenie. Przemysł ten znakomicie się rozwinął, chociaż Szwajcarya musi sprowadzać surowe materyały z zagranicy i surowiec z W. Brytanii, stal i żelazo w sztabach z Niemiec, a mianowicie z Westfalii, wreszcie węgiel kamienny z Saarbrücken. Wywóz maszyn odbywa się do Włoch, Francyi, Austryi, Niemiec, Rosyi, nawet Chin i Japonii. Szczególnie ważnemi są wielkie fabryki: Eschera, Wyssa & Comp. w Zürichu, z filiami w Wiedniu, Würtembergu i Medyolanie, oraz Rietera & Comp. w Winterthurze. Temu przemysłowi, chociaż obecnie doznaje także pewnéj trudności, wróżą wielkie powodzenie. Ze wszystkich gałęzi produkcyi wzrastał on w ostatnich czasach najsilniéj: od 1860 do 1880 r. wzrósł on na 119%.

Licznéj ludności dają zarobek wyroby z drzewa (rzeźby i posadzki) oraz wyplatanie ze słomy. Jest to przemysł przeważnie domowy. Wyrobami z drzewa zajmują się głównie w Oberlandzie berneńskim, wyplataniem ze słomy trudnią się w kantonach: fryburskim, lucernskim, argowijskim i zürichskim. Ważnym punktem przemysłu słomianego jest miasteczko Wohlen w Argowii. Przemysł ten zatrudnia zimową porą w kantonie fryburskim do 20,000, a w argowijskim do 25,000 ludzi.

Młyny i browary, z początku usunięte z pod dozoru inspektorów

fabrycznych, ale od kilku lat zaliczone także do fabryk, są liczne i zatrudniają wiele osób. Szczególnie w ostatnich dwudziestu latach wzmogło się spożycie piwa, spowodowane podrożeniem i fałszowaniem wina. Ważne także miejsce w produkcyi przemysłowéj w Szwajcaryi zajmują: fabrykacya czekolady i fabrykacya cygar. Wyrobem czekolady zajmują się głównie w zachodnich kantonach. Największa i najdawniejsza fabryka jest Russ-Suchard'a & Comp. w Serrières około Neufchâtelu. Fabrykacya cygar wciąż wzrasta. W 1857 r. było zatrudnionych robotników — 1,400, w 1884 r. — 7,000; w 1857 r. produkowano na 2.4 milionów, w 1884 r. na 15 milionów.

Do większego przemysłu jeszcze można zaliczyć: fabryki sztucznych nawozów, zapałek, cegieł, cementu, huty szklane w górach Jura, dystylarnie, fabryki towarów żelaznych i stalowych, porcelany, papieru, mydła, wyrobów chemicznych, fabryczny wyrób obuwia (fabryka Bally w Schoenenwerd w kantonie solurskim zatrudniała 1000 robotników), drukarnie, wreszcie fabryki fortepianów.

II.

Demokratyczny ustrój Szwajcaryi, w którym lud pracujący oddawna był ważnym czynnikiem, zmuszał do uwzględnienia w pewnéj mierze jego potrzeb i położenia. I dlatego w tym kraju wcześniéj aniżeli gdzieindziéj zwrócono uwagę na nadużycia, połączone z produkcyą fabryczną i starano się je ograniczyć.

W Turgowii już w 1815 r. rozciągnięto opiekę nad dziećmi, wymagając od właścicieli fabryk i przędzalni mechanicznych, ażeby nie przeszkadzali chodzeniu dzieci do szkół i do kościoła. Prawo zabraniało także używać ich do pracy w niedzielę i w nocy. W powszednie jednak dni wolno je było zatrudniać aż przez czternaście godzin.

Rzeczywista wszakże opieka prawna nad dziećmi używanemi do pracy ręcznéj, rozpoczęła się w Szwajcaryi dopiero od zaprowadzenia w 1853 r. ustawy szkolnéj, obowiązującéj wszystkie dzieci do chodzenia do szkół.

Wówczas w Turgowii postanowiono, że nietylko rodzice, ale i fabrykanci, w których zakładach dzieci pracowały, stawali się odpowiedzialni, jeżeli dzieci nie chodziły do szkoły. Ponieważ przy niektórych fabrykach szkoły urządzono, więc dzieciom wolno było do nich uczęszczać, lecz dopiero po skończeniu 11 lat i przytém szkoły musiały być tak zorganizowane jak publiczne, musiały być poddane pod inspekcyę szkolną i dzieci powinny były w nich uczyć się przynajmniéj 9 godzin tygodniowo, z których 3 musiały przypadać w godzinach porannych.

O wiele troskliwszą opiekę, z powodu téjże ustawy szkolnej,

rozciągnęło nad dziećmi prawodawstwo w kantonie St.-Gallen. Postanowiono tam, że do 15. lat nie wolno ich zatrudniać dłużéj nad 12 godzin dziennie, włączając w to godziny szkolne i godzinę rekreacyi, i że nie wolno karać ich cieleśnie lub uwięzieniem.

W 1859 r. w kantonie zürichskim, rozszerzając ograniczające pracę dzieci w fabrykach przepisy, uznano za właściwe rozciągnąć także pewną opiekę i nad dorosłym robotnikiem. Uchwalono więc, mając na względzie bezpieczeństwo i zdrowie robotnika, rozmaite ograniczenia jego pracy; oznaczono, kiedy mają się odbywać wypłaty, postawiono za warunek, że przed uwolnieniem od pracy, należy ją na 14 dni przedtém wymówić; nakazano, ażeby przepisy obowiązujące fabrykantów były w salach pracy wywieszone; wreszcie uznano za właściwe, ażeby ściągane od robotników kary pieniężne były przelewane do ich kasy chorych.

Inne kantony zaprowadziły pewne ograniczenia pracy dorosłego robotnika, lecz dopiero kanton Glarus, w którym robotnicy przemysłowi stanowią większość ludności, i w którym lud cały zgromadza się corocznie na tak zwaną *landsgemeinde* i tam uchwala prawa i podatki, — pierwszy ogłosił ustawę fabryczną. Ustawa ta, uchwalona 10 sierpnia 1864 r., oznaczyła jako dzień normalny pracy dla wszystkich robotników fabrycznych 12 godzin, zakazała pracy nocnéj i nie pozwoliła zatrudniać kobiet brzemiennych przez sześć tygodni przed i po połogu.

Za przykładem Glarusu, poszły także dwa półkantony: Bazyleja-wieś i Bazyleja-miasto, i w 1878 i 1879 r. zaprowadziły prawne unormowanie pracy robotników.

Kanton zürichski jednak, w którym kapitaliści podburzyli włościan, w 1870 r. odrzucił przedstawione mu prawodawstwo fabryczne. Natomiast w kantonie Glarus, pomimo oporu rządu kantonalnego, przyjęto w końcu września 1872 r. nową ustawę fabryczną, wypracowaną przez komitet centralny związku robotników, która zmniejszyła dzień normalny pracy do 11 godzin.

Zaprowadzenie ograniczenia pracy w niektórych kantonach, kiedy w innych fabrykanci mogli z niéj dowolnie korzystać, spowodowało silną agitacyę nietylko ze strony robotników, ale także i ze strony przemysłowców w tych kantonach, które już zaprowadziły ograniczenie pracy, ażeby rozciągnąć je na cały Związek szwajcarski i w ten sposób prawodawstwo fabryczne uczynić jednostajne w całem państwie. Usiłowania te jednak z początku nie odnosiły skutku. Projekt rewizyi konstytucyi z myślą ujednostajnienia prawodawstwa przemysłowego został w 1872 r. w powszechném głosowaniu odrzucony. Potrzeba jednak ujednostajnienia była tak silna, że próbowano je prze-

prowadzić w Słównych kantonach przemysłowych Szwajcaryi niemieckiéj przez porozumienie się delegatów, ale nie zdołano dojść do żadnego rezultatu. St.-Gallen odrzucił nawet w powszechném głosowaniu przedstawione mu w r. 1873 prawne unormowanie pracy robotniczéj. Niepowodzenie to wzmogło energię agitacyjną robotników, z któremi przytém stronnictwo radykalne weszło w porozumienie i obiecało im pomoc. Istotnie wspólnemi siłami uchwalono w 1875 r. rewizyę konstytucyi, wprowadzając do niéj artykuł, nadający Związkowi prawo wydawania jednostajnych przepisów co do pracy dzieci w fabrykach, co do czasu trwania pracy dorosłych robotników i co do nadzoru nad wykonywaniem szkodliwych dla zdrowia niebezpiecznych rodzajów przemysłu.

Opierając się na powyższym nowym artykule konstytucyi, rada związkowa przedstawiła jeszcze w grudniu 1875 r. związkową ustawę fabryczną. Zgromadzenie związkowe uchwaliło ją 23 marca 1877 r. prawie bez zmiany, a 21 października tegoż roku przedstawiono ją narodowi do zatwierdzenia przez powszechne głosowanie, w którém uzyskała ona większość 9,000 głosów.

Szwajcarska ustawa fabryczna, przepisana niejako z ustawy fabrycznéj w Glarusie, niezaprzeczenie ze wszystkich podobnych ustaw, które zaprowadzono w innych krajach, jest najbardziéj przyjazna dla robotników. Przedstawię ją tu w streszczeniu.

Artykuł pierwszy określa, że za fabrykę należy uważać każdy zakład przemysłowy, w którym w jednym czasie i regularnie, w zamkniętéj przestrzeni, po za obrębem własnego mieszkania, jest zatrudniona pewna liczba robotników. Wrazie wątpliwości, rozstrzyga sprawę rząd kantonalny, a ostatecznie rząd związkowy.

W drugim artykule zaleca się przy urządzaniu fabryki mieć na względzie życie i zdrowie robotników. Zaleca się więc dostateczne oświetlanie i przewietrzanie pracowni, tudzież usuwanie szkodliwych wyziewów. Wymagana jest przytém ostrożność ze względu na maszyny i narzędzia, i nakazane jest używanie środków i przyrządów, ochraniających robotnika.

Podług trzeciego artykułu, nie można ani otworzyć, ani odnowić, ani przemienić żadnéj fabryki, bez pozwolenia rządu. Gdyby po otwarciu fabryki, okazały się warunki szkodliwe dla robotników lub dla zamieszkującéj w pobliżu ludności, władza zażąda ich usunięcia.

Właściciel fabryki — stosownie do artykułu 4-go — obowiązany jest natychmiast zawiadomić miejscowe władze o każdym nieszczęśliwym lub śmiertelnym wypadku, a te powinny zbadać przyczyny i następstwa onego i donieść o rezultacie swego badania rządowi kan-

tonalnemu. Artykuł 5-ty określa, w jakich wypadkach fabrykant jest obowiązany do wynagrodzenia.

Artykuły 7-my i 8-my mówią o regulaminie fabrycznym. Za nim zostanie on przedstawiony rządowi kantonalnemu do zatwierdzenia, mają robotnicy wyrzec o nim swoje zdanie. Następnie wydrukowany wielkiemi literami ma być on na widnem miejscu umieszczony w fabryce. Kary pieniężne przeznaczają się na korzyść robotników.

W artykułach 9-tym i 10-tym znajdują się przepisy, dotyczące wymówienia roboty, które ma następować czternaście dni naprzód, i wypłaty, która powinna się odbywać w gotówce najpóźniéj po 2-ch tygodniach, chyba dobrowolna umowa zostanie zawarta pomiędzy robotnikiem i fabrykantem.

Podług brzmienia artykułu 11-go, praca dzienna nie może trwać dłużéj nad 11 godzin, a w sobotę i wilię świąt 10. Jeżeli praca jest szkodliwa dla zdrowia, czas jéj trwania zostanie zmniejszony. Na obiad należy wyznaczać przynajmniéj godzinę pracy. Ci co przynoszą obiad z sobą, powinni mieć do spożycia go opalony lokal w zimowéj porze.

Artykuł 13-ty powiada, że praca w nocy może być tylko wyjątkowo dozwolona przez rząd i przytém tylko wówczas, kiedy sami robotnicy zgadzają się na nią; artykuł zas 14-ty zabrania wykonywania pracy w niedzielę i pewne oznaczone święta, — gdyby jednak okazała się jéj konieczność, potrzebném jest zezwolenie rządu.

W artykule 15-tym jest mowa o pracy kobiet, a w art. 16-tym o pracy dzieci. Kobietom nie wolno pracować ani w nocy, ani w niedzielę. Niektóre szkodliwe zajęcia zostaną zakazane dla kobiet. Nie wolno ich także używać do mycia i czyszczenia motorów i maszyn niebezpiecznych. Położnicom nie wolno pracować 8 tygodni przed i po połogu, a to w ten sposób, że po odbytym połogu powinno upłynąć 6 tygodni. Te kobiety, które prowadzą w domu gospodarstwo, powinny być uwolnione od pracy na półgodziny wcześniéj przed godziną obiadową. — Dzieci, które jeszcze nie ukończyły 14 lat, nie wolno ich używać do pracy fabryczéj. Do ukończenia 16 lat, godziny na naukę i na wykład religii mają być rachowane wespół z godzinami pracy fabrycznéj, tak ażeby razem wszystko nie wynosiło więcéj nad 11 godzin dziennie. Przed ukończeniem 18 lat nie wolno pracować ani w nocy, ani w niedzielę. W razie konieczności, rząd może dać pozwolenie, ale postawi przytém warunki uwzględniając interes młodzieńców. Niektóre gałęzie przemysłu, jako szkodliwe, mają być dla nieletnich zakazane. Właściciele fabryk nie mogą się wymawiać niewiadomością lat

robotników lub tego, na kim jeszcze ciąży obowiązek chodzenia do szkoły.

Rząd związkowy, polecając w artykule 17-tym ścisłe wykonywanie téj ustawy rządom kantonalnym, ustanowił artykułem 18-tym osobnych inspektorów fabrycznych. Wreszcie podług brzmienia artykułu 19-go, przekroczenia przeciwko ustawie mają być karane pieniężnie kwotą od 5 do 500 fr. a w razie powtórnego wykroczenia, sądy mogą skazywać winnych na 3 miesiące więzienia.

Ustawa ta została licznemi okólnikami rządowemi dokładniéj objaśniona i uzupełniona, a zamiast artykułu 5-go weszło w życie prawo o wynagrodzeniu przez fabrykanta, uchwalone 25 czerwca 1881 r. Czy ma być wyznaczone wynagrodzenie i w jakiéj wysokości, stanowią sędziowie z tém ograniczeniem, że ogólna suma nie powinna przechodzić 6,000 fr. jeżeli fabrykant nie dopuścił się przytém czynu karygodnego. W razie śmierci robotnika z powodu wypadku nieszczęśliwego, wynagrodzenie bierze małżonka lub małżonek, albo dzieci, wnuki, rodzice, dziadkowie, siostry. Ustawę tę także rozszerzono i objaśniono dokładniéj późniejszemi okólnikami.

W krótce po ogłoszeniu ustawy fabrycznéj, powstały spory pomiędzy fabrykantami, robotnikami i inspektorami fabrycznémi o to, jakie zakłady należy uważać za fabryki t. j. za zakłady podpadające ustawie fabrycznéj. Skutkiem tego, departament dróg żelaznych i handlu w okólniku z 1878 r. wyjaśnił, że głównym sprawdzianem w tym przedmiocie powinien być wzgląd na zdrowie i bezpieczeństwo robotnika, a więc trzeba zważać na to, czy praca jest ciężka, czy zatrudniane są dzieci, i czy zajęcie jest szkodliwe dla zdrowia. I wychodząc z tego punktu zapatrywania się, uznano fabryki cementu, chociaż praca w nich nie odbywa się w zamkniętéj przestrzeni, za podlegające ustawie fabrycznej.

W ogóle należy zaznaczyć, że zwolna coraz więcéj zakładów podciągano pod ustawę fabryczną. I tak w 1880 r. rozciągnięto ją także na młyny i browary, z wyjątkiem tylko tych, w których pracowali dorośli mężczyźni, mający przytém mieszkanie i życie u przedsiębiorcy; w kwietniu jednak 1886 r. uznano już za fabryki wszystkie młyny i browary, w których zatrudniano więcéj niż 5 robotników; w sierpniu zaś tegoż roku poddano nadzorowi inspektorów fabrycznych wszystkie młyny, zatrudniające więcéj niż 2 robotników, i nastąpiło to w skutek zbiorowego żądania młynarzy szwajcarskich. Z początku drukarnie, względnie do przedstawienia patronów, nie były uznawane za fabryki, ale następnie w skutek domagania się robotników, w styczniu 1882 r. poddano pod ustawę fabryczną wszystkie drukarnie, które posiadają

motory i zatrudniają więcéj niż 5 robotników. Pomimo że w 1880 r. zakazano przy wyrobie zapałek używać robotników niemających 16 lat skończonych, w październiku 1882 r. najmniejsze pracownie, w których odbywa się produkcyja zapałek, uznano za fabryki.

Jak ustawa fabryczna rozciągała swoją opiekę nad coraz większą liczbą zakładów i robotników, pokazuje następujący wykaz statystyczny: [1])

Podlegało ustawie fabrycznéj:

w roku	zakładów	robotników
1882 w marcu	2527	129,120
„ w maju	2642	134,856
1883 w grudniu	2841	139,690
1884 „	2969	141,737
1885 „	3128	144.312
1886 „	3495	148,161
1887 „	3654	149,888.

Ażeby fabrykanci nie mogli się wymawiać niewiadomością, jakich należy używać porządków dla zabezpieczenia robotników, rząd związkowy polecił im broszurę inspektora fabrycznego, Edmunda Nürsperli, p. t. „*Apparate und Einrichtungen zum Schutze von Fabrikarbeitern gegen Gefahren für Leben und Gesundheit*“ (z 60 rysunkami, Arau, H. R. Sauerländer. 1883). Nadto inspektorowie fabryczni podają opis i rysunki najnowszych przyrządów, mających na celu zabezpieczenie robotników.

Szwajcarya została podzielona na trzy okręgi inspektorskie, które ostatecznie uregulowano w 1887 r. Pierwszy okręg obejmuje kantony: Zürich, Uri, Schwyz, Unterwalden, Glarus, Zug, St.-Gallen i Graubünden (Gryzony); drugi: francuską część kantonu berneńskiego, Fryburg, Tessin, Vaud, Valais, Neufchâtel i Genewę; trzeci: niemiecką część kantonu berneńskiego, Lucernę, Solurę, Bazyleę, Szafhuzę, Appenzel, Argowię i Turgowię. Inspektorowie pierwszego i trzeciego okręgu ogłaszają swoje sprawozdania w języku niemieckim; inspektor zaś okręgu drugiego w języku francuskim. Inspektorom fabrycznym nie wolno się zajmować przedsiębierstwami przemysłowemi.

Ustawa fabryczna napotkała w pierwszych latach po jéj ogłoszeniu, znaczny opór nie tylko ze strony fabrykantów, ale także i ze strony rządów kantonalnych a nawet i robotników nierozumiejących dobrze własnego interesu. Zwłaszcza ten opór był silny w kantonach St.-Gallen i Appenzell. Fabrykanci różnego rodzaju wybiegami usiło-

---

[1]) Das Bundesgesetz betreffend die Arbeit in den Fabriken vom 23 März 1887. Bern 1888, str. 106.

wali przedstawić swoje zakłady jako niepodlegające nadzorowi inspektorów fabrycznych, w czém bardzo często sami robotnicy im pomagali. Szczególnie wykraczano przeciwko przepisom, ograniczającym pracę dzieci i kobiet. I tak np. nie zatrudniano dzieci w saméj fabryce, ale w jéj pobliżu budowano szałas, ustawiano tam jedną tylko maszynę i tam zgromadzano dzieci do roboty. Wiele trudności miano z położnicami, które same starały się omylić czujność władzy nadzorującéj. Z tego powodu rozkazano, ażeby we wszystkich fabrykach, gdzie pracują kobiety, utrzymywano specyjalną listę położnic. Zatargi inspektorów fabrycznych z fabrykantami były częste; ci ostatni skarżyli się na pierwszych przed władzami kantonalnemi, doprowadzali sprawy aż do sądów, wreszcie odgrażali się, że wyniosą się z Szwajcaryi. Wytrwałość i sumienność jednak inspektorów fabrycznych pokonywały napotykane trudności. Robotnicy coraz powszechniéj zaczęli rozumieć, że ścisłe wykonywanie ustawy przedewszystkiém leży w ich własnym interesie. W ten sposób nadużycia stawały się rzadsze, i ustawa fabryczna weszła dzisiaj — można powiedzieć — w powszechny zwyczaj. Teraz już sami fabrykanci, którym niesumienni ich koledzy i uwolnieni od nadzoru inspektorskiego przemysłowcy sprawiają szkodliwą dla nich konkurencyę, domagają się ścisłego wykonywania ustawy i rozciągnięcia jéj na coraz większą liczbę zakładów.

Niektórzy fabrykanci, kiedy ustawa fabryczna rozciągnęła nad robotnikami swoją opiekę, pokasowali na swoich fabrykach te urządzenia filantropijne, które byli pozaprowadzali dawniéj. Uważano to za stratę dla klasy robotniczéj. Czy słuszna? Stanowczo możemy temu zaprzeczyć. Już nie mówiąc o tém, że wiele urządzeń filantropijnych — jak to wykazali inspektorowie fabryczni — miało raczéj na celu interes fabrykanta aniżeli robotników, należy uwzględnić, że fabrykantów filantropijnych w stosunku do zwykłych wyzyskiwaczy była zawsze względnie mała tylko liczba, i przytém dobrodziejstwa instytucyi filantropijnych, obejmując pewną tylko liczbę robotników, wytwarzały nowego rodzaju przywiléj i nową warstwę uprzywilejowaną. Tymczasem ustawa fabryczna jest z dążności i ducha demokratyczna. Skutki jéj stanowczo okazują się zbawienne dla przyszłości. Gdyby nawet produkcya szwajcarska z powodu jéj miała ucierpieć, to zdrowie ludności z pewnością wiele zyszcze. W skutek nalegania inspektorów fabrycznych, w dawnych fabrykach musiano pozaprowadzać odpowiednie ulepszenia. Na otwarcie każdéj nowéj fabryki rząd daje wówczas tylko pozwolenie, jeżeli odpowiada ona wszystkim wymaganiom hygienicznym. Szczególnie zwraca się baczna uwaga na to, aby było świeże powietrze i dostateczne światło. Dzięki obfitości moto-

rów naturalnych, w wielu fabrykach zaprowadzono już oświetlenie elektryczne. Wszystkie zakłady zostały zaopatrzone w czystą wodę do picia. Wychodki, które dawniéj zarażały nieraz całe fabryki, przebudowano lub przeniesiono do oddzielnych, odległych budynków.

Znawca stosunków robotniczych, August Betel, bardzo korzystnie ocenił czynność szwajcarskich inspektorów fabrycznych.

„Widoczna jest — powiada on — ogromna różnica pomiędzy szwajcarskim a niemieckim nadzorem fabrycznym.

„Przy czytaniu jednych i drugich sprawozdań, czytelnik natychmiast widzi, że stanowisko inspektorów fabrycznych w Szwajcaryi jest wcale inne jak w Niemczech. Czytając sprawozdania szwajcarskie, czujemy, że przemawia w nich urzędnik, jedynie dla obrony robotników ustanowiony. Nie ma tam żadnych złośliwych uwag o polityczno-społecznéj czynności robotników, nie ma stronniczego uwzględniania interesu fabrykantów, i to, co ci wysławiają jako dobroczynne przy swoich fabrykach instytucye, zostaje dokładnie zbadane, a gdzie rzecz okazuje się pozorną, należycie skrytykowane i wykazane“ [1]).

Oprócz ogólnego prawodawstwa w Szwajcaryi, każdy kanton ma jeszcze szczególne swoje przepisy i instytucye. I tak Bazylea-miasto rozciągnęło nadzór prawny nad wszystkiemi gałęziami przemysłu, w których kobiéty i dzieci bywają zatrudnione, np. nad magazynami mód, gdzie modystki i szwaczki zwykle w niemiłosierny sposób są wyzyskiwane. Nadto Bazylea-miasto, dla ułatwienia nadzoru inspektorowi fabrycznemu, dodała mu do pomocy komisyę fabryczną z 3 członków złożoną. W Argowii, w miejscowościach, gdzie są fabryki, istnieją naznaczeni od rządu nadzorcy fabryczni. W kantonie Appenzell-A.-Rh. wybierane są w celu nadzorowania fabryk komisye fabryczne. W Genewie zostały zaprowadzone sądy znawców (*conseils de Prud'hommes*).

Zaprowadzenie ustawy fabrycznéj, ograniczającéj dzień normalny pracy robotnika do 11 godzin, wywołało liczne narzekania ze strony fabrykantów szwajcarskich. Przedstawiali oni, że nowa ustawa postawiła ich w niekorzystném położeniu względem sąsiednich przemysłowców, mogących wyzyskiwać większą ilość godzin pracy robotniczéj, i skutkiem tego nie mogą oni wytrzymywać z niemi konkurencyi. To spowodowało, że członek rady narodowéj, pułkownik Emil Frey, przedstawił w grudniu 1880 r., ażeby rada związkowa zawiązała układy z głównemi państwami przemysłowemi, w celu uło-

---

[1]) Die Neue Zeit, styczeń, 1889.

żenia międzynarodowéj ustawy fabrycznéj. Wniosek ten przyjęto, lubo z wielkiém wahaniem się. Istotnie zawiązano układy z rządami: francuskim, niemieckim, włoskim, austryackim, angielskim i belgijskim; ale nie doprowadziły one do żadnego rezultatu: rząd belgijski nie dał wcale odpowiedzi, w Londynie i Berlinie odrzucono propozycyę, rząd francuski dał taką odpowiedź, która nie budziła wiele nadziei, rządy zaś austryacki i włoski zajęły wyczekujące stanowisko.

Sprawie jednak, już raz poruszonéj, nie pozwolono pójść w zapomnienie. Rozpoczęła się w tym przedmiocie silna agitacya robotnicza najprzód w Szwajcaryi, następnie w Niemczech i we Francyi, wreszcie w Anglii. Wniesiono tę sprawę nawet do parlamentów: niemieckiego i francuskiego. Favon i Decurtines, posłowie w szwajcarskiéj radzie narodowéj, uważali więc za właściwe, postawić w czerwcu 1888 r. wniosek o wznowienie układów w sprawie międzynarodowego prawodawstwa fabrycznego. Wniosek został przyjęty i tym razem odpowiedź rządów dała możność naznaczenia we wrześniu 1889 r. w Bernie konferencyi międzynarodowéj, którą jednak, z powodu zajść z rządem niemieckim, uważano za stosowne odłożyć na maj 1890 r.

Międzynarodowe ustawodawstwo fabryczne jest bardzo pożądane przez robotników. Oba kongresy socyalistyczne, które odbyły się w lipcu 1889 r. w Paryżu, uznały jego konieczność. Kongres marksistów oświadczył nawet, że robotnicy wszystkich krajów powinni poprzeć usiłowania rzeczypospolitéj helweckiéj w sprawie konferencyi międzyrządowéj, mającéj na celu zawarcie traktatów międzynarodowych dla opieki nad pracą.

Rzeczywiście ustawa fabryczna szwajcarska, jakkolwiek najlepsza ze wszystkich europejskich, nie zadawalnia klasy robotniczéj. Ta ostatnia uważa, że dzień normalny pracy nie powinien przekraczać 8 godzin. W tym względzie oba kongresy socyalistyczne, tak posybilistów jak marksistów, oświadczyły się, można powiedzieć, jednomyślnie i jednogłośnie. Dla agitacyi w téj sprawie ma powstać w Paryżu tygodnik p. t. „*La journée de huit heures*“. Wkrótce ma zacząć także wychodzić w Szwajcaryi dziennik p. t. „*Der Achtstündige Arbeitstag*“, do składu redakcyi, którego wchodzą: Karol Bürkli, radca kantonalny w Zürichu, A. Lang, prokurator obwodowy w Zürichu, K. Manz, A. Merk i E. Wüllschleger, redaktor wychodzącego w Bazylei „*Baseler Arbeiterfreund*“.

Raz wszedłszy państwo na drogę regulowania wzajemnych stosunków pomiędzy fabrykantami i robotnikami, w czém znalazło uznanie i poparcie demokracyi radykalnéj i klasy pracującéj, rozszerzało ono w Szwajcaryi daléj w tym kierunku swoją czynność i dla dokła-

dniejszego obeznania się z położeniem i potrzebami klasy pracującéj, utworzyło w 1887 r. posadę sekretarza robotniczego, pozostawiając wybór takowego samym robotnikom. Spowodowało to w kwietniu tegoż roku zgromadzenie się w Aarau szwajcarskiego kongresu robotniczego, złożonego z delegatów rozmaitych stowarzyszeń robotniczych. Na kongresie tym uchwalono założyć ogólny szwajcarski związek robotniczy i wybrano na sekretarza robotniczego Hermana Greulicha, znanego pisarza socyalistycznego i statystyka. Dzięki utworzeniu posady sekretarza robotniczego, zostały już wypracowane dwie ustawy, dotyczące klasy pracującéj, z których jedna, zajmująca się zabezpieczeniem przyszłości robotnika, ma być przedstawiona radzie narodowéj na obecnéj sesyi parlamentarnéj.

B. L.





BUDOWA CZŁOWIEKA,

JAKO ŚWIADECTWO JEGO PRZESZŁOŚCI, W ŚWIETLE NOWSZYCH BADAŃ.

Kwestya stanowiska człowieka w szeregu istot organicznych oraz dziejów jego, jako gatunku — oddawna zajmuje już umysł ludzki. Pomijając dawniejsze, antropocentryczne i antropomorficzne poglądy, które w mniejszym lub większym stopniu zachowały się aż do połowy bieżącego stulecia, zaznaczymy, że od chwili, gdy dzięki znakomitym zdobyczom biologii w drugiéj połowie naszego wieku, zaczęto inaczéj na kwestyę tę spoglądać, a mianowicie: uważać człowieka tylko za dalszy ciąg łańcucha jestestw organicznych t. j. za jedno z ostatnich jego ogniw—bliższém określeniem stanowiska człowieka w przyrodzie zajmowali się pierwszorzędni uczeni i myśliciele, jak Darwin, Huxley, Vogt, Haeckel i inni.

Dwie są główne metody, za pomocą których mogą być wykazane dzieje biologiczne rodu ludzkiego, a tém samém stosunek jego do zwierząt, a mianowicie: metoda anatomo-porównawcza i embryologiczna. Pierwsza polega na ścisłém zestawianiu z sobą tak całéj organizacyi wogóle, jako téż pojedyńczych narządów w szczególności u ustrojów blisko z sobą spokrewnionych, oraz z kolei u coraz odleglejsze zajmujących stanowiska. Tym sposobem wykryć można szeregi nieznacznych i stopniowych przejść w organizacyi form zwierzęcych, przejścia zaś te rzucają jasne światło na stosunki pokrewieństwa wzajemnego form, z sobą porównywanych. Druga metoda polega na tém, że badamy kolejne fazy rozwoju danego ustroju i porównywamy takowe z budową niżéj uorganizowanych istot. Oto krótkie wyjaśnienie téj metody. Wiadomo, że każdy organizm ulega w swym rozwoju osobnikowym, począwszy od jajka, aż do stanu dojrzałego, pewnym kolejnym

przemianom. Otóż przemiany te są tylko mniéj lub więcéj zmodyfikowanemi i silnie skróconemi fazami rozwoju rodowego, czyli genealogicznego tegoż gatunku, t. j. stadya rozwoju osobnikowego odpowiadają mniéj lub więcéj kolejnym fazom, przez jakie przechodzili rodowi przodkowie tego gatunku od form niższych do coraz wyższych. Jasném więc jest, że dla poznania dziejów jakiego gatunku, dla oceny stosunku jego do form niższych, badanie rozwoju osobnikowego gatunku tego nadzwyczaj doniosłe ma znaczenie. Anatomia porównawcza i embryologia wykazały, że człowiek przedstawia tylko jedno z ogniw w długim i nieprzerwanym łańcuchu jestestw żyjących; jakkolwiek dotąd nie udało się na zasadzie danych paleontologicznych sięgnąć wstecz w dzieje jego po za okres dyluwialny, a zupełnie pewne wykazanie człowieka trzeciorzędnego (t. j. wykrycie kości ludzkich, pochodzących z epoki trzeciorzędowéj) stanowi jeszcze *pium desiderium* paleontologii i antropologii, niemniéj jednak na polu morfologii zdobyto tak wiele świetnych faktów, iż możemy z dosyć znaczném prawdopodobieństwém nakreślić odległe dzieje człowieka i uprzytomnić sobie organizm pierwotnych ludzi. Nadzwyczajnie ważną zdobyczą morfologii nowoczesnéj jest wykrycie w organizmie ludzkim mnóstwa „szczątkowych" narządów, które są niezatartemi pomnikami odległych dziejów rodu ludzkiego. Organy szczątkowe nie pełnią po większéj części żadnéj określonéj czynności fizyologicznéj, są dla ustroju zupełnie niepotrzebne, zbyteczne, a tym sposobem obecność ich przeczy jaknajoczywiściéj teleologicznym poglądom na ustrój zwierzęcy. Organy szczątkowe są pozostałościami narządów, które niegdyś, t. j. u dawniejszych przodków danego ustroju, były w zupełności rozwinięte i pełniły pewne określone czynności. Z dalszym zaś biegiem rozwoju, w skutek przystosowania się pokoleń do nowych warunków życiowych, organy tę wychodziły, że tak powiem, powoli z obiegu, traciły wartość dla organizmów i wreszcie stały się nieużytecznémi już zabytkami, które tylko dzięki dziedziczności przekazują się pokoleniom, świadcząc o dawniejszych ich dziejach. Zobaczymy, że ustrój ludzki posiada niezliczoną ilość takich organów szczątkowych i że dla poznania dziejów rodowych człowieka, organy te nadzwyczajnie wielkie mają znaczenie.

Ogólne właściwości organizacyi człowieka: obecność szkieletu wewnętrznego, a u zarodków — t. z. struny grzbietowéj (jest to najpierwszy zawiązek szkieletu, występujący w jednakowéj mniéj więcéj formie u wszystkich kręgowych zwierząt), a daléj układu nerwowego, mózgordzeniowego, dwóch par kończyn i t. d. i t. d. świadczą o tém, że człowiek należy do typu kręgowców (*Vertebrata*). Inne ważne cechy, a mianowicie: fakt iż człowiek rozwija się w łonie matki, ssie

w młodości mleko, opatrzony jest zębami i włosami, ma serce, utworzone z dwóch komór i dwóch przedsionków, z którego wychodzi aorta, zaginająca się łukowato w lewą stronę, a dalej liczne cechy embryonalne, dotyczące tak postaci i budowy jajeczka, jako też formowania się zarodka — wskazują najwyraźniej, iż człowiek należy do ssaków. Otóż, co do tego nie było, nie ma i nie może być w nauce żadnych sprzecznych zdań i nieporozumień. Zupełnie rzecz inna, jakie stanowisko zajmuje rodzaj „*Homo*“ w szeregu ssaków, a mianowicie: jaki jest jego stosunek do najwyższych t. j. najbardziej do niego zbliżonych rzędów ssących zwierząt. Znaczne wyjaśnienie tej zawiłej a ważnej i ciekawej kwestyi zawdzięcza nauka znakomitemu zoologowi angielskiemu H. T. Huxleyowi w pamiętnem jego dziele: „*Man Place in Nature*“ („Stanowisko człowieka w przyrodzie“) 1862. Badacz ten starannie porównał organizacyę człowieka z budową najwyższych, t. j. najbardziej do człowieka zbliżonych małp, z drugiej zaś strony organizacyę wyższych małp z budową niższych. Doprowadziło go to do rezultatu, że pomiędzy człowiekiem a wyższemi małpami istnieje pod względem anatomicznym daleko mniejsza różnica, aniżeli pomiędzy wyższemi i niższemi małpami. Tak np., co się tyczy mózgu, Huxley wykazał, że istnieje bardzo stopniowy szereg przejść w komplikacyi mózgu u małp, począwszy od form, których mózg indentyczny jest prawie z mózgiem gryzoniów, a kończąc na mózgu szympansa, niewiele się już różniącym od ludzkiego (wszelkie różnice są tu tylko ilościowe, lecz nie jakościowe). W mózgu ludzkim nie znajdujemy żadnych prawie części, któreby nie istniały już w mózgu małp wyższych, różnice są tu nadzwyczaj nieznaczne i podrzędne, gdy tymczasem pomiędzy bogatym w zawoje mózgiem szympansa i gładkim prawie mózgiem lemura uderzająca zachodzi różnica.

„Jakikolwiekbądź układ organów — mówi Huxley — weźmiemy pod uwagę, porównanie ich modyfikacyi w szeregu małp doprowadzi nas do tego samego rezultatu: iż różnice anatomiczne dzielące człowieka od goryla i szympansa, nie są tak wielkie jak te, które dzielą goryla od niższych małp“. W obec takich faktów, Huxley proponuje przyjęcie ogólnego rzędu „Naczelnych“ „*Primates*“ (nazwa ta wprowadzona została jeszcze przez Lineusza), do których zaliczałyby się następujące rodziny: 1) *Anthropini* (z rodzajem *Homo*), 2) *Catarhini* t. j. małpy wązkonose, czyli starego świata, 3) *Plathyrhini* t. j. małpy szerokonose, czyli nowego świata, 4) *Arctopitheci*—małpeczki, 5) *Lemurini* — małpozwierze, 6) *Cheiromyini* — rodzina zawierająca rodzaj *Cheiromys*, 7) *Galeopithecini*—rodzina zawierająca rodzaj lemura latającego (*Galeopithecus*). Od pojawienia się dzieła Huxley'a, minęło już

dwudziestopięciolecie. W ciągu tego okresu antropologia fizyczna, embryologia i anatomia porównawcza i w ogóle cała morfologia ogromny uczyniła postęp. Należało więc po raz drugi podjąć pracę w tym kierunku, w jakim był ją przedsięwziął Huxley, a mianowicie. na podstawie nowszych zdobyczy morfologii, rozpatrzéć ponownie stanowisko człowieka pośród innych istot żyjących. Znakomity anatom, prof. Wiedersheim z Freiburga, uczynił temu zadosyć, ogłosiwszy przed niespełna trzema laty ważną i niezmiernie interesującą pracę p. t. „*Der Bau des Menschen als Zeugniss für seine Vergangenheit*“ (Freiburg, 1887). Prof. Wiedersheim opiera przeważnie sw e dociekania w kwestyi dziejów organizmu ludzkiego na danych morfologii, téj najpewniejszéj i najważniéjszéj w tym wypadku przewodniczki. Ustrój ludzki porównać można do starego, odwiecznego gmachu, który wielokrotnie był przebudowywany i restaurowany: jednocześnie z wytworami nowszéj architektury i sztuki, istnieją w nim jeszcze do dziś dnia zabytki architektoniczne z czasów renensansu, do wysmukłych wieżyc gotyckich dobudowano tu i owdzie skrzydła w ciężkim stylu nowoczesnym, na szczątkach obronnego muru z ociosanych głazów granitowych, wzniesiono wykwintne i lekkie mury z cegieł, więzienie przerobione na piwnice, a stare galerye podziemne, które po utracie dawnego znaczenia swego, długi czas bez wszelkiego istniały pożytku, zużyto do przeprowadzenia hygienicznéj kanalizacyi miejskiéj; jedném słowem obok części nowszych, znajdujemy tu starodawne, obok pożytecznych i pełniących, że tak powiemy, pewne funkcye, widzimy części, które wyszły z użycia i są tylko niemém świadectwem dawnych dziejów, albo téż przerobione zostały i zastosowane do nowszych wymagań. Myliłby się bardzo ten, ktoby sądził, że gmach ów, rozpatrywany sam w sobie i nieporównywany z innemi, mógłby nas oświecić w kwestyi dziejów swoich. Ale jakże pouczającém będzie porównanie tego gmachu z innemi, które albo dotąd w niezmienionym od wieków zachowały się stanie, albo téż w nowszych wystawione zostały czasach. Wtedy to odrazu dostrzeżemy, co w naszym gmachu jest starszém, co nowszém, co pierwotném, a co późniéj, czyli jak mówimy, wtórnie nabytém i t. d. Otóż człowiek — ta korona architektoniki biologicznéj — osiągnął obecną swą budowę, podobnie jak ów gmach, powoli i stopniowo; organizm jego przystosowywał się do różnych warunków w długim okresie swych dziejów biologicznych, ustrój jego zanim doszedł do stanu, w jakim znajduje się obecnie, zmieniał się i modyfikował wielokrotnie; jedne części jego, jako zbyteczne, ulegały powoli zanikowi i zachowały się jeszcze jako organy szczątkowe, inne utraciły dawną funkcyę iprzerobione zostały w taki sposób, aby służyć mogły do innéj,

z biegiem czasu nabytéj i t. d. Zaiste, gruntowne i ścisłe rozpatrzenie anatomo-porównawcze ustroju ludzkiego dostarczyć może biologowi tyle interesującego materyału dziejowego (w znaczeniu biologicznèm), ile historykowi — odcyfrowanie najstarszych i najobfitszych w treść dokumentów, przyczém obaj postępować mogą w równie ścisły i pewny sposób.

Gdybym zapragnął przedstawić czytelnikom wszystkie, albo nawet tylko większość faktów z morfologii ustroju ludzkiego, rzucających światło na rodowe jego dzieje, musiałbym znacznie przekroczyć ramy tego pisma. Podam więc tylko najciekawsze fakty, aby czytelnik mógł poznać metodę poszukiwań w tym kierunku i doniosłość jéj filogenetyczną. Rozpatrzę tedy po kolei główniejsze systemy narządów: szkielet, układ mięśniowy, skórę, układ nerwowy, a daléj narządy życia roślinnego.

Szkielet ludzki składa się z kręgosłupa, kości głowy i kończyn. Kręgosłup dorosłego człowieka składa się, z 33—34 pierścieniowatych kostek, czyli kręgów; wahaniom ulega liczba kilku końcowych, nader słabo rozwiniętych kręgów, zwanych ogonowemi (4 lub 5). Otóż kręgi ogonowe są organami szczątkowemi i nie ulega wątpliwości, że niedalecy przodkowie rodowi rodzaju *Homo*, posiadali znacznie większą ilość kręgów ogonowych, które w zupełności były rozwinięte. Dowody na to są następujące. Płód ludzki pięciotygodniowy posiada więcéj kręgów, aniżeli człowiek dorosły, a mianowicie aż 38. Ale już w szóstym tygodniu życia płodowego zlewają się z sobą w jedną masę cztery ostatnie kręgi i ulegają zanikowi. Ponieważ zaś, stadya rozwoju osobnikowego są krótkiém powtórzeniem rodowego, obecność zatém nadmiernéj ilości kręgów ogonowych u płodu ludzkiego, rzuca światło na rodową przeszłość człowieka. Prócz tego, w skutek atawizmu, t. j. powrotu do form pierwotnych, kroniki lekarskie podają liczne wypadki t. z. ogoniastych zarodków lub ludzi. W podręczniku anatomii patologicznéj Meckela (1872) zebrane są liczne wypadki niezwykle silnego rozwoju ogona u zarodków ludzkich. M. Braun opisał (w IV tomie *Zoologische Anzeiger*) rekruta estońskiego, u którego kostki ogonowe nie były ukryte, lecz wystawały na zewnątrz i otoczone mięśniami i skórą, przedstawiały kompletny ogonek. U niektórych ras lub pokoleń ludzkich, ogoniaste wyrostki występują częściéj niż u innych, np. u niektórych ludów wysp Moluckich i Filipińskich albo w Afryce środkowéj, co dało zapewne powód do opowieści o ludziach ogoniastych. Inne znowu fakta, tak embryologiczne, jak anatomo-porównawcze, wykazały, że nietylko ogonowa część kręgosłupa ulega skróceniu w biegu rodowego rozwoju, lecz i inne okolice tegoż. Istnieją niezbite

dowody, iż miednica ludzka (t. j. kości, z któremi zrastają się tak zwane krzyżowe kręgi kręgosłupa) była niegdyś bez porównania dłuższa niż obecnie, a więc i krzyżowa okolica kręgosłupa musiała być dłuższa. Jeduém słowem, w biegu rozwoju rodowego, uległa skróceniu i część ogonowa kręgosłupa ludzkiego i okolica krzyżowa.

Do dwunastu t. z. piersiowych kręgów, przymocowane są u człowieka żebra w liczbie dwunastu par. Takąż ilość żeber posiada orangutang. Badania rozwojowe i anatomo-porównawcze doprowadzają nas do wniosku, że przodkowie rodzaju *Homo* musieli posiadać niewątpliwie większą ilość żeber. I tak, przedewszystkiém blizkie człowiekowi małpy wyższe, jako to goryl i szympans, mają po trzynaście par żeber, a *Hylobates* posiada ich nawet trzynaście lub czternaście. Dalej, zarodek ludzki ma zawsze trzynaście par żeber, a tylko w biegu rozwoju ostatnia para ulega zupełnemu zanikowi. Prócz tego, jak wykazał Gegenbaur, w płodzie ludzkim pojawiają się nawet zaczątki żeber w okolicy lędźwiowéj kręgosłupa, tak, że występuje szczątkowa: trzynasta, czternasta, piętnasta, szesnasta i t. d. para żeber (nawet i w okolicy krzyżowéj pojawiają się u zarodka drobne bardzo szczątki żeber). Nie ulega zatem wątpliwości, że w biegu rozwoju ilość żeber zanikała w kierunku od tyłu ku przodowi. Ale i obecnie jeszcze ostatnie dwie pary żeber ludzkich, a mianowicie jedenasta i dwunasta znajdują się na drodze do zaniku, gdy bowiem górne dziesięć par dochodzą z przodu aż do mostka i przedstawiają wielkie łuki, ostatnie dwie nie dosięgają wcale mostka, są krótkie bardzo i szczątkowe. Ale nie tylko od dołu zanika ilość żeber ludzkich; posiadamy też dowody na to, że i pierwsza, górna para żeber uległa zachwianiu i weszła, że tak powiem, na drogę do zaniku. Możemy o tem sądzić na podstawie spostrzeżeń wielu anatomów, jak Grubera, Turnera, którzy opisali liczne bardzo wypadki niezupełnego i szczątkowego nieco rozwoju téj pary żeber. To stopniowe skrócenie klatki piersiowéj, czyli ściśléj mówiąc, zmniejszenie się liczby żeber, przypisuje prof. Wiedersheim poczęści pionowéj postawie ciała ludzkiego, a mianowicie w miarę tego jak chód na czworakach przeobrażał się w pionowy i środek ciężkości przenosił się ku grzbietowéj stronie ciała, musiało nastąpić zmniejszenie się wagi przedniéj (czyli brzusznéj) części ciała, przyczem żebra, na których u czworonogów spoczywają wnętrzności w okolicy brzusznéj resp. lędźwiowéj, stawały się zbyteczne i z czasem zaniknąć musiały.

Co się tyczy kości głowy ludzkiéj, zaznaczymy przedewszystkiém, że należy w niéj odróżnić dwie części: właściwą czaszkę, t. j.: skrzynkę obejmującą mózg oraz część twarzową. Otóż jeśli porównamy głowę ludzką ze zwierzęcą, uderzy nas odrazu silny rozwój

czaszki w stosunku do twarzy u człowieka, w przeciwieństwie z silnym rozwojem części twarzowych względnie do czaszki—u zwierząt. Nawet w czaszce małp najwyższych znajdujemy bez porównania silniéj rozwinięte części twarzowe aniżeli u człowieka, a czaszkę o wiele mniéj wydatną. Pomiędzy młodemi czaszkami małpiemi a ludzkiémi nie istnieją jeszcze tak wielkie różnice, występują one dopiero pomału z wiekiem. Nie ulega wątpliwości, że zjawisko to zależy od powolnego tylko stopniowego rozwoju mózgu, który stanowi formatywną zasadę w rozwoju czaszki u wszystkich w ogóle kręgowców. U przodków rodowych człowieka, czaszka była zatem bezwątpienia mniejsza; a części twarzowe znacznie wydatniejsze niż obecnie. Jak wiadomo, kości czaszki połączone są jedna z drugą za pomocą t. z. szwów; z początku istnieje połączenie swobodne pomiędzy kośćmi temi, a późniéj dopiéro rozwijają się owe szwy. Otóż Gratiolet zauważył interesujący fakt, iż u wyższych ras ludzkich, szwy w zupełności się zamykają w innym porządku niż u niższych. I tak, u tych ostatnich oraz u małp proces ten zaczyna się zawsze od przodu, w okolicy czołowéj czaszki, czyli na granicy czoła u ciemienia i ztąd posuwa się ku tyłowi. Wynika z tego naturalnie wczesne ograniczenie przednich płatów mózgowych. Gdy tymczasem u ras wyższych (białych), gdzie szwy ciemieniowo-czołowe kostnieją dopiero w samym końcu, t. j. po skostnieniu szwu ciemieniowo-potylicznego, mózg może się swobodnie rozwijać. Ilość kości tak w czaszce, jakoteż w twarzowéj części głowy ludzkiéj, zmniejszyła się od niedawnego stosunkowo czasu dziejowego jego rozwoju. I tak, pomiędzy kośćmi ciemieniowemi (prawą i lewą) musiała istnieć u przodków rodu ludzkiego kość nieparzysta — międzyciemieniowa, obok czołowéj zaś znajdowała się zapewne w tyle po za nią: tylna czołowa. (Gegenbaur, „*Lehrbuch der Anatomie der Menschen*“) i t. d. Z kości twarzowych, które niedawno człowiek utracił, na szczególną zasługuje uwagę t. z. kość międzyszczękowa. A mianowicie, dzisiejszy człowiek posiada, jak wiadomo, dwie szczęki górne i jedną dolną: Otóż te części szczęk górnych, w których siedzą zęby przednie, czyli siekacze, odpowiada u zwierząt ssących samodzielnéj kości, zwanéj międzyszczękową. U zarodka ludzkiego kość ta istnieje, a zwykle zaraz po urodzeniu zrasta się z obu sąsiedniemi kośćmi szczękowemi i przestaje być tworem samodzielnym. W rzadkich wypadkach, i to przeważnie tylko u niższych ras ludzkich (u negrów i mieszkańców Australii) kość ta pozostaje w całości oddzieloną i w późniejszych nawet latach.

Nie będziemy już rozpatrywali szczegółowo zabytków przeszłości w innych częściach szkieletu ludzkiego, a zwłaszcza kończyn. Za-

znaczymy tylko dwa najważniejsze i najciekawsze odkrycia, w tym kierunku niedawno uczynione. Otóż zapięście (*carpus*) ręki ludzkiéj składa się z ośmiu małych kostek, a zastopie (*tarsus*) nogi ludzkiéj — z siedmiu kości. Kostki odpowiadają takimże kościom ręki i nogi, czyli przedniéj i tylnéj kończyny u innych kręgowców. Ale u wszystkich kręgowców znajduje się jeszcze w zapięściu i zastopiu pewna, ważna bardzo w anatomii porównawczéj, kostka, zwana środkową czyli centralną. U człowieka długi czas jéj nieznano. Ale oto niedawno poszukiwania Rosenberga, Leboucq'a i Bardelebena, wykryły u zarodka ludzkiego obecność téj kostki, która w 2-gim lub 3-cim miesiącu rozwoju embryonalnego zrasta się całkowicie z innemi, sąsiedniemi kostkami. Inny znów ciekawy fakt, dotyczący kończyn, polega na tém, że pięciopalczasta forma ręki i nogi ludzkiéj powstała z formy siedmiopalczastéj, według nadzwyczajnie cennych i doniosłych badań prof. Bardelebena. Ludzie rodzący się niekiedy z sześciu lub siedmiu palcami przedstawiają atawizm czyli powrót ku pierwotnym formom.

Pomiędzy mięśniami ludzkiemi, które w liczbie około 250, służą do najróżnorodniejszych ruchów ciała, spotykamy wielką ilość takich, które wskazują bądź postępowy bądź wsteczny rozwój, które są zatém albo szczątkami przyrządów mięśniowych, silniéj rozwiniętych u przodków naszych, albo téż zaczątkami nowych, będących w drodze do dalszego rozwoju. Szczegółowe rozpatrywanie tych faktów, dla specyalisty nadzwyczajny przedstawiających interes, za daleko by nas zaprowadziło. Przytoczymy więc tylko kilka przykładów. W kończynach naszych, oprócz wspólnych mięśni zginających palce, znajdujemy jeszcze specyalne mięśnie zginacze wielkiego palca. Otóż te specyalne mięśnie wielkiego palca istnieją tylko u człowieka i uważane są jako specyficznie ludzkie. Istnieją niezbite dowody, że mięśnie te zostały niedawno (w znaczeniu geologiczném) wytworzone, i że u bliskich przodków człowieka były one połączone w jedną całość ze wspólnemi zginaczami palców. Na wielu trupach wykryto, że zginacze wielkich palców nie miały własnéj indywidualności, lecz były zlane ze wspólnemi zginaczami palców, jak u wielu małp. Mięsień zginacz wielkiego palca może zatém stanowić przykład mięśnia „progresywnego" (Wiedersheim). Do takichże mięśni należą wielkie mięśnie pośladkowe (*glutaeus magnus*), które dosięgają u człowieka *maximum* rozwoju, co pozostaje w bezpośrednim związku z pionowém chodzeniem, albowiem te silne i wielkie mięśnie mocują miednicę, a tem samém i cały tułów do uda. Nadzwyczajnie wielkiego stopnia rozwoju, w porównaniu z muskulaturą niedalekich przodków człowieka, osiągnęły także mięśnie twarzowe; liczba ich jest u człowieka znacznie większa niż u innych

ssaków, nawet u małp, a to silne ich zróżnicowanie miało dwie główne przyczyny: wysoki psychiczny rozwój oraz zdolność mowy. Z rozwojem mowy, mięśnie, pozostające w związku z otworem ust i nosa musiały się silniéj zróżnicować. Przez współczynność, z rozwojem wyższych władz duchowych, a zwłaszcza uczuć, różnicowały się też oraz indywidualizowały pewne specyalne mięśnie twarzowe, mające wyłącznie mimiczne znaczenie. Wszystko to są przykłady mięśni „progresywnych." Do mięśni, które cofnęły się w rozwoju swoim, które są obecnie już tylko szczątkowémi, należą np. muskuły kości ogonowéj (mięsień, odwodzący kość ogonową, albo też skrzywiający takową), mięsień piramidalny ścianki brzusznéj, który w rozwoju swoim u różnych osobników nadzwyczajnym ulega wahaniom, jak wszelki w ogóle organ szczątkowy, wreszcie wspomnę jeszcze mięśnie muszli czyli konchy usznéj, które u człowieka tak słabo są rozwinięte, że nie mamy prawie wcale zdolności poruszania uszami, osiągamy ją jednak w słabym stopniu przez usilną wprawę. U niektórych osób, przez atawizm, te ostatnie mięśnie silniéj się rozwijają i zdolność poruszania konchami usznemi jest dosyć znaczna (podobno była ona taką u Robespierra).

Zobaczmy teraz, jak wyglądała skóra najbliższych przodków rodu ludzkiego. Otóż, najmniejszéj nie ma wątpliwości, że niedalecy przodkowie człowieka pokryci byli na całéj skórze włosem. Oto dowody. Jakkolwiek człowiek jest najmniej owłosiony ze wszystkich „Naczelnych" (*Primates*), to jednak w pewnych miejscach ciała, a zwłaszcza na głowie, zachował ślady dawnego, obfitego uwłosienia; prócz tego na całém ciele istnieją drobne (a u niektórych mężczyzn dosyć długie i gęste) włoski, które mają w ogólności ten sam kierunek, co i włosy sierści u małp. Dalej, w szóstym miesiącu rozwoju płód ludzki pokrywa się na całéj skórze, wyjąwszy powierzchnię dłoni i stopy, brzegów warg i części rozrodczych, gęstą, wełnistą sierścią t. z. *lanugo*; sierść ta przed urodzeniem zupełnie jednak znika. Widzimy więc tu w rozwoju osobnikowym jakby powtórzenie stadyum rodowego. Myśl o istnieniu obfitego włosia u naszych przodków, otrzymuje także silne poparcie przez fakt, iż pewne dzikie ludy są obficie dosyć włosem pokryte, np. Ajnosy i szczepy australijskie, oraz przez znane wypadki atawistyczne, w których pewne osoby miały niezwykle silne uwłosienie na całém ciele. Tak np. znany Adryan Jeftichjew (oraz syn jego) miał całą twarz pokrytą długiemi, gładkiemi włosami, na czole, nosie, policzkach, powiekach i nawet na muszlach usznych, nie mówiąc już o reszcie ciała, która również była pokryta formalną sierścią.

W budowie układu nerwowego i organów zmysłowych znajdujemy bardzo wiele nader interesujących części szczątkowych, które nie

są jednak właściwe jedynie tylko człowiekowi, ale i innym ssakom, są więc one ważne dla historyi rodowego rozwoju ssących w ogóle, nie zaś rodzaju ludzkiego w szczególności, o który nam w téj chwili chodzi. Takie fakta, jak np. istnienie u człowieka i innych ssaków szczątka trzeciéj powieki w oku, odpowiadającej trzeciéj powiece ptaków, istnienie w mózgu t. z. gruczołka szyszkowego (*glandula pinealis*), który jest zdaje się, szczątkiem nieparzystego oka niższych kręgowców i t. p., fakta takie rzucają światło na dzieje ssaków w ogóle, lecz nie specyalnie na historyę człowieka. Zasługuje atoli na zaznaczenie jeden ważny fakt. Oto, mlecz pacierzowy u płodu ludzkiego ciągnie się z początku przez całą długość kanału kręgowego. Lecz w następstwie kręgosłup wydłuża się daléj ku tyłowi, a mlécz tym sposobem ulega pozornemu jakby skróceniu, tak, że u rozwiniętéj formy koniec mlecza sięga tylko do granicy pomiędzy piersiową i lędźwiową okolicą kręgosłupa (ściśléj mówiąc do pierwszego lub drugiego kręga lędźwiowego). Od tylnego czyli dolnego końca mlécza ciągnie się już tylko przez resztę kanału kręgowego cienka nić — szczątek mlecza, jaki u przodków człowieka (opatrzonych ogonem) ciągnął się przez cały kręgosłup. Dolny koniec mlecza jest więc prawdopodobnie na drodze do zaniku, a być bardzo może, że częste choroby mlecza (*tabes*) nawiedzające w największej ilości wypadków przedewszystkiém dolny koniec mlecza, pochodzą właśnie ztąd, że dolna okolica mlecza jest predysponowana do różnych zboczeń i regresywnych procesów.

Z organów trawienia wielkiéj są dla nas wagi — zęby. Człowiek posiada, jak wiadomo, trzydzieści dwa zęby: szesnaście górnych i tyleż dolnych. I w górnych i w dolnych odróżniamy: z każdéj strony po dwa przednie czyli siekacze, po jednym kle i po pięć trzonowych. Otóż, jakkolwiek uzębienie ludzkie zbliża się bardzo do uzębienia małp starego świata, to jednakże istnieją też pewne różnice, z których najważniejsza polega na bezporównania silniejszym rozwoju kłów u małp oraz na braku wszelkiéj przerwy pomiędzy zębami ludzkiémi. U małp i u innych ssaków w związku z silnym rozwojem kłów istnieją przerwy w górnym i dolnym szeregu zębów, w które to przerwy wchodzą przy zamykaniu paszczy górne i dolne kły. Otóż niema wątpliwości, że najbliżsi przodkowie rodzaju ludzkiego posiadali również silnie rozwinięte kły oraz odpowiednie przerwy w szeregach zębów. Dowody na to są następujące. W pewnych wypadkach, a zwłaszcza u dzikich mieszkańców Australii i wysp Oceanu Spokojnego, występuje objaw atawizmu, polegający na obecności przerw dla kłów w szeregach górnych i dolnych zębów. Dalej, że człowiek pierwotny używać musiał kłów swoich do obrony, wynika także z zachowanego do

dziś dnia drogą dziedziczności, szczątkowego jakby zwyczaju pokazywania w gniewie zębow (Darwin). Nietylko jednak kły nasze są zębami szczątkowémi; ostatni trzonowy, t. z. ząb mądrości znajduje się również na drodze do zaniku, czego dowodzi niezwykle późne jego zjawianie się: przerzyna on dziąsła dopiéro w 17—30 roku, a niekiedy nawet w późnéj starości; jest on przytém zawsze słabiéj rozwinięty, niż pozostałe zęby trzonowe. Nadto, jeżeli zważymy, że u małp Nowego-Świata istnieje zamiast po pięć, po sześć zębów trzonowych z każdéj strony, a u niższych ras ludzkich (u mieszkańców Nowej-Kaledonii, Tasmańczyków, mieszkańców Australii i negrów) zdarzają się atawistyczne wypadki, w których po za zębem mądrości pojawia się jeszcze szósty trzonowy, to z dosyć znaczném prawdopodobieństwem będziemy mogli przypuścić, że blizcy przodkowie człowieka posiadali nietylko wielkie kły i odpowiednie przerwy w szeregach zębów, ale opatrzeni także byli większą ilością zębów trzonowych, z których jedne już zanikły, inne zaś znajdują się na drodze do zaniku (ząb mądrości). To zmniejszanie się ilości zębów pozostawało bez wątpienia w ścisłym związku ze wzrostem inteligencyi i umiejętnością przyrządzania pokarmów, t. j. odpowiedniego rozdrabniania i zmiękczania takowych.

W innych częściach narządu trawienia, jako téż w pozostałych organach życia roślinnego, napotykamy także mnóstwo szczątkowych narządów, które nie są jednak wyłączną właściwością ciała ludzkiego, ale po większéj części istnieją także u wielu innych ssących; narządy te wskazywać zatém mogą dzieje ssaków w ogóle, a więc i człowieka, jako ssaka, ale nie rzucają światła na stosunek ustroju ludzkiego, do najbliższych, czyli bezpośrednich jego przodków. Do takich należą np. ślepa kiszka, gruczoł tarczowy i grasicowy, kanały przysieczne w szczęce górnéj i t. d. i t. d. [1]), w co jednak bliżéj w tém miejscu wchodzić nie możemy.

Na zasadzie wszystkiego, cośmy wyżéj powiedzieli, można w przybliżeniu nakreślić typ anatomiczny form, które były bezpośrednimi przodkami rodu ludzkiego w dziejach jego geologicznych. I tak, dawni przodkowie człowieka posiadać musieli silniéj rozwinięte dolne pary żeber oraz pierwszą, górną, a być może że mieli nawet większą ilość żeber (13 par), okolica ogonowa kręgosłupa była znacznie silniéj rozwinięta i opatrzona odpowiedniemi, ruchliwemi mięśniami, skóra pokryta była włosem (jak niektórzy przypuszczają, rudawym), części

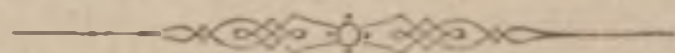
[1]) Czytelnika, bliżéj się tém interesującego, odsyłamy do szeregu artykułów naszych, drukowanych przed kilku laty we „Wszechświecie“, p. t.: „Organy szczątkowe ciała ludzkiego“.

twarzowe głowy były znacznie wydatniejsze, a czaszka mniejsza, ilość kości czaszki była większa, pomiędzy obu kośćmi szczęk górnych istniała kość międzyszczękowa, liczne z istniejących dziś męśni były znacznie słabiéj rozwinięte, a niektóre wcale nie istniały (np. zginacze palca wielkiego), gdy natomiast jeszcze inne muskuły, pozostające w związku z chodzeniem na czworakach, silniéj były rozwinięte, muszle uszne były ruchliwe i nieco śpiczaste, kły oraz odpowiednie przerwy dla nich w szeregach zębów, a także większa ilość trzonowych, charakteryzowały uzębienie i t. d. Anatomia wykazuje jeszcze wiele bardzo innych, podobnych szczegółów, które charakteryzowały niewątpliwie najbliższych przodków rodzaju *Homo*. W szczegóły te, aczkolwiek bardzo ważne i ciekawe, wchodzić tu nie możemy, wymagają one bowiem od czytelnika wielu specyalnych wiadomości z anatomii ciała ludzkiego. Zresztą chodziło nam tu głównie o wykazanie metody poszukiwań.

Tym sposobem badania, dotyczące budowy i rozwoju organizmu ludzkiego w połączeniu z anatomią i embryologią porównawczą, dochodzą do niezmiernie ciekawych i pośrednio dowieść się dających wniosków w kwestyi stanowiska człowieka w szeregu istot i rodowych jego dziejów.

Zarzuca się naukom anatomicznym, że obniżają one stanowisko człowieka w przyrodzie; ależ przeciwnie, jakkolwiek nie oddzielają go one od ustrojów zwierzęcych, to jednak wyznaczają mu najwyższe stanowisko w szeregu istot: „Duma — powiada Broca — będąca jednym z najcharakterystyczniejszych rysów naszéj natury, osiąga w wielu umysłach pierwszeństwo nad spokojnêm świadectwem rozumu. Podobnie jak owi cesarze rzymscy, upojeni potęgą swoją, zaczęli przeczyć ludzkiéj swojéj naturze, sądząc, że są pół-bogami, tak téż król naszéj planety wyobraża sobie, iż kraina zwierząt, posłuszna jego kaprysom, nie ma nic wspólnego z własną jego naturą. Nie wystarcza mu już być królem zwierząt; pragnie on, aby przepaść niezmierzona, niezgłębiona dzieliła go od tych ostatnich. Lecz anatomia, podobnie jak ów niewolnik, kroczący za rydwanem tryumfatora i wołający: *Memento te hominem esse*, anatomia nakazuje mu ocknąć się z tego naiwnego podziwu dla samego siebie i przypomina mu, iż realność, widzialna i namacalna, wiąże go ze zwierzęcością“.

Dr. Józef Nusbaum.





Ludwik Sztyrmer.*)

V. W Kozienicach (1829—1830).

Sztyrmer dostał się pod dowództwo pułk. Jana Leppigé, Francuza z pochodzenia, lecz urodzonego już w Polsce. Ojciec jego tapicer, nie mógł mu dać staranniejszego wychowania; pożycie jednak w świecie, znajomość z osobami wyższego towarzystwa, obycie się z formami, sprawiły, że Leppigé okazywał wszystkie przymioty dobrze wychowanego człowieka i trzeba było być bardzo wprawnym w poznawaniu ludzi, lub widzieć go w cokolwiek weselszym humorze, ażeby odkryć w nim braki, pewne ślady pierwotnego zaniedbania. Zajęty ciągle robieniem majątku, nie był jednakże sknerą, owszem żył bardzo dobrze, stół jego był wyśmienity, wino stare, a gościnność dla wszystkich. Oficerowie nie lubili go dlatego, że w postępki jego wkradała się często chytrość i samowola, ale niechęć ta była tak skryta, tak przytłumiana jego gościnnością, że obcy myśleli zawsze, iż Leppigé jest bardzo lubiany od podwładnych. Kiedy gdzie wyjeżdżał z wizytą, zawsze brał kogoś z sobą, nigdy sam nie jadł obiadu, a często po obluzie warty: „napijemy się wódeczki,“ było hasłem, po którém węgrzyn lał się strugą, a wesołość w późną noc się przeciągała.

Dla Sztyrmera był nadzwyczaj przychylny; chwalił go i woził wszędzie, zawsze znalazł sposobność proszenia go do siebie i częstowania. Mimo to Sztyrmer, idąc za innymi oficerami, wydrwiwał go na zebraniach koleżeńskich. Powód istotny do niechęci dał mu pułkownik dopiéro z okoliczności śmierci ojca Sztymera. Ojciec, będąc niebezpiecznie chory, zaklinał Ludwika w liście, aby przyjechał zam-

*) Ciąg dalszy—patrz zeszyt za m. wrzesień r. b.

knąć mu powieki. Ludwik prosił Leppigé'go, żeby mu pozwolił jechać do domu na kilka dni, ale ten odpowiedział mu sucho, że w pierwszym roku po awansie nie może dać urlopu. Powtórna prośba nie skutkowała. „Niech mu to Bóg daruje! — pisze Sztyrmer w swych wspomnieniach—co do mnie, nie mogę mu tego przebaczyć i życzę mu, żeby w godzinie śmierci również nie mógł oglądać syna i próżno wyglądał jego przybycia!“ Dodać wszelako potrzeba, że to oburzenie na Leppigé'go więcéj miało chyba swe źródło w zawiedzionéj miłości własnéj, iż prośbie jego odmówiono, niż w cierpieniu, że nie mógł widziéć ojca przed zgonem. Wiadomość bowiem o śmierci jego w konwulsyach, w malignie, ze stałą jednak myślą o synu, któremu polecał staranie o rodzinie, wiadomość ta, otrzymana w pierwszy dzień Wielkiéjnocy (r. 1830), przeraziła Ludwika w pierwszéj chwili, lecz nie przeszkodziła mu bawić się i zalecać do panien. Oto, co pisze z tego powodu, zastanawiając się nad śmiercią ojca: „Zgon jego był ciężki, bolesny, i palec Boga widocznie dotknął go w ostatniéj chwili za błędy całego żywota. Pokój jego pamięci! Ostatnie jego słowa wyrażały zgryzotę, że zostawia żonę i dzieci bez sposobu do życia, mogąc im zapewnić los nie świetny, ale przynajmniéj mierny i dostateczny, gdyby nie okropny nałóg pijaństwa, który wszystko zmarnotrawił, co mu talenta jego przynosiły. Dzieci, czy macie co jeść na jutro? — było ostatnie jego pytanie... Siostra opisywała mi to wszystko: i boleść matki i swoje strapienie i pogrzeb i wreszcie krytyczne całéj mojéj familii położenie. List jéj przywiódł mnie prawie do rozpaczy, dzień ten ciągnął się zbyt długo dla mnie; jednakże wyznać muszę, że czy to z obojętności, czy stąd, że ojca mego więcéj się bałem, jak go kochałem, zgon jego nie tyle zranił moje serce, ileby się można spodziewać po synu i człowieku tylą czułości obdarzonym. Wyznaję to szczerze, byłem zawsze dobrym i posłusznym synem, ale powiększyć swoje przywiązanie nie było w mojéj mocy, ani w mocy nikogo... Dałem słowo Horci, że będę w Policznéj w drugie święto Wielkanocy, i chociaż śmierć mego ojca mogłaby mnie od tego uwolnić, nie chcąc jéj jednak rozgłaszać, pojechałem. Potrzeba mi było po mojém zmartwieniu pociechy, potrzeba było, abym był wesół i szczęśliwy choć kilka godzin.“

W każdym jednak razie, jakiekolwiek były pobudki żalu do Leppigé'go, istniały przecież i zaostrzały sarkazmy nań rzucane. Razu pewnego, gdy dowódca brygady pułk. Płonczyński miał przyjechać na lustracyą i Leppigé skwapliwie zajmował się porządkiem, Sztyrmer, mając już wychodzić od jednego z kolegów, powiedział: „Ach, jak ten Leppigé boi się Płonczyńskiego“, nie wiedząc, że

Leppigé po cichu wszedł był do pokoju i stał za nim. Spostrzegłszy go Sztyrmer, nie tracąc fantazyi, skłonił mu się i wyszedł. Leppigé, dotknięty w punkcie najczulszym,—tysiącem małych, ale dotkliwych nieprzyjemności dokuczał Sztyrmerowi, za co tenże odpłacił sowicie, gdy Leppigé został oddalony ze służby w grudniu r. 1830.

Bądźcobądź, dowództwo tego człowieka nie ciężyło bynajmniéj Sztyrmerowi przez większą część czasu, w którym od niego zależał, owszem, wszystkie miłe znajomości, jakie w Kozienicach i w okolicy porobił, zawdzięczał Leppigému.

Z towarzyszami żył Sztyrmer na stopie grzeczności tylko, nie szukając już serdeczniejszych związków. Nawet ze Szmideckim, z którym początkowo razem w Kozienicach zamieszkał, nie mógł długo pozostawać w dawniejszych szkolnych stosunkach. Otrzymawszy nad nim przewagę, stawał się zbyt wymagającym i despotycznym; musieli się z sobą rozstać i zejść prawie na taki sam poziom chłodnego i grzecznego koleżeństwa, jaki znamionował pożycie Sztyrmera z resztą towarzyszy 1-éj kompanii pozycyjnéj artyleryi pieszéj.

Ponieważ czas wolny, pozostający od mustry i innych zajęć wojskowych, był bardzo znaczny, Sztyrmer postanowił początkowo zużytkować go na dalsze kształcenie się, rojąc nadzieje o rychłém posuwaniu się po drodze awansów.

„Jestem młody — mówił sobie — zacząłem dopiéro 21-szy rok, a jestem już oficerem w artyleryi! Odebrałem najlepsze, jakie w kraju odebrać można, wychowanie, z dziećmi najpierwszych familii, i w instytucie, który słynie wszędzie; mam żołd porządny (około 245 złp. na miesiąc); twarz moja nie jest odrażająca, obejście moje może być przyjemném, a więc fortuna powinna mi sprzyjać!... Ciesz się, Ludwiku! tylko się dasz tu poznać, za miesiąc lub za dwa, będą się starać w zawody o twoję znajomość, ugaszczać cię, fetować, prosić; wszystkie panny szalenie się w tobie zakochają... Z drugiéj strony, natura dała mi talent do poezyi i filozofii, a może nawet geniusz mój matematyczny tylko się uśpił? Trzeba więc, abym naukom poświęcił główną część czasu, a resztę dopiéro zabawom; będę się zajmował, rozdzielając czas najskrupulatniéj i przeznaczając na każde zatrudnienie liczbę godzin podług systematu p. Jullien [1]), napiszę poemat i kurs filozofii dla potomności; a w matematyce lub artyleryi zrobię jakie odkrycie dla

[1]) Była to głośna w owym czasie książka, o któréj w gazetach dużo pisano. Po polsku wyszła p. n. „Zarys nauki względem użycia czasu“ w „Tygodniku Polskim“ Damazego Dzierożyńskiego, r. 1832.

współczesnych, dla mojéj sławy i karyery, bo niezawodnie po wydrukowaniu tego dzieła wkrótce zostanę pułkownikiem!“

Zamiary te trwały w głowie młodzieńca krótko, porwał je i pogmatwał prąd życia i wypadki krajowe.

Z początku po przybyciu do Kozienic we wrześniu, przesiedział istotnie Sztyrmer kilka dni w domu, czytając kiedyniekiedy poezye Moora, Werthera lub Heloizę, przeglądając wypisy swoje porobione w szkole z filozofii Flotta, a częściéj chodząc, marząc i fajkę paląc. Widząc atoli, że z takiego trybu życia korzyści było niewiele, a koledzy gniewali się, że ich nie odwiedzał, poszedł za radą Szmideckiego, żeby nie być dziwakiem i zaczął żyć jak drudzy, zbliżywszy się do nich. Ponieważ jednak musiał poprzestawać na prostéj grzeczności i interesie, nie zadawalniały te przemijające związki potrzeby jego serca. Po miesiącu wszystko go znudziło i oficerstwo jego, i koledzy, i zajęcia naukowe; nie wiedział, co z sobą zrobić i gdzie się obrócić; z wrodzonego zamiłowania zaczął robić wycieczki w okolice Kozienic, zupełnie bez celu. Często wyszedłszy z rana sam jeden, błądził cały dzień po lesie, po piaskach, po zaroślach, jadł mleko kwaśne zamiast obiadu, siedział nad grobowcem Mageta na cmentarzu żydowskim, bez żadnéj określonéj myśli, marząc o niebieskich migdałach. Samotna przechadzka po lesie, zwłaszcza w jesieni, robiła na nim dziwne wrażenie: było to uczucie „prawie religijnéj melancholii“; dusza jego była wtedy „najpełniejszą Boga, a serce, najzdolniejsze uczuć i znaleźć przyjemność w wypełnieniu wszystkiego, co jest wzniosłém i szlachetném,“ biło mu silnie „dla wszystkich wspaniałych uczuć cnoty, religii, honoru.“ Często na przechadzki takie brał z sobą ksiażkę, ale rzadko ją czytal; zazwyczaj patrząc na nią i zajmując się innemi myślami, nadstawiał ucha na szum liści, na szelest jesiennego wiatru; i wieczorem nieraz znalazł się na mogiłkach kirkutu dumając o niczém.

Koledzy zaczęli go wyśmiewać; przyrzekł poprawę; nastąpiła zgoda, po któréj wprowadzony został Sztyrmer do towarzystwa kozienickiego: do pocztmistrza Skorupskiego, do państwa Olszewskich, do p. Hodorowiczowéj.

Przy pocztmistrzu, wdowcu, mieszkały dwie jego siostrzenice: Zofia i Tekla Kamińskie, proste, rumiane dziewczęta prawie bez żadnego wychowania, do których chodziło się, „żeby z nich pożartować i przepędzić wieczór bez żeny.“ Każdy zjadłszy i wypiwszy dobrze, drwił sobie ze Skorupskiego i rumianych jego siostrzenic. W głowie Sztyrmera było z naczytania się romansów „tyle frazesów romansowych i tyle chęci przedstawienia ich jakiéjś piękności“, że się z tém

zwrócił do Tekli, wzdychającéj do oddania komu swego serca. Tekla słuchała frazesów, odpowiadała westchnieniami; ale że przyzwyczajona już była do czułości wypowiadanych z ironią, czekała realniejszego objawu uczuć, oświadczenia o rękę. Możeby się 21-letni młodzieniec wplątał był nawet w małżeństwo, gdyby nie był porobił innych, dystyngowańszych znajomości. Kiedy już je zawarł, kiedy się otrzaskał w towarzystwie, zaczął traktować Teklę lekceważąco, wchodził często do jéj pokoju, gdy się ubiérała, pomimo jéj krzyku i łajań, oraz przekąsów Zofii, która go nigdy nie lubiła.

Dom państwa Olszewskich składali: Olszewski, dymisyonowany ułan, naddzierżawca dóbr rządowych Kozienice, człowiek prosty, gruby, nieokrzesany, za którego wyszła wdowa po Glińskim, bardzo miła i szanowna osoba, już podstarzała; daléj panna Ludwika Glińska stara cokolwiek panienka i Teresa Połońska, guwernantka, jeszcze starsza, wreszcie mała Józefinka, córka i faworytka Olszewskiego, mająca lat 9. Dwie panny za stare i za uczone dla Sztyrmera, tak że się bał nawet do nich przybliżyć, oraz trzecia za młoda nie mogły pociągnąć ku sobie młodzieńca; rzadko więc tu bywał, chyba proszony.

Częściéj odwiedzał dom, zwany Hamernią od fabryki, która się tam znajdowała; bo dwie panny dorodne w nim były: Feliksa i Eligia Hodorowiczówny. Feliksa szczególniéj, bardzo miła i dobrze wychowana, niezmiernie łagodna w obejściu, chociaż nie miała rysów regularnych i brakowało jéj zęba na przodzie, mogła się wielce podobać, ale miała to nieszczęście, że towarzysz Sztyrmera, Link, „bożyszcze tańców kozienickich“, którego kochała i który ją kochał, nie mógł się z nią żenić jako ubogą, a doktór wojskowy Wołowski, śmieszny i podły, którego nie cierpiała, męczył ją propozycyą małżeństwa.

Pierwsze wystąpienie Sztyrmera w większém zebraniu było próbą ogniową jego nieśmiałości. Wyszedł z niéj zwycięsko, jak ci ludzie, co, mając w duszy dużo energii, lękają się zrazu ją okazać, ale gdy się odważą, puszczają się na oślep, bez cugli. Wszak i tchórz bywa odważnym. Przytoczymy tu własne jego słowa:

„Leppigé, żyjący po kawalersku (bo żona z dziećmi została w Warszawie), powiedział, że mnie rozrusza i na pierwszy wstęp zawiózł mnie do państwa Gano na wesele córki ich, Ludwiki, na które byliśmy wszyscy proszeni. Jadąc z nim, czułem rodzaj małéj trwogi; było to bowiem pierwsze wesele i pierwsza zabawa, na któréj mi wypadało grać przyzwoitą rolę... gdzie może trzeba będzie tańczyć, bo Leppigé koniecznie tego chciał, a ja tylko z Braunerem dotąd (i to Bóg wié po jakiemu) umiałem przeskakać walca i cokolwiek mazura, którego figur wcale nie pojmowałem. Nie tańcząc nigdy dotąd z ko-

biétą, bałem się tego jak śmierci, pewny będąc, że co krok nastąpię na nogę. Jednak jak tylko kielichy obeszły, muzyka zabrzmiała polskiego, nie wiem czy z wina, czy skąd wzięła mi się odwaga i źle bezwątpienia, ale jakkolwiekbądź, dość że całą noc tańczyłem — walca tylko, bo mazura nie mogłem się odważyć. Szczęście, że wesele to prawdziwém było weselem. Szlachta rozochociła się węgierskiém, damy przyzwyczaiły się patrzéć na półtrzeźwych i w tym zgiełku mniéj uważano na moje awantury. Inaczéj widok młodego oficera zbyt może wesołego w domu, gdzie był pierwszy raz, tańcującego brzydko, a zapamiętale (w końcu z przewiązaną chustką na nodze) niepochlebne zapewne dałby o mnie wyobrażenie. Hulanka ta trwała trzy dni—miałem tyle rozsądku, że na drugą noc dałem się namówić kolegom mniéj zapalonym do tańców, choć lepiéj odemnie tańcującym, i wyjechaliśmy, nie żegnając się, bo szlachta pewnieby nas nie wypuściła z rąk. W drodze, czując, że mi w głowie dość ciepło, zapomniałem o reszcie ciała, zaziębiłem nogę, która od zbytniego tańca i tak mnie bolała, i chodziłem kulejąc potém przez kilka tygodni. Oto jedyny użytek z pierwszéj zabawy! Zamiast, żeby się nad nią zastanowić, miłość moja własna podniosła się jeszcze; zdawało mi się, że ja będę bożyszczem salonów, zrobiwszy tak ładne *coup d'essai!* Zaślepienie to jednak niedługo trwało. Koledzy i Leppigé zaczęli ironicznie przypominać mi niektóre moje kawałki, poznałem, że nie mam sobie czego winszować i postanowiłem się poprawić. W wizytach moich u Olszewskich i Hodorowiczowéj, zacząłem się inaczéj pokazywać, zapomniano przeszłości i wkrótce w Kozienicach zaczęto mnie uważać nie za cud, ale za przyjemnego człowieka."

Odwiedziny w Hamerni pozostawiły nazawsze w sercu Sztyrmera najmilsze wspomnienie; względem panny Feliksy z początku żywszego doznawał uczucia, przestał jednakże późniéj na grzeczności i przychylności; a wieczorki skromne, na których tak on jak całe towarzystwo „naturalną wesołość" okazywali, były tak uroczemi, że żaden bal publiczny, żaden salon dostojnych osób, widziane przezeń w latach dojrzalszych nie mogły z niemi we wspomnieniu jego rywalizować.

Zaprawiwszy się na tych prostych zabawach, nabrawszy pewnego stopnia śmiałości, mógł nasz podporucznik wystąpić odważniéj w towarzystwie bardziéj dobraném i puścić się w zaloty. Próżność młodzieńcza i miłość własna domagały się tryumfów i w tym kierunku.

Sposobność ku temu nadarzyła mu się niebawem. Dziedzicem Tyżyna za Wisłą (od Kozienic) był p. Ostrowski. Oficerowie zaproszeni na jego imieniny, pragnący poznać się z domem poważanym,

oczywiście nie odmówili. Pojechał i Sztyrmer ze Szmideckim, mając nabitą głowę tysiącem anegdot o Frani, synowicy Ostrowskiego, i marząc o podbiciu jéj serca. Zebranie było liczne, obiad pyszny, węgrzyna aż nadto. Muzyka żydowska z Przytyka zaczęła grać; rozpoczęły się tańce; starsi wyszli do innych pokojów, Ludwik przypomniał sobie swój podbójczy projekt. Trudno go było wykonać tego wieczora; Frania była zajęta, krzątała się, pomagała pani Ostrowskiéj. Nie znając jéj zgoła, Sztyrmer nie śmiał odrywać jéj od kłopotów gospodarskich, zdecydował się na ten raz próbować szczęścia u jéj siostry stryjecznéj, Teofili, wysokiéj, nieszpetnéj brunetki. Przysiadł się do niéj z przygotowanemi dla Frani strzałami. Z rozmowy dowiedział się, że na drugi dzień wyjeżdża i że może się nigdy nie zobaczą. Grzeczności Ludwik podwoił; i w jeden wieczór romans był nietylko zaczęty, ale doprowadzony do tego punktu, że mu na pamiątkę pozwolono odciąć nożyczkami kawałek wstążki od przepaski. Nad ranem towarzystwo się rozjechało.

Odtąd zaczęły się częste wycieczki Sztyrmera za Wisłę. Była to rodzina tak dobra, tak przyjacielska i gościnna, że przyjechawszy przekonywał się zawsze, iż wszyscy byli mu radzi. Powoli zbliżył się do Frani; prowadzono z początku obojętne, potém coraz żywsze rozmowy, nakoniec pani Ostrowska wystąpiła z alluzyami do małżeństwa. Nie przychodziło to Ludwikowi wcale do głowy; panna była od niego starsza, miała około 24 lat, małego wzrostu, blondynka, nie piękna, bez majątku, bez lepszego wychowania; posiadała jedynie żywość, wesołość, naturalność i prostotę bardzo przyjemną; on chciał jedynie poromansować, chociaż Frania miała się na ostrożności i prawdopodobnie dążyła do ślubu. Miłość ta, a raczéj zalecanie się tylko dla milszego przepędzenia czasu, ciągnęło się dosyć długo; przyszło do dania pierścionka i splotu włosów przez Franię; Ludwik odwzajemnił się ofiarowaniem romansu „Hrabia Ostroróg“, dlatego że między osobami w nim opisywanemi był Ludwik. Stosunek ten głaskał miłość własną młodzieńca, zwłaszcza, że przed nim paru jego kolegów ubiegało się o względy Frani. Sztyrmerowi zdawało się, że odniósł zwycięstwo nad spółzawodnikami, chociaż ci bynajmniéj mu teraz w drogę wchodzić nie zamierzali..

Tymczasem Teofila przyjechała na kilka tygodni. Nowość pociągnęła Ludwika, który już się nudził powtarzaniem tych samych zawsze frazesów téjże saméj osobie; manewrował tak zręcznie, że nie obudzając podejrzenia we Frani, potrafił i od Teofili uzyskać pierścionek i splot włosów, sam zaś dał jéj „Samotnika.“ Obydwa pierścionki trzeba było schować, a „sploty nosić na prawéj i lewéj ręce pod mankietem surduta.“ Cały czas pobytu Teofili przeszedł młodzieńcowi bardzo przyjem-

nie; jeździł do Tyżyna co drugi, co trzeci dzień; Teofila była bardzo czuła, Frania zazdrosna, Ostrowscy weseli; chwile mijały szybko, czasem kazano zawołać skrzypka i Ludwik sam tańczył z obydwoma siostrami... „dla rozrywki, dla swawoli.“ Wyjazd Teofili zrobił na Sztyrmerze wrażenie. Mówiła ona ze śmiechem, że przejeżdżając przez Wisłę utopi się, i że Sztyrmer będzie z tego kontent. W śmiechu jéj było coś smętnego, jakby przeczucie, że się widzą po raz ostatni. Była to dziewczyna równie mało mająca wykształcenia, jak Frania, ale w sercu wiele miała prawdziwie kobiécéj czułości. Sztyrmer jéj nie kochał, ale czuł dla niéj żywą sympatyę; lubił ją dla jéj smętnych rozmów nacechowanych naturalnością i dalekich od ironii, która znamionowała Franię. Po jéj oddaleniu się, Sztyrmer wrócił do Frani, ale ta mu już nie dowierzała, robiła wymówki; Ostrowscy powstawali na młodzież szukającą żon bogatych; stosunki się oziębiły, zwłaszcza że serce Ludwika było już zupełnie oddane innéj osobie.

O trzy mile od Kozienic w Policznéj, dobrze znanéj w dziejach literatury naszéj z powodu małżeństwa Jana Kochanowskiego, mieszkali naówczas zamożni i poważani państwo Boguccy. Nie wiedzieli oni pewnie o historycznêm znaczeniu swéj wioski, podobnie jak i Sztyrmer, ten bowiem żadnéj w tym względzie nie czyni wzmianki w pamiętnikach swoich. Żyli tylko życiem obecném. P. Malachiasz Bogucki, któremu został tytuł marszałka dlatego, że niegdyś urząd ten sprawował na sejmiku w Kozienicach, był to człowiek lat około 48, podsiwiały, lecz zdrowy i czerstwy. Nie posiadając majątku, ożenił się z wdową bogatą i rodem swoim dumną; był więc jéj podległym i nie miał głosu. Charakteru najlepszego, spokojny, gościnny, lubiał dobrze zjeść i lepiéj jeszcze wypić; stąd téż każdy był mu miłym gościem. Żyjąc w przyjaźni z Leppigém, słyszał ciągłe od niego pochwały o Sztyrmerze i pewny był, że tenże zrobi kiedyś w świecie wielką karyerę. Żona jego Tekla, z domu Pieniążkówna, z pierwszego małżeństwa Potkańska, miała około 45 lat; była-to „kobiéta-pani“: rządziła domem sama, wszystko było posłuszne jéj skinieniu, nie wyłączając męża. Jedyne jéj zatrudnienie stanowiły ulubione tryki i owce, leczenie wieśniaków, pasyans i rumel-pikieta. Krewni i niekrewni, z bardzo nielicznemi wyjątkami, byli jéj obojętni; trzeba było wielkiego faworu, żeby od niéj usłyszéć najmniejszy komplement, a małego bardzo uchybienia, żeby otrzymać porządną reprymendę. Nie mając dzieci, wzięła do siebie córkę swego brata Emilią Pieniążek, którą jak najstaranniéj wychowała, i Hortensyą Wyszkowską, kuzynkę swego męża, która w mniejszym daleko stopniu doznawala jéj pieczołowitości. Na najlżejszy znak przez nią zrobiony, obie panienki

biegły jak błyskawica i nadstawiały uszka dla odebrania rozkazu. W chwilach dobrego humoru była dość wesoła; a dla Sztyrmera w ciągu całéj znajomości dobra i grzeczna, czasem nawet, kiedy przyjechał, głaskała go po głowie z pieszczoty, co było dowodem wielkiéj łaski.

Charakterystyczny opis zapoznania się z tym domem, a zwłaszcza z płcią w nim piękną, podaję dosłownie ze wspomnień Sztyrmera.

„Przy końcu września, w dzień św. Tekli były imieniny p. Boguckiéj. Leppigé zabrał Linka, Radziszewskiego i mnie; zjedliśmy u niego śniadanie i wyjechaliśmy do Policznéj. Przez drogę żartował ze mnie, że się pokocham, że się roztańczę i t. p. i tém mię cokolwiek zmieszał. Wiedziałem, że będzie wiele gości; jechaliśmy na obiad; trzeba więc będzie wmieszać się do towarzystwa przed obiadem; nieśmiałość moja męczyła mnie całą drogę; bałem się téj pierwszéj, jak mogę nazwać, wielkiéj wizyty. Nareszcie przyjechaliśmy; osób było mnóstwo; Leppigé nas zarekomendował i każdy poszedł w inną stronę. On usiadł przy Boguckiéj, Link i Radziszewski natychmiast przysunęli się do panien i znaleźli łatwo przedmiot rozmowy, a ja stanąłem na boku, nie wiedząc co robić z sobą. Do panien bałem się przystąpić nie wiedząc, o czém zagadać, a z mężczyzn nie znałem nikogo; nareszcie słysząc blisko siebie kółko rozmawiające o polowaniu, przyłączyłem się do nich, nie wystrzeliwszy w życiu mojém z fuzyi; a jednak słysząc moję rozmowę, niktby mnie o to nie posądził. Na moje szczęście był tam bardzo dobry i zacny chłopiec Floryan Pieniążek, z którym w moment poznajomiliśmy się; powiedział mi, że p. Bogucka jest jego wujenka i, jakby zgadując moję myśl, dodał, że z trzech panien, które rezem siedzą i przy których się kręcą moi koledzy, najwyższa jest panna Kisielowska, która wkrótce za mąż wychodzi, druga jest jego rodzona siostra Emilia, a trzecia bliska jéj i jego kuzynka, panna Hortensya Wyszkowska. Widok każdéj panny w owym czasie sprawiał silne na mnie wrażenie, więc i piękne *trio* zajmowało mnie kilka minut. Zazdrościłem Linkowi, który zdawał się coś czułego szeptać, i Radziwszewskiemu, który swoim zwyczajem facecyonował, śmiał się i rozśmieszał wszystkie trzy panienki. Ale wreszcie zrobił się ruch; wciągnięto mnie z tłumem i dopiéro w drugiéj sali spostrzegłem, że do stołu podano. Widok nakrytego stołu wygładził z méj głowy słabo nakreślone trzy figurki; rzucałem nieraz spojrzenia na poboczny stół, gdzie one z swymi kuzynami siedziały, ale częściéj jeszcze na półmisek i kieliszki. Obiad się skończył o godzinie 5-éj; rozmowa i karty przeciągnęły się do 7-éj, a potém zaczęły się tańce. Ogromne herbowe kielichy, z których toasty musiałem wypijać, podniosły cokolwiek moją śmiałość i, jakby od anioła za rękę wiedziony, poszedłem prosto

do panny Emilii prosić ją do walca, i z (!) tej chwili jakby magnes, kroki moje cały wieczór ku niéj się zwracały; stałem przy niéj, kiedy grała na fortepianie, a jak tylko skończyła, przychodziłem prosić ją do tańca, przez cały ten wieczór nie mówiąc z nią ani słowa, albo mówiąc bardzo mało. Tak częsty taniec był natręctwem, Emilia tego bynajmniéj na sobie nie pokazała, ale p. Bogucka, widząc, że to łatwo może zaszkodzić delikatnemu jéj zdrowiu, zrobiła mi tę uwagę, prosząc, abym przez litość dał jéj pokój. Wymówiłem się jak mogłem najgrzeczniéj, ale nie przestałem brać do tańca. Zabawa się przeciągnęła późno w noc; o godz. 12-éj dali kolacyę, po któréj pogadawszy jeszcze cokolwiek, rozeszli się wszyscy spać z wielkim moim żalem. Dla nas posłano pościel w oficynach po kawalersku t. j. na słomie; spać zaraz było niepodobna, bo młodzi ludzie po zabawie zawsze mają przedmiot do rozmowy; chodziliśmy więc po stancyi, paląc fajki, śmieliśmy się razem i szczerze, chociaż najwięcéj moje tańce były powodem śmiechu. Żartowali ze mnie, żem się pokochał, z czego z całéj duszy śmiałem się, zapewniając ich (jak istotnie było), że jestem zagrzany tylko węgierskiém, ale nie miłością... Wreszcie służący wszedł nas rozebrać i podał nam nową materyą do wesołości. Posłaliśmy go do panien prosić o czépki nocne, które z wstążkami wkrótce przyniósł i powiedział nam, że panny jeszcze nie śpią; skąd naturalnie wypytywanie się o pannach, z którego to tylko pamiętam, że p. Emilię wystawił nam dobrą jak anioła, dodając, że jakiś jegomość przyjeżdżał swatać się, ale go odprawiono. Nazajutrz tenże służący powiedział nam rano, że p. Emilia po zbytnim tańcu przebiegła przez korytarz, zaziębiła się i całą noc była chora do tego stopnia, że p. Bogucka oka nie mogła zmrużyć, ale że nad ranem zrobiło jéj się lepiéj. Uczułem niewcześnie swoją nieroztropność, ale cóż było robić; spuściłem się na los. Koledzy moi byli w dobrym humorze, to i mnie rozweseliło; odpięliśmy wstążki od czépków i każdy schował swoją na pamiątkę. Młodzież się do nas przyłączyła i wszyscy razem weszliśmy do pokoju, gdzie p. Bogucka dała mi wprzód delikatną reprymendę, a potém kawy. Trudno mi się było wymówić, kiedy usłyszałem te słowa: ja przestrzegałam, ale cóż, kiedy to młodzież nigdy nie słucha! Jednakowoż otrzymałem przebaczenie. P. Emilia weszła, blada na twarzy, i w téj chwili zrobiło mi się bardzo smutno, widząc, że nasza znajomość zaczyna się od jéj choroby, któréj ja jestem przyczyną; przebąknąłem kilka słów przeproszenia, których nie dała mi dokończyć, zapewniając z lekkim uśmiechem, że już jéj daleko lepiéj i że cała wina jest w jéj nieostrożności. Chcieliśmy wyjechać po kawie, ale jako winowajcom nie pozwolono

nam, rozkaz ten był stanowczym, bo Leppigé wyjechał w nocy, więc musieliśmy czekać, aż nas odeślą. Chociaż mało gości się zostało, jednak bawiliśmy się bardzo dobrze; zachęcony przykładem moich kolegów i ja zacząłem brać udział w rozmowie z pannami i po kilku godzinach byłem w swéj sferze. Leppigé musiał mnie mocno zachwalić, bo p. Bogucka często ze mną mówiła i bardzo łaskawie, powtarzając, że to jest wielkie szczęście być tak młodym i już oficerem w artyleryi. Na drugi dzień wyjechaliśmy rano po kawie, proszeni będąc, aby częściéj przyjeżdżać. Z pierwszéj téj wizyty nie uniosłem żadnego z sobą uczucia oprócz wesołości; wszystkie trzy panny podobały mi się, Emilia może więcéj ale bez żadnego uczucia, którego jeśli i było cokolwiek, to zniknęło przy śmielszych od Emilii pannach w Tyżynie i na poczcie [1]).

Wesołość i pustota, podniecone powodzeniem, były przez jakiś czas jedynemi bodźcami postępowania Sztyrmera. Równomiernie zalecał się na poczcie, w Tyżynie i Policznéj; a chcąc sprawić wrażenie wielce przez panny rozrywanego kawalera, do dwu pierścionków, które otrzymał w Tyżynie, dokupił jeszcze trzy tombakowe w Kozienicach i włożywszy całą tę piątkę na palce, błysnął nią w Policznéj. Ale tu p. Bogucka tak ironicznie nań spojrzała, że na drugi raz pochował wszystkie. Powoli zaczęło się do serca jego wkradać uczucie czulsze i szlachetniejsze, wzmacniane najpewniéj tém, że od Emilii nie zdobywał tak łatwo dowodów uczucia jak od Teofili lub Frani; jak w przyjaźni bowiem, tak i w miłości Sztyrmer potrzebował oporu, ażeby się silniéj przywiązać. Państwo Boguccy niechętném patrzeli okiem na zaloty oficera; a pani Bogucka, Pieniążkówna z domu, niewątpliwie dała uczuć, że nie powierzyłaby Emilii człowiekowi biednemu, żyjącemu tylko z żołdu i — z niepolskiém nazwiskiem mieszczańskiego pochodzenia. Trudności te dodawały goryczki uczuciu i tém je powabniejszém czyniły. Przebiegi miłosne pozwoliły Sztyrmerowi pod czujném okiem rodziny przeprowadzić porozumienie się z Emilią i wywołać objawy uczucia podzielanego w sposób pełen szlachetności i godności.

Tu miejsce na wizerunek Emilii, skreślony ręką zakochanego i oczytanego w ówczesnych sielankowych romansach młodzieńca:

---

[1]) Dla przekonania się, jak Sztyrmer zużytkowywał wypadki rzeczywiste w późniejszych powieściach swoich, można porównać przytoczony powyżéj ustęp z analogicznym, niekiedy dosłownie z pamiętników własnych powtórzonym kawałkiem „Duszy w suchotach", które ze wszystkich opowiadań Sztyrmera najwięcej zawiera rysów autobiograficznych. Zob. „Powieści nieboszczyka pantofla" 1844, t. II, 189—196.

„Emilia Pieniążek mogła mieć naówczas (1829 r.) siedmnaście lat. Wysoki wzrost, wysmukła kibić, twarz biała jak lilia, na któréj tylko w chwili wzruszenia przebijał się lekki różowy obłoczek, a zwyczajnie przez śnieżystą białość przebijały się najdelikatniejsze fibry twarzy, włos kruczy, oko czarne, pełne słodkiéj melancholii i przytłumionego ognia, smętność rozlana na całéj twarzy, rączka i nóżka ręką gracyi ukształtowana: — oto jest słaby obraz Emilii! O, gdybym mógł równie opisać moralne jéj zalety! owę cichość i spokojność anioła, owę smętność, która, zdawało się, duszę jéj unosiła w niebiosa, podległość swojéj wujence, dobroć dla służących i wieśniaków, których była bożyszczem, harmonią jéj głosu, coś anielskiego w uśmiechu, niewinność dziewiczą i nieśmiałość dziecka przy charakterze mocnym i dziedzicznym w linii żeńskiéj Pieniążków! Z postaci podobna do mojéj siostry Teofili, wznieciła w mém sercu uczucia tak miłe i łagodne, jakgdyby miłość siostry, wzrastając w sile do nieskończoności, zachowała jednak swą naturę. Była to miłość tak czysta, że prawdziwie zasługuje na nazwanie niebieskiéj i — nigdy w życiu nie miałem chwil podobnych. Ani Heloiza, ani Karolina Werthera nie dadzą się z nią porównać; jedna Aldona ma niektóre rysy charakteru do niéj podobne, i téj braknie jeszcze téj łagodności (*candeur*), któréj w romansach i w świecie nigdy nie widziałem.“

A oto portrecik jéj towarzyszki i pośredniczki w miłości:

„Kuzyna jéj Hortensya Wyszkowska była może od niéj młodsza; blondynka, niskiego wzrostu, cokolwiek piegowata na twarzy, co jednak w przyjemności nic jéj nie szkodziło; oko niebieskie, żywa tyle i szczebiotliwa, ile Emilia powolna, milcząca i zamyślona; słowem zupełny kontrast z nią formująca. Ona jedna wystarczała dla zajęcia rozmową kilku mężczyzn. Koledzy moi wszyscy przekładali ją nad Emilią. Śmiała, żartobliwa, rzeźwa, myślą obejmowała wszystko w moment. Podobna zupełnie do Klary d'Orbe (z „Nowéj Heloizy“ Roussa), nawet w ważnym kobiecego charakteru punkcie, że obojętnie i wesoło gotowa była iść za mąż za człowieka, dla którego nie czuła ani miłości, ani nienawiści. Charakter jéj tyle był żywym, że zdawał się niezdolnym do miłości, serce jéj biło silnie tylko dla Emilii, którą z całym zapałem kobiecéj przyjaźni kochała. Dwie te dziewczyny były nierozdzielne i nieśmiała Emilia chroniła się, że tak powiem, pod skrzydła żywéj choć młodszéj Horci. Ona była powiernicą jéj miłości, ona jéj radą we wszystkich zdarzeniach, ona wreszcie wyręczała ją nawet w odpowiedziach. Słowem co do przyjaźni, Emilka i Horcia, były wiernym obrazem Julii i Klary d'Orbe. Z (!) pierwszych prawie chwil naszéj znajomości Horcia była ze mną jak z bratem, otwarcie

bez żeny, i to wszystko bez innéj przyczyny nad tę, że widziała w sercu Emilii rodzącą się dla mnie skłonność.“

Państwo Boguccy mieszkali w drewnianym dworku, biało pomalowanym, do którego dotykał ogród dość zapuszczony. Jeden pokój, paradny, umeblowany był średnio; mieścił kanapę, na któréj wiecznie siedziała p. Bogucka mając pod ręką dzwonek dla wzywania służących, dwa stoliki, stary klawikord i 12 krzeseł. Inne dwa pokoje były zawsze zamknięte i zawalone sprzętami i pudłami. Sala jadalna była naprzeciw paradnego pokoju. Zamiast pieca, był w niéj wielki komin z ogniskiem zawsze w zimie gorejącém; podłoga ze starych desek, na któréj jednak tańczyło się bardzo wesoło. W niéj także słano Sztyrmerowi, kiedy zostawał na noc; w niéj rano siedział w oknie z nocnym czepkiem Emilii na głowie, śmiejąc się z dziewcząt wiejskich, które przelatywały pod oknem, śmiały się i uciekały coprędzéj; w niéj pisywał karteczki, w których malował swe uczucia Emilii, w niéj marzył o szczęściu w przyszłości. Pokój panieński był na drugim końcu domu od bramy. Okna jego wychodziły na drogę, i zawsze kiedy Ludwik wjeżdżał w bramę, widać było przez szybę główkę Emilii; tam była zwyczajna jego przechadzka rano, kiedy p. Bogucka jeszcze spała, a on był przekonany, że Emilia nie śpi, bo ubierając się, posyłał to po grzebyk, to po lusterko, to po żelazko; służący zaś, którzy go lubili, domyślali się łatwo, któréj panny o to prosić. Pod tém ulubioném oknem chodząc, nigdy w zimie nie czuł mrozu...

Szczęśliwém wiedziony natchnieniem, Sztyrmer z samego początku odwiedzin swoich w Policznéj, oświadczył, że nie umie grać w karty i ma wstręt do nich. Stąd wypłynęło, że p. Bogucka z zapałem grająca w rumel-piketę, nigdy go nie sadzała z sobą za stolik, dając mu sposobność zbliżenia się do panien. Była jednak ważna i tu niewygoda, gdy nikt więcéj z gości nie zawitał, bo wypadało z panią domu utrzymywać konwersacyą. Dla zaradzenia temu, brał Sztyrmer z sobą zawsze jednego z kolegów, którzy albo siadali z p. Bogucką do kart, albo z nią rozmawiali, nie domyślając się wcale, że służą za parawanik. Miał tedy możność dość swobodnego rozmawiania z Emilią, siedzącą zazwyczaj przy oknie z robotą w ręku, mógłby był więcéj mówić, aniżeli mówił, gdyby był śmielszy i gdyby pokój był większy; szczupłość bowiem jego zmuszała do półgłośnego wypowiadania swych uczuć. Sztyrmer użył i tu pośrednictwa Horci, z którą był odważniejszy. Wymyślił prócz tego sposób porozumiewania się za pomocą kostek od domina; pod pozorem gry zadawał Emilii pytania, na które musiała odpowiadać bodaj bardzo lakonicznie. Późniéj karteczki zastąpiły miejsce kostek; pytania stały się

naówczas szczegółowsze. W oczach p. Boguckiéj niepodobna było ani pisać ani oddawać bilecików; i tu miłość zaradziła, chociaż wiele kosztowało trudów, żeby ośmielić Emilią i ubłagać ją, by zezwoliła na obmyślony fortel. Napisawszy w sali jadalnéj swój hieroglificzny bilecik, w którym kropki i kreski miejsce liter zastępowały, a które Emilia z łatwością odcyfrować mogła, zawiązywał go Sztyrmer w róg swéj chustki od nosa, którą zręcznie przemieniał z chustką Emilii siedząc przy niéj. Emilia wówczas wychodziła, pisała odpowiedź w swym pokoju i przesyłała ją Ludwikowi tym samym co i on sposobem. Wziąwszy chustkę biegł do sali, by odpowiedź przeczytać. Późniéj znikły hieroglify; pisano do siebie zwykłemi literami; Sztyrmer przyjeżdżając miewał już kartkę dla Emilii gotową.

„Boże! — wołał w kilka lat potém Sztyrmer — jakie szczęśliwe momenta! jaki urok miało dla mnie każde słowo! témbardziéj, że Emilia czyniła to prawie mimowolnie, i choć treść naszych bilecików była tak niewinna, jak dusza Emilii, jednak serce to proste nie mogło bez wahania się zrobić żadnego kroku skrytego przed swą ciotką, i gdyby nie Horcia, nie miałbym ani jednéj odpowiedzi; ona bowiem tylko zdolna była ośmielić i skłonić ją do tego; kilka razy nawet Horcia sama oddawała mi odpowiedź, chociaż ta była ręką Emilii napisana. Z taką duszą, z takiém uczuciem, z takiém sercem dziewczyna nie może słabo kochać i najlepszy tego dowód w tém, że dla mnie zdecydowała się zrobić ofiarę nawet z swéj nieśmiałości... Serce Emilii, niewyczerpane w dobroci, zdało się być stworzoném, aby całą ludzkość ukochać. Przy charakterze smętnym, melancholijnym, myślącym, serce to biło dla wszystkich szlachetnych uczuć, do jakich człowiek jest zdolnym. Oko jéj, tak łagodne zwyczajnie, błyszczało żywszym płomieniem na każdą wzmiankę wysokich myśli lub ideałów człowieczeństwa i mocnoby się omylił, ktoby ją sądził, bacząc na to tylko, że zwyczajnie siedziała milcząca, z spuszczoném okiem i z nieśmiałą twarzą!... o nie! trzeba było również w milczeniu i cichości zgłębiać tę anielską duszę, aby poznać całą jéj wartość! Szum i gwar wysokiego świata, ton ludzi w téj sferze wychowanych nie mogły ją zająć. Przyzwyczajona do ustronia wiejskiego, lubiła ten rodzaj życia, jako więcéj zgodny z jéj charakterem i trzeba było człowieka z podobnym gustem, aby ją zająć. Myśl nieśmiertelności i lepszego świata była jéj ulubioną myślą, jedyną pociechą i osłodą w cierpieniach, bo i ta dusza prawdziwie niebieska nie była wolną od cierni żywota; charakter despotyczny jéj ciotki, ubóstwo i upokorzenie ojca, niedostatek matki, którą jéj śmierć wyrwała, wszystko to musiało być bardzo bolesném dla czułego jéj łona, które tylko w prawdziwéj przyjaźni dobréj Horci

znajdowało ulgę i podporę. Nakoniec miłość dopełniła jéj trosk; łudząc ją kilka chwil słodkiém uczuciem, przedstawiła jéj wreszcie twardą rzeczywistość i niepodobieństwo zamęźcia... Biedna Emilia! serce jéj było rozdzielone między nieograniczonym szacunkiem, który miała dla ciotki, i miłością!... serce to nie znalazło innéj pociechy nad słodką myśl, że za krańcami życia nie ma żadnéj przeszkody dla serc czułych i cnotliwych i że w bramach wieczności odzyska to wszystko, co jéj ludzie, obowiązki i los wydrą na téj ziemi; dusza jéj chciała mnie czekać w niebiosach!...“ [1]).

Stosunki Sztyrmera z Policzną trwały przez całą zimę r. 1830 i część wiosny, aż do wyruszenia z kompanią do Warszawy. Perypetyi żadnych nie zawierał spokojny, cichy, prosty przebieg uczucia jego do Emilii; gra w zielone, wygranie podstępne, nagrodzone woreczkiem z białych perełek przez Emilią zrobionym, wygranie toaletki puszczonéj przez Emilię na loteryę, otrzymanie splotu jéj włosów od Horci, lecz z jej przyzwoleniem, otrzymanie pierścionka z niezapominajką i ofiarowanie jéj bardzo niezręczne podobnegoż skromnego, kupionego od wędrownego żyda, przyjęte z pomieszaniem, ale bez gniewu, smutek ukochanéj z powodu nowego konkurenta, który odpowiadał życzeniom ciotki; oto drobne zdarzenia, które tylko dla zakochanych znaczenie i wartość miéć mogły.

Sztyrmer, oddany zabawom i marzeniom miłosnym, zupełnie przez całe 10 miesięcy oderwał się od nauki i książek; napisał tylko jeden sonet satyryczny z aluzyami do Tekli z poczty, oraz urywek p. t. „Obłąkany“, skreślony po nudnym balu a wyśmiewający próżność zabaw światowych...

Na początku czerwca 1830 r. wymaszerowała kompania Leppigié'go do Warszawy i stanęła tu obozem 13-go. Sztyrmer złączył się znowu ze swemi przyjaciółmi: Szmideckim i Krukowskim. Jeden z kolegów zbliżył go do dawnego kaliskiego towarzysza Ropelewskiego, który wtedy był podchorążym w 5-ym liniowym pułku i charakterem ustalonym, umysłem żywym i poetyckim, sercem bezinteresowném i pełném dobroci, dystrakcyami podobnemi do Lafontainowych czarował wszystkich, co go znali. Odwiedzał Sztyrmera bardzo często w barakach, a i Sztyrmer chodził nieraz do „filozoficznéj jego kwatery na dachu w szopie“. Rozmowy i dysputy były niewyczerpane; myśli Ropelewskiego zajmowały się kilkoma przedmiotami naraz i „nosiły ślady geniuszu“. Do Warszawy zaglądał Sztyrmer tyle tylko, ile nakazywała grzeczność, by odwiedzić pp. Romanowskich i Kru-

[1]) Porównaj „Powieści nieboszczyka Pantofla“ II. 198, 199.

kowskich. Ani teatr, ani zabawy, ani nawet sławna śpiewaczka Sontag, za którą wtedy szalano, nie mogły go zwabić, témbardziéj, że mu brakowało pieniędzy.

Feldmarszałek Dybicz był natenczas w Warszawie; wszyscy oficerowie oddawali mu wizytę. Gdy Sztyrmer wraz z kilku innymi odwiedzał go, Dybicz zwracając się do nich rzekł: „Chciałbym panów widziéć w swoim namiocie na polu bitwy“. Słowa te dla Sztyrmera urzeczywistnić się miały niebawem.

Sztyrmer widząc się z dyrektorem Szkoły Aplikacyjnéj pułk. Kołaczkowskim, prosił go, żeby mu wyrobił miejsce profesora w Szkole Artyleryi, chociaż mu „smutno było oddalać się od Emilii“. Projekt ten nie przyszedł do skutku; znudziwszy się porządnie wyszedł Sztyrmer z obozu 13 sierpnia, żałując tylko Ropelewskiego i małéj garstki innych przyjaciół; a żalu tego nie mógł utopić w częstych kielichach węgrzyna na śniadaniu u Leppigeowéj, rozstającéj się z mężem.

Zająwszy dawną swoją kwaterę w Kozienicach, pragnął bardzo pojechać do Policznéj, ale zły stan jego finansów na to nie pozwalał; siedział więc w domu i nudził się. Wizyty składane z grzeczności w Hamerni i uczonym pannom u Olszewskich, obcowanie z kolegami i wieczorki kawalerskie nie mogły zastąpić jednéj chwili w Policznéj. Pomimo najlepszych planów i najściślejszego rachunku na papierze, przy tak dobrym żołdzie, nigdy Sztyrmer nie mógł nic zaoszczędzić. Drobnostki, gra w kiksa, wino i częste wyjazdy niszczyły najpiękniéj zbudowany budżet. P. Bogucki nieraz zajeżdżał do niego i za każdym razem trzeba było posłać po wino. Szukał Ludwik rozrywki w myślistwie, ale się przekonał, że ono nie dla niego.

Z nudów rzucił się do pisania. Z powodu książki Kernera: „Jasnowidząca z Prevorst“, głośnéj natenczas, zaczęto znowu żywiéj się zajmować „magnetyzmem zwierzęcym“. Sztyrmer, rozczytując się jeszcze w Szkole Aplikacyjnéj w dziełach filozoficznych, wyrobił sobie pewne wyobrażenia o duszy, z których dedukcyjnie wyprowadzał wnioski o istocie zjawisk magnetycznych. Teraz w częstych rozmowach z kolegą Zboińskim, wypowiedział swoje w téj mierze poglądy. Zboiński doradził mu napisać o tém rozprawę i posłać do druku w czasopiśmie. Miłość własna dodała Sztyrmerowi — jak sam powiada — cierpliwości; skończył swą robotę w dwa tygodnie i posłał ją pocztą do „Pamiętnika umiejętności moralnych i literatury“, wychodzącego w Warszawie pod redakcyą Krystyna Lacha Szyrmy. W rozprawie swéj, Sztyrmer stylem zwięzłym, suchym, lecz jasnym, przeprowadził najprzód całkiem dualistyczne pojęcie stosunku duszy do ciała, twierdząc, że dusza z natury swojéj zawsze i we wszystkich ludziach jest

jednakowa, że ani cierpiéć, ani zmianom ulegać, ani doskonalić się, ani psuć się nie może; że wszystkie zatém różnice, jakie postrzegamy czy w rozwoju tegoż samego człowieka, czy w usposobieniu i uzdolnieniu różnych ludzi, zależą wyłącznie i jedynie od rozmaitości organów duszy t. j. mózgu i nerwów. Ustaliwszy to zdanie i powiedziawszy, że doskonałość duszy działającéj niezależnie od organów nazywać będzie „bezwzględną“ a doskonałość jéj, o ile po przez organy się objawia, „względną“; twierdził, iż im więcéj dusza potrafi się uwolnić od swych organów, tém doskonalszą, t. j. zgodniejszą ze swą istotną naturą się okaże. A że we śnie magnetycznym dusza jest w wysokim stopniu oswobodzona od wpływu organów, może więc doskonałość jéj bezwględna okazać się również w wysokim stopniu. Tém się tłómaczą według niego zdumiewające wyniki jasnowidzenia. „Rozum człowieka — powiada — jest to doskonałość względna, więc wszystko, co dla tego jest przystępném, témbardziéj jest przystępném doskonałości bezwzględnéj, czyli duszy. A ponieważ wszyscy mamy równe dusze, więc w s z y s t k i e w i a d o m o ś c i l u d z k i e z n a n e s ą k a ż d é j d u s z y“. Stąd téż jasnowidząca, która w zwykłym stanie, t. j. kiedy jéj dusza działa za pomocą organów, nie posiada wiadomości wykształconego lekarza, może w stanie magnetycznym, kiedy jéj dusza do swéj bezwzględnéj doskonałości się zbliżyła, posiadać zdolność wyleczenia choroby, tak samo jak lekarz, gdyż „doskonałość bezwzględna jasnowidzącéj większa jest nierównie od doskonałości względnéj lekarza“.

Jak z tego widzimy, Sztyrmer nie przypisywał jasnowidzącym daru wznoszenia się po nad zakres wiedzy ludzkiéj, owszem, wyraźnie zastrzegał, że „jasnowidząca może objawić, co się stanie w pewnym czasie, j e ż e l i w y p a d e k o d p e w n y c h p r a w a n i e o d p r z y p a d k u z a l e ż y“; lecz utrzymywał tylko, że w stanie magnetycznym osoba całkiem nieukształcona może wiedziéć to wszystko, „co człowiek rozumem swoim zdolny jest dociec“, a więc wszystko, co wchodzi w zakres poznania ludzkiego — z wyłączeniem naturalnie rzeczy nadprzyrodzonych.

Rozprawkę Sztyrmera, podpisaną: „L. S-r“, umieścił K. Lach Szyrma w swoim „Pamiętniku“ na czele listopadowego zeszytu z r. 1830 p. n. „O magnetyzmie zwierzęcym“ (t. III, str. 121—131), pochwalając w swoich przypiskach jego chęć „ścigania prawdy w najskrytszych jéj tajnikach“, lecz doradzając, żeby „gruntowność dowodzenia swego *a priori*“ starał się stwierdzić „faktami, na historyi magnetyzmu zwierzęcego i na wiernéj obserwacyi jego zjawień opartemi“; wiek bowiem teraźniejszy tak wiele do magnetyzmu przywiązał cu-

downości, iż każdy nie chcący być łatwowiernym, musi się stać niedowierzającym.

Sztyrmer nietylko na razie, lecz i daleko później, bo w końcu r. 1833, nie wiedział, czy rozprawa jego została wydrukowana, zaszłe bowiem niebawem wypadki zwróciły myśl jego całkiem w inną stronę. Po wysłaniu jéj atoli do Warszawy, długo się pieścił marzeniami o sławie, widział „swe dzieło drukowaném — publiczność czytającą i dziwiącą się młodemu filozofowi, który przez skromność trzema tylko literami napisał swoje nazwisko—nowy systemat w filozofii—i w głębi obrazu Emilią słyszącą ze wszech stron echo jego sławy", gdyż Emilia była wtenczas „początkiem i końcem" jego marzeń.

Miał się właśnie z nią zobaczyć po kilku miesiącach rozstania. Raz pod koniec września 1830 r. przyjechał do Kozienic Bogucki. Za szklanką węgrzyna Sztyrmer nabrał śmiałości i... ofiarował mu trzy wielkie z dziejów narodowych ryciny, które „przymuszony był" kupić w obozie. Robiąc tę skromną ofiarę, którą Bogucki przyjął, Ludwik myślał tylko o tém, że Emilia będzie patrzała na obrazy i że one będą pamiątką jego osoby w Policznéj. Odwiedziny swe ponowne opisuje w formie listu do przyjaciela, a że sentymentalność ówczesna 22-letniego młodzieńca wyraziła się tu najdobitniéj, przytaczam go w całości: „Zdawało mi się, że przyjeżdżam po kilku wiekach z końca świata, ażeby zobaczyć się z drogiemi dla mnie osobami. P. Bogucka przyjęła mnie bardzo łaskawie i dziękowała za ryciny szczególniéj dlatego, że ofiara była dowodem mojéj o nich pamięci w Warszawie. Emilka zawsze taż sama, zawsze równie dla mnie droga i miła. Horcię chcą podobno wydać za mąż i nowa ta Klara d'Orbe śmieje się i jest tak wesoła i obojętna, jakby jéj wypadało tylko gdzieś jechać z wizytą! szczęśliwa!... Powiedz mi, dlaczego widok Emilii tyle gwałtownych uczuć obudza w mém łonie? Dlaczego anioł ten, pełen łagodności i słodyczy, nie natchnie mnie równą spokojnością, jak ta, która panuje w jéj duszy? Dlaczego, kiedy na chwilę siądę przy niéj, jakiś dreszcz rozkoszy przebiega całe moje ciało, oddech zatyka się w łonie, nieznana siła ściska mi serce i zdaje mi się, że w tym stanie, bliskim omdlenia, śmierć owieje mnie swém skrzydłem i bramy raju staną dla mnie otworem?... Ach, tam to, tam prawdziwe jéj siedlisko! ona jest zbyt powabna, zbyt dobra dla tego świata; czysta jéj dusza potrzebuje towarzystwa aniołów; wszystko, co jest ziemskiém, nie może jéj zająć; ziemia nie ma dla niéj powabów i na czole jéj osłonioném melancholią widać tęskną żądzę przejścia w strony lepszego... wiecznego życia! Jéj spojrzenie, jéj uśmiech, wszystko zdradza myśl tę ukrytą w jéj łonie... i to mnie martwi!... Niepodobna, żeby uczucie jéj dla mnie

było miłością; jestto raczéj litość lub słodka sympatya, która napełnia tę czułości pełną duszę dla całego rodzaju ludzkiego... ona cała jest miłością...“

Potém widział jeszcze Emilię parę razy: na imieninach u pp. Olszewskich w Kozienicach, gdzie pełen pomieszania tańczył z nią dużo, ale najniezgrabniéj, często następując jéj na nogę, oraz w Policznéj, gdzie jakby przeczuwając, że to będzie ostatnie widzenie się, do karteczki dołączył splot swych włosów. Emilia przyjęła pamiątkę sercem radosném i w odpowiedzi napisała, że będzie ona dla niéj miłym widokiem aż do grobu. Wspominała o grożącém jéj małżeństwie i była bardzo smutną. Możnaby przypuszczać, że Emilia chciała temi wzmiankami o narzuconych konkurentach, których nazwiska wymienić się wzbraniała, wywołać oświadczyny ze strony Sztyrmera, ale on zdaje się nie przypuszczał wcale manewru. Naprowadzić go na to mogło zachowanie się pani Marczewskiéj, najserdeczniejszéj a właściwie jedynéj przyjaciółki p. Boguckiéj. Kiedy wprost od Boguckich Sztyrmer przyjechał do niéj do Świetlikowéj Woli, była mu bardzo rada, kazała podać kawę i puściła się w gawędę. Winszowała Ludwikowi, że tak dobrze jest widziany w Policznéj, chwaliła bardzo Emilię, zapraszała go, żeby nocował — było to pod wieczór. Sztyrmer powiada, że nie może sobie wytłómaczyć, dlaczego nie chciał przyjąć propozycyi i jaka siła pędziła go do wyjazdu, bo gdyby się był został — mówi — „zaczęta (zdaje się umyślnie) rozmowa byłaby się stała otwartszą“ i „może być“ przez wpływ p. Marczewskiéj, która Ludwika i Emilię bardzo lubiła, „szczęśliwy moment“ ich połączenia się byłby się urzeczywistnił. „Jestto dziwactwo w mym losie! — dodaje Sztyrmer. — Ledwie wiorstę wyjechałem, zacząłem sobie wyrzucać swoję oryginalność; ledwiem nie płakał z rozpaczy; ale odmówiwszy, nie wypadało wracać nocować... i bliski już szczęścia, przez moję własną winę go straciłem“. Miał przeczucie, że się los jego w téj chwili rozstrzygnął, był bowiem przeświadczony, iż „są przedmioty tak drogie dla nas, że bojaźń stracenia odkrywa nowe siły w duszy i rysuje w naszym umyśle, jeżeli nie zupełną, to przynajmniéj taką część przyszłości, która jest zdolna nas pocieszyć, albo zatrwożyć“.

W listopadzie 1830 r. niespodzianie, uprosiwszy Leppigé'go, żeby mu pozwolił pojechać do Siedlec pod pozorem zakupienia żyta, odwiedził rodzinę — po raz ostatni w życiu. Matka jako wdowa zajmowała dwa pokoiki; gospodarstwo jéj było bardzo szczupłe, ale miłość rodzicielska i rodzinna opromieniła Ludwikowi ten 10-dniowy pobyt, który mu się wydał ciągłym świątecznym dniem. Wszyscy

dziwili się szczególniéj jego śmiałości w obejściu się, nie zapomniano tu bowiem sceny przed 5-laty, kiedy drżał jak liść wobec „Maryni“.

Po powrocie do Kozienic, zdawało mu się, że się ocucił z przyjemnego snu; ponieważ jesień była chłodna, spacery stawały się niedogodne, czytywał czasami Moora, Heloizę lub Werthera i zaczął uczyć się strzelać z pistoletów, co mu nigdy przedtém do głowy nie przychodziło; uważał to potém za wieszcze przeczucie zbliżających się wypadków, w których miał wziąć udział niedługotrwały, ażeby opuścić strony rodzinne.

VI. W Warszawie, Jabłonnéj, pod Grochowem (1830/31).

Kompania Leppigé'go niebawem po wybuchu rewolucyi w Warszawie otrzymawszy rozkaz od generała Pawłowskiego, „który do niéj nie miał żadnego prawa“, wystąpiła nagle z Kozienic w pochód na Radom do Warszawy. Wymarsz był tak śpieszny, myśli Sztyrmera tak rozproszone, że ani swemi rzeczami nie mógł rozporządzić, ani pojechać pożegnać się ze znajomymi; wziął z sobą na drogę „jedyny swój skarb“, woreczek Emilii i jéj włosy. Rozkaz przyszedł o 12 w nocy, a o 3-éj kompania wyruszyła z miasteczka. Sztyrmer „ubrany po rycersku w stary pałasz i zepsute, nienabite pistolety“, puścił się w drogę. Przechodząc koło Hamerni musiano się zatrzymać, bo chociaż to była noc, cały dom wyszedł ze łzami żegnać oficerów. O kilka wiorst Kisielowski, kuzyn p. Boguckiego, przybiegł pożegnać się z bratem, który był podoficerem pod komendą Sztyrmera. Ludwik „nagadał mu mnóstwo pokłonów“ i napisał kilka słów na kartce papiéru, zaklinając na wszystko, ażeby ją Kisielowski oddał Emilii, co mu tenże solennie obiecał. Po drodze nawijały się oczom Sztyrmera widowiska, które późniéj porównywał „do muchy w pancerzu Herkulesa“. Leppigé bał się o żonę i dzieci będące w Warszawie i tak mało okazał mocy ducha, przekonany, że go oddalą ze służby, iż się ściskał z każdym „rewolucyonistą czy akademikiem“, który „miał kartę papiéru na kapeluszu“. Sztyrmer musiał go pocieszać i umacniać.

W Warszawie dano kompanii Leppigégo koszary kirasyerów podolskich na kwatery; stała tam wszystkiego dni 12. Sztyrmer zapoznał się z ogólnym nastrojem ducha i podzielał go. Spotkawszy p. Boguckiego na ulicy, pomówił z nim słów kilka i rozstał się z smutném uczuciem. Przychodziła mu wprawdzie myśl do głowy, żeby prosić o rękę Emilii, ale natychmiast ją w sobie przytłumił, rozważając niepewność przyszłości.

Pod koniec grudnia naznaczono kompanii wymarsz do Jabłonnéj,

znanéj i pamiętnéj Sztyrmerowi z czasów szkolnych. Używał tu do woli przejażdżek konnych. Następnie zajęła go przemijająca miłostka, bardzo znamienna ze względu na czas i okoliczności. Wyspowiadał się z niéj szczerze Sztyrmer w pamiętnikach i postępowanie swoje potępił. Dla uzupełnienia zarysu charakteru 22-letniego młodzieńca, trzeba ją poznać. Kwaterę miał Sztyrmer w oberży Moczarskiéj. Oberżystka „idąc za modą“, wzięła ubogą dziewczynę z instytutu guwernantek dla wychowania młodéj, ale brzydkiéj swéj córki. Panna Konstancya N. Rojeska, oprócz zatrudnień pedagogicznych z córką, wciągnęła się powoli i zaczęła pomagać swéj chlebodawczyni w gospodarstwie, a nakoniec doszło do tego, że ona wydawała wszystko i odbierała pieniądze z oberży. Była to dziewczyna lat 23, niska, szatynka, dość przyjemna, dobrze wychowana, ale pobytem w oberży spospolitowana. Oficerowie smalili do niéj koperczaki, ale bezskutecznie. Sztyrmer uwziął się ich zakasować. „Z nudów, z miłości własnéj“ przeprowadził romans: „bileciki francuskie z Nowéj Heloizy, zaręczenia, filozoficzne rozumowania, łzy nareszcie“ wzruszyły Konstancyę i pchnęły ją w objęcia Sztyrmera. Był to pierwszy jego tryumf w stosunkach miłosnych; był więc upojony zadowoleniem miłości własnéj i próżności. Zobojętnienie kochanka chwilowe podwoiło czułość biednéj dziewczyny i skłoniło ją do ofiar; Sztyrmer pierwszy raz w życiu, przyjął od niéj, będąc w tarapatach pieniężnych, około 120 zł. częściami mu danych. „Wstydzę się dotąd tego kroku — powiada Sztyrmer — i wtedy nawet kosztowało mnie to niektórych skrupułów. Delikatność moja dotąd się tém oburza; wiedziałem bowiem, że pieniądze te są zapewne z kieszeni Moczarskiéj; że Kostusia stawała się występną dla mnie, który nie czując żadnéj iskry miłości dla niéj, uwiodłem ją tylko i wprowadziłem na drogę rozpusty; ale były to czasy ogólnego rozprzężenia się wszystkich zasad, dlatego mało słuchałem głosu sumienia; a przytém miłość własna tak łatwo usprawiedliwia podobne postępki!“ Charakterystyczną jest rzeczą, że wspomnienie Emilii ciągle było w duszy Sztyrmera przytomne, ale go bynajmniéj na téj drodze nie powstrzymywało; miał on bowiem już oddawna wyrobioną teoryę, że „serce tylko może grzeszyć w miłości, a nie zmysły“..., a on Kostusi przecież nie kochał...

Przejście granicy Królestwa przez armię ruską zakłóciło „jednostajne i przyjemne życie w Jabłonnéj“. Wojska wymaszerowały zewsząd na kampanią; baterya, zostająca, po oddaleniu Leppigégo, pod dowództwem kapitana Bielickiego, otrzymała również rozkaz wyruszenia w pole.

„Kostusia—mówi Sztyrmer — pożegnała mnie ze łzami, i zy jéj

były prawdziwsze od moich... Wszystkie jéj nadzieje ulatywały w jednéj chwili, a jeśli co w nich zostało, to było bardzo niepewne; biédna ta dziewczyna była w smutnym stanie... Dobrze, że Bóg nie pozwolił kobietom widzieć zakątki serc mężczyzn, bo gdyby Kostusia spojrzała w moje, w którém, w téj chwili rozczulenia, nie było nic więcéj oprócz litości, i to chwilowéj... stan jéj byłby jeszcze okropniejszym. Dziwię się sam swemu charakterowi, w którym przy takiéj czułości, przy takiém delikatném uczuciu mieści się twardość i zimna obojętność... Zdarza mi się często, że zmysły moje są rozczulone do najwyższego stopnia, płaczę gorącemi łzami, a jednak serce zimniejsze mam od lodu... Nerwy moje wymagają duszy innéj i gdyby nie one, byłbym może złym człowiekiem. Czuję w umyśle wszystko, co dla nas jest świętém i szczytném, potrafię to wymówić i wypisać, i wypełnić obowiązki uczciwego człowieka; ale serce moje jest nieczułe pośród najcięższych i najmilszych wypadków życia... Pożegnaliśmy się z pocztmistrzem w Jabłonnéj i jego familią; szampańskie i węgierskie lały się strugą, głowy się zakręciły, i tak napół rozmarzeni siedliśmy na konie doganiać bateryę, która od godziny już wyszła w marsz. Przejeżdżając czwałem, spostrzegłem w oknie Kostusię, obcierającą łzy; spuściłem pałasz na znak pożegnania i z uśmiechem poleciałem jak wiatr po drodze“.

Od 30 stycznia 1831 „włóczyliśmy się — powiada Sztyrmer — po polach, szukając sami nie wiedząc czego“. Wracając kilka razy tą samą drogą i przechodząc przez Radzymin, przyszli nareszcie pod Grochów, gdzie w sobotę 19 lutego nastąpiła bitwa, w któréj od 11 rano do 6-éj wieczór baterya Bielickiego była w ogniu, nazajutrz zaś od 7-éj rano do 5-éj wieczór „w ciągłéj kanonadzie“.

„Pierwszy raz w mém życiu — mówi Sztyrmer — kule świstały koło mych uszów; nie powiem, żebym nie czuł strachu śmierci, nie — lecz niezbędność zgonu, który prędzéj czy późniéj zawsze nas musi doścignąć, uspokajała trwogę, która od czasu do czasu obciążała mi łono; nie dałem na sobie spostrzedz żadnego znaku bojaźni, owszem, kazałem strzelać i usiadłem na dziale... Baterya przez te dwa dni straciła 22 ludzi, z których kilku tuż przy mnie upadło, i 32 konie, i zdemontowana prawie zupełnie, stała się niezdolną do boju bez reperacyi. Pod Bielickim konia ubito. W téj bitwie ocaliłem uwięzłe w błocie działo, które Czyż zostawił, narażając się około 1½ godzin na gęsty ogień armatni. Zyskałem wziętość mężnego oficera, która doszła do Krukowieckiego i Redla. W poniedziałek baterya przeszła z lewego skrzydła w środek armii na *chaussée*, bitwy nie było i baterya w jeden dzień była umontowaną. We wtorek baterya posunęła się naprzód

i zajęła stanowisko pod laskiem z prawéj strony *chaussée*. O godzinie 8-éj zrana, pewny, że łańcuch nasz jest na przodzie, wyjechałem obejrzéć *awant-posty* i zostałem wzięty przez 5 kozaków w niewolę. Zjawienie się ich było tak nagłe i okrążyli mnie tak szybko, że w chwili, kiedy poznałem, że to są kozacy i spostrzegłem z drugiéj strony o 60—80 kroków żołnierza z piechoty mierzącego do mnie z broni, straciłem prawie przytomność. Byłem tak pomieszany, tak wzruszony, że słyszałem uderzenia krwi mojéj w mózgu z siłą uderzeń młotka; chciałem się bronić, ale zwycięscy nie dali mi na to czasu, przyłożywszy swe piki do mego ciała; zresztą w umyśle moim taki okropny, rozpaczy pełen chaos, że niepodobna mi było na cokolwiek się zdecydować. Przeprowadzono mnie przez długą koléj od generała, który był na *avant-postach*, do generała Witt, Neidhardt, feldmarszałka Dybicza i W. Ks. Konstantego, którzy mnie wszyscy nadspodziewanie łaskawie przyjęli (w głównéj kwaterze w Miłosnéj). Generał Witt pozwolił mi nawet napisać bilecik po francusku do moich kolegów i w moich oczach odesłał go przez parlamentarza.

„Oddano mnie starszemu adjutantami, który mnie posłał do stancyi. Znalazłem tam kilku oficerów naszych nieznajomych mi i w nieznanych mundurach; byli to oficerowie kaliskiego pułku jazdy: podpułk. Korycki, porucznik Mieszkowski, podporucznicy: Teleżyński, Gałczyński i kapitan z pułku 4-go strzelców konnych Piskorski; oprócz tego mnóstwo młodzieży, junkrów z kaliskiéj jazdy: Górzeński, Mielęcki, Chorkowski i t. d.“.

Było to, „siedlisko nędzy i jęku“; składano tam rannych i umierających obu stron; krew płynęła strumieniem z pokaleczonych członków.

Piotr Chmielowski.





ROZWÓJ WŁASNOŚCI.

L'évolution de la Propriété par Ch. Letourneau. Paris, 1889, 8-o, str. XXV+521.

Dla mnóstwa ludzi instytucye takie jak: małżeństwo, rodzina, własność, zdają się być stare jak świat, i nietylko tak dawne, ale w formach swoich niezmienne, zupełnie do dzisiejszych podobne, równie święte jak nietykalne. Wszakże, jak tylko któraś z tych instytucyi prawno-społecznych stanie się przedmiotem specyalnego badania, wnet się przekonywamy, żeśmy byli w błędzie, i że właściwie w urządzeniach ludzkich niemasz nic wiecznie i jednako trwającego, że wszystko ulega rozwojowi, ewolucyi od form prostych do bardzo złożonych, czasami doskonalszych, czasami znów mniéj doskonałych aniżeli te, jakie je poprzedziły. Na niebie i na ziemi, wśród ciał niebieskich i urządzeń ludzkich, wszędzie dostrzegamy ciągły rozwój ku jakiéjś nieznanéj przyszłości. Wielkie to prawo wszechświata znane po części i dawnym uczonym, dopiéro jednak w naszych czasach zrozumiane lepiéj w zakresie form życia organicznego, przeniesione zostało i do form życia społecznego. W ostatnich czasach zastosowano je do zbadania rodziny i własności, i dzięki jemu inaczéj nieco patrzymy dzisiaj na rodzinę i własność, niż przed półwiekiem. W téj chwili mamy się przyjrzéć rozwojowi własności a to przy pomocy książki francuskiego uczonego, Karola Letourneau, który już poprzednio badał i opisał w osobnych dziełach Rozwój moralności, Rozwój rodziny i małżeństwa, obecnie zaś wydał swoje studyum o Rozwoju własności. Autor to już dobrze i z wielu innych prac znany, wcale bezstronny i sumienny kompilator tego, co podróżnicy i dziejopisarze o rozmaitych ludach kuli ziemskiéj pisali. W obecnéj swojéj książce trzyma się metody używanéj i w dawniejszych, pokrewnych jéj treścią, to jest przebiega pokrótce rozmaite fazy, ja-

kie własność przechodziła w ciągu tysięcy lat u rozmaitych ludów, robi wyciągi z dzieł podróżniczych, streszcza je, wyciągnione wnioski uogólnia i puszcza się nieśmiało w proroctwa o przyszłych losach własności.

Więc to własność rozwijała się, przechodziła rozmaite formy i nie była zawsze taką, jak ją określają dzisiejsze kodeksy, jako *jus utendi et abutendi?* Czy to przypadkiem nie urojenie uczonego, albo umizg komunisty do cudzéj kieszeni, do cudzego domu lub gruntu? Ani jedno ani drugie. Jest to tylko spokojne badanie przedmiotu bez żadnéj inwektywy przeciw właścicielom jakiejkolwiek własności.

Pierwszą tedy zdobyczą umysłową ze wspomnianéj książki jest osiągnięte przekonanie, że własność przechodziła rozmaite formy i fazy. Rezultat ten nie jest wprawdzie tak nowym, skoro już w XIV wieku Bracia i siostry wolnego ducha, wałęsający się w okolicach Kolonii i Strasburga głosili, że własność jest kradzieżą, co powtórzył w naszych czasach Proudhon, a przed nim Brissot (*Die Französische Revolution*, von Blos, 1889 str. 30). Niemniéj przecież co innego jest wygłosić jaskrawy paradoks, a co innego mozolnie zbierać dowody ze wszech stron świata, ażeby dowieść, iż własność nie zawsze nosiła dzisiejszą szatę.

Ażeby swojéj tezy dowieść i być w zgodzie z teoryą rozwoju, Letourneau rozważa zawiązki instynktu własności już w świecie zwierząt, z pośród których wyższe gatunki okazują nieraz więcéj przezorności i dbałości o jutro, od najniższych przedstawicieli gatunku ludzkiego. Powtarzać przytoczonych przykładów nie widzimy potrzeby, gdyż obyczaje mrówek, pszczół, bobrów i t. p. dostatecznie są znane z książek o zoologii, a tu chodziło autorowi jedynie o powiązanie doskonalszych, ludzkich form własności z temi niższemi. Właściwiéj zatém będzie przyjrzéć się światu ludzkiemu i zobaczyć jak on przechodził od własności ruchoméj do nieruchoméj, od wspólnéj do dzisiejszéj, wysoce indywidualnéj.

Autor grupuje ludy kuli ziemskiéj pod względem wyrabiania się pojęć o własności na hordy pierwotne, plemiona żyjące pod rządem republikańskim, monarchicznym, rozważa własność w wielkich monarchiach barbarzyńskich (Meksyk, Peru), w starożytnym Egipcie i Abisynii, Indochinach, Japonii i Chinach, u Berberów, pośród ludów semickich, u Aryów azyatyckich, w starożytnéj Grecyi, Rzymie, w Europie barbarzyńskiéj i feudalnéj. Osobne rozdziały poświęca przeglądowi prawa dziedziczenia u rozmaitych ludów, zastanawia się nad znaczeniem handlu, długów rządowych, pieniędzy, a w ostatnim rozdziale streszcza osiągnięte w téj długiéj wędrówce rezultaty i puszcza

się ostrożnie w prorokowanie przyszłych losów własności. Taki jest schemat rozważanych przedmiotów. Faktów nagromadzono wielką moc, a wszystko przeważnie dzieł podróżopisarzów. Stąd czytanie książki jest nużące, zwłaszcza, że identyczne, lub prawie identyczne zwyczaje co do rozwoju własności pośród plemion mało znanych sprawiają, iż w téj mozajce trudno się oryentować. A jak autor polega na opisach podróżników, tak my znowuż musimy na jego twierdzeniach polegać. Zródła takie, jak opisy podróżników, nawet najsumienniejszych, niezawsze są wiarogodne i dla tego nie budzą téj pewności, jaką daje studyum dokonane przez krajowca i fachowego znawcę przedmiotu. Tak np. byliśmy ciekawi, co autor mówi o rozwoju własności u ludów słowiańskich. Otóż są to ogólniki dotyczące głównie własności w Rosyi, a źródłami dzieła Laveleye'a, Leroy-Beaulieu, Wallace'a. Więc parę wierszy o tém, co to jest *wołość*, *mir*, *tiaglo*, jaki jest zakres władzy *starosty*. Wiadomości te są nader szczupłe, ażeby mogły dać wyobrażenie o przedmiocie. Parę przysłów, jak np., że „westchnienie *miru* rozsadza skałę“, albo, że „Bóg sam jest sędzią *miru*“, nie zastąpią potrzebnego tu szczegółowego wykładu. Prawda, że wśród mnóstwa ludów i plemion, przesuwających się pod piórem autora, trudno wymagać specyalnego traktowania własności. zawsze jednak należało się Słowianom trochę więcéj uwagi: autor zaś ograniczył się głównie do pobieżnego naszkicowania rozwoju własności w Rosyi.

Nie streszczając rozdziału za rozdziałem z książki p. Letourneau, poprzestaniemy na ogólnych jego wnioskach, mogących interesować czytelnika.

Za takie wnioski można uważać następujące twierdzenia: instynkt własności, wspólny zwierzętom i ludziom, wiąże się z najpierwotniejszym instynktem, to jest z chęcią zachowania własnego bytu. Dążność ta jest wprost przeciwną altruizmowi, spółczuciu dla innych, i ażeby ten instynkt egoistyczny mógł przejść w altruizm, powinien się był wprzód uspołecznić, zsolidaryzować i zidealizować, co właśnie nastąpiło w owych pierwotnych społeczeństwach, które jako słabe, nie zaopatrzone w broń naturalną, musiały się do siebie zbliżyć. Ażeby mogły istnieć i bronić się, musiały się grupować w drobne hordy, do czego znów wystarczało, by dzieci zostawały przy rodzicach. W tych dzikich hordach żyjących prawie wyłącznie z polowania, walczących z bestyami i innemi hordami wszystko z początku musiało być wspólne, a szczególniéj pas ziemi zajętéj na polowanie. Pierwszą własność indywidualną stanowiły: broń, sprzęty, ozdoby, które składano z nieboszczykiem do grobu. Pierwszém tedy źródłem własności była, jak

się zdaje, praca, wysiłek na sfabrykowanie owych drobnych przedmiotów zrosłych niejako z osobą posiadacza. Za tym rodzajem własności nastąpiły rzeczy i osoby zdobyte, to jest kobiéty, niewolnicy, jeżeli okoliczności pozwalały na ich zatrzymanie. Od téj chwili prawo własności prywatnéj zostało ufundowane.

Temuż popędowi do utworzenia własności trzeba przypisać powstanie rodziny i wzrost jéj z klanu, który również oparty był na wspólnéj własności. To różniczkowanie się hordy lub plemienia na klany, a klanów na rodziny, musiało prowadzić do dzielenia własności z początku niepodzielnéj. Nowe zmiany, a mianowicie zajęcie się uprawą roli, pomagały temu ruchowi. Jest prawdopodobném, że to nowe arcyważne stadyum w rozwoju człowieka zawdzięczamy głównie kobiétom, które długo nosiły na sobie jarzmo pracy około roli, na wzór zwierząt domowych. Samo rolnictwo rozwijało się nadzwyczaj powolnie, mało przywiązywano do niego wagi wobec polowania lub rybołówstwa. Dopiéro oswojenie zwierząt pozwoliło na odróżnienie własności ruchoméj od nieruchoméj. Posiadanie zwierząt obudziło chęć do handlu; tu i owdzie zwierzęta stanowiły monetę żyjącą; z czasem zaczęto ich używać do pracy około roli, co pozwoliło na uprawę porządniejszą, częstszą, nie tak jak przedtem, gdy pole musiało lata odłogować. Zaprowadzenie nawożenia ziemi było ostatnim krokiem do racyonalnego rolnictwa. Odtąd coraz większa część ludności zajmuje się rolnictwem, osiada, porzuca polowanie, a tém samém i uregulowanie własności gruntowéj staje się konieczném. Rozpoczęto od uprawy ziemi wspólnie, pasania zwierząt na pastwiskach niepodzielnych; następnie ulegając dążności do indywidualizmu, wyznaczano peryodycznie działy dla każdéj rodziny jeszcze nie na własność, lecz na używalność przez czas dłuższy lub krótszy. Wszedłszy na tę drogę rozwój własności postępował daléj. Rodziny bowiem pragnąc być coraz mniéj zależnemi od klanu, zaczęły dążyć do całkowitego przywłaszczenia sobie gruntu, na którym stały ich mieszkania i inne budowle, oraz małego ogrodu otaczającego ich siedziby. Z tą cząstką zaczęto powoli łączyć wykarczowane kawałki lasu sąsiedniego i inne nabytki, nad któremi gmina rozciągała tylko *dominium eminens*. Tym sposobem grupa żyjąca z polowania stawała się rolniczą, zaczęła tworzyć spólność wioskową. Pomimo tego grupa ta czuła się pokrewną, gdyż członkowie jéj wyobrażają sobie, że pochodzą od wspólnego przodka, lubo od czasu do czasu wsiąkają w nią ludzie obcy. Członków gminy łączy wielka solidarność; muszą oni spółpracować na jéj utrzymanie, ale za to nikt nie zostaje bez opieki. Taki tryb życia był, lub jest dotychczas zachowywany w Ameryce, Afryce, Indochinach, Chinach,

Indyach, Afganistanie, Persyi, dawnéj Europie i wśród milionów teraźniejszych Słowian. Gdy zaś ta jednota rodowa zaczęła się powoli rozwiązywać, każda rodzina zdobywała własność dla siebie wyłącznie, którą dziedzictwem przekazywano następcom i tym sposobem doszło do coraz większego drobienia i uruchomiania ziemi. Gdzieniegdzie tę dążność do drobienia własności ziemskiéj powstrzymał system lenny, póki sam nie uległ parciu indywidualizmu. A tak potworzyły się wielkie obszary własności, *latifundia*, uprawiane przez niewolników, osadników, najemników lub dzierżawców.

Porównywając rozwój własności z rozwojem instytucyi politycznych, przekonywamy się, iż te ostatnie i cała cywilizacya były ściśle zależne od organizacyi własności. Instytucye te wzrastały z początku pod opieką klanu komunistycznego, potém chroniła je spólność czyli jednota wioskowa, ochraniająca wszystkich, ale nie pozwalająca nikomu zagarnąć wspólnéj własności na wyłączny użytek. Dzięki temu trybowi życia, ludność rosła jak na drożdżach, rozlewała się na wsze strony zdobywając nowe siedziby na sąsiadach. W Rosyi np. *mir* popycha do zawierania małżeństw, nie myśli o maltuzyanizmie, ponieważ każda rodzina ma prawo do gruntu o tyle większe, o ile więcéj posiada dzieci, albo raczéj robotników, i tém jest bogatszą, im jest liczniejszą. Stąd żaden kraj w Europie nie liczy tylu zawieranych małżeństw, co Rosya, a zatém i przyrost ludności jest tam najszybszy. W porównaniu z Francyą, przyrost ten jest dwa razy większy; następstwa tego faktu łatwe są do przewidzenia.

Wracając do własności, można dodać, że w miarę tego, jak się zwiększało bezpieczeństwo, stawała się i ona coraz bardziéj indywidualną i ruchomą, albo lepiéj mówiąc, uruchomioną; zaczęła się zamieniać na „kapitał“, to jest na masę wartości dających się akumulować, gromadzić. Wartości te wyobrażały pracę *in potentia*, ale pracę niezależną od pracownika, właściwie dawały możność zaprzęgnienia innych do pracy. Gdy ta metamorfoza ekonomiczna dostatecznie się rozwinęła, rozpoczął się nowy tryb doboru (selekcyi) socyalnego, mianowicie przez pieniądz i dla pieniądza, dla kapitału. Dobór ten rzadko odbywał się na korzyść jednostek najszlachetniejszych i najrozumniejszych; przeciwnie, wyrastali nad innych ludzie chciwi, drapieżni, przekazujący dziedzictwo *per fas et nefas* zdobyte swoim krewnym. Uboczny wynik téj pasyi do bogactwa, absorbującéj wszyskie lepsze siły, jest taki, że wśród rodzin oddanych jéj coraz więcéj zwykło się pokazywać idyotów i obłąkanych; potomkowie człowieka, który wiele pracował dla zbogacenia się, bywają pospolicie zwyrodnieni fizycznie i umysłowo, samoluby, przewrotni i t. p. Tak twierdzi znakomity

fizyolog i alienista angielski Maudsley. Tak też działo się już w świecie starożytnym. Powoli drobnych właścicieli wyzuto, zamieniano w niewolników lub najemników obrabiających *latifundia* wielkich właścicieli, którzy równocześnie za pomocą spekulacyi handlowych, sprzedaży niewolników, lichwy i ażyoterstwa gromadzili coraz większe fortuny w niewielu rękach.

Tym sposobem w ostatnich czasach bytu niezależnéj Grecyi, równie jak późniéj w Rzymie za cesarstwa, wytworzyła się krzycząca o pomstę nierówność społeczna. Z jednéj strony garstka potentatów władająca większą częścią bogactw narodowych; z drugiéj masa ludu ujarzmionego i spodlonego. Pierwsi, troskliwi o prywatne swoje interesa, nie dbali o wspólną ojczyznę, która przestała być wspólną; drudzy, wywłaszczeni, nie mieli czego bronić: w najgorszym razie groziła im tylko zmiana panów. Wówczas zjawiał się zdobywca, barbarzyniec lub cywilizowany, i zabiérał własność, któréj garstka potentatów nie mogła obronić. Taką drogą przepadły wszystkie dawne cywilizacye.

Zobaczmy teraz czy i o ile nasza cywilizacya spółczesna, podobne przedstawia zjawiska, oraz jaki prawdopobny los czeka własność.

Rozwój własności okazuje takie fazy: była ona pierwotnie wspólną, potém zaczęła się drobić, a następnie znów skupiać w ręku nielicznych wielkich właścicieli. Porządek komunistyczny uległ parciu indywidualizmu; wielkie ryby pochłonęły drobiazg, poczém nastąpiła atrofia, choroba i śmierć ciała społecznego. Taki obraz przedstawiają narody, które przebiegły wszystkie fazy swojego bytu historycznego.

Od końca zeszłego wieku, własność ziemska została prawie zupełnie uruchomiona, prawo dziedziczenia i przekazywania dziedzictwa ustalone. Państwo zapewniło mu nietykalność, wzięło je w obronę, a właściciel, krom podatków, nic państwu nie obowiązany za to prawo używania i nadużywania. Co się tyczy własności ruchoméj, jest ona jeszcze mniéj skrępowana od pierwszéj; niektóre wartości ruchome, i to najważniejsze, mogą być gromadzone ile się komu podoba; a od ich posiadacza społeczeństwo nie pobiera ani podatku, ani innéj usługi. Prawo to stało się absolutne, a nawet uważane jest za najświętsze. Mnóstwo artykułów w nowożytnych kodeksach redagowano jedynie w celu zapewnienia spokojnego władania i przekazywania własności. Dzięki temu, nie najlepsi ani najzdolniejsi przyszli rozmaitemi drogami do wielkich fortun; zaczęła się koncentracya dóbr z jednéj, a wzrost proletaryatu z drugiéj strony. Taki w istocie jest obecnie stan własności i repartycya jéj w państwach europejskich. W Anglii np.

wielcy właściciele pochłonęli prawie zupełnie drobną własność; odbywało się to z początku przemocą i podstępem, obecnie za pomocą kupna. Połowa Anglii należy do 150 jednostek; połowa Szkocyi do dziesięciu lub dwunastu; położenie Irlandyi jeszcze gorsze, jak to widać z zaciętéj walki między landlordami a dzierżawcami. W Niemczech i Austro-Węgrzech statystyka urzędowa zaświadcza o znikaniu drobnéj własności szczególniéj w Tyrolu południowym, Czechach i Prusach nadreńskich. Co do Francyi, Letourneau zbija mniemanie jakoby rewolucya zeszłowieczna obaliła na zawsze wielką własność. Prawdą jest, że od owego czasu zaczęło się drobienie własności często bezmyślne, ale z drugiéj strony wielka własność utrzymała się, zmieniając jedynie posiadaczów. Cyfry dowodzące twierdzenia autora pomijamy w tém miejscu. Ale godzi się zauważyć inne zjawisko, świadczące również o znikaniu drobnéj własności w krajach, szczególniéj przemysłowych, to jest zmniejszanie się liczby ludności zajętéj uprawą roli. I tak, we Francyi ludność wiejska rzednieje, a miejska gęstnieje; miejskiéj liczono w r. 1831 (okrągło) 6 milionów, a obecnie 13 milionów. Od r. 1851 w przemyśle pracowało przeszło 6 milionów *plus* 2 miliony w wielkim przemyśle, a już w r. 1876 liczono takiéj ludności przeszło 9 milionów. W Anglii ludność rolnicza stanowi 12% ogółu zaludnienia, w Holandyi 16%, gdy tymczasem we Włoszech 77%, a w Rosyi 85 na sto.

Otóż to przerzucenie milionów rąk od roli do przemysłu umożliwiło ogromny wzrost wartości ruchomych, stanowiących olbrzymi kapitał. We Francyi np. kapitał przedsiębiorstw akcyjnych dochodzi 40 miliardów, nie licząc tytułów długu publicznego, oraz blisko 2 miliardów umieszczonych zagranicą; wogóle reprezentują te pozycye blisko 70 miliardów, które mogą się znajdować w niewielu rękach. Tak samo rzecz się ma i z innemi krajami przemysłowemi. W Anglii znajduje się podobno sto tysięcy milionerów, a w Stanach Zjednoczonych amerykańskich już milionerów mało sobie ważą: powstał tam nowy typ, miliardystów, istnych królów teraźniejszéj cywilizacyi merkantylnéj. Dla zrównoważenia tych bajecznych fortun, liczba pozbawionych wszelkiéj własności nieustannie wzrasta. We Francyi znajduje się 1½ miliona ubogich pobierających wsparcie z biur dobroczynności, 400 tysięcy w szpitalach, 70 tysięcy kalek i t. p. w przytułkach, 70 tysięcy dzieci opuszczonych, sierot; 400 tysięcy w więzieniach. Czwarta część młodzieży uznana za niezdatną do służby wojskowéj. Liczba urodzeń coraz maleje, można przewidywać w niebardzo dalekiéj przyszłości wyludnienie takie, jakie poprzedziło upadek starożytnéj Grecyi i cesarstwa Rzymskiego. Świat rzymski zginął przez

wielką własność, niewolnictwo i kolonat; czy nasz zginie przez pracę najemną (*le salariat*)? pyta autor.

Poprzestając na ogólnéj odpowiedzi, Letourneau zaznacza tylko, że cywilizacya nasza staje się coraz bardziéj merkantylną tak, że stanowisko społeczne, wybór profesyi, sposób życia, małżeństwo, słowem wszystko zależy od pieniędzy. Anglicy, mówi Carlyle, najbardziéj obawiają się piekła zwanego ubóstwem. Otóż, ta obawa trapi nietylko Anglików, lecz mniéj lub więcéj wszystkie kraje cywilizowane. Stąd pesymistyczne proroctwa co do losu teraźniejszéj cywilizacyi, mianowicie, że ją spotka to, co i dawne, które zginęły przez wadliwą organizacyą ekonomiczną. Barbarzyńcy nie zniszczyli Rzymu; oni tylko wypatroszyli jego trupa. Wielkie własności pochłonięte przez małą liczbę egoistów, zastąpienie wolnych obywateli przez niewolników i osadników wypiły źródło żywotności rzymskiéj. Podobny rodzaj socyalnéj regresyi odbywa się w teraźniejszych państwach; i pośród nich wzrasta coraz bardziéj liczba ludzi nie mających do ziemi innego prawa, jedno możność chodzenia drogami publicznemi. Jeżeli więc nie nastąpi poprawa tego stanu rzeczy, albo przynajmniéj rozwoju jego nie powstrzyma, cywilizacya teraźniejsza musi zginąć przez własne błędy, lub pod ciosami barbarzyńców, czy to zewnętrznych czy swoich. Jest wszakże na ten złowrogi prognostyk rada. Autor nie uważa takiego końca cywilizacyi naszéj za fatalny i konieczny, bo zjawiska społeczne nie następują z tą koniecznością co np. astronomiczne. Od człowieka w znacznéj mierze zależy ich modyfikacya, a narody mogą same kuć swoje losy.

Nareszcie, jesteśmy ciekawi, jaki los spotka prawo własności, jak ona się na przyszłość ukształtuje? Autor kategorycznie twierdzi, że trwanie cywilizacyi europejskiéj zależéć będzie od tego ukształtowania, a mianowicie od powściągnienia nadużyć prawa własności; że jednakże reforma winna postępować bardzo ostrożnie, chodzi tu bowiem o potężną sprężynę życia społecznego. Takiéj reformy domagały się oddawna umysły umiarkowane, często nawet bojaźliwe. Na poparcie ostatniego twierdzenia autor przytacza krótkie wyjątki z dzieł Św. Ambrożego. Bossuet'a, Leroy-Beaulieu, Labouleye'a, H. Martin'a, Spencer'a, J. Fichtego, Laveleye'a, którzy przecież nie byli demagogami.

Trudniéj atoli wskazać, jaką drogą dojść do ograniczenia prawa własności, ażeby uniknąć przewidywanych katastrof. Przychodzi tu na myśl przykład Anglii, która drogą prawodawczą zmniejszyła odrazu należności od dzierżawców irlandzkich o 13% i tym sposobem odjęła landlordom dochód równający się blisko 9 milionom. Złe jest

wielkie, ale jeszcze uleczalne; środki nie powinny być nagłe, lecz na długi termin obliczone, jest bowiem niedorzecznością chcieć tak wielkie instytucye jak rodzina i własność, czarnoksięską laską przekształcać. A z drugiéj strony, rewolucye gwałtowne podobne są do amputacyi, którym czasami trzeba się poddać, ale pragnąć ich nie należy.

W rozwoju społeczeństw zachodzi pewien rytm, tak iż zdają się one po przebieżeniu cyklu wracać do punktu wyjścia: powrót ten jednak nie jest literalną kopią minionéj przeszłości, lecz uidealizowaném jéj naśladowaniem. Teraźniejszy świat chory jest na wybujały indywidualizm, powinien zatém wracać do trybu życia bardziéj solidarnego. Nie znaczy to, by wrócić do komunizmu panującego w starożytném Peru, lub choćby do *miru* słowiańskiego; bo te urządzenia już się przeżyły, albo obecnie znikają. Potrzeba myśléć o takiej solidarności, którąby nie znosiła słusznych praw indywidualizmu, a nawet konkurencyi, trzymającéj siły narodów w napięciu, broniącéj je od letargu. Idealną tedy utopią byłby taki stan rzeczy, w którymby wszyscy członkowie społeczeństwa mieli równe widoki, przy rozpoczęciu życia; gdzieby każdy mógł się rozwijać swobodnie według swoich zdolności, ale i słabi znajdowaliby pomoc; gdzieby wszelki przywiléj nieusprawiedliwiony nie istniał, a każdy człowiek zajmował miejsce ściśle odpowiednie do swojéj zasługi i wartości społecznéj.

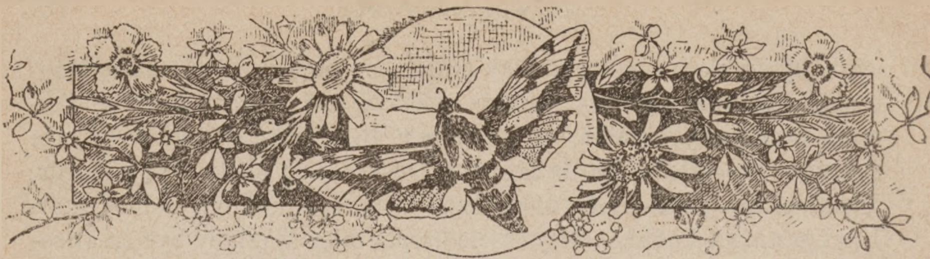
Nie dochodząc początku i źródła teraźniejszych fortun i szanując prawa nawet źle nabyte, społeczeństwo może przedsiębrać środki, jakie uzna za konieczne, byle je wprowadzano powoli dla uniknienia wstrząśnień.

A więc np. prawo spadkowe przesiąkłe wyobrażeniami dawnego prawa rzymskiego już nie zostaje w zgodzie z obecnym stanem społecznym. Prawo francuskie dozwala na dziedziczenie nawet w 12 stopniu pokrewieństwa. Tu zatém reforma byłaby konieczna. Podobnie i rodzina dzisiejsza musi być zachowana, póki społeczeństwo tak mało dba o swoich członków. Ale w przyszłéj utopii powinnoby być inaczéj. Przyszłe społeczeństwo powinnoby w znacznéj mierze wziąć na siebie obowiązki spełniane dzisiaj przez rodziny, np. wychowanie dzieci, których rodzice byliby niezdolni lub niegodni prowadzenia ich edukacyi. Powinnoby daléj, mieć rozporządzalny kapitał do wyposażania ludzi, dających moralną rękojmią, na pierwsze zagospodarowanie. A skąd wziąć olbrzymie sumy potrzebne do takich reform? Oto już Stuart Mill proponował ograniczenie spadków do skromnego *maximum*. Autor radby daléj iść w tych ograniczeniach. Tak np. możnaby opłaty od spadków zwiększać nie według stopnia pokrewieństwa, lecz podług ich wysokości; wówczas po szeregu lat

możnaby dojść do zupełnego, lub prawie zupełnego zniesienia spadkobrania. Z przytoczonéj tablicy pokazującéj wzrost sum spadkowych we Francyi wynika, że kiedy w r. 1826 cyfra spadków równała się sumie przeszło miliarda fr., w r. 1885 doszła blisko 5½ miliarda. Podniesienie więc choćby nieznaczne opłat spadkowych dałoby skarbowi poważne środki. Oczywiście utopia taka mogłaby być zrealizowana jedynie w niewielkich jednostkach społecznych, takich jak powiaty, okręgi, kantony, mających życie ekonomiczne dość niezależne, a jednak o tyle małych, że i potrzeby i wartość obywateli dostatecznie mogłyby być znane.

K.





WĘDRÓWKA LUDU POLSKIEGO

W GŁĄB NIEMIEC.

Wybrana przez II zjazd prawników i ekonomistów (we Lwowie 14 września 1889) komisya z 5-ciu stara się wedle możności uczynić zadość wziętym na siebie obowiązkom, t. j. zbadać jaknajdokładniéj stan wędrówek ludu naszego, rozchodzącego się za chlebem po wszystkich częściach świata. Chociaż właściwe zdanie sprawy nastąpi dopiéro na III zjeździe w Poznaniu 1892 roku, już jednak teraz dobrze będzie obznajmić szersze koło publiczności z wynikiem dotychczasowych badań. Najmniéj jasno się przedstawiająca, bo téż i najtrudniejsza do wyświecenia jest wędrówka od nas w głąb Rosyi. Również nie ma dotąd dokładnych danych o wędrówce do krajów bałkańskich, austryacko-węgierskich, do Anglii, zwłaszcza Londynu, oraz kolonii angielskich (Kanada, Australia), do Francyi i kolonii francuskich, tudzież do południowéj Ameryki (Brazylii, Argentyny, Chili). Najlepiéj znany jest stan wędrówek polskich do Stanów Zjednoczonych i do Niemiec t. j. do krajów pochłaniających największą cześć naszéj emigracyi.

Ze znacznéj liczby odpowiedzi na kwestyonaryusz rozesłany przez komisyę do Stanów Zjednoczonych Ameryki północnéj, będzie gdzieindziéj (prawdopodobnie w „Ekonomiście polskim“ lwowskim) sprawozdanie. Niniejszy rys krótki wędrówki polskiéj do Niemiec, opiéram na odpowiedziach dotychczasowych na kwestyonaryusz, na broszurce ks. Badeniego w tym przedmiocie [1]), na dziele niemieckiém Kärgera „*Die Sachsengängerei*“ oraz na własném przeświadczeniu i doświadczeniu.

---

[1]) Odbitka „Przeglądu powszechnego“ 1889 r.

Robotnicy nasi wędrują do Niemiec po większéj części tylko czasowo; bardzo przeważna ich część bowiem wraca na zimę do kraju rodzinnego. Są to ci, którzy wychodzą do krajów saskich na roboty polne, zwykle do uprawy buraków. Niestety jednak,r emigracya w kraje i miasta wielkiego przemysłu i górnictwa, jak Westfalia, Berlin i t. d. jest stałą. Szkodliwość całéj téj emigracyi do Niemiec jest jednak stanowczo większa, niż naszéj najznaczniejszéj udającéj się do Ameryki, chociaż ta ostatnia zwykle jest bezpowrotną, z coraz mniéj licznemi wyjątkami.

Trudno téż przypuścić, aby w odpowiednim stosunku do wzrostu liczby prostych robotników polskich w Niemczech, wzrastała liczba inteligencyi, a przypuściwszy, że tak jest, istotnie trudno zamarzyć, żeby ona wciąż bezpośrednią łączność miała wyłącznie z pracownikami polskimi. Tak jedni jak drudzy, ocierają się zewsząd o żywioł niemiecki, wychodzą ze swego społeczeństwa do obcego, nie pozostają, jak znaczna część wychodźców amerykańskich, przeważnie wśród własnego pierwiastku społecznego. Szczególnie małżeństwa mieszane w społeczeństwie i państwie niemieckiém, przy walnym wpływie szkoły i cisnących się zewsząd w uszy dźwięków mowy niemieckiéj, muszą zatracająco wpływać na nasz żywioł, idący z konieczności w rozsypkę po zarobek: ten zaś wykwita sporadycznie przy rozrzuconych, a nie skupionych geograficznie ogniskach różnéj przemysłowości.

Od zatraty plemiennéj, od germanizacyi, następujące czynniki chronią naszych pracowników.

1-o Duch nowoczesny stowarzyszeń wraz z chęcią czytania gazety; działa on potężnie we wszystkich społeczeństwach zachodnich; powoduje on i naszych do wiązania się w towarzystwa z celem zabawy wspólnéj, zamiany myśli i wzajemnego obznajmiania się i pouczania. Towarzystw polskich w samym Berlinie jest blisko 20. Wychodzi tam też „Gazeta Polska“ trzy razy tygodniowo, język jéj jest spaczony nie tyle niemieckiemi wyrazami, ile składnią i wyrażeniami czerpanemi wprost z niemieckiego; istnienie jéj świadczy o potrzebie takiego organu a zła jéj polszczyzna jest dowodem, że powstał samorodnie z łona robotników ciężko pracujących, bez najmniejszego przyczynienia się inteligencyi. Pracujący na powszedni chléb w ciężkim znoju, nie mogą przy zalewającym ich uszy hałasie mowy niemieckiéj, zdobyć się na poprawną polszczyznę i ogładę stylową. Już dość chwalebném jest z ich strony, że czynią rozpaczliwe wysiłki w tym kierunku, jak tego można się domyślać ze znanych mi numerów téj gazety. Słabe

przyczynienie się inteligencyi, utworzyłoby z „Gazety Polskiéj“ w Berlinie organ, jak się należy, o czystéj polszczyznie i zwiększonym przez umiejętniejszą redakcyę wpływie. W kilku innych miejscach na dalekiéj ziemi niemieckiéj, istnieją téż i istniały pisemka polskie. Trudno podać dokładniéj opis tak pism jak stowarzyszeń polskich w Niemczech; często bowiem powstają i zamierają a w ich miejsce przychodzą na świat inne. Niewątpliwą jest wszakże rzeczą, że ten duch nowoczesny stowarzyszeń się wzmaga i jest w związku z rozwojem czasopiśmiennictwa ludowego, bądź to na saméj obcéj ziemi, bądź to na rodzinnéj. Szczególnie rozwój ten uwydatnia się na Szlązku.

2-o. Drugim czynnikiem przeszkadzającym germanizacyi jest wrodzone przywiązanie do wiary, do jéj obrzędów i do pieśni religijnéj polskiéj. To przywiązanie jest przyczyną scen rozczulających i wprawia w podziwienie duchownych niemieckich, którzy wyuczają się z własnéj woli po polsku, byle tylko się zbliżyć do tak gorliwych owieczek swoich, jakiemi są ludzie polscy. W tym względzie odsyłam czytelnika do ciekawéj broszury ks. Badeniego, zawierającéj opisy rozrzewniającéj miłości tego ludu do duchowieństwa, które przemawia doń rodzinnym językiem. Z broszury pomienionéj przekonywamy się, że żarliwość katolicka Polaków, znajdujących się pomiędzy protestantami, lub téż osobami szydzącemi z ich religii, powoduje częste bójki z Niemcami, tak iż duchowieństwo zwykle usiłuje powstrzymywać rączych owych gorliwców polskich od zbyt przekonywających argumentów. Nie ulega wątpliwości, że wymowa pięści często w sprzeczkach jest używana przez naszych rodaków.

3-o. Trzecim czynnikiem, ratującym lud nasz od zniemczenia, jest powrót do domu. Nie podpada zaprzeczeniu, że z wędrówki nieraz przyniesione jest zgorszenie i niemczyzna do strzechy rodzinnéj. Szczególnie kobiéty najgorszy często pod każdym względem przykład dają, a ks. Badeni porównywa je do „morowych dziewic“, wnoszących zarazę i pozostawiających najgorsze spustoszenie moralne. Wszystko to jest niewątpliwe; jednak powrót do stron rodzinnych na zimę więcéj dobrego niż złego sprawia. Jest on niezawodnie kąpielą, przez którą się wędrowcy odświeżają w uczuciach rodzinnych i w przywiązaniu do swojéj ziemi i języka.

Nim przystąpię do rozważenia sprawy wychdźczéj do Niemiec, ze stanowiska czysto ekonomicznego, pozwolę sobie przytoczyć ustęp z pisma ludowego protestanckiego polskiego, wychodzącego w Wrocławiu pod tytułem „Nowiny“ z dnia 31 lipca 1890 r.; ustęp ten wyjaśnia wiele stron kwestyi a zawarty jest pod nagłówkiem „Głos z obczyzny.“

„Wiadomo czytelnikom naszym, że od nas ze Szlązka, Poznańskie-

go, Prus Wschodnich i Zachodnich krocie tysięcy naszych ewangelickich braci i sióstr co rok wychodzą za robotą w dalekie niemieckie strony Meklemburgii, Saksonii, Westfalii. Są to po większéj części ludzie młodzi, którzy dla lepszego zarobku, bo w domu biéda, swoje kości niosą w daleki kraj pomiędzy obcych.

„Nie idą oni tam dla rozkoszy i rozkoszy tam téż nie mają; ich jedyną uciechą i zadowoleniem jest myśl, że w jesieni wracając do domu, będą mieli nieco zaoszczędzonego grosza w kieszeni. Wielu z nich posyła z obczyzny dla starych rodziców do domu nieco grosza i cieszą się, że mogą być im podporą w starości i odwdzięczyć się za odebrane wychowanie.

„Niestety, nie można tego powiedzieć o wszystkich. Są tacy i takie, co wyszedłszy w świat, gdzie im się lepiéj wiedzie, zapominają o domu rodzicielskim, a co gorsza, o Bogu, lecz pomińmy tych milczeniem, gdyż na tych łaska Boża nie spocznie.

„W ogóle o naszych braciach ewangelickich na obczyźnie możemy powiedzieć to, że swą pobożnością w podziw wprawiają samych Niemców. Gdy się ma odbyć polskie nabożeństwo, wtedy ochoczo idą do domu Bożego i chętnie przystępują do stołu Pańskiego. Nie wszędzieć to jest możebne, bo brak księży, coby znali język polski do tyla, aby mogli wygłosić piękne od serca płynące kazania. Słowo Boże, niech kto mówi co chce, tylko wtedy jest zdolne rozgrzać serce człowieka, jeżeli wygłoszone jest pięknie w języku ojczystym. Jakiż urok musi mieć dopiero mowa macierzysta w kościele na obczyźnie. Ach, serce chce pęknąć z radości, gdy się słyszy, jak w domu, język polski w kazaniu, i modlitwie i pieśni. Myślą przenosimy się w strony rodzinne do swoich i wzmacniamy serdeczny węzeł, jaki nas z krajem łączy. Jedna rzecz nas dotąd dziwiła. Oto, kiedy katoliccy wychodźcy wszędzie pozakładali na obczyźnie stowarzyszenia, o polskich ewangelikach nie było dotąd nic słychać, aby się łączyli i skupiali w jedność.

„Dziś odebraliśmy pocieszający list, który umieszczamy poniżej, a z którego widać szczczerą myśl skupienia także ewangelicko-polskiéj braci, przybywającéj na obczyznę, w jedno towarzyskie grono, aby wspólnie radzić nad swemi sprawami, aby się wspólnie pouczać i zabawić. Toć to pięknie gdy swój ze swoim w zgodzie i jedności się łączy ku dobremu celowi.

„List nam nadesłany brzmi tak:

Szanowna Redakcya „Nowin“ we Wrocławiu

się zapewne zdziwi, że z tak dalekich stron polskie pismo dostaje. Czytam waszą gazetę pracującym tutaj w górnictwie,

z okolic powiatu sycowskiego, ostrzeszowskiego i odolanowskiego pochodzącym ewangielikom polskiego języka a zaleconą przez przyjacielską rozmowę z jego Wielebnością Panem Pastorem Hoffnigster z Ebendorf pod Magdeburgiem, dawniéj w Czarnym Lesie, powiatu Odolanowskiego, który tutaj corocznie z powodu odprawiania nam nabożeńtwa polskiego przybywa. Jednak tylko ja sam Wasze pisemko utrzymuję, gdyż widzę, że tylko tu do Helbra jeden egzemplarz nadsyłany bywa, który jeszcze z opaską czasem dostanę. Drugi mój kamrat mieszkający w Leimbach chciał sobie także „Nowiny“ obstalować, aż tu urzędnik niemiecki, nie rozumiejący różnic polskich gazet zapisał mu „Nowiny Raciborskie“, pismo dla ludu katolickiego. Chociaż ja mu kartkę napisałem, iż ma żądać „*polnische Zeitung Nowiny aus Breslau*“, jednak go ów urzędnik przeparł, iż to „*Nowiny aus Ratibor*“. Późniéj odebrawszy pierwszy numer méj gazety dałem mu go, aby go owemu urzędnikowi pokazał i użalił się z powodu tak mylnego postępowania przy wyraźném obstalunku gazety. Dawniéj byłem długi czas czytelnikiem „Gazety Leckiéj“ i pisałem do niéj kilka listów, które chętnie przyjmowała. Tak samo myślę wspierać korespondencyą swoją, gazetę waszą i ją rozszerzać, i do tego upraszam o przesłanie mi numerów tyle, ile wam starczy, które chcę chętnie pomiędzy mych rodaków rozdać, gdyż w przyszłą niedzielę odbędzie się zebranie przezemnie utworzonego Towarzystwa ewangelickich mężczyzn pod tytułem:

„Jedność“

w Helbra i okolicy, t. j. nas polskich ewangelików z okolic powyżéj wspomnianych. Proszę téż zaś późniéj we waszém pisemku takowe stowarzyszenie zachwalić, aby dodać naszym rodakom otuchy utrzymania ojczystego języka.

Musiałbym wielki arkusz zapisać, chcąc opisać takich płynnie po niemiecku mówiących, którzy jakby wołki Polakami dotąd przybyli i jak zając na strzał uszy ustawili, gdy ich w pierwszym czasie polskie słowa od jakiego przyjaciela usłyszeli, a dziś się wstydzą przyznawać i wymówić po polsku.

Pozdrawiam serdecznie Redakcyą; późniéj będę obszerniéj pisał o tutejszych stosunkach. Jestem rodak z Czarnegolasu powiatu Odolanowskiego i 9 latek tu w górnictwie pracujący. Znam Ojców pług i skibę roli tak jeszcze dobrze jak i moją mowę, którą proszę szanować i cieszę się z mego pobytu, jako szanowany Polak pomiędzy Niemcami.

Uniżony M. Szyszka.

Przytoczyłem w całéj rozciągłości ustęp powyższy z „Nowin“ wrocławskich. Wielce charakterystycznêm dla nas tutaj jest, że to się znajduje w piśmie protestanckiém i że list taki napisał człowiek prosty, włościanin w poczuciu samorodnêm swéj narodowości. Z tych i temu podobnych objawów łatwo się spostrzedz, gdzie się znajduje źródło odrodzenia i siły, oraz jakie drogi ku niemu wiodą.

Przechodząc do rozważania faktu emigracyi do Niemiec ze stanowiska ekonomicznego, można rzecz nawiązać do tylko co przytoczonego listu. Choć niezawodnie jest wiele złych stron w téj wędrówce (i o nich, w miarę przybywających wiadomości, gdzieindziéj obszerniéj będzie mowa), niemniéj jednak już teraz można orzec, iż lepiéj jest żeby ona istniała, aniżeli żeby jéj nie było wcale. Czyż możnaby było bez niéj przypuszczać, żeby taki list był możliwy, żeby polscy ewangelicy łączyli się w stowarzyszenie „Jedność“ i t. d.? Czyż nie jest prawdopodobniejszém, że brak zarobku nie dozwoliłby wyjść z nędzy w domu i nie dopuściłby zakwitnąć tym uczuciom i czynom, które są uwidocznione i opisane w liście?

Wypada tu powtórzyć po raz setny czy tysiączny komunał ludnościowy, wciąż jeszcze dotąd niedostatecznie, pomimo swéj prostoty, zrozumiany w poszczególnych zastosowaniach. Oto, że wzrost ludności zależy od wzrostu środków utrzymania i że sam postęp cywilizacyjny, bez względu na wzrost ludności, jest możliwy tylko przy wzroście tych środków utrzymania. Przypuszczając rzecz niemal niemożebną t. j. żeby np. przez ćwierć wieku ludność jakiego kraju była mniéj więcéj jednakową co do liczby t. j. ani się nie zwiększała, ani nie zmniejszała, to jeżeli ona postąpiła w udoskonaleniu społecznêm, w cywilizacyi, niewątpliwie środki utrzymania musiały wzrosnąć. Z kulturą, z doskonaleniem się społecznêm muszą wzrastać potrzeby (oświaty, gazet, książek, szkół wszelkich, lepszego pożywienia, ubrania, mieszkania, hygienicznego życia i t. d.). Zadowolenie tych potrzeb wymaga od społeczeństwa milionowych i miliardowych kosztów; jest ono tylko możliwe wtedy, jeżeli w odpowiednim stopniu wzrosną dla téj ludności źródła dochodu i zarobku. Jakżeż one muszą szybko wzrastać jeżeli przy wymagającym ich postępie cywilizacyjnym sama ludność oprócz tego odznacza się wielką siłą rozrodczą? Niewątpliwie najkorzystniéj byłoby dla naszéj ludności, żeby zarobek i dochód były na rodzinnéj ziemi i żeby ich nie trzeba było szukać na obczyźnie. Ale jużci lepiéj jest, żeby był choć w dalekiéj ziemi niemieckiéj, aniżeli żeby go nie było i przez to nędza, śmiertelność i zacofanie nie opuszczały domu, lub nawet się wzmagały. Jednêm ze źródeł dochodu i zarobku jest niewątpliwy fakt, że ten sam robotnik polski, który we własnym kraju

nieodznacza się zawsze pracowitością i owszem uchodzi nieraz słusznie za leniwego i niedołężnego, tenże sam w podziw wprawia cudzoziemców swoją żarliwością w pracy nie tylko w Niemczech lecz też i Ameryce; nikt tak jak Polacy, nie bierze się serdecznie i wytrwale do roboty. Rozwijanie się tych przymiotów, nie wywiązujących się dostatecznie na jaw w kraju rodzinnym, przypisać należy przedewszystkiém lepszéj płacy, któréj w swojéj okolicy nie znajdują, i co zatem idzie, lepszemu bytowi (pożywieniu), mimo że stosunkowo oszczędzają z ascetyczną, nieznaną Niemcom i Amerykanom, powściągliwością od przyjemności życiowych (zabaw, napitku, lepszego jedzenia i t. d.)

Drugim czynnikiem, budzącym energię i inne uśpione a cenne przymioty duszy, jest masa nowych wrażeń wstrząsających duszą przy przybyciu do kraju dalekiego i wielce różnego od ojczystego. Sama jazda wywiera potężny wpływ na najbardziéj apatyczną naturę, a wykolejenie się z dotychczasowéj jednostajności życia dokonywa reszty.

Twierdzenie, dotyczące tych przymiotów pracownika polskiego na obczyźnie, bynajmniéj nie jest wynikiem sentymentalnego optymizmu piszącego. To mniemanie korzystne czerpane jest z opowiadań samych Niemców, z odpowiedzi piśmiennych i ustnych ludzi, którzy znają dokładnie te stosunki, zwłaszcza księży i z wielu dzieł obcych, np. Kärgera „*Die Sachsengängerei*,” Müldnera „*Reise des Albatros*,” Langego „*Südbrasilien*” i t. d. Ten korzystny wynik badań chciałbym jaknajdobitniéj zaznaczyć.

Jaka jest liczba polskich robotników wychodzących rocznie do Niemiec? Cyfr dokładnych niepodobna przytoczyć, można tylko mniéj więcéj wymiarkować liczbę tę z różnych danych. Wedle urzędowéj statystyki niemieckiéj, było niemal milion mieszkańców urodzonych w 4-ch prowincyach wschodnich państwa niemieckiego, mieszczących w sobie ludność polską (Szląsk, Poznańskie, Prusy Zachodnie i Wschodnie), a zamieszkałych w grudniu 1885 r. (podczas liczenia ludności) po całéj reszcie Niemiec. W miesiącach zimowych, ludność najwięcéj siedzi w stronach rodzinnych w domu. W tém obliczeniu naturalnie nie objęci są ci, którzy tylko na czasowy zarobek, np. do buraków i robót w polu „do Saksów“ udają się, za to objęci są ci, którzy mniéj więcéj na stałe udają się do fabryk i górnictwa. Co najmniéj, połowę z tego miliona stanowią Polacy; istném niepodobieństwem jest ściśle określić stosunek narodowościowy; prawdopodobnie jest on w emigracyi taki sam co w kraju rodzinnym pomiędzy ludnością stałą, zkąd emigracya wypływa. Zresztą są to dane z 1885 r., a w ciągu lat 5-ciu prawdopodobnie wiele zmian nastąpiło. Kärger w dziele „*Die Sachsengängerei*” oblicza na 75,000 rocznie przybywających z Pomera-

nii, Prus Zachodnich i Wschodnich, Poznańskiego i Szląska do krajów saskich na roboty w polu i przy fabrykach cukru; ponieważ przeważnie tychże robotników dostarcza Szląsk górny, Poznańskie i Prusy Zachodnie, jest prawdopodobném, że w tych 75-ciu tysiącach przeważa ludność polska. A jeszcze to nie jest pewnie przeważna część wychodźców, bo wielu ich udaje się do fabryk i górnictwa, gdzie robota trwa bezustannie, bez względu na pory roku.

Przyczyna wychodźtwa ludu polskiego w głąb Niemiec jest wszędzie obecnie, z małemi wyjątkami, ekonomiczna. Da się ona streścić w słowie „za chlebem", pojętém w szerokiém znaczeniu. Chodzi bowiem wychodźcom przedewszystkiém naturalnie o lepszy zarobek, taki, jakiego niemają w kraju rodzinnym, a w dalszym ciągu o to, co z tém jest w związku, t. j. o niezależność materyalną i wyzwolenie się od opieki rodzicielskiéj. Posyłają i przywożą oni rodzicom znaczne sumy, bo też i sporo zarabiają, a mają to zadowolenie, że z własnych przez się zaoszczędzonych pieniędzy udzielają pomocy rodzinie, gdy tymczasem pozostając w domu, pod strzechą rodzinną, zwykle nic nie zaoszczędzają, ale, wedle zwyczaju powszechnego pomiędzy włościanami polskimi, oddają zarobek cały rodzicom lub starszym z rodzeństwa bez rachunku; jestto bowiem patryarchalny wspólny zarobek całéj rodziny. Wychodzenie na zarobek w dalekie strony jest wyłamaniem się z pod tego rodzinnego może starosłowiańskiego komunizmu.

Z jakich okolic najwięcéj wędrują? Odpowiedź na to daje ogólne prawo: emigrantów wypycha z domu brak źródeł dochodu i zarobku, a przyciąga istnienie środków zarobkowania bez względu na narodowość; a więc stosunkowo liczniéj wędrują oni z okolic mniéj zamożnych i mniéj urodzajnych do zamożniejszych, z więcéj rozdrobnionych, w których mniéj jest zarobku po fabrykach i większéj własności ziemskiéj, do krajów o rozwiniętym przemyśle i rolnictwie, gdzie zwłaszcza kwitnie przemysł pomocniczy rolnictwu (środkowe i zachodnie Niemcy). Kärger w swojéj książce podaje dwa uderzające przykłady krajów z bardzo szczegółowemi danemi statystycznemi, dotyczącemi zamożności mieszkańców. Część Prus Zachodnich po lewéj stronie Wisły, północna, zamieszkała jest przez polskie plemię Kaszubów; są to okolice piękne, o wielkiéj ilości jezior, pagórków i lasów, lecz nieurodzajne, z dość rozdrobnioną wśród włościan własnością, z małą ilością fabryk i wielkiéj własności. Po tymże lewym brzegu Wisły, bardziéj ku południowi, leżą tak zwane Kosznajdry i są to okolice zamieszkałe przez ludność mieszaną i w niektórych miejscach, przeważnie niemieckie; ziemia tam jest urodzajna, dobrobyt znaczny. Z Kaszub więc bez porównania

większe jest wychodźctwo niż z Kosznajdrów, i z tychże samych powodów większe ono jest w północnéj części powiatu Sycowskiego (*Polnisch Wartemberg*) na Szląsku pod Wrocławiem, t. j. z części polskiéj mniéj urodzajnéj i biedniejszéj oraz mniéj obfitującéj w większą własność i w przemysł pomocniczy rolnictwu, niż z części południowéj przeważnie niemieckiéj, odznaczającéj się o wiele większą zamożnością. Kärger przytacza z niemiecką drobiazgowością mnóstwo szczegółowych danych w tym względzie.

Wychodźctwo odbywa się za namową ajentów, tak zwanych dozorców (*Aufseher*), podobno przeważnie starozakonnych, choć pod tym względem nie mogę wypowiedziéć zdania stanowczego. Pośrednictwem i namawianiem do wychodźctwa na zarobek trudnią się może w większéj jeszcze mierze kobiéty starsze i młodsze, często pochodzące z pomiędzy saméj klasy robotniczéj; mają one wielkie zaufanie pomiędzy swemi i działają z tém donioślejszym skutkiem.

Polscy robotnicy i robotnice bardzo cenieni są przez większych właścicieli ziemskich i naczelników fabryk. Tak oni jak rząd starają się coraz więcéj o najlepsze rozmieszczenie przybywających mas w budynkach odpowiednich, dbając o rozsegregowanie pod względem płci, o wygody, o dobre pożywienie i t. d. Z téj strony żadna krzywda nie spotyka naszych pracowników. Lecz zdarza się ona tam, gdzie są oni w większéj zależności od ajentów dozorców; jestto wciąż powtarzająca się rzecz na całym świecie, że tém gorzéj się dzieje robotnikom, im mniéj wglądają w swoje majątki właściciele sami i zarząd ich jest więcéj w ręku dzierżawców, rządców, mandataryuszów i t. d.

Czy w większym stosunku emigrują Niemcy niż Polacy? W większym Niemcy o tyle, że jako cywilizacyjnie bądźcobądź wyżéj stojący, mają większe potrzeby i skłonniejsi są do czynienia im zadość, puszczając się do okolic niemieckich i zamorskich, gdzie jest o wiele więcéj źródeł dochodu i zarobku.

Tam zaś, gdzie na polskiéj ziemi Niemcy obsiedli ziemie urodzajniejsze, o tyle mniéj wydają emigracyi od Polaków sąsiadów, zamieszkujących okolice mniéj zamożne. Co zaś do powrotu w rodzinne strony, to stanowczo w większéj mierze przeważają Polacy. Kärger i inni Niemcy skarżą się, że przez to całe gminy i powiaty polszczeją, np. w Chodzieskiém i innych okolicach. Nie ma co się dziwić, że Niemcy w większéj mierze niż Polacy pozostają w krajach, w których lepszy mają zarobek i zastają o wiele więcéj swojską atmosferę. W tym stanie rzeczy niewątpliwie tkwi największa przeszkoda dla stumilionowéj komisyi kolonizacyjnéj. Po nabyciu za drogie pieniądze ziemi polskiéj od Polaków przychodzi najtrudniejsza część zada-

nia, rozprzedania jéj pomiędzy kolonistów Niemców. Dobry jednak żywioł kolonizacyjny niemiecki, prawdziwie nam niebezpieczny, t. j. gospodarze zamożni i umiejętnie w roli pracujący, nie pójdzie do Księstwa Poznańskiego i Prus Zachodnich, gdzie ich nie ciągnie miłość ku ziemi rodzinnéj, jak naszego chłopa. Wolą oni się udać za morze, gdzie za te same lub mniejsze pieniądze nabędą nie osady włościańskie rozparcelowane z większéj własności, lecz ziemie obszerne, jak sama większa własność, w kraju wolności i postępu.

St. Kłobukowski.





NÄGELI JAKO FILOZOF.

Na pięćdziesiąte zebranie „Niemieckich przyrodników i lekarzy“, które się w r. 1877-ym miało odbyć w Monachium, zapowiedział swój odczyt między innemi Tschemak, profesor mineralogii w Wiedniu. Tymczasem już pod koniec półrocza letniego otrzymuje zarząd zjazdu doniesienie, że prof. Tschemak nie przyjedzie, — co prędzéj więc wysyła zawezwanie do Nägelego, ażeby zechciał zastąpić kolegę, który się cofnął ze swojém przyrzeczeniem. Nieszczęśliwy Nägeli! Właśnie w chwili, w któréj prawie już przygotowany był do wyjazdu w Alpy—właśnie w takiéj chwili musiał odebrać zawezwanie do opracowania odczytu. Ale nie było rady. Choć niechętnie zabiéra się do pisania „*Ueber die Grenzen der naturwissenschaftlichen Erkentniss.*“ Tymczasem w Monachium coraz goręcéj — w Alpach coraz ponętniéj. Przerywa więc znamienity botanik pracę swoję, wyjeżdża jak postanowił, a w górach kończy rozprawę rozpoczętą w dolinie. Odczyt odbył się w swoim czasie, a dopiéro po odczycie nabiéra Nägeli przekonania, że wypowiedziane w nim poglądy wymagają gruntowniejszego uzasadnienia. Choroba przerywa wprawdzie kilkakrotnie pracę zmierzającą do tego celu — po siedmiu jednak latach ukazuje się na widok publiczny jego: *Mechanisch-physiologische Teorie der Abstammungslehre.* Tutaj to rozrzucił autor mnóstwo poglądów filozoficznych — z wielu względów niezmiernie ciekawych, które razem zebrać i jako całość przedstawić—jest naszém zadaniem.

Filozofia, jako nauka ogólna, ma za przedmiot całość wiedzy ludzkiéj. Jéj badanie może się odbywać w dwóch kierunkach: może mieć na celu wykazanie, w jaki sposób wiedza owa powstała, albo w jaki sposób da się zespolić w nierozerwalną całość. Przedmiotem więc filozofii może być wiedza stawająca się, albo wiedza powstała.

Powstawanie wiedzy bada teorya poznania, wiedzę gotową—metafizyka. Oczywiście, że i rozrzucone poglądy Nägelego rozpadają się na odpowiedzi z dziedziny teoryi poznania i z dziedziny metafizyki, jakkolwiek ani pierwszéj, ani drugiéj nie dają w całości. Wszystko, co dotyczy teoryi poznania, da się zebrać w trzy grupy, będą to odpowiedzi na trzy pytania: 1) o ile odpowiada rzeczywistość naszym wyobrażeniom; 2) czy istnieją pojęcia wrodzone; 3) jakie są granice naszego poznawania. Wszystko, co dotyczy metafizyki, jest odpowiedzią na pytanie: 4) co to jest materya? Przedewszystkiém podawać będziemy treść poglądów autora, uwagi dołączymy dopiéro po uczynieniu zadosyć warunkowi pierwszemu.

I.

W całéj przyrodzie rządzą, tak twierdzi Nägeli, z nieograniczoną władzą jedne i te same prawa. Te same prawa rządzą przyrodą organiczną i nieorganiczną, te same materyą i duchem. W ciałach, złożonych z cząstek i w tychże cząstkach tworzących razem ciało złożone, czynnemi są te same siły; jedynie skutkiem różnego ich ustosunkowania się w różnych ciałach, mogą one przybierać różne dla nas postaci. Dlatego to przedmioty świata zewnętrznego dla nas są jakościowo różnemi, mimo iż różnice te w rzeczywistości są tylko ilościowemi. Ile razy ilościowe różnice wydają nam się być jakościowemi, tyle razy albo budowa naszych zmysłów jest temu winną, albo fakt, że przedmioty świata zewnętrznego przechodzą w siebie nie stopniowo, ale w skokach.

Faktów dowodzących prawdziwości niniejszego twierdzenia istnieje niezliczona ilość. Drgania powietrza, różniące się między sobą peryodycznością, a więc drgania, z których jedne są regularne, inne nieregularne,—ucho nasze rozróżnia jako dźwięki i szmery. Drgania powietrza regularne, różniące się między sobą chyżością drgnień, ucho nasze rozróżnia jako dźwięki różnéj wysokości; dla nas ani *c* nie jest mocném *a*, ani *a* słabém *c*. Drgania eteru, różniące się między sobą jedynie chyżością drgnień, oko nasze rozróżnia jako różne barwy; ani barwa niebieska nie wydaje nam się być jaskrawą żółtą, ani barwa żółta bladą niebieską. Ciała o tym samym składzie chemicznym, różniące się między sobą jedynie stanem skupienia, dla nas są różnemi ciałami; jeden kilogram wody mniéj 79 jednostek ciepła jest dla nas jednym kilogramem lodu, jeden kilogram wody więcéj 536 jednostek ciepła jest dla nas jednym kilogramem pary. Jeżeli dwa pierwiastki chemiczne łączą się z sobą chłonąc lub tworząc ciepło, to i wówczas

powstaje dla nas ciało od pierwiastków owych jakościowo różne; jeden gram chloru więcéj jeden gram wodoru mniéj 22 jednostek ciepła są dla nas dwoma gramami lotnego kwasu solnego.

Otóż rzeczywistość nie jest podobizną naszych wyobrażeń, ale ich symbolem. A czy stąd wynika, że nie jesteśmy w stanie poznać rzeczywistości? Bynajmniéj. Wprawdzie zmysły nasze przerabiają na swoją modłę podrażnienia, których otaczający nas świat zewnętrzny nie szczędzi, rozwijające się jednak nauki oddzielają od postrzeżeń naszych wszystko to, co jest subiektywném tylko. W ten sposób dochodzimy do prawdy obiektywnéj, a nasze symbole rzeczywistości zamieniają się na podobizny téjże. Nie ma wprawdzie przedmiotów ciepłych i zimnych, słodkich i gorzkich, ciężkich i lekkich, gładkich i chropawych, wielkich i małych, — ale są drgające atomy, których ruchy różnią się między sobą kierunkiem i chyżością. Prawda podmiotowa tém bardziéj staje się przedmiotową, im mniéj rozróżniamy w otaczającym nas świecie jakości. Wyobrażenie, którego jakości rozłożone zostały na ilości, jest portretem otaczającéj nas przyrody.

Ażeby ustalić i umocnić owo twierdzenie, zestawia autor przyrodę organiczną i nieorganiczną, wykazując, że i te różnice są jedynie ilościowemi. Twierdzenie, że pomiędzy przyrodami temi istnieje przepaść, nie dająca się wypełnić, opiéra się na trzech argumentach: 1) pomiędzy najniższemi organizmami a przyrodą nieorganiczną nie znamy istot przejściowych; 2) w przyrodzie organicznéj istnieją siły, których nie posiada przyroda nieorganiczna; 3) nie umiemy ciał uorganizowanych tworzyć. Na argument pierwszy należy odpowiedzieć, że budowa organizmu i jego wielkość stoją do siebie w stałym stosunku, — im prostszą jest budowa danego organizmu, tém ów organizm jest mniejszy. Pomiędzy jednokomórkowemi roślinami np. istnieją rośliny tak małe, że o ich istnieniu wolno nam tylko wnosić z ich działania. Nieistnienia więc istot przejściowych między przyrodzą organiczną i nieorganiczną dowodzi tak samo fakt, że mikroskopy tychże nie widzą, jak nieistnienia istot organicznych wogóle po za obrębem naszéj planety, dowodzi fakt, że ich teleskopem nigdzie dopatrzéć się nie jesteśmy w stanie. Na argument drugi należy tak odpowiedzićć: słuszny jest zarzut, jakoby do pewnego stopnia przyroda organiczna uchylała się przed koniecznością niezłomnych prawideł wszechświata; niesłusznem jednak byłoby twierdzenie, że inaczéj dzieje się w przyrodzie nieorganicznéj. Ponieważ na kulę wyrzuconą z armaty różne działają siły, a w dodatku z różném, nieraz nie dającém się obliczyć, natężeniem—rzeczywistość więc z rachunkami tylko w przybliżeniu zwykła się zgadzać. Dlatego to zupełnie naturalną jest rzeczą, że

zjawisko, im bardziéj jest złożone i różnorodne, tém bardziéj wydaje się oddalać od prawidłowości matematycznéj. Zupełnie podobnie należy odpowiedziéć na argument trzeci. Słuszny jest zarzut, że nie jesteśmy w stanie żadnego organizmu utworzyć na drodze syntezy; niesłuszne jednak byłoby twierdzenie, że umiemy tworzyć na téj drodze ciała nieuorganizowane. Cała nasza umiejętność w tym kierunku ogranicza się do możności zestawienia warunków, wśród których to coś, co mamy zamiar utworzyć, samo powstanie, jak powstaje zazwyczaj bez przyczynienia się naszego. Ile razy cośkolwiek tworzymy, tyle razy tworzenie nasze jest jedynie zestawianiem warunków niezbędnych do powstania tego czegoś. Przez wystawienie danego rozczynu na działanie danéj ciepłoty tworzymy kryształy; przez włożenie pewnego nasienia w wilgotną ziemię tworzymy rośliny; przez zamknięcie jajka kurzego w ciepłéj skrzyni tworzymy kurczęta. Jeżeliby nam przeciwnik zarzucił, „dobrze więc! nie umiemy zgoła tworzyć, ale umiemy przecież zestawiać warunki powstawania ciał nieuorganizowanych, a warunków powstawania ciał uorganizowanych zestawiać nie umiemy“, wówczas należałoby odrzec, że nie będzie dla nas niespodzianką, jeżeli przypadkiem pierwéj chemicy nauczą się zestawiać warunki powstawania białka, a fizyologowie warunki powstawania pierwoszczy, późniéj dopiéro jubilerzy wynajdą sposób na zestawiania warunków powstawania dyamentów. Jeżeliby nasz argument jeszcze raz zmienił swoję kameleonową postać, a nasi przeciwnicy zawołali: „nie umiecie wskrzeszać umarłych!“ — należałoby odpowiedziéć: ani słowa! Nie umiemy przywoływać do życia tych, którzy niém pogardzili, ale nie dziwimy się temu, bo kunsztem owym w ogóle władać nie umiemy. Rozbijmy kryształ, a nikt go do życia nie przywoła. Możemy go tylko roztłuc i rozpuścić, a więc zestawić warunki niezbędne do powstania nowego kryształu.

Jak z jednéj strony bezpodstawne są zarzuty, skierowane przeciwko przyjęciu ilościowéj tylko różnicy pomiędzy przyrodą organiczną i nieorganiczną, tak z drugiéj strony niezbitym dowodem, zniewalającym do przyjęcia jedynie takiéj różnicy, jest fakt, że przyroda organiczna bez przerwy z nieorganicznéj powstaje. Codziennie widzimy, jak roślinne i zwierzęce organizmy ciało swoje z nieorganicznéj przyrody wytwarzają.

Ażeby jeszcze raz umocnić udowodnione już tylekrotnie twierdzenie, że rzeczywistość nie zna innych różnic jak tylko ilościowe, zestawia autor materyę i ducha, aby i tutaj wykazać istnienie jedynie różnic ilościowych. W sprawie stosunku między materyą a duchem należy wyodrębnić dwa pytania, mianowicie: „czy procesy duchowe

muszą być sprowadzone do ruchów materyalnych“ i „jak mamy sobie owo sprowadzenie przedstawiać“. Obadwa te pytania są zgoła niezależne od siebie.

Na pytanie pierwsze nie podobna inaczéj odpowiedziéć, jak twierdząco. A to z następujących powodów: przedewszystkiém wiemy, że ruchy materyalne na ducha oddziaływają— powtóre wiemy, że duch powoduje naodwrót ruchy w mięśniach i nerwach. Już stąd wynika, że duch jest materyą; gdyby nią bowiem nie był, nie mógłby na materyą oddziaływać. Jeżelibyśmy jednak mimo tego chcieli gwałtem ducha uważać za coś niemateryalnego, wówczas duch ten musiałby się zachowywać, jak gdyby był materyą. Przypuszczenie więc, że duch jest niemateryalnym, nie narusza materyalistycznego pojmowania wszechświata w jego istocie; to pojmowanie bowiem polega na uważaniu prawa przyczynowości za niedoznające wyjątków a nie na jakiejś teoryi siły albo materyi.

Na pytanie drugie jedynie hypotezą można odpowiedziéć. Istota mózgowa składa się jak wszystkie organiczne z micel. Micela jestto skrystalizowana grupa drobiu otoczona wodą. Micele te mogą się we wszystkich kierunkach około środkowego punktu ciężkości obracać, a nadto mogą się we wszystkich kierunkach o nieznaczne odległości posuwać—zdolne są zatém do ruchu obrotowego i wahadłowego we wszystkich kierunkach. Mózgowie, które w danéj chwili żadnych wrażeń nie odbiéra, a w dodatku aż do téj chwili żadnych wrażeń nie odbiérało, składa się z micel znajdujących się w spoczynku i w bezładzie — micele takie nie wykonywają żadnych ruchów, a osie ich biegną we wszystkich kierunkach. Każde wrażenie, przebiegające przez mózgowie do jego kory, przebiega przez szereg tuż obok siebie leżących micel i powoduje: przedewszystkiém ustawianie się tychże osiami równolegle do kierunku, w którym przebiegło wrażenie, powtóre ruchy wahadłowe tychże micel różne chyżością i amplitudą stosownie do jakości i natężenia wrażeń. Raz w dany sposób ustawione i w dany ruch wprawione micele przestają wprawdzie po ustaniu wrażeń drgać wahadłowo — do pierwotnego jednak położenia równowagi, jako nieabsolutnie elastyczne, nie powracają natychmiast, chociaż czasem powrócić mogą. Jeżeli wrażenie, które dany osobnik już odebrał kiedykolwiek po upływie czasu jakiegoś, powtórnie przedostanie się do mózgowia tegoż osobnika, wówczas przebiegnie ono tę samę drogę, którą raz już przebiegło — jako przez linię najmniejszego oporu. Każde nowe wrażenie przebiega nową drogą i to z tego samego powodu — szereg bowiem micel nieuszykowanych jest w porównaniu z dostosowanemi już do danego wrażenia znowu „linią najmniejszego oporu“.

To nam tłómaczy dlaczego równocześnie odbiérać możemy rozmaite wrażenia. Stąd wynika, że podkładem czucia jest szereg micel, w dany sposób do kierunku, w którym przebiegło wrażenie, ustawionych, i w dany sposób, stosownie do jakości i natężenia danego wrażenia, około położenia równowagi się wahających. Podkładem postrzeżenia jest grupa takich szeregów micelowych. Ponieważ wrażenie, po raz pierwszy danego osobnika nawiedzające, energią swoję zużywa na ustawienie micel, wrażenie zaś nie nowe na ustalenie już ustawionych micel — jesteśmy więc w stanie rozróżniać wrażenia nowemi od nienowych. Ponieważ, im więcéj razy danym szeregiem micel przebiegło pewne wrażenie, tém mniéj prawdopodobnym jest powrót tegoż szeregu do pierwotnego położenia równowagi — przeto im częściéj dany osobnik odbiérał dane wrażenie, tém mniejszém prawdopodobieństwo, że o niém zapomni. Ponieważ różne wrażenia w różnym powodują stopniu szykowanie się micel (od ledwie znacznego początku, aż do zupełnego nakrywania się ich osi z kierunkiem w którym przebiegło wrażenie) — przeto jedne ze spostrzeżeń tkwią lepiéj w pamięci niż inne. Ponieważ szeregi micel uszykowanych poprzedzielane są przez istotę mózgową o micelach bezładnych, a każdy sznurek micel może w ten sposób drgać sam dla siebie—przeto osobnik dany jest w stanie jedno tylko wyobrażenie przywołać sobie na pamięć. Ponieważ dwa równocześnie do mózgowia dochodzące wrażenia wprawiają w ruch równocześnie dwa sznury micel, a zarazem drgające sznury, zmuszone oddziaływać na siebie, wprawiają w ruch sznurek micel łączy je między sobą — więc osobnik odbierający jedno z takich dwóch wrażeń, które swojego czasu razem dostały się do jego mózgowia, przypomina sobie i drugie. Ponieważ micele posiadają dany stopień ruchowości, który zależy od stopnia elastyczności — przeto z pamięcią trudno przyswajającą idzie w parze pamięć trwała, z pamięcią łatwo przyswajającą—nietrwała. Ponieważ równocześnie różne sznury micel drgać mogą — przeto w chwilach takich wahamy się, co nam na razie uczynić wypada.

Że nawet tak silnie obwarowanéj twierdzy Nägeli nie uważa jeszcze za dostateczne bezpieczną, tego dowodzi dalsze jéj wzmacnianie. Każde działanie, mówi autor, zależy od przyrody tego czegoś, co działa i od przyrody tego, co na działanie zostało wystawionem. Wobec tego wydaje się być mrzonką żądanie, aby wyobrażenia nasze były wizerunkami rzeczywistości. Żądać bowiem, żeby wyobrażenia nasze były obiektywnie prawdziwemi, znaczy tyle, co żądać, żeby działanie świata zewnętrznego na nas, zależało od przyrody otaczającego nas świata, a niezawisłem było od przyrody naszéj. Tak jest.

A mimo to przecież żądanie, aby wyobrażenia nasze były podobiznami rzeczywistości, nie jest mrzonką — a nasze wyobrażenia są wiernem odbiciem rzeczywistości z warunkiem... że zostały na ilości rozłożone. Jakimże sposobem? Oto tym, że przyroda otaczającego nas świata i przyroda nasza są jedną i tą samą przyrodą.

Takiemi są odpowiedzi Nägelego na pytanie: „o ile rzeczywistość odpowiada naszym wyobrażeniom“. Odpowiedzi te: rozrzucone wśród przypisków do rozprawy „O granicach poznawania przyrodniczego“, zebrałem w jedną całość, której u Nägelego czytelnik nie znajdzie, a mimo tego nie sądzę, abym stał się przez to winnym wyrządzania autorowi jakiejkolwiek krzywdy. Przeciwnie, na tu i owdzie przy zestawianiu rozrzuconych uwag wyłaniające się braki i sprzeczności nie zwracaliśmy żadnéj uwagi i przedstawili całość ile możności w jak najkorzystniejszém świetle. Teraz pora przypatrzéć się temu wszystkiemu dokładniéj i stosownie do wartości ocenić. Na razie staniemy na stanowisku autora—na odmienne przejdziemy pod koniec.

Że w sprawie stosunku materyi do ducha dwa należy wyróżniać pytania, t. j. pytanie: „czy duch powstaje z materyi“ i pytanie: „jak owo powstawanie się odbywa,—na to godzimy się w zupełności. Jeżeli jednak Nägeli, idąc daléj, uważa za niezbędne na pytanie pierwsze odpowiedziéć twierdząco—tutaj zacząć się musi niezgoda. Twierdzenie autora: „wiemy stanowczo, że materyalne ruchy działają za pośrednictwem zmysłów na ducha i wywołują w nim ruchy — nadto, że te ruchy znowu powodują w nerwach i mięśniach ruchy materyalne“ nie zgadza się z rzeczywistością. Analiza naukowa owego stosunku doszła jedynie do paralelizmu ruchu i świadomości. Niedosyć na tém. Wiemy, że przypuszczenie wzajemnego oddziaływania na siebie materyi i ducha sprzeciwia się prawu stateczności siły. Przypuśćmy bowiem, że jesteśmy w stanie obliczyć energię ruchów drobinowych i niedziałkowych mózgowia, które są podkładem danéj świadomości czy danéj pracy umysłowéj. W tym razie z jednéj strony zniewala nas prawo stateczności siły do uważania owego podkładu pracy umysłowéj za całkowity skutek jakiejkolwiek innéj energii — stąd wynikałoby, że owa praca umysłowa nie została spowodowana energią ruchów cząsteczkowych mózgowia. Z drugiéj strony zmusza nas przypuszczenie, że część energii ruchów cząsteczkowych mózgowia spowodowała ową pracę umysłową, do przyznania, że część jéj w pracę owę się przemieniła -- stąd wynikałoby, że część energii znikła. Zarzut ten dotyczy Nägelego jedynie jako autora dość ciekawego i charakterystycznego oświadczenia, że przyrodnikowi wolno być materyalistą lub nim nie być — jeżeli przyrodnik materyalistą być woli, to dlatego

jedynie, że materyalizm godzi się z monistycznėm pojmowaniem wszechświata. Jeżeli natomiast na innėm miejscu Nägeli, nawet na twierdzeniu „duch jest materyą“ nie poprzestając, posuwa się aż do oświadczenia, że nawet przypuszczenie, jakoby duch był niemateryalnym, nie narusza materyalistycznego pojmowania wszechświata w jego istocie, materyalizm bowiem „polega jedynie na ścisłėm przeprowadzeniu prawa przyczynowości, a nie na jakiėjś teoryi siły, albo materyi“, zmuszeni jesteśmy do zrobienia jednėj uwagi. Oto wierzymy głęboko, że każdemu przysługuje prawo nazywania każdėj rzeczy według własnego upodobania. Ponieważ jednak język jako środek umożliwiający wymianę myśli, mijałby się z celem swoim, gdyby posługujący się nim korzystali z przysługującego im prawa bez zastrzeżeń — powszechnie przeto przyjętym jest zwyczajem, że nazywający rzecz jakąś inaczėj, jak czynią to inni, do odmiennėj nazwy dodaje zastrzeżenie autorstwa. Nägeli tego nie uczynił; zniewoleni więc jesteśmy przypuszczać, uważając za nieprawdopodobną ochotę ignorowania racyonalnego i ogólnie przyjętego zwyczaju, że nie uważa się za autora owėj nazwy—dlatego prostujemy mniemanie autora i zaznaczamy, że materyalizmu jest kierunkiem filozofii polegającym nie na ścisłėm przeprowadzeniu prawa przyczynowości ale na uważaniu materyi za przyczynę wszystkich a więc i duchowych zjawisk. Od omówienia odpowiedzi Nägelego na pytanie, jak należy przedstawiać sobie powstawanie ducha z materyi, uwalnia nas narazie nasza odpowiedź na twierdzenie Nägelego: „dusza powstaje z materyi“.

Rezultatowi zestawienia przyrody organicznėj z nieorganiczną nie wiele mamy do zarzucenia — nie możemy jednak tego samego powiedzieć o drodze, po którėj Nägeli doszedł do owego rezultatu. Twierdzenie, że pomiędzy przyrodą organiczną i nieorganiczną istnieje przepaść nie dająca się wypełnić, opiéra się nietylko na owych trzech przez Nägelego przytoczonych argumentach. Spora istnieje literatura, którėj celem było wykopanie między owemi przyrodami nie dającėj się przebyć przepaści i spora istnieje literatura ową przepaść aż popoziom rozdzielanych dziedzin zasypująca argumentami. Gdyby rzecz cała tak prostą była, jak Nägeli ją przedstawił, nie byłoby sporu. Nie mogąc wchodzić w szczegóły sporu, musimy się zadowolnić zaznaczeniem, że dotych czas ze stanowiska naukowego roztrzygniętym nie został, jakkolwiek zwycięstwo chyli się ku stronie, po którėj stanął Nägeli.

I w ciałach złożonych z cząstek i w cząstkach tworzących razem ciało złożone — według Nägelego — te same rządzą siły. Na to zniewoleni jesteśmy zauważyć, że jakkolwiek licznemi były starania, mające na celu sprowadzenie sił działających między niedziałkami, dro-

binami i z cząstek złożonemi ciałami do siły jednéj, żadnego z tych starań przecież pomyślny skutek nie uwieńczył. Są to do dnia dzisiejszego, jakkolwiek z pewnych względów uzasadnione, przecież tylko „*pia desideria*“.

Bez przywiązywania jakiéjkolwiek wagi do popełnionego błędu, mimochodem jedynie zaznaczamy, że jeżeli autor za powód, dla którego ilościowe jedynie różnice uważamy za jakościowe, wylicza „budowę naszych zmysłów“ i „fakt, że przedmioty świata zewnętrznego nie przechodzą w siebie stopniowo“, to podział ów nie odpowiada warunkom podziału umiejętnego. Jednym bowiem z owych warunków jest wzajemne wyłączanie się części, na które całość została podzieloną.

Ze stanowiska rozbieranych odpowiedzi Nägelego nic po nad to, co już powiedzieliśmy, dodać nie mamy — na razie więc przechodzimy do pytania drugiego: „czy istnieją pojęcia wrodzone“, zaczynając znowu od przedstawienia poglądu autora.

II.

Jeżeliby rozumowi naszemu wrodzoném było jakiekolwiek wyobrażenie ogólne, wówczas rozum ten musiałby—tak twierdzi Nägeli—wszystkie szczegółowe, wrodzonemu podporządkowane wyobrażenia, albo posiadać, albo módz wytworzyć bez pomocy zewnętrznéj. To znaczy: jeżeliby rozumowi naszemu wrodzoném było wyobrażenie przestrzeni i czasu — rozum nasz musiałby albo posiadać, albo być w stanie wytworzyć sobie bez pomocy zewnętrznéj wyobrażenia: trzech wymiarów, punktu, linii, płaszczyzny, ciała, ruchu... Tak jest. Ale nie na tém koniec. Różnica pomiędzy naukami formalnemi i realnemi na tém polega, że kiedy pierwsze odłączają niektóre pojęcia (jak: liczba, kształt, siła, ruch) od przedmiotów rzeczywistych i rozważają je bez względu w jakim one zostają stosunku do przedmiotów od których zostały oderwane — treścią nauk realnych są przedmioty rzeczywiste. Stąd wynika, że nauki formalne w takim stoją stosunku do realnych w jakim pojęcie abstrakcyjne stoi do konkretnego—albo część do całości. Jeżeli tak— to rozum ludzki, który jest w stanie wytworzyć sobie bez pomocy zewnętrznéj nauki formalne i do wytworzenia nauk realnych owéj pomocy nie potrzebuje.

Nie jest to jedyny zarzut przeciw możliwości istnienia pojęć wrodzonych. Drugim również niezbitym jest fakt, że w historyi rozwoju człowieka nie powstają nigdy nowe zgoła jakości. Stąd wynika, że wrodzone pojęcia musiałby posiadać prócz człowieka z jednéj strony: i płód, i pęcherzyk zarodkowy i nitki nasienne — z drugiéj strony: i zwierzęta i rośliny i przyroda nieorganiczna. I rzeczywiście nie

brak takich, którzy utrzymywali, że np. poznawanie wrodzoném jest całéj przyrodzie. Ich zdaniem przeto, materya ważka posiada wrodzoną zdolność poznawania pod postacią możności rozróżniania pomiędzy materyą ważką i nieważką— ciało naelektryzowane posiada ją pod postacią zdolności rozpoznawania, czy inne ciała naelektryzowane są przyjaźnie czy nieprzyjaźnie względem niego — papiér lakmusowy pod postacią zdolności rozróżniania między kwasami i zasadami — narząd smakowy pod postacią zdolności rozróżniania pokarmów słodkich i gorzkich — narząd dotykowy pod postacią zdolności rozróżniania przedmiotów zimnych i ciepłych, twardych i miękkich — komórki mózgowia pod postacią zdolności rozróżniania czasu i przestrzeni. Tak twierdzący przypisują częściom przymioty całości. A przecież nikt z nich nie zechce twierdzić, że kwarc budową swoją nie różni się od pokrzywy i konia. Tymczasem jedno jest prawdą jak drugie — błąd drugi nie byłby większym od pierwszego. Że na całość składa się suma jéj części — jest to prawda trywialna pod względem morfologicznym—łatwa do przeoczenia pod względem fizyologicznym. Tymczasem z całości na część nie wolno przenosić ani budowy, ani czynności. Jeżeliby ktoś z obrońców twierdzenia, że całéj przyrodzie wrodzoném jest poznawanie, zarzucił: „przypisywane całéj przyrodzie poznawanie, jest różnorodném jedynie ze względu na jéj formę, ze względu na istotę swoją jest ono jednolitém" — i w tym razie minąłby się z prawdą. Istota bowiem danéj całości polega na: jakości, liczbie i ustosunkowaniu się jéj części. Już zmiana jednego z tych warunków pociąga za sobą zmianę istotną. Już np. mieszanina wodoru i tlenu różni się w istocie swojéj od wody. Oczywiście, że jeżeli do różnicy w ustosunkowaniu się części dołączy się różnica w jakości lub liczbie, albo nareszcie i jakości i liczbie części — różnica między całościami będzie tém większa. Zupełnie tak samo jak z budową, ma się i z czynnością, za istotną różnicę w budowie idzie istotna różnica w czynności. Stąd wynika, że za istotną różnicą w budowie pomiędzy papiérem lakmusowym i narządem smakowym, idzie także istotna różnica między ich czynnościami. Pomiędzy rozróżnianiem kwasów od zasad — a rozróżnianiem, co jest słodkie a co gorzkie, istnieje różnica istotna.

Na czém polega pozorna wrodzoność naszych pojęć ogólnych, nie trudno się domyśléć. Ruchy cząsteczek mózgowia, powodujące nasze wyobrażenia i sądy, posłuszne są tym samym prawom mechanicznym, które rządzą zjawiskami otaczającego nas świata zewnętrznego. W ten sposób podrażnienia z zewnątrz nas dochodzące trafiają na grunt spokrewniony, a na takim gruncie rodzić się muszą wyobrażenia rzeczywistych przymiotów. Tak więc pozorna wrodzoność wyobrażeń

na tém polega, że w osobniku i w otaczającym go świecie panuje taż sama prawidłowość. Stąd oczywiście wynika, nie że pojęcia ogólne są wrodzone, ale że są jedyne, do których czynność duchowa może prowadzić.

Jakiemi są odpowiedzi Nägelego na pytanie: „czy istnieją wyobrażenia wrodzone.“ Ponieważ pytanie to należy do psychologii, a nie do filozofii, możnaby mi zarzucić, że mówiąc o Nägelim jako filozofie, niepotrzebnie streściłem jego poglądy na teoryę wrodzoności wyobrażeń. Zarzut ten byłby w zupełności słuszny, gdyby nie fakt, że pominąwszy owe poglądy, musiałbym tém samém pominąć wykazanie, jakim sposobem Nägeli do nich doszedł, a równocześnie pozbawiłbym się możności umieszczenia w charakterystyce autora jednéj z cech najwydatniejszych.

Dwie istnieją psychologie: idealistyczna i materyalistyczna. Pierwsza wychodzi z założenia, że pomiędzy zjawiskami duszy i ciała istnieją różnice—stąd wnosi, że dusza jest istotą nie mającą nic wspólnego z materyą. Druga wychodzi z założenia, że pomiędzy duszą i ciałem istnieje ścisły związek—stąd wnosi, że dusza jest istnością materyalną. I jedno i drugie jest metafizyką. Przedmiot psychologii nie podpada pod nasze zmysły -- zewnątrz nas nigdzie go bezpośrednio nie widzimy — jedynie przenosząc go, świadomie lub nieświadomie, z wewnątrz na zewnątrz, czynimy go dostępnym doświadczeniu zewnętrznemu. Cóż stąd wynika? Przedewszystkiém, że przenosić na zewnątrz wolno nam to jedynie, co znaleźliśmy wewnątrz. A tutaj co znajdujemy? Z jednéj strony, że świadomość różna jest od świata materyalnego—nie że świadomość jest niezawisłą. Z drugiéj strony, że świat materyalny różny jest od świadomości — nie że świadomość jest materyalną. Jeżeli będziemy twierdzić to jedynie, do czego posiadamy prawo i czemu nikt zaprzeczyć nie może; jeżeli będziemy zatém twierdzić, że istnieją wyobrażenia, uczucia i chcenia, wówczas dusza jest faktem, a psychologia nauką doświadczalną—nie metafizyką. W nauce doświadczalnéj jednak należy przedewszystkiém doświadczać, a potém rozumować. Czy wyobrażenia wrodzone istnieją czy nie istnieją, o tém rozstrzygnąć może jedynie doświadczenie i na doświadczeniu oparte rozumowanie. Nägeli wyracyonalizował, że wyobrażenia wrodzone istniéć nie mogą — inni wielokrotnie wyracyonalizowali, że wyobrażenia wrodzone istniéć muszą,—czy istnieją, czy nie istnieją, może rozstrzygnąć jedynie doświadczenie. Oto błąd Nägelego na tém polega, że do rozwiązania postawionego sobie zagadnienia fałszywą posługiwał się metodą—zamiast przytoczyć fakty, racyonalizował.

Istnienia wrodzonych wyobrażeń broniła przedewszystkiém filo-

zofia spekulatywna, następnie teorya dziedziczności. Filozofia spekulatywna jednak wierzyła we wrodzoność wyobrażeń ogólnych, teorya dziedziczności we wrodzoność wyobrażeń szczegółowych. Ponieważ jedynie doświadczenie może rozstrzygnąć, czy one istnieją, czy nie istnieją, rola przeto filozofii spekulatywnéj ograniczyć się musi do zawyrokowania, czy uciekanie się do teoryi wrodzoności wyobrażeń jest czy nie jest niezbędném. Oto, na to pytanie odpowiedział już Locke w dziele swoim „*An essay concerning human understanding*“, które poraz pierwszy ukazało się w r. 1690. Oknami, przez które wchodzi światło i rozjaśnia ciemności nieukształconego rozumu są — według Locke'go—doświadczenie zewnętrzne (*sensation*) i doświadczenie wewnętrzne (*reflexion*). Wyobrażenia proste są częściami składowemi wyobrażeń złożonych. Pierwsze jednak dusza odbiéra, drugie wytwarza; odbiérając wyobrażenia proste, zachowuje się biernie; w wytwarzaniu wyobrażeń złożonych bierze udział czynny. Skoro już rozum na drodze doświadczenia wewnętrznego i zewnętrznego odebrał sporo wyobrażeń prostych, wówczas spostrzega on, że pewna grupa tychże przedstawia się naszym zmysłom na każdym kroku, że wspólne własności materyi wszędzie są widoczne. Ponieważ nieprawdopodobném jest dla nas, żeby owa grupa prostych wyobrażeń mogła istnieć sama dla siebie, przypuszczamy więc, że posiada jakiś podkład. Przypuszczenie takiego czegoś, co jest przyczyną owych wszędzie postrzeganych przymiotów—jest to złożone wyobrażenie materyi. Zupełnie podobnie wytworzył nasz rozum wszystkie inne wyobrażenia złożone, w podobny sposób powstały wyobrażenia: przestrzeni, czasu, przyczyny, skutku, tożsamości, różnicy i inne. Tak uczył Locke w r. 1690. Że wyobrażenia złożone z prostych wytwarzać jesteśmy w stanie, od owego czasu nie ulega wątpliwości. Po nadto jednak niczego po racyonalistycznéj metodzie spodziewać się nie wolno. Dlatego to drugi błąd Nägelego polega na tém, że posługiwał się racyonalistyczną metodą bez potrzeby.

Teorya dziedziczności opiérała się rzekomo na faktach. Dopiéro co z jajka wyklute kurczątko umié odnajdywać posypywane mu ziarnka; ptak trzymany w niewoli buduje swoje gniazdko, zupełnie jak czynili to jego przodkowie żyjący na wolności; prosiątko postawione na stołku zaraz po przyjściu na świat, zdaje się mierzyć odległość od podłogi, przyklęka i zeskakuje, a nie spada, — nowonarodzone niemowlę wreszcie szuka piersi i ssie ją bez wskazówek, jak ssanie odbywać się powinno. Z faktów tych wnosi owa teorya, że zwierzętom i ludziom wrodzonemi być muszą nietylko uczucia i popędy, ale i wyobrażenia: kurczątko więc przychodzi na świat z wyobrażeniem ziarnka, dziecko z wyobrażeniem piersi. Przedewszystkiém uderzyć musi każdego, że

zwolennicy dawniejszéj teoryi dziedziczności powołują się jedynie na te instynkty, których powstawania doświadczeniem wewnętrznem śledzić nie jesteśmy w stanie. Że przychodzimy na świat z wyobrażeniem narządu płciowego płci odmiennéj, tego dotychczas nikt nie twierdził, a przecież do takiego twierdzenia zniewoleni są ci wszyscy, którzy ze zdolności odnajdywania piersi wywodzą istnienie wrodzonego wyobrażenia téjże. Tym razem racyonalizujemy sami, ale dlatego jedynie, aby wykazać, że błąd trzeci Nägelego tkwi w niemetodyczności owéj metody, którą się posługiwał. Mówiąc o wyobrażeniach wrodzonych, pominął Nägeli argumenty, na których opiérała się teorya dziedziczności.

Błąd czwarty autora na tém polega, że posługując się metodą fałszywą, niepotrzebnie i niemetodycznie doszedł do wyniku dodatniego—jedynie ujemny jest dozwolonym. Istnieje wprawdzie cały szereg faktów, który przeciw teoryi wrodzoności wyobrażeń przemawia, — fakty te jednak sporu nie rozstrzygają. Locke [1]), Berkeley [2]), Diderot [3]), Condillac [4]), i inni zastanawiali się już nad tém, jakiemi byłyby postrzeżenia od urodzenia ciemnych, którzyby naraz ciemnymi być przestali. Są to jednak rozumowania na faktach nie oparte, ale i faktów nie brak. Cheselden [5]), Wardrop [6]), Franz [7]), Trinchinetti [8]), Hirschberg [9]), Hippel [10]), wreszcie Goldzieher [11]) dostarczają nam ich poddostatkiem. Operowany przez Cheselden'a zgoła nie umiał oceniać odległości, utrzymywał on, że wszystkie widziane przedmioty dotykają się jego oczu, podobnie jak przedmioty obmacywane dotykają jego ręki. Kobiéta operowana przez Wardrop'a, nie była w stanie odróżnić klucza od srebrnego ołównika. Dla operowanego przez Franz'a sześcian był kwadratem, kula kołem, a piramida trójkątem. Operowani przez Goldzieher'a (15-letnia dziewczynka i 11-letni chłopiec), jakkolwiek przed operacyą rozróżniali nawet barwy, przecież po operacyi nie umieli oceniać wielkości przedmiotów. Wszystkie spostrzeżenia wymienione zgadzają się pod jednym względem: operowani nie umieją oceniać ani wielkości okazywanych im przedmiotów, ani odległości tychże. Ponieważ jednak we wszystkich owych spostrzeżeniach operowani odbiérane po operacyi czucia wzrokowe

---

[1]) „An essay concerning human Understandig," II. 9, § 8. — [2]) „Theory of vision", Dublin, 1709, 255. — [3]) „Oeuvres," Londres, 1773, III, 115. — [4]) „Traité des sensations." Paris et Londres, 1754. — [5]) „Phil. Transact.", 1728, XXXV, 447. [6]) „History ot James Mitchell." London, 1813. — [7]) „Phil. Mag.", XIX, 156. — [8]) „Arch. des sciences phys. de Genève", VI, 336. — [9]) „Archiv für Ophtalmologie, XXI. — [10]) „Archiv für Ophtalmologie, XXI. — [11]) Wiener med. Wochenschrift," 1888, 2.

ujmowali przestrzennie, ponieważ części tego, co widzieli, leżały obok siebie lub ponad sobą, nie możemy przeto spostrzeżeń owych uważać za dowody, że nawet zdolność kojarzenia czuć w wyobrażenie nabytą została doświadczeniem. Że nie przychodzimy na świat z gotowemi wyobrażeniami, to nie ulega żadnéj wątpliwości; czy jednak nawet zdolność do wytwarzania wyobrażeń zawdzięczamy doświadczeniu... na to pytanie nie umiemy odpowiedzieć. Pomiędzy pytaniem „czy istnieją pojęcia wrodzone,“ a pytaniem „czy pojęcia nasze zawdzięczamy w zupełności doświadczeniu,“ należy ściśle rozróżniać; pytanie bowiem pierwsze oddawna zostało rozstrzygnięte,—drugie czeka dopiéro na odpowiedź. Nägeli nie rozróżnia owych pytań i daje na obadwa odpowiedź jedną.

Spór pomiędzy teoryą empirystyczną i natywistyczną dotychczas rozstrzygniętym nie został, ponieważ zwolennicy teoryi empirystycznéj nie umieli jeszcze odpowiedzieć na stawiane im pytanie: jakim sposobem postrzeżenie może z jednéj strony być podstawą doświadczenia, z drugiéj wynikiem tegoż. Dlatego to wiele istnieje odpowiedzi na owo pytanie, odpowiedzi te jednak mają wartość wyłącznie hypotetyczną. Jedną z najgodniejszych uwagi jest odpowiedź Wundt'a; tutaj jednak nie możemy jéj rozbiérać i zadowolnić się musimy odesłaniem ciekawych do jego psychologii [1]), w któréj się owa teorya znajduje, i do krytyki téjże teoryi, napisanéj przez Hyslopa [2]).

III.

Przechodzimy do pytania trzeciego, a więc do streszczenia odczytu „*Ueber die Grenzen der naturwissenschaftlichen Erkenntniss.*“

Odpowiedź na pytanie: „gdzie leżą granice poznawania ludzkiego,“ zależy — tak twierdzi Nägeli — od odpowiedzi na trzy pytania: 1) o ile pojętnym jest osobnik, 2) o ile dostępną jest jego pojętności otaczająca go przyroda, 3) co rozumiemy przez poznawanie.

W odpowiedzi na pytanie pierwsze należy wykazać, że nasza zdolność pojmowania jest w wysokim stopniu ograniczona. O tém, co się w przeszłości działo i o tém, co się w przyszłości dziać będzie, bezpośrednio nic nie wiemy. O tém, co jest zbyt wielkiém i o tém, co jest zbyt małém, również nic bezpośrednio nie wiemy. Nawet na to, że zmysły nasze o wszelakich zjawiskach nas pouczają, nawet na to nie możemy liczyć w obec faktu, że zmysły nasze dostosowanemi zostały do potrzeb ciała, nie zaś umysłu. W dwóch przeto kierunkach ograni-

[1]) „Grundzüge der physiologischen Psychologie.“ Leipzig. 1887. II. 189—209. — [2]) „On Wundt's theory of psychic synthesis in vision.“ (Mind., XIII, 449).

czoną jest nasza zdolność poznawania: z jednéj strony brak nam, według wszelkiego prawdopodobieństwa, całego szeregu zmysłów i czuć jemu odpowiednich; z drugiéj strony ogarniamy zmysłami, które posiadamy, jedynie część całości. Wprawdzie przez wnioskowanie z faktów poznawanych zmysłami otrzymujemy znowu fakty, zmysłami nie sprawdzalne, mimo tego przecież nie wolno nam łudzić się nadzieją, że z pomocą wnioskowania ogarniemy kiedykolwiek całość zjawisk, jest bowiem faktem, że i natężenie siły i możność poznawania w miarę tego maleją, jak odległość czasowa i przestrzenna wzrasta.

O ile dostępna jest naszemu poznawaniu przyroda, najwypuklej przedstawi się oczom naszym, skoro przypuścimy istnienie osobnika o absolutnéj pojętności,—a więc osobnika, któryby-by zmysłami swemi ogarniał całość zjawisk, dla któregoby czas i przestrzeń nie stanowiły przeszkody, któryby wreszcie widział i najodleglejsze gwiazdy i najdrobniejsze atomy. Otóż nawet taki osobnik nie byłby w stanie ogarnąć całości przyrody, ta bowiem jest w czasie i w przestrzeni nieskończona, a nieskończoności nawet osobnik z absolutną pojętnością pojąć nie może. O dowód wcale nie trudno. Cofając się myślą w tył, będziemy widzieć wszechświat coraz to bliższym stanu równowagi, a przecież stanu tego nigdy nie osiągającym. Biegnąc myślą naprzód, znowu się nam wszechświat przedstawi i wiecznie zbliżającym się, i nigdy osiągającym stanu równowagi. I w pierwszym i w drugim razie spoczynek znaczyłby skończoność. Nie inaczéj dzieje się z nieskończonością wszechświata w przestrzeni,—i téj ów absolutnie pojętny umysł nie pojmie. Jeżeli bowiem wszechświat jest nieskończenie wielkim, to i ilość ciał niebieskich jest nieskończenie wielką. Ciała te różnią się między sobą: wielkością, budową i stopniem rozwoju. Ilość jednak możliwych wielkości, różnic w budowie i wreszcie stopni rozwoju jest ilością skończoną; ciała bowiem niebieskie są albo bardzo małe, albo bardzo wielkie,—albo bardzo proste, albo bardzo złożone,—albo bardzo rozwinięte, albo bardzo nierozwinięte, a nigdy nieskończenie małe lub nieskończenie wielkie, — nigdy nieskończenie proste, lub nieskończenie złożone, wreszcie nigdy w nieskończenie wysokim stopniu rozwinięte, lub w nieskończenie wysokim stodniu nierozwinięte. Cóż stąd wynika? Że kombinacye różnic między ciałami niebieskiemi z chwilą, w któréj ilość ich została wyczerpaną, zaczynają się z nieubłaganą koniecznością powtarzać. Skoro ilość możliwych różnic między ciałami niebieskiemi jest ilością skończoną, ilość zaś ciał ilością nieskończoną, różnice między ciałami niebieskiemi muszą się w nieskończonéj ilości ciał niebieskich wyczerpać. Stąd wynika, że we wszechświecie istnieją inne planety zupełnie takie, jak nasza; że we

wszechświecie istnieją inni zupełnie tacy, jak ja; że równocześnie ze mną piszą inni zupełnie to samo, co ja; wreszcie że ilość piszących ze mną, to samo co ja, w tym samym języku co ja, takim samym atramentem jak ja, na takim samym papierze jak ja i takiém samém piórem jak ja... jest nieskończenie wielką. Konieczność ta jest dla każdego, któryby do oryginalności choćby jak najmniejsze posiadał pretensye, z jednéj strony tak niesmaczną, z drugiéj tak nieubłaganą, że raczéj zrezygnować nam wypada z pojmowalności wszechświata nieskończonego i przyznać, że jedynie skończony w czasie i skończony w przestrzeni dostępnym jest naszemu rozumowi.

Dwa zjawiska musimy uważać za poznane, skoro jesteśmy w prawie uważania jednego z nich za przyczynę, drugiego za skutek. Wszystko przeto, cośmy stworzyli sami, rozumiemy w zupełności, wówczas bowiem znamy przyczynę tego, cośmy stworzyli. Ponieważ matematyka jest jedynym działem wiedzy, którego treść jest produktem naszego ducha przy pomocy najogólniejszego jedynie doświadczenia, poznajemy przeto rzeczywistość o tyle tylko, o ile udaje nam się odkrywać urzeczywistnione w niéj pojęcia matematyczne. W nauce przyrodniczéj tyle jest nauki, ile matematyki.

Teraz dopiéro daje autor odpowiedź na pytanie, jakie są granice poznawania ludzkiego. Poznajemy wprawdzie skończoność jedynie, ale skończoność ową poznajemy całkowicie. W odpowiedzi na twierdzenie Du Bois Reymond'a „*Ignoramus et ignorabimus*“, woła Nägeli: „*Wir wissen und wir werden wissen.*“

Taka jest jego odpowiedź na pytanie: „gdzie leżą granice ludzkiego poznawania.“ Twierdzenie Nägelego, że poznawanie nasze jest w wysokim stopniu ograniczone, opiéra się na fakcie, że ograniczoną jest i nasza pojętność i dostępność otaczającéj nas przyrody. Ta ostatnia jest niedostępną, albowiem jest nieskończoną; nieskończoną jest, ponieważ nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie, aby gdziekolwiek lub kiedykolwiek się skończyła. Tutaj jedną musimy zrobić uwagę. Słusznėm jest twierdzenie Nägelego, że nie umiemy sobie wyobrazić wszechświatu ograniczonego, niesłusznym jednak jest jego wniosek, że wszechświat musi być przeto nieograniczonym. Przecież i nieograniczonego wszechświatu nie umiemy sobie wyobrazić. Jeżeliby nie posiadał granic wówczas, nie posiadałby i środka. Gdybyśmy, chcąc ominąć tę trudność, twierdzili, że każdy punkt w tym razie jest środkiem, wówczas nie bylibyśmy w stanie mówić o jakiémkolwiek ustosunkowaniu się przestrzennėm ciał wypełniających taką przestrzeń. Nie lepiéj dzieje się z pojmowaniem nieskończoności w czasie, Jeżeli bowiem wszechświat jest takim, wówczas w każdéj chwili prze-

szłości, teraźniejszości i przyszłości upłynęła, upływa i upłynie wieczność. A cóż to znaczy? Że między przeszłością, teraźniejszością i przyszłością żadnéj nie ma różnicy. Zresztą w tym czasie mimowoli przychodzi nam na myśl, że jeżeli w danéj naprzykład chwili upłynęła już wieczność... to dlaczegóż to wszystko, co kiedykolwiek ma się stać jutro, pojutrze, za rok, za lat tysiąc, nie miało jeszcze czasu odbyć się i już dawno temu się nie odbyło. Gdybyśmy dla uniknięcia i tych trudności chcieli twierdzić: „argumenty przemawiające przeciw ograniczoności i argumenty przemawiające przeciw nieograniczoności, jednakowo są potężne, — wszechświat więc ani nieograniczonym ani ograniczonym nie jest“, i wówczas nie odcięlibyśmy się od chodzącéj za nami jak cień trudności, tenże sam rozum bowiem nakazuje nam uważać wszechświat albo za ograniczony, albo za nieograniczony. Gdybyśmy, jeszcze raz próbując ucieczki przed prześladującym nas potępieńcem, schronili się w twierdzeniu: „skoro tak—więc wszechświat jest niczém“, i w tym razie nieodczepiająca się od nas trudność stanie przed nami i wyda się okazalszą i straszniejszą, niż była kiedykolwiek. Wobrażenia bowiem skończoności i nieskończoności tkwią w przestrzeni i w czasie, jako we formach myślenia, a więc całkiem niezależnie od tego, czy uważamy przedmioty otaczającego nas świata za tak zwane „*Dinge an sich,*“ czy za nasze wyobrażenia jedynie. Zgoda!— zawoła nasze widmo — wszechświat jest wyobrażeniem tylko, istnieje tylko w mózgownicach naszych, ale jakżeż należy go sobie wyobrażać? skończonym czy nieskończonym? Czyż z owéj dusznéj jamy nie ma wyjścia? Owszem! pokażemy go nawet czytelnikowi, ale poniżéj; tymczasem bowiem nie wolno nam odchodzić od rzeczy. Otóż i nieograniczonego wszechświata wyobrazić sobie nie umiemy. Stąd więc, że wszechświata nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie ograniczonym, nie wynika, że jest nieograniczonym, stąd bowiem, że go sobie nieograniczonym również wyobrazić nie umiemy, musiałoby znowu wynikać, że jest ograniczonym i t. d. Zresztą z niepojmowalności wszechświata ograniczonego i dlatego jeszcze nie wynika, żeby był nieograniczonym, bo w ogóle rzeczywistość nie pyta się o to, czy ją pojmować raczymy, czy nie raczymy.

Zanim pójdziemy daléj, należy nam przedewszystkiém odpowiedzieć na zarzut, który jest bardzo prawdopodobnym i którego właśnie dlatego bardzo się obawiamy. Zapewnie niejeden z czytelników zarzuci mi: „przecież Nägeli sam usiłuje wykazać, że nawet osobnik o absolutnéj pojętności, nie może sobie wyobrazić nieograniczonego wszechświata“. Bardzo słusznie—Nägeli rzeczywiście usiłuje to wykazać ale... nie wykazuje. Sąd, że konieczność przyznania się do

braku oryginalności jest niesmaczną— stąd nie wynika, że owéj konieczności nie umiemy sobie wyobrazić. Przeciwnie. Już to samo, że przypuszczenie istnienia innych planet, zupełnie takich samych jak nasza, jest dla nas niesmacznêm — już to dowodzi, żeśmy owo przypuszczenie żywo sobie wyobrazili. Niemożności więc wyobrażenia sobie nieograniczonego wszechświata dowodziliśmy dlatego jedynie, że Nägeli tego nie uczynił.

Wszystko to bardzo ciekawe — co jednak z tego wszystkiego jest najciekawszém zachowaliśmy na teraz. Proszę o chwilę uwagi. Z powyższego okazało się, że Nägeli sam się kusił o wykazanie tego, co w tym jedynie celu wykazaliśmy, aby zbić twierdzenie Nägelego. Jakże to rozumiéć należy? Oto tak. Przedewszystkiém twierdzi Nägeli, że nie umiemy sobie wyobrazić wszechświata ograniczonego — stąd wnosi, że wszechświat jest nieograniczonym. Późniéj twierdzi on, że wszechświata nieograniczonego również pojąć nie jesteśmy w stanie — stąd jednak zamiast wywnioskować, że wszechświat jest ograniczonym, wywodzi, że w części tylko dostępnym jest naszéj pojętności. A cóż to znaczy? Ponieważ pojętność nasza jest ograniczona — ograniczona przeto jest nasza pojętność? Tak jest. Nägeli woli z założenia wywnioskować założenie, niż uderzyć się w piersi i dać pokój metodzie racyonalistycznéj, mimo, że się z nią tak ściśle zbratał. Trudno o klasyczniejszą przestrogę—zapamiętajmy ją dobrze.

IV.

Co to jest materya? Na to pytanie Nägeli tak odpowiada. Wyrazu atom używamy w dwojakiém znaczeniu. Atom metafizyczny jest to ośrodek siły absolutnie podzielić się nie dający. Atom fizyczny jest to ciałko, małe, rozciągłe i posiadające własności wspólne wszystkim innym ciałom, a więc bez żadnych wątpliwości z drobniejszych jeszcze cząstek złożone, środkami jednak, któremi dzisiaj rozporządzamy nie dające się podzielić. Atomy metafizyczne istnieją jedynie w naszéj wyobraźni. Atomy fizyczne istnieją w rzeczywistości. Ponieważ i to, czego dzielić nie umiemy jedynie—i to, co za absolutnie niepodzielne uważamy, nie powinno nosić téj saméj nazwy, zawsze więc należy atomy fizyczne od metafizycznych odróżniać. Pomiędzy atomami temi leży przepaść, któréj wypełnienie têm niemożliwsze się staje, im z jednéj strony ściśléj określamy pojęcie atomu i im z drugiéj dokładniéj poznajemy przyrodę.

Rozum nasz wymaga, aby wszystkie atomy fizyczne były albo równe i wykonywały jedną czynność—albo różne i wykonywały różne czynności. Atomy identyczne mogłyby albo wzajemnie się przycią-

gać, albo odpychać. Gdyby się jednak wszystkie atomy przyciągały, wówczas odpychanie się ciał złożonych byłoby tylko pozorném — byłoby wyrazem nieprzyciągania się onych. Gdyby zaś wszystkie atomy wzajemnie się odpychały, wówczas pozorném byłoby przyciąganie się ciał złożonych — ono znaczyłoby tylko, że ciała owe wzajemnie się nie odpychają. Obydwa jednak przypuszczenia prowadzą do absurdum. Atomy bowiem przyciągające się wzajemnie, musiałyby z chwilą naruszenia ich równowagi zacząć dążyć do zlania się w jedną całość — dążenie owo musiałoby trwać póty, dopókiby zlanie się nie nastąpiło. Atomy zaś wzajemnie się odpychające musiałyby w pierwotnéj równowadze pozostać — wyprowadzone z równowagi musiałyby natychmiast do niéj wracać. Stąd wynika, że atomy nie mogą być równe. Dwie muszą istniéć grupy atomów. Atomy jednéj grupy muszą być między sobą identyczne; toż samo tyczy się i atomów drugiéj grupy; atomy jednak jednéj grupy muszą się różnić od atomów grupy drugiéj. Tym warunkom mogą one uczynić zadosyć w trojaki sposób: 1) atomy jednéj grupy przyciągają się między sobą, atomy drugiéj również się między sobą przyciągają; atomy jednak jednéj grupy odpychają atomy grupy drugiéj; 2) atomy jednéj grupy odpychają się między sobą, atomy drugiéj również się między sobą odpychają, atomy jednak jednéj grupy przyciągają atomy grupy drugiéj; 3) atomy jednéj grupy przyciągają się między sobą, atomy drugiéj odpychają się między sobą, atomy zaś jednéj grupy nie odziaływają na atomy grupy drugiéj. Żaden z tych trzech sposobów nie da się zaczepić ze strony logicznéj — równocześnie jednak żaden z nich nie da się zastosować do rzeczywistości. Nazwijmy bowiem atomy jednéj grupy atomami *A*, drugiéj grupy atomami — *B*. Oczywiście, że gdyby się atomy jednoimienne przyciągały a różnoimienne odpychały, wówczas atomy — *A* zlałyby się w jedną grupę, atomy — *B* w drugą, a obie grupy oddaliłyby się od siebie. Jeżeliby atomy jednoimienne odpychały się a różnoimienne przyciągały, zawszeby atom—*A* łączył się z atomem—*B* w atom—*AB*, dopókiby wszystkie atomy (przypuściwszy, że atomów — *A* było tyle co atomów — *B*) nie rozpadły się na wzajemnie na siebie nie oddziaływające atomy—*AB*. Gdyby nareszcie jedne jednoimienne atomy przyciągały się a drugie odpychały, różnoimienne jednak nie oddziaływały na siebie, wówczas jedne atomy zlałyby się w jedną grupę, drugie rozproszyłyby się w przestrzeni. Z niemożności przyjęcia któregokolwiek z jedynie możliwych sposobów wzajemnego ustosunkowania się atomów, wynika nieubłagana konieczność przyjęcia wszystkich jedynie możliwych. Taki jest rezultat, do którego zniewala dedukcya.

Fakty świadczą, że fizyka zna z owych trzech kategoryi sił ele-

mentarnych dwie tylko: drugą i trzecią — drugą jako elektryczność, trzecią jako przyciąganie się atomów ważkich i odpychanie nieważkich. Kategorya sił pierwsza dotychczas nie została poznaną, ponieważ nigdzie nie sumuje się w wielkości dostrzegalne. Elastyczność jednak i chemiczne powinowactwo, które się ani do znanych kategoryi sprowadzić nie dają, ani za siły elementarne uważane być nie mogą, dowodzą istnienia owéj nieznanéj nam kategoryi. I elastyczność i chemiczne powinowactwo dają się wytłómaczyć jedynie współdziałaniem wszystkich sił elementarnych.

Całe to rozumowanie taki wydaje owoc. Wszystko, cokolwiek istnieje, jest i podzielném i rozciągłém — i atomy więc, jeżeli istnieją, są i podzielne i rozciągłe. Ich podzielności żadnéj granicy postawić nie można. Nawet najmniejszéj cząstki atomu niewolno nam uważać za niepodzielną, jeżeli nie chcemy tém samém uważać ją za nieistniejącą. Za nieskończoną podzielnością atomów idzie nieskończona złożoność w budowie. Nawet bowiem w najdrobniejszéj cząstce atomu muszą się wszystkie siły znajdować, jeżeli cząstki te mają się złożyć na utworzenie rzeczywistego przedmiotu. Dlatego z jednéj strony nie jest nieprawdopodobném, że podzieliwszy atomy na pewną ilość części, otrzymamy ciałka budową swoją zbliżone do budowy planety, którą zamieszkujemy — że po powierzchni tegoż ciałka wędrujące istotki są nami „*en miniature*“. Z drugiéj strony również nieprawdopodobném nie jest, że nasza planeta jest cząstką atomu, który z mnóstwem oczywiście innych składa się na utworzenie zrazu atomu całego, następnie komórki a nareszcie olbrzymiego jakiegoś organizmu przewyższającego nas inteligencyą w tym samym stopniu co wielkością.

Taką jest materya Nägelego. Że metoda, za pomocą któréj doszedł do owego poglądu, jest fałszywa, nie potrzebujemy na nowo wykazywać; zadowolnimy się przeto tym razem omówieniem rezultatu.

Z jądra słonecznego, w którém jak tego dowodzą doświadczenia angielskiego fizyka Norman'a Lockyer'a [1]) nawet żelazo rozłożoném jest na części składowe, wydobywają się strumienie wodoru dosięgające wysokości 23,000 mil geograficznych. Strumienie te, czyli protuberancye słoneczne wydobywają się, podług obliczeń Zöllner'a, pod ciśnieniem 4,070,000 atmosfer; ich minimalna ciepłota wynosi 68,000° C.—Chromosfera słońca złożona przeważnie z par metalicznych, otoczona jest warstwą żarzącego się ciała lotnego, tak zwaną koroną, przeważnie wodór zawierającą. Gwiazdy białe i niebieskie, zawierają jeszcze więcéj wodoru, aniżeli nasze słońce. W mgławicach od-

---

[1]) Studien zur Spectralanalyse. Leipzig. 1878.

najduje analiza widmowa jedynie wodór i azot. Jeżeli do tych faktów dodamy i ten jeszcze, że wodór najmniéjszy posiada ciężar niedziałkowy, to z nich wynika, że jest on ciałem i rozpowszechnioném bardzo i prostém bardzo. Jeżeli podzielimy pierwiastki chemiczne na grupy, mając na względzie jedynie ich własności chemiczne, będzie wodór stanowił sam jeden oddzielną grupę. Na jedną jeszcze, bardzo ciekawą, właściwość wodoru zwrócono uwagę już na początku stulecia tego. Oto w roku 1815 zauważył Prout, że ciężary niedziałkowe pierwiastków chemicznych wydają się wielokrotnemi względem ciężaru niedziałkowego wodoru. Równocześnie dołączył on do owéj uwagi przypuszczenie, że może z niedziałków jednorodnych wodoru przez łączenie się tychże w różnych stosunkach liczbowych, powstają niedziałki wszystkich innych tak zwanych pierwiastków chemicznych. Znacznie późniéj obliczył Stas ciężary niedziałkowe całego szeregu pierwiastków chemicznych z nieznaną jeszcze dokładnością. Z obliczeń tych wynika, że rzeczywiście ciężary niedziałkowe różnych pierwiastków bardzo się do ciężarów niedziałkowych wodoru zbliżają, że jednak mimo tego, pozostają różnice pewne, które przemawiają przeciw hypotezie Prout'a. Natomiast zauważono niedawno temu, że ciężary niedziałkowe pierwiastków zbliżonych do siebie własnościami chemicznemi, różnią się między sobą zazwyczaj o stałą wielkość. I tak: ciężary niedziałkowe litu, sodu i potasu, jeżeli za jednostkę przyjmiemy ciężar niedziałkowy wodoru, różnią się między sobą o 16. Taż sama różnica istnieje pomiędzy: krzemem i węglem, siarką i tlenem, chlorem i fluorem, azotem i fosforem, wreszcie borem i glinem. Widocznem jest z tego, że niedziałki owych pierwiastków tak się zachowują, jak gdyby się różniły między sobą jedynie posiadaniem o jedną grupę podniedziałków więcéj lub mniéj. Że mimo tego wszystkiego nie wodór jest ową pierwotną materyą, z któréj wszystkie inne pierwiastki chemiczne powstały, tego dowodzi widmo wodoru złożone z czterech barwnych linii: $H\alpha$, $H\beta$, $H\gamma$ i $H\delta$. Jeżeli materya pierwotna ma składać się z prostych atomów, to oczywiście atom taki nie może wykonywać czterech ruchów o czterech różnych chyżościach.

Teorya różnych stanów skupienia postawiona przez Kröniga i Clausiusa ignoruje całkowicie hypotezę dwóch materyi (ważkiéj i nieważkiéj) wraz z dwiema ich siłami (przyciągającą i odpychającą), przyjmując jedynie materyę ważką i siłę przyciągającą. Wprawdzie teorya undulacyjna domaga się jako podkładu dla promieni świetlnych i elektrycznych [1]) atomów znacznie lżejszych i ruchliwszych od zna-

---

[1]) Por. prace: Hallwachs'a. Hoor'a. Righi'a. Arrhenius'a. Stoletowa. Herz'a, wreszcie Wiedemanna i Eberta.

nych nam atomów materyi ważkiéj, mimo to przecież wolno nam wobec faktu, że złożoność pierwiastków chemicznych wielce jest prawdopodobną, przypuszczać, że tak zwany eter składa się nie z atomów znanych nam, ale z cząstek tychże atomów, te bowiem według wszelkiego prawdopodobieństwa są złożonemi. Fakt, że czas obiegowy komety Encke'go ustawicznie się zmniejsza, czyni to przypuszczenie jeszcze prawdopodobniejszém. E. Oekinghaus [1]) przypuszczając, że owo zmniejszanie się czasu obiegowego wspomnianéj komety polega na tarciu, obliczył nawet, że jeżeli przypuszczenie to jest prawdziwe, to kometa owa zetknie się za 126,000 lat z powierzchnią słońca.

Wszystko, co dotychczas powiedzieliśmy, ma na celu wykazanie, że jakkolwiek pomiędzy „atomem fizycznym“ i „atomem metafizycznym“ isnieje jeszcze przepaść, o któréj mówi Nägeli, mimo to przecież przepaść ta nie pogłębia się w miarę „im ściśléj z jednéj strony staramy się określić atom i dokładniéj z drugiéj poznajemy przyrodę“, ale wypełnia. Z każdym dniem przepaść ta płytszą się staje. Niedawno temu ukazała się praca Crookes'a [2]), w któréj fizyk ów, na podstawie doświadczeń z Yttrium, Erbium i Didym'em, twierdzi, że znane nam pierwiastki powstały przez proces spokrewniony z oziembieniem z nieznanego nam jeszcze pierwiastka, który nazywa „protylem“ [3]). Należy mieć nadzieję, że niedaleką jest chwila, w któréj „przepaść“ rodzielająca atomy fizyczny od metafizycznego zniknie zupełnie.

Atom fizyczny jest według Nägelego podzielnym do nieskończoności, ponieważ nie umiemy sobie wyobrazić atomu, któryby był i rozciągłym i niepodzielnym. A atom do nieskończoności podzielny czy umiemy sobie wyobrazić? Także nie. Jakkolwiek bowiem suma części, na które całość została podzieloną, równa się całości, ciało jednak, które jest częścią całości, mniejszém jest, niż była całość przed podzieleniem. Stąd wynika, że rozumiéć nieskończoną podzielność ciała jakiegoś, znaczy rozumiéć, że różnice w wielkości nie są różnicami. Zresztą dzielić ciało jakieś w myśli mimo, że ono fizycznie podzielić się nie daje, nie znaczy rozumiéć jego podzielność nieskończoną, ale rozumiéć jego podzielność, trwającą czas jakiś mimo niepodzielności fizycznéj. Pojmować bowiem podzielność nieskończoną znaczy pojmować podzielność, trwającą czas nieskończony, a więc śledzić myślą podziały

---

[1]) Ueber die Bewegung der Himmelskörper im widerstehenden Mittel (Wochenschrift f. Astron. XXXII. 235—239. 241—255. 257—262. 265—269. 323—327).

[2]) Die Genesis der Elemente. Braunschweig. 1888.

[3]) Por. prace: Newland'a, Mendelejew'a. Grünwalda i L. Meyer'a.

aż do nieskończoności; ależ na to potrzeba czasu nieskończonego [1]). A więc nie umiemy sobie wyobrazić wszechświata ani skończonym, ani nieskończonym, i nie umiemy sobie wyobrazić atomów ani niepodzielnych, ani podzielnych do nieskończoności. Jakże więc wyobrażamy sobie wszechświat i jak wyobrażamy sobie atomy?

Sylogizm, czyli związanie dwóch sądów za pośrednictwem trzeciego, dopuszcza jedynie trzy pojęcia. Szczur jest rudy. Szczur jest zgłoską. A więc: zgłoska jest ruda? Nie, w tym sylogizmie była „*quaternio terminorum.*“ Tymczasem w sylogizmie kończącym się wnioskiem „ani skończoności, ani nieskończoności, nie możemy pojąć“, również cztery są pojęcia. Argumenty dowodzące nieskończoności dowodzą innéj nieskończoności, argumenty zbijające nieskończoność zbijają inną nieskończoność. Jeżeli o linii prostéj mówimy, że może być przedłużoną do nieskończoności — i jeżeli twierdzimy, że punkt przecięcia się dwu linii leży w odległości nieskończonéj, każdym razem mamy na myśli inną nieskończoność. „Linia prosta może być przedłużoną do nieskończoności,“ to znaczy, że jakkolwiek długą będzie, będziemy mogli ją jeszcze dłuższą uczynić. W tym razie mamy na myśli stawającą się nieskończoność. „Punkt przecięcia się linii równoległych leży w nieskończonéj odległości,“ to znaczy, że jakkolwiek je przedłużymy, nie będą się przecinały. W tym razie mamy na myśli powstałą nieskończoność. Niemcy i Anglicy posiadają na dwie te różne nieskończoności dwie nazwy: stawającą się nieskończoność nazywają „*Endlosigkeit*“ i „*endlessnes*“, — powstałą nieskończoność nazywają „*Unendlichkeit*“ i „*infiniteness.*“ Chcąc ich naśladować, moglibyśmy rozróżniać bezkończoność i nieskończoność. Niekończącém się jest wszystko to, co nie daje się zmierzyć, ale daje się pojąć. Pojmujemy, że rzecz jakaś jest niekończącą się, wyobrażając ją sobie w danych rozmiarach i rozumiejąc, że granice, w których wyobraziliśmy ją sobie, nie są jéj granicami. Nieskończoném jest to tylko, co ani zmierzyć, ani pojąć się nie daje. Ponieważ nie możemy sobie wyobrazić wszechświata ani skończonym, ani nieskończonym, zniewoleni więc jesteśmy wyobrażać go sobie niekończącym się, a przytém pamiętać, że takim, jakim go sobie wyobrażać jesteśmy zmuszeni, nigdy go nie postrzegamy. Ponieważ nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie atomu, ani niepodzielnym, ani podzielnym do nieskończoności, musimy go sobie wyobrażać podzielnym bez końca, rozumiejąc, że jakby na przekór temu podzielić się nie daje. Doświadczenie zmusza nas do uznania,

---

[1]) Por. H. Spencer: „Pierwsze zasady,“ przetłómaczył J. K. Potocki. Warszawa, 1888, 56.

że nie mą granic, którychby myśl nasza nie usiłowała przełamać. Zawsze ściśle należy rozróżniać pomiędzy wszechświatem i atomem geometrycznym, a wszechświatem i atomem fizycznym.

Pozostaje nam jeszcze wspomniéć o nieubłaganéj konieczności przyjęcia wszystkich możliwych sposobów warunkowania się atomów, która zdaniem Nägelego, wynika z niemożności przyjęcia któregokolwiek z nich osobno. Fałszywość metody racyonalistycznéj występuje właśnie tutaj w całéj nagości. Kiedy bowiem Nägelemu nawet siły te, któremi zazwyczaj niewiadomość naszą pokrywamy, nie wystarczają; kiedy Nägeli do sił znanych uważa za niezbędne dodać kategoryę sił nieznanych, fizycy mniéj racyonalizujący w pogoni za rozwiązaniem zagadki wszechrzeczy, wymiatają siły jedną po drugiéj z gmachu nauki na dziedziniec i pozwalają je zbiérać tym wszystkim, którzy dowiedziawszy się np. że opium usypia *„quia est in eo virtus dormitiva“*, sądzą, że rozdarli zasłonę zakrywającą rozwiązanie zagadki. Elektryczność, a więc drugą kategoryą sił Nägelego, uważają oni za fale eteryczne, różniące się od dotychczas znanych długością. Kiedy najkrótsze fale świetlne nie przenoszą długości 0·3108 μ [1]), najdłuższe zaś dochodzą ledwie 0·7617 μ, — długość fal elektrycznych wynosi 5—6 metrów [2]). Owi fizycy wyrzucili elektryczność, a zostawili atomy eteru drgające 50 do 60 milionów razy na sekundę. Zupełnie podobnie postąpiono sobie z siłą powszechnego ciążenia. W prostych liniach biegnące atomy eteru—tak utrzymują oni—przerzynając próżną przestrzeń w najróżnorodniejszych kierunkach, uderzają ze wszystkich stron na ciało ważkie, które wyrzuciliśmy w powietrze, wyjąwszy jedną. Na tę stronę mianowicie, która zwróconą jest ku naszéj ziemi; na tę stronę jedynie atomy eteru nie uderzają, ziemia bowiem jest puklerzem zasłaniającym wyrzucone ciało przed pociskami zmierzającemi ku niemu z przeciwnéj strony kuli ziemskiéj. W ten sposób ze wszystkich stron, jedną wyjąwszy, nacierające atomy eteru spychają ciało w górze zawieszone właśnie w tę stronę, a więc ku ziemi. Owi fizycy nie chcą znać nawet siły powszechnego ciążenia znanéj wszystkim, Nägeli zna nawet siły zresztą nikomu nieznane.

Dopiéro teraz, kiedy już usunęliśmy wewnętrzne sprzeczności omówionych poglądów Nägelego, dopiéro teraz wolno nam zmienić front i w końcu niniejszego artykułu rzucić okiem na całość stresz-

---

[1]) „Britisch Association“ używa wyrazu „mikro“, jako oznaczającego dzielenie przez milion: wyrazu „mega“, jako oznaczającego mnożenie przez milion. $\mu = {}^{1}/_{1\cdot000\cdot000}$ metra.

[2]) Sitzungsb. d. Akad. d. Wissenschaften in Berlin. 1888, 1297.

czonych zapatrywań z innego, wyżéj nieco położonego stanowiska. Jako wynagrodzenie za szczegóły, których ze stanowiska tego widzićć nie będziemy, ukaże nam się całość wraz z najistotniejszemi jéj cechami.

Kiedy dla myślenia jest rzeczą zupełnie obojętną, czy naszym postrzeżeniom odpowiada co w rzeczywistości, czy nie, to dla poznawania jestto kwestya zasadnicza. Ile razy myśląc o czémś, wątpimy o prawdzie tego, co myślimy, tyle razy źródłem téj wątpliwości jest znowu myśl nasza. Myśl jedynie może wątpić o wartości myślenia. Owo wątpiące myślenie jest poznawaniem. Zrazu myślenie i poznawanie stanowią jedno. Dzicy np. nie rozróżniają przedmiotu od postrzeżenia lub wyobrażenia. Dla nich każda rzecz jest taką, jaką się im przedstawia. Tacy dzicy znajdują się nawet między niedzikiemi. U osobnika jednak rozróżniającego myślenie od poznawania, pojęcie wyobrażanego lub postrzeganego przedmiotu rozpada się: na pojęcie wyobrażenia lub postrzeżenia i pojęcie przedmiotu. Dopiéro taki osobnik może się zastanawiać, czy i o ile wyobrażeniom jego i postrzeżeniom odpowiada rzeczywistość.

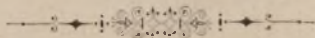
Co może być przyczyną takiego rozkładu podmiotowego przedmiotu na podmiot i przedmiot? Dwie są przyczyny po temu: myślenie i język: myślenie jako czynność rozkładająca jedność rzeczywistości, język jako czynność okuwająca nawet przemijające procesy w formy rzeczownikowe. Że myślenie zawsze jest w stanie rzeczywistość rozkładać, a język rozłożone części rzeczywistości unieruchomiać—to nie ulega wątpliwości. Stąd jednak nie wynika, że rzeczywistość się rozpada posłuszna rozkładającemu ją myśleniu, a przemijące czynności kostnieją przemieniając się we właścicieli przymiotów. Ponieważ dzięki czynności wyobrażania, powstało pojęcie przedmiotu zewnątrz nas i niezależnie od nas istniejącego, bliskiém więc było przypuszczenie, że owa czynność posiada coś z tych przymiotów, któremi obdarza zewnątrz nas istniejące przedmioty. W ten sposób czynność wyobrażania stała się przedmiotem—wyobrażeniem. Otóż, jak z jednéj strony nie wolno nam, mówiąc o wyobrażeniach, rozumiéć przez nie co innego jak czynność wyobrażania, tak z drugiéj strony to tylko za rozłożone uważać nam wolno, co jako rozłożone postrzegamy lub wyobrażamy sobie. Ani przedmiot jednak od podmiotu, ani podmiot od przedmiotu nie dają się oddzielić. Niezależnie od naszych postrzeżeń lub wyobrażeń nie ma przedmiotów, a niezależnie od przedmiotów nie ma postrzeżeń i wyobrażeń. Przedmiot niepostrzegalny lub niewyobrażalny to przedmiot, który nie jest przedmiotem. Zasadniczy błąd Nägelego na tém polega, że w ogóle zadaje sobie pytanie: „o ile rzeczywistość odpowiada naszym postrzeżeniom i wyobrażeniom.“ Teo-

rya poznania, szukająca od wieków odpowiedzi na to pytanie bezowocnie, zmuszoną została do przyznania się, że odpowiedzi na to pytanie dać niepodobna, że wymysłem jedynie są bezprzedmiotowe wyobrażenia i postrzeżenia—wymysłem niewyobrażalne i niepostrzegalne przedmioty. I my wprawdzie rzeczywistość ustawicznie rozkładamy, a części jéj unieruchomiamy wyrazami — i my ustawicznie operujemy pojęciami i posługujemy się językiem, ależ mijającego stawania się niepodobna poddać badaniu bez sztucznéj analizy. Dlatego to błądzimy, bo błądzić jesteśmy zniewoleni; ale wiemy o tém, że błądzimy i nie pytamy się: „czy rzeczywistość odpowiada naszym wyobrażeniom i postrzeżeniom.“

Drugi również zasadniczy błąd Nägelego polega na stosowaniu do różnorodnych pojęć: do pojęcia wyobrażenia i postrzeżenia z jednéj strony, a do pojęcia przedmiotu z drugiéj — stosunku przyczynowego. Jego stosowanie dozwoloném jest jedynie do pojęć jednorodnych. Błąd to wielki, a jednak bardzo rozpowszechniony. Nawet twierdzący, że przedmioty zgoła są niepodobne do naszych postrzeżeń i wyobrażeń, nawet ci utrzymują, że niewyobrażalne i niepostrzegalne przedmioty, są przyczyną naszych bezprzedmiotowych wyobrażeń i postrzeżeń.

Teraz, kiedy z powyższego wynika, że poglądy Nägelego filozoficzne, chociaż zgodnie z tém, jak nazwałem je we wstępie, w wysokim stopniu są ciekawe, krytyki jednak wytrzymać nie są w stanie; teraz należy mi uprzedzić zarzut uważnego czytelnika i zaznaczyć dlaczego uważałem za stosowne poglądy owe obszerniejszemu poddać rozbiorowi. Oto nie ulega wątpliwości, że Nägeli jako biolog jest potęgą. Dlatego to pracę jego w części omówioną wielu czyta z takiém poważaniem, że ono nie dozwala im dostrzedz zawartych w niéj błędów. Otóż, omawiając obszerniéj poglądy filozoficzne Nägelego, mieliśmy na celu rozdzielenie jego osobistości w umysłach czytelników na dwie połowy—oddzielnie od znakomitego biologa — racyonalizującego filozofa. Że właśnie przyrodnik, i to przyrodnik téj miary, co Nägeli, jako filozof zapomniał o metodzie, którą się zresztą zwykł przecież posługiwać, może niejednego zdziwić, a przecież pozostanie faktem, którego przyczynę wykryć nie trudno.

Z. Gabryelski.





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Hrabia August. Notatki i wrażenia wydał Aleksander Mańkowski. Warsz. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1890, str. 251.

P. Aleksander Mańkowski, znany jako autor dwu komedyi: „Minowski“ i „Dziwak“, wystąpił po raz pierwszy jako powieściopisarz i to w rodzaju dzisiaj we Francyi szczególniéj modnym — w rodzaju psychologicznym.

Zbyt pochopni do uogólnień, a mało znający dzieje piśmiennictwa niektórzy publicyści nasi, rodzaj ten uważają za całkiem u nas nowy, a za twórców jego podają Sienkiewicza i Mańkowskiego, których utwory („Bez dogmatu“ i „Hrabia August“) pojawiły się spółcześnie i przedstawiały pewne w głównych bohaterach podobieństwo.

Twierdzenie to jest zupełnie bezzasadne. Istotnym u nas twórcą powieści psychologicznéj był Ludwik Sztyrmer (1840—1846). Kreśląc swoje opowiadania i szkice nie miał na widoku ani obrazów życia towarzyskiego, ani tendencyi społecznéj, ani względów czysto artystycznych, lecz wyłącznie zbadanie duszy człowieka w jéj anormalnych mianowicie objawach, jako to braku woli, braku serca i rozmaitego rodzaju obłąkań. Po Sztyrmerze powieść czysto psychologiczna poszła wprawdzie w pewne zaniedbanie, ale od czasu do czasu zarówno Kraszewski, jak Kaczkowski, Jeż a zwłaszcza Zacharyasiewicz, podejmowali zadanie przedstawienia patologii duszy w formie powieściowéj. Zacharyasiewicz twierdził nawet, jeszcze przed r. 1860, że powieść—to patologia społeczeństwa i indywiduów.

Nie jest więc ten rodzaj nowością w literaturze naszéj; dzisiaj ukazuje się on nam tylko jako wznowienie dokonane pod wpływem francuskim, mianowicie Bourget'a; ale nawet w postaciach głównych, najpewniéj bezwiednie i mimowolnie przypomina kreacye dawniejszych naszych autorów.

Hrabia August ma dość dużo podobieństwa do Karola, bohatera „Duszy w suchotach“ Sztyrmera. Jeden i drugi byli ludźmi niezależnymi, majętnymi; jeden przez swoje urodzenie, drugi skutkiem wygrania szczęśliwego losu. I August i Karol w bardzo młodym wieku rozczarowali się, nudzili, nie wiedząc co robić ze swoim czasem, jak zająć swój umysł, jak zużytkować swe siły. I August i Karol szukają oszołomienia w rozmaitych przygodach miłosnych; nawet szczeble, że tak powiem, społeczne, na których się znajdują przedstawicielki płci pięknéj, będące przedmiotém zabiegów bohatera, lub ubiegające się same o pozyskanie jego serca, są jednakowo w obu powieściach ułożone. Tekli z poczty u Sztyrmera odpowiada Anna córka młynarza w Brienz u p. Mańkowskiego; Marya z Świetlikowéj Woli u Sztyrmera ma ten wyższy stopień ukształcenia i obudza toż silniejsze, głębsze i serdeczniejsze uczucie w duszy Karola, co Zosia, pierwsza i jedynie ukochana przez hr. Augusta kobiéta; hrabina Aurora wreszcie, lwica warszawska, u Sztyrmera odgrywa mało co odmienną rolę w życiu Karola, jak narzucająca się, namiętna Indyanka w życiu hr. Augusta.

Możnaby i więcéj wykazać podobieństw między „Duszą w suchotach“ a „Hrabią Augustem“; ale byłoby to zbytecznėm; nie myślę bowiem utrzymywać, iżby p. Mańkowski naśladował Sztyrmera, chciałem jedynie przykładowo objaśnić, iż nie należy zbyt pochopnie mówić o nowości i oryginalności w pomysłach literackich i sposobie ich traktowania.

„Hrabia August“ jako powieść, ma bezwątpienia swoją oryginalność, ale nie leży ona w psychologicznym wizerunku człowieka, który wcześnie znudził się życiem.

Autor obmyślił postać bardzo skomplikowaną duchowo, bardzo subtelną, ale nie potrafił jéj należycie, w sposób artystycznie zupełny i dokładny przedstawić czytelnikom. Pierwsza i najgłówniejsza wada w skreśleniu charakteru hrabiego Augusta zasadza się, zdaniem mojém, na tém, że p. Mańkowski nie dał nam dostatecznie poznać warunków, wśród których on się wytworzył. Wiemy, że był synem bogatych rodziców, że nie potrzebował zatém myśléć o swojém utrzymaniu. Wiemy daléj, że wcześnie ich utraciwszy, z woli opiekunów odbywał studya uniwersyteckie gdzieś za granicą; chciano go wykształcić na dyplomatę i przeznaczono mu wydział prawny. Zapisał się na ten wydział, ale na wykłady nie uczęszczał, słuchał natomiast prelekcyi z dziedziny historyi, literatury, sztuki, a przedewszystkiém robił dalekie wycieczki, szukał drzew, gór, słońca, powietrza, przytém pilnie się przysłuchiwał operom i koncertom... Wszystko to jest łatwe do

zrozumienia i w porządku rzeczy. Ale istnieje już w dobie życia uniwersyteckiego Augusta jeden rys, bardzo ważny, który autor zbył ogólnikiem. Oto August już wówczas polubił spokój, wygodę, nabrał pewnych przyzwyczajeń sybaryty i turecki „kief“ poczytywał za rzecz „najdoskonalszą na świecie“. Skąd się wzięło u 21-letniego młodzieńca to zamiłowanie i to przekonanie? P. Mańkowski powiada, że ojciec Augusta pracował i ruszał się bez wytchnienia i dodaje: „Prawdopodobnie takie wytężenie wszystkich sił i zdolności w jednéj generacyi wywołało w następnéj instynktową i niepohamowaną dążność do spokoju“. Nie można zaprzeczyć, iż w tym ogólniku mieści się pewna doza prawdy; ale ta doza nie tłómaczy bynajmniéj różnorodnych usposobień wśród dzieci tychże samych rodziców; nie może więc służyć do zaspokajającego wyjaśnienia charakteru hr. Augusta i to w sprawie, która miała decydujący wpływ na całe jego życie późniejsze. Zamiłowanie bowiem tureckiego kiefu, dreszcz przechodzący wielu na wspomnienie, że ożeniwszy się, potrzeba będzie mieć w domu prócz żony, jeszcze mamki i niańki, skłoniły 21-letniego młodzieńca do zerwania stosunku z Zosią, piękną i serdeczną panienką, którą, jak zapewnia, kochał prawdziwie. Zerwanie to zatruło mu wszystkie późniejsze chwile życia. Ponieważ był to tak ważny fakt w dziejach hr. Augusta, wyjaśnienie jego powodów powinno było zająć wydatne miejsce w powieści; tymczasem autor ograniczył się na wzmiankach pobieżnych i ogólnikowych.

Po zerwaniu z Zosią, hr. August próbuje wszelkich środków urzeczywistnienia swego ideału życia swobodnego i spokojnego. Mając pieniądze, mógł pod względem materyalnym robić wszystko, albo prawie wszystko, co mu się zamarzyło. Porzucił studya uniwersyteckie, prawdopodobnie bawił się w towarzystwie, ale prędko się niém rozczarował i ironią tylko wyniósł z tego pożycia wśród wielkiego świata; kobiéty i mężczyzni wydali mu się tutaj śmiesznymi, niedorzecznymi, w końcu nieznośnymi. Starał się następnie wybrać sobie kółko wesołéj i rozumnéj młodzieży, ale i ono nie starczyło na długo. Podróżował wiele, rozmaitością widoków i wrażeń pragnąc zapełnić próżnię ducha, którą coraz cięźéj odczuwał. Wyrobił sobie teoryę, nie wiedząc zapewne (bo ani słówkiem o tém nie natrąca), że dawno już przed nim Schiller w „Listach o estetyczném wychowaniu człowieka“ szeroko ją rozwinął, iż celem, ku któremu zdążać należy, powinny być harmonia i piękno. Zdawało mu się, że teorya ta jest istotną i jedyną kierowniczką jego życia, ale się mylił; w głębi jego duszy istniały szlachetne popędy, nie w samém poczuciu piękna mające swe źródło, ale w sumieniu także. Miał spółczucie dla nieszczęść i biédy, wspie-

rał bez rozgłosu ubogich; mogąc uwieść Annę, która z całą gorącością młodego wieku kłoniła się ku niemu, nie uległ pokusie; odbywał z sobą rachunek sumienia, zastanawiając się nad tém, co dobrego w życiu swém uczynił. Jego wina największa, zbałamucenie zamężnéj Zosi po czterech latach od chwili rozstania się z nią, wywołała w skruszoném sercu tak silne poczucie potrzeby odpokutowania za grzech, iż się poddał jak dziecko woli męża-mściciela.

I tu właśnie dopiéro występuje całkiem oryginalny, o ile wiem, pomysł Mańkowskiego, z życia wzięty czy wykombinowany przez autora. Estetycznym on nie jest sam w sobie, budzi nawet w samym początku niesmak, ale umiejętne jego przeprowadzenie dowodzi zdolności wybrnięcia dość szczęśliwego z nader drażliwéj sytuacyi. Mąż Zosi, powszechnie Anglikiem zwany, przychodzi upomniéć się u hr. Augusta o zbezczeszczony swój honor. August sądzi z początku, że idzie o pojedynek i gotów jest dać satysfakcyę obrażonemu, ale Anglik z pozornym spokojem i powagą wyśmiéwa powszechny zwyczaj odzyskiwania honoru przez pojedynek i wymaga od Augusta bezwarunkowego posłuszeństwa swéj woli. Hrabia August lubo odważny, nie śmiał przecież odmówić przeciwnikowi, niewątpliwie z powodu głębokiego poczucia swéj winy i nieodzownéj potrzeby zmazania jéj czy zatarcia w jakikolwiek sposób. Uzyskawszy słowo hr. Augusta, Anglik wymaga, aby sprawca niesławy był obecnym przy rozwiązaniu swéj żony i aby się zajął pieczą nad swém dzieckiém, które przyjść miało na świat. Oburzył się na to żądanie hr. August, próbował stawić mu opór, ale surowa powaga i przytłumiona namiętność Anglika pokonały go, zaimponowały mu i przymusiły do spełnienia jego woli. I oto ten człowiek, dla którego kief turecki był ideałem, nie mógł miéć odtąd ani jednéj chwili spokoju; falowanie uczuć i postanowień z powodu żądania męża-mściciela odegrało tu rolę starożytnych Erynii. Ten człowiek, który się obawiał mamek i nianiek, jako nieodłącznych od małżeństwa dodatków, teraz nie mając żony, musi studyować księgi ginekologiczne i starać się o mamkę. Chwile oczekiwania były równie straszne jak sama obecność hr. Augusta przy łożu chorej Zosi. Z początku wprowadzony w charakterze felczera zasłonięty był parawanem, potém w okresie największego cierpienia wezwany do podtrzymania poduszek, poznany został przez Zosię i usłyszał słowa przekleństwa i nienawiści. Odprawiony z lekceważeniem, dowiadywał się o zdrowie Zosi i dziecka, a na wieść o ich śmierci dostał obłąkania; roiło mu się, że jest kobiétą, akuszerką fakultetu Odrodzenia, prześladowaną przez zawistnych.

Pomysł ten, który krytykowi francuskiemu podałby może myśl

przezwania powieści położniczą a nie psychologiczną, nie jest estetyczny, jak powiedziałem, ale bodaj czy nie najskuteczniejszym w odstraszeniu od uwodzicielstwa. Szkoda tylko, że do niewielu uwodzicieli mógłby być zastosowanym. Nie każdy zna tak subtelne uczucie obowiązku, jak hr. August pomimo swéj skłonności do szyderstwa i sybarytyzmu; nie każdy chciałby dać słowo mężowi, nie wiedząc czego od niego zażąda, niekażdy słowu temu byłby wierny; wolałby może śmierć albo haniebną ucieczkę. Bądźcobądź pomysł jest oryginalny i zapewni poczytność utworowi p. Mańkowskiego.

Sposób przedstawienia rzeczy w „Hrabi Auguście“ częściowo tylko można udatnym nazwać. Forma dziennika prowadzonego przez samego bohatéra wyborna jest do odwzorowania jego własnéj duszy, ale nie pozwala równie dokładnie odtworzyć tego, co czują i myślą inni; stąd owi inni, a jest ich sporo w powieści, muszą być sylwetkami tylko; jako sylwetki są one dobre, ale pod względem duchowym przedstawiają się jednostronnie. Prócz tego nadzwyczaj trudno jest utrzymać właściwy tryb widzenia i sądzenia bohatéra; muszą się tu niepotrzebnie (pod względem artystycznym) wpleść przekonania i styl samego autora. Tak np. co pisze hr. August o wrażeniu, jakiego doznał po ponowném przeczytaniu powieści Musseta „*Confession d'un enfant du siècle*“, że nie jest ona prawdziwą, bo w niéj od początku do końca mowa tylko o kobiecie i miłości (str. 178), właściwie wyraża pogląd autora, nie zaś samego bohatéra, gdyż w dziejach hr. Augusta, w jego dzienniku również mowa tylko o kobiecie i miłości. Styl w całéj powieści jest zwięzły, jędrny, nieraz pełen sarkastycznego dowcipu, pod względem języka zupełnie poprawny; mało on jednak zdaje się odpowiadać usposobieniu tego, któremu jest przypisany, t. j. hr. Augusta, który choćby z zamiłowania do pisania trochę obszerniéj wyrażać swe myśli i uczucia prawdopodobnie lubił. Jest to wzgląd czysto artystyczny, na który zwykła czytająca publiczność mało zwraca uwagi.

P. Chmielowski.

Antoni Mazanowski. „Stosunki i wzajemne sądy Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego.“ Warszawa, 1890.

„Pomimo, że przedmiot, powyższym tytułem objęty, dostarczał już nieraz treści dla studyów literackich, nie został on jednak w zupełności wyczerpany, ani dostatecznie rozjaśniony.“ Tak zaczyna autor swą pracę, na 122 stronicach skreśloną, budząc w czytelniku nadzieję rozwikłania wielu węzłów tajemniczych. Uwydatniwszy we wstępie szczególne zasługi dwu poprzedników, współuprawiaczów danéj

niwy—Małeckiego („Juliusz Słowacki“) i Rozwadowskiego („Stosunki i sądy wzajemne o sobie Mickiewicza i Krasińskiego“), podejmuje on obowiązek odtworzenia znanych i dosnucia brakujących ogniw, na podstawie niezużytkowanego materyału.

Dziełko składa się z trzech odrębnych rozpraw: 1) „Mickiewicz i Słowacki“, 2) „Mickiewicz i Krasiński“, 3) „Słowacki i Krasiński.“ Przytaczanie zawartéj w nich osnowy byłoby tu nietylko zbyteczne, ale nawet do pewnego stopnia gorszące; musielibyśmy bowiem opisywać szczegóły, powszechnie znane, w lepszych podręcznikach szkolnych (np. w „Hist. lit.“ Spasowicza) na dość szeroką rozwinięte skalę. Rozbierzmy więc jedynie kilka rysów, zdradzających pokusę samodzielnego oświetlenia przedmiotu,

Zastanawiając się nad motywami psychicznemi i pobudkami, które kazały Mickiewiczowi nacechować piętnem hańby — drogie dla Słowackiego imię doktora Becu, powiada autor: „może to uważał za środek poniekąd pedagogiczny, i chciał z jednéj strony ukorzyć dumę i zarozumiałość młodego zapaleńca, a z drugiéj przypomniéć mu obowiązek ekspiacyi.“ Zabawne przypuszczenie! Były czasy, kiedy „duch święty różczką dziateczki bić radził“; ale nigdy podobno uczciwi wychowawcy o zastosowaniu takich środków pedagogicznych nie pomyśleli. Jeżeli zresztą szło o upokorzenie współzawodnika, należało mu dowieść, że on sam jest moralnym lub umysłowym karłem, nie zaś mąż jego matki, w grobie oddawna spoczywający. Co za znaczenie w końcu mogłaby miéć owa „ekspiacya“? Jakaż-to etyka metafizyczna wymaga pokuty od pasierbów za grzechy ojczymów? Mickiewicz, odtwarzając postać profesora Becu, mógł się mylić, lecz był w zgodzie z prawdą podmiotową; malował on szereg scen, według obrazu, odbitego w źwierciedle własnéj duszy, przy świeczniku idei przewodniéj, nie myśląc zapewne o tém, że kogoś dotknie lub zrani. Takie samo, jak sądzę, stanowisko zajął twórca „Kordyana“ w obec Niemcewicza. Autor, w niewolniczéj zgodzie z profesorem Małeckim (str. 14), daje do zrozumienia, że poeta, przedstawiając znakomitego ze schyłku epoki Stanisławowskiéj publicystę, jako jednostkę nie dostrojoną do grona młodzieży, któréj przywodzi,—źle się odpłacił starcowi za gościnne przyjęcie w Ursynowie i pochwałę, udzieloną pierwszym płodom swéj muzy. Zapomina p. M., że wdzięczność... ma granice. Piękną jest ona zaletą, ale zawsze winna ustąpić temu, co w głębi swego ducha uważamy za słuszne. Poglądy etyczne autora, mówiąc nawiasem, bardzo są popularne: sprzedajemy chętnie przekonania za łyżkę soczewiczy, kadzimy sowicie własnym chwalcom, a ze wszystkich towarzystw—kółka wzajemnéj adoracyi najpomyślniejsze-

go doznają losu; powinnibyśmy jednakże, traktując o stosunkach osób niezwykłéj miary, uwierzyć w to, że człowiek o wyższym nastroju umysłu wypowiada prawdę, jak ją pojmuje i odczuwa, bez względu na interes i węzły, które go z ludźmi łączą.

Poglądy Słowackiego z ostatniéj doby życia uważa p. Mazanowski za „bystre, lubo niekiedy pozornie tylko prawdziwe.“ Na obie części tezy możebyśmy się w zasadzie zgodzili; mamy jednak żal do autora, że przytoczył wyjątki, które zaakcentowanéj „bystrości“ wcale nie dowodzą. Przypatrzmy się choćby tylko pierwszemu zdaniu: „Poeci są wielkimi odgrzebywaczami słów duchów, bo je mają podszepnięte.“ Pamiętajmy, że i mistycy, jako myśliciele, w zakresie swych pojęć, winni szanować logikę.“ Jeżeli poeci są „odgrzebywaczami“, t. j. czynnemi odkrywcami „słów“ twórczych, to nie potrzebują... suflerów, którzyby je uprzednio wypowiedzieli; jeżeli zaś „mają je podszepnięte“,—odgrywają bierną rolę narzędzi, pochew czy kanałów, na usługi istotom niewidzialnym oddanych. O bystrości poglądu nie może tu być mowy...

Na str. 83 czytamy: „Krasiński znał na wylot swego przyjaciela (Juliusza), znał jego subtelną naturę, z mgły i piany, dwu nieujętych pierwiastków ulepioną.“ Wyrazy podkreślone wcale nie charakteryzują wieszcza. Był on, prawda, marzycielem, odrywającym się chętnie od rzeczywistości, a raczéj pragnącym unieść ją gdzieś w nadobłoczne regiony i przetworzyć po swojemu na nowy świat niebywałych urojeń (wymownym tego dowodem Anhelli); często jednakże kipiała w nim krew gorąca (przypominamy rapsod V, pieśni IV-éj króla Ducha: „O przyjdź, śpiéwała, bo gołębi stadem wysyłam na wsze wiatry ognie moje“ etc.); mieszała się ona niekiedy ze łzami i tak zastygałała pod okiem, niby ze spiżu odlanych, posągów rozpaczy („Ojciec zadżumionych“); czasem wreszcie, stojąc na wzgórzu społecznêm, jako poeta przyszłości, wyrzucał on z siebie wulkaniczną lawę poważnych uczuć i myśli („Grób Agamemnona“), która dziś jeszcze wstrząsa nas do głębi i świadczy o pierwiastkach psychicznych, nie mających nic wspólnego ani z mgłą, ani z pianą.

Autor w oświetleniu przedmiotu idzie głównie za Małeckim: poglądom tego badacza z religijną czcią przyklaskuje i dosłownie je nieraz powtarza. Niesłusznie pracy swéj nadaje on miano „studyum“ (str. 3); jestto bowiem stereotypowa mozajka, ułożona z dobrze znanych kamyczków. Ktoby materyał, pośpiesznie ręką p. Mazanowskiego przerzucony, pragnął spożytkować na korzyść nauki, musiałby fundamenta budynku znacznie rozszerzyć i głębiéj założyć. Chcąc wyjaśnić stosunki, które trzech książąt naszego Parnasu to łączyły,

to rozdzielały, należy objąć okiem i zbadać cały gwiazdorys promieni, rozchodzących się na wsze strony, całą sieć ogniw życiowych prześledzić; bo tylko na tle wyczerpujących portretów psychicznych można w sposób umiejętny ciekawą tę kwestyę rozwiązać.

A. G. Bem.

Marya Rodziewicz: „Błękitni.“ Powieść, nakład Gebethnera i Wolffa. 1890.

Autorka wprowadza nas w sferę najwyższéj arystokracyi: jesteśmy na dworze niegdyś udzielnych na Rusi książąt Holszańskich, potężnych urodzeniem i milionową fortuną. Zbytek niesłychany otacza ich dokoła, służba w biało-złotéj liberyi gnie karki przed najdrobniejszym z ich kaprysów, oni sami zaś żyją, jak gdyby w jakiéjś fantastycznéj atmosferze, w któréj nie ma ani niedostatku, ani cierpienia i skąd zupełnie z życiem się nie stykają. Korzystając z tych przywilejów, panna Rodziewiczówna zrobiła ze swoich książąt jakieś istoty nadziemskie, nic z ludzkich porywów, wad, cnót i namiętności nie posiadając, zapominając, że na jakimbądź szczeblu społeczeństwa znajdowałby się człowiek, zawsze musi pozostać człowiekiem, a zatém istotą niesłychanie złożoną, któréj jedynym rysem pychy, okrucieństwa lub kokieteryi scharakteryzować nie można.

Treść powieści, jak zawsze u panny Rodziewiczówny, bardzo bogata, w krótkie jednak da się ująć słowa.

Młody książę Leon Holszański, mając lat 25, pokochał gorąco piękną lektorkę swéj matki, Gabrynię Grzymalankę, któréj brat, prosty szlachcic, administrował dobrami książąt. Księżna-matka, pyszna a zimna jak sopel lodu, odkrywa ten niewłaściwy romans, a przekonawszy się, że Leon bierze go tak na seryo, iż myśli aż o popełnieniu wołającego o pomstę do Boga mezaliansu, grozi mu, że Gabrynię publicznie wypędzi, jeśli nie da słowa, że zerwie z nią wszelkie stosunki. Książę przez słabość charakteru i lękając się narazić ukochaną na skandal, zgadza się na ten układ, lecz jednocześnie przysięga, że, nie mogąc ożenić się z Gabrynią, nie nazwie żoną nigdy żadnéj innéj.

Powieść rozpoczyna się w pięć lat późniéj, które Leon przepędza zagranicą, starając się wszelkiemi godziwemi i niegodziwemi sposobami zabić w sercu uczucie zranione okrutną ręką matki. W tym czasie starszy brat Leona, książę Alfred, umiera wskutek strasznego a tajemniczego wypadku, Leon przeto, zostawszy jedynym męskim przedstawicielem rodu, przyjeżdża do książęcéj rezydencyi Holszy, by objąć obowiązki i dostojeństwa, jakie na niego spadły.

Jest on znudzony, przeżyty, lękający się nadewszystko uchybić

konwenansom i zdenerwowany do tego stopnia, że twarz jego przebiegają co chwila kurczowe drgania. Plenipotenta, chcącego mu przedstawić rachunki, odprawia impertynencko, zalecając tylko, by go nigdy niczém nie nudził. Dla ludzi ogółem okazuje się mało względnym i okrutnym, pogardliwy jest dla niższych, chłodno-grzeczny dla równych.

Młodziutka jego siostra, księżniczka Iza wychodzi za mąż, niepytana nawet o zdanie, za typowego złotego młodzieńca, sportsmena hr. Maszkowskiego. Ślub jéj odbywa się w Paryżu, gdzie równocześnie księżna-matka prosi w imieniu swego syna, a bez jego wiedzy, o rękę księżniczki francuskiéj, panny Caraman-Capet, w któréj żyłach płynie krew królewska. Leon, oburzony tą samowolą, przypomina matce ich dawny układ i stanowczo odrzuca projektowane małżeństwo. Wskutek takiego skandalu wszyscy zrywają z nim stosunki tak dalece, że do pojedynku, na który go wyzwał brat obrażonéj panny, musi aż opłacać sekundantów, nie mogąc znaleść innych.

Niech nam daruje p. Rodziewiczówna, ale fakt podobnego nieubłaganego ostracyzmu towarzyskiego, odnośnie zwłaszcza do młodego, bogatego i na takim społeczném stanowisku stojącego człowieka, mógł jedynie miéć miejsce w jéj imaginacyi, trzeba bardzo mało znać tych ludzi, by ich posądzić o podobną i to lata trwającą solidarność. Jeżeli gdzie, to w téj sferze ludzie są dla siebie wzajemnie pobłażliwi, a jak w tym wypadku, byłaby tu surowość zupełnie nieusprawiedliwiona.

Książę wraca do Holszy, gdzie spędza długie dni w zupełnéj bezczynności, nudzie i osamotnieniu. Wskutek tragicznego wypadku związanego ściśle z historyą ich rodziny, doznaje gwałtownego wstrząśnienia, co go przyprawia o długą i niebezpieczną chorobę, w czasie któréj odwiedza go jedynie mieszkająca w sąsiedztwie siostra Iza i gospodarujący już obecnie w swoim majątku Grzymała. Książę szanuje go jako człowieka, a lubi jako brata Gabryni, poddaje się przeto jego szlachetnemu wpływowi i po przyjściu do zdrowia, uprosiwszy go o współudział, zabiéra się gorliwie do uporządkowa interesów i podniesienia dobrobytu, oświaty swoich licznych włościan. Nagła ta i radykalna zmiana, przypomina potroszę cudowne bajeczki dla grzecznych dzieci. Lecz nietylko książę, ale i siostra jego Iza, przekształca się w trudny do wytłómaczenia sposób i bez żadnych postronnych okoliczności, z bezmyślnéj lalki salonowéj w idealną kobiétę i oboje prześcigają się we wspomaganiu biédnych, w zakładaniu szkół, szpitali, banków ratunkowych, łamiąc sobie ciągle głowę, czémby jeszcze przyjść w pomoc ludzkości.

Po kilku latach takiego wzorowego, obywatelskiego żywota,

który jednak nie zdołał przejednać ciągle odeń stroniącéj rodziny i „towarzystwa“, książe Leon dowiaduje się, jakoby go posądzono, że do znoszenia samotności dopomaga mu Gabrynia w roli kochanki, a to posądzenie niewinnéj dziewczyny tak go oburza, iż pozwala nareszcie wybuchnąć długo tłumionemi uczuciu, zwalcza więc resztę przesądów i żeni się z Gabrynią, pomimo jéj rozsądnych perswazyi i silnego nawet oporu jéj brata Grzymały, przerażonego spadającym na ich rodzinę zaszczytem.

Postać Grzymały, to ulubiony typ p. Rodziewiczównéj. Czy to weźmiemy „Strasznego dziadunia“, czy „Dewajtisa“, czy którąkolwiek inną powieść z jéj bogatego repertuaru, spotykamy wszędzie pod zmienionem tylko nazwiskiem tego samego bohatéra, który pracuje za dziesięciu i tą swoją pracą a wytrwałością cudów dokazuje, poświęca się dla wszystkich, nic w zamian nie żądając i jest skończenie doskonałym, że już za życia mógłby być śmiało kanonizowany.

Typ bohaterek, od których Gabrynia różni się tém tylko, że tok opowiadania w więcéj biernéj zostawia ją roli, powtarza się również zawsze ten sam, aż do unudzenia, każda jest cicha a dumna, cierpliwie milcząca i zamknięta w sobie, kochająca raz tylko, ale stale i wiernie, choćby przez całą wieczność — zostaje téż zazwyczaj w końcu przez los hojnie wynagrodzoną za tę miłość. Zwracamy tu umyślnie uwagę utalentowanéj autorki na tę jednostajność typów, którą widocznie przeoczyła przy nadzwyczajnie szybkiéj i bogatéj produkcyi. Monotonia taka jest nużąca dla czytelnika, i nie budzi w nim interesu dla powieści, bo wszakże ciekawszym jest zawsze dla inteligentnego ogółu człowiek niż wypadki, przez które autorka przechodzić mu każe. To ubóstwo typów świadczy również, że panna Rodziewiczówna pisze swe powieści jedynie z głowy, na mocy swych własnych uczuć i pomysłów, że nie studyuje życia i nie z niego czerpie materyał do prac swoich.

Metoda to bardzo niebezpieczna, bo grożąca szybkiem wyczerpaniem się; źródło bodaj najobfitsze wyschnie, jeśli jest niezasilane, tak téż i talent sam, bez studyów, obserwacyi, pracy — wprędce się zużyje. A szkoda by tu była niepowetowana, gdyż zdolności młodéj autorki są dziwnie bogate, siła uczucia zaś tak wielka, że niejednokrotnie każe zapominać o wszelkich usterkach i ogrzéwa, oświeca niejako każdą sytuacyę, czy postać, robiąc ją niesłychanie sympatyczną, gdy tylko autorka chce mieć ją taką. W powieściach tych znać serce gorące, gotowe do wszelkich szlachetnych porywów, znać młodość bujną a niespokojną, skłonną do poetycznych marzeń i uniesień, lecz często zbyt mało rachującą się z rzeczywistością — zbywa im nato-

miast na tak nieodzownym dziś realnym podkładzie, a błąd to zdaniem naszém zasadniczy. *Karol J. Nitman.*

Życie publiczne, prywatne i umysłowe starożytnych Greków i Rzymian, dla użytku młodzieży szkolnéj skreślił Franciszek Terlikowski, profesor gimn. Franciszka Józefa we Lwowie. z 48 rycinami Lwów. Nakładem Tow. Pedagogicznego, 1889. in 8-o. str. XII i 343.

Autor wydając książkę pod powyższym tytułem pragnął zaradzić brakowi dotkliwie odczuwanemu zarówno ze strony nauczycieli, jak uczniów. Nauka bowiem filologii klasycznéj w gimnazyach naszych, o ile nie dotyczy strony zewnętrznéj t. j. gramatyki i czytania autorów starożytnych (przyczém z różnych powodów bardzo mały kładzie się nacisk na samą treść, wartość estetyczną i naukową czytanych pisarzy) traktowana była i jest po macoszemu. I trudno z tego robić wprost zarzut władzom szkolnym. Przy niezaprzeczonéj trudności języków starożytnych, wobec metody używanéj dla ich nauczania niewiele zostaje czasu nauczycielowi do przerabiania z uczniami starożytności, literatury, mitologii i t. d. Odbywa się to tylko przygodnie, przy sposobności np. gdy się przystępuje do lektury Platona, nauczyciel poświęca czas jakiś na podyktowanie uczniom niezbędnego wstępu o filozofii greckiéj, stanowisku Platona i t. p. tak samo przy czytaniu np. Liwiusza, Sallustiusza lub Tacyta musi nauczyciel od czasu do czasu objaśnić znaczenie różnych szczegółów ze starożytności państwowych, wojskowych i t. p. Łatwo zrozumiéć, że przy takim stanie rzeczy, uczeń miał i ma nader mgliste i fantastyczne wyobrażenie o wszystkich objawach starożytnego życia. Książki uznanéj i ogólnie używanéj, któraby uczniowi towarzyszyła przez całe wyższe gimnazyum nie było: używano wprawdzie tu i owdzie książeczki Royesena przetłómaczonéj przez Boczylińskiego, ale z dwojga złego, lepiéj jéj wcale nie było używać. A dziełko podobne, któreby dawało uczniowi jasny obraz najważniejszych momentów życia starożytnego, gdyby nadto uzyskało aprobatę władz szkolnych, mogłoby w znacznéj mierze złemu zapobiedz, Otóż p. Terlikowski tę potrzebę szkół miał na oku, układając swą książeczkę. Aby zrozumiéć, czy odpowiedział zadaniu, przypatrzmy się układowi i treści jego dziełka. Naturalnie przedewszystkiém rozpada się całość na 2 połowy: Grecya i Rzym. W 1-éj części od str. 3—13 mamy rys życia greckiego w wieku bohatérskim. Ten cały ustęp najmniéj zadawalnia, nie tyle z powodu szczegółów, ile dla pobieżnego traktowania przedmiotu. Odnosi się to szczególnie do rozdziału 5-go: „życie domowe i rodzinne“; niema

np. ani słowa o domu („*das homerische Anakten haus*“!), urządzeniu tegoż, uroczystościach pogrzebowych i t. d. A przecież należało na to wszystko zwrócić baczniejszą uwagę, bo Homer przez długi czas stanowi lekturę gimnazyalną. W zupełności wystarczającym jest tylko rozdział 1. Stan uobyczajenia i 2. Forma rządu. Następuje ustęp: „Życie publiczne w czasach historycznych“ od str. 14—39, podzielony na I. Lacedemon, II. Ateny. Materyał wybrany oględnie, podany w ilości wystarczającéj i formie przystępnéj. Ta sama ogólna uwaga odnosi się już do całego dziełka; przytaczamy więc tylko dalszą treść jego. §. Życie prywatne, od str. 42—56. Religia i Mitologia, od str. 58—90. Literatura od str. 94—164. Część druga obejmująca Rzym, podzielona jest na: Życie publiczne 171—238. Życie prywatne 239—261. Religia 264—278. Literatura 283—326. Wreszcie mamy pożądany dodatek: o przyborach do pisania, książkach, ruchu księgarskim i bibliotekach 329—334. Na podział ten zgadza się ref. bez żadnych zastrzeżeń. Rzecz prosta, że nie jest on ściśle umiejętnym: tak np. w żadnéj encyklopedyi filologicznéj nie ma osobno przedstawionego życia w epoce bohaterskiéj, jako specyalnéj dyscypliny; ale dla szkoły ze względów praktycznych podział ten jest bardzo stosowny. To samo odnosi się do wcielenia starożytności scenicznych w rozdział literatury o dramacie i t. p. Tyle o podziale. Co się tyczy treści, to stoi ona, biorąc na uwagę całość, na wysokości dzisiejszych badań naukowych i autor korzystał widać z dzieł najlepszych. Najlepsze są ustępy o literaturach greckiéj i rzymskiéj, i ustęp o starożytnościach państwowych rzymskich; najsłabiéj wypadły starożytności prywatne. Zwrócić także trzeba uwagę na pewną nieproporcyonalność w przytoczeniu technicznych terminów: autor obficiéj przytacza łacińskie niż greckie. Wreszcie specyalnie zaznacza ref. stosowność i praktyczność ustępu o uroczystościach publ. wcielonego do star. religijnych. Przechodząc do szczegółów ma ref. następujące rzeczy do wytknięcia. Str. 5: Królowie u Homera nazywali się *diotrefees* i *diogenees* nie dlatego, (a przynajmniéj nietylko dlatego), że władza i osoba ich były pod opiekę Zeusa, ale przedewszystkiém dlatego, że uważano ich za potomków Zeusa lub innych bogów. Str. 6: Należało jaśniéj określić funkcye kapłańskie króla wobec kapłanów. Por. Aristot. Pol. p. 1285 B.: *Kyrioi d'esan* (sc. królowie w epoce bohat.) *tes te katà polemon hegemoneas kaì ton thyseon ho sai mehieratikaí.* Str. 6: Z przedstawienia autora wynikałoby, że nikt z ludu na zgromadzeniu nie miał prawa przemawiać. Tak jednak nie było; cf. Il. B. 220 sqq. Str. 8: Co do *falara*, to jest wprawdzie rzeczą sporną, co przez nie rozumiéć należy, ale na pewno można twierdzić, że nie były to płyty policzkowe,

jak chce autor, bo jakiż wtedy był hełm *tetrafaleros*? *falos* nie był to przedni i tylny daszek hełmu, lecz grzebień, w którym była osadzona kita *lofos*; natomiast *kymbachos* był daszek na czoło. Należało dodać, że hełm gładki nazywał się także *katattyks* i że płyty obie pancerza nazywali się *gyala*. *Zoster* był to pas skórzany, służący do związania pancerza nad biodrami, zaś to, co autor nazywa *Zoster*, nazywało się *mitre* lub *Zoma*.—Str. 9: Częściéj używano tarcz mniejszych niż wielkich osłaniających całego męża. Po dwa dzierżadła miały tylko małe szczyty, zaś wielkie miały jedno *porpaks*, które chwytano ręką, a zamiast drugiego rzemień *talamon*, który szedł przez kark i ramię wojownika. Używane były także szczyty czworograniaste. Należało dodać, że włócznia wojenna była znacznéj długości (od 2—5 m.). — Str. 10: Miecz nazywał się także *aor*. Należało dodać, że był przewieszony przez prawe ramię. Opuszczono nazwy wozu *harma*, *difros*. Nie ma ani słówka o okręcie.—Str. 12: *Chiton* był krótki u myśliwych, wojowników, robotników etc.; natomiast jako szata domowa i uroczysta był długi. Pasem zwykle nie był przepasany. W domu chodzono w samym *chitonie*. *Chiton* był z płótna lnianego i biały; natomiast *chlajna* zwykle czerwona lub purpurowa i z wełny. Kobiéty nosiły tylko jedną suknię. Należało coś wspomniéć o ozdobach noszonych przez kobiéty. Str. 15: Wcale nie jest pewném, czy *kleros* spartański nie był rozdzielany między synów zmarłego. Należało dodać, że obywatele spartańscy dzielili się na 3 fyle i 27 fratryi, nadto na 5 fyl lokalnych z podpodziałem na oby. Należało położyć większy nacisk na służbę wojskową periajków. Str. 16: Nieprawdą jest, że królowie spart. na wojnie musieli słuchać eforów: byli oni wprawdzie pod ich nadzorem, ale eforowie nie mieli prawa wkraczać w ich działalność: dopiéro po powrocie z wojny mogli ich pociągnąć do odpowiedzialności. Należało dodać, że zgrom. lud. przewodniczyli od 5 w. eforowie.—Str. 20: Organizacya wojskowa Lacedemońska jest przedstawiona bałamutnie i nader krótko. Str. 92: Należało jaśniéj przedstawić zapatrywanie chorizontów: oni odmawiali Homerowi autorstwa Odyssei, opierając się na sprzecznościach treściowych. Należało dodać, że Wolf w wywodach swych silny kładł nacisk na świadectwa starożytnych o zebraniu przez Pizystrata rozproszonych przedtém pieśni Homera. — Str. 100: G. Hermanna nie można zaliczać do Wolfianistów: zajmuje bowiem stanowisko odrębne, twierdząc: „*Homerum duo non magni ambitus carmina de ira Achillis Ulixisque reditu composuissu, quae deinceps a multis cantata paullatimque aucta atque expolita Homeri nomen ad posteros ut poetae vetustissimi propagaverint.*“ Kwestyę hom. można było przedstawić obszerniéj i wyraźniéj zaznaczyć, jak zwolna sprzeczne zdania uczonych zaczęły się w nie-

których punktach stykać, tak że obecnie mimo różnicy zapatrywań w szczegółach, dadzą się ustanowić pewne punkta, na które mniéj więcéj wszyscy umiarkowani i rozsądni filologowie się zgadzają. Należało także zaznaczyć stronę językową kwestyi hom., co wobec różnych wydań, jakie się uczniom do rąk dostają, jest konieczném. 102: Właśnie nieprawdopodobną jest rzeczą, żeby utwory Homera już z początkiem olympiad były spisane: najpewniéj nastąpiło to pod koniec wieku VIII lub z początkiem VII-go. Autor idzie za daleko odrzucając (jak Lehrs i inni) w zupełności podanie staroż. o działalności Pizystrata. Str. 110: Należało zaznaczyć, na czém polega ta stanowcza piękność poezyi hom. Str. 191: Podział na 30 kuryi był niezależny od podziału na 3 tribus. Podział kuryi na 10 gentes wcale nie pewny. — Poprzestajemy na podniesieniu tych szczegółów: bo jakkolwiek w wielu innych punktach ref. odmiennego jest zapytrywania, to w recenzyi książki szkolnéj baczyć należy tylko na oczywiste błędy, gdyż bardzo wiele szczegółów w starożytnościach klas., które w dziełach specyalnych z powodu niepewności ich znaczenia wymagają wyłuszczenia całéj kontrowersyi, należy w książce szkolnéj przedstawić w sposób pozytywny, a to naturalnie dziać się może tylko na podstawie subiektywnego sądu. Co do rycin, to zaznacza ref., że są one najsłabszą częścią książki: jest ich mało, źle dobrane, a specyalnie drzeworyty objaśniające życie w epoce hom. są wprost nieautentyczne.

Jan Rozwadowski.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Zapowiedź roku szkolnego.—Pozbawieni zarobku. — Najcięższy kawałek chleba. — Konkurencya kobiéca.—Tłok na wąskich ścieżkach.—Nieodkryty środek, jak ratować nauczycielki.—O czém świadczy zmniejszona liczba uczniów.—Reforma szkół realnych.—Jedyny skutek.—Szkoła ogrodnicza w Częstochowie. — Akt uroczysty w uniwersytecie warszawskim.—Liczba studentów na wydziałach.—Niezrozumiałe wyróżnianie prawnictwa.—Upośledzenie przyrodnictwa.—Procent zdających egzamina.—Zapomogi. — Kto je otrzymuje. — Studyum rolnicze przy wszechnicy krakowskiéj. — Wątpliwości, czy ono odpowiada potrzebie. — Nędza Galicyi w obec bogactwa czeskiego. — Pożar w prasie warszawskiéj, wzniecony przez waryata lwowskiego.—Paryskie mydliny w mazowieckiéj balii. — Jubileusz szkoły weterynaryjnéj. — Anachronizm przesądów. — Wspomnienie o Gregorowiczu i Mikuckim.

Rok szkolny się zaczął i podobno dla pedagogów zaczął się niebardzo pomyślnie. Największa z tutejszych szkół prywatnych zamknęła jeden oddział wskutek zmniejszonéj znacznie liczby uczniów. Główną przyczyną tego było powiększenie dosyć znaczne opłaty, zwanéj „wpisem.“ Szkoła materyalnie nic na tém zapewne nie straciła. zyskała zaś na zmniejszonym ciężarze administracyi, ale dla rodziców i dzieci przenoszenie się ze szkoły do szkoły nie jest ani przyjemne, ani pożyteczne. A jednocześnie zamknięcie oddziału pozbawia wielu nauczycieli tego mizernego kawałka chleba, jaki dotychczas dawali rodzinom swoim.

Nie mamy zamiaru, ani uważamy za właściwe wtrącać się do wewnętrznéj finansowéj polityki szkoły, tém więcéj, że nie znamy ani pobudek, ani zamiarów. Te mogły wywołać skutki całkiem odmienne, niż przewidywano w założeniu. Przytém u nas szkoła jako przedsiębiorstwo — to interes bardzo lichy. Tylu już właścicieli i właścicielek straciło na nich grosz ostatni i do końca życia obarczyło się ciężarem dotkliwych długów, że ani dziwić się, ani gorszyć niepodobna usiłowaniom ratunku i zabezpieczenia się od podobnego losu. Niemniéj jednak smutne skutki pozostają smutnemi, a drobne stosunkowo ich rozmiary nabiérają znaczenia wskutek ponurego tła. W ogóle w tym roku w szkołach prywatnych liczba uczniów, o ile można wiedzieć, zmalała.

A jednocześnie świat pedagogów gorzko skarży się na wielki brak lekcyi całkiem nawet prywatnych.

Biédne nauczycielki podejmują się pracy uciążliwéj, prowadzącéj do anemii, skracającéj życie, za wynagrodzenie nieprawdopodobnie liche. Słyszałem o wypadkach pobiérania 2 rs. miesięcznie za godzinę dziennie! A są istoty nieszczęśliwe, któreby chętnie przyjęły takie warunki, może nawet gorsze, i znaleść nic nie mogą.

O ile sądzić można z tego, co się słyszy i widzi—statystyki nie ma—nauczycielek oddawna jest już w Warszawie za wiele, a co rok przybywają nowe zastępy wcale niewywołane zapotrzebowaniem. Ostatnie mniéj powolnie, ale zdaje się dotychczas z roku na rok wzrastało, warunki więc pracy nauczycielskiéj, chociaż od niejakiego czasu pogarszały się stale, ale nie bardzo gwałtownie. Łatwo było przewidziéć, że jeżeli nadejdzie fatalna chwila i zapotrzebowanie zamiast wzrastać spadnie, zamiast rubli płacić będą za lekcye złotówki i niedostatek przejdzie w nędzę. Rozpoczynający się rok szkolny bardzo jakoś wygląda na taką smutną chwilę.

Położenie okaże się tém groźniejsze, im bliżéj nad niém zastanawiać się poczniemy. Nietylko jest źle, ale *musi* być źle. Na widowni życia społecznego zjawia się coraz więcéj kobiét, dla których praca na kawałek chleba powszedniego jest koniecznością. Często nietylko siebie nakarmić i ubrać potrzeba; na wiotkich barkach spoczywa nieraz odpowiedzialność za byt staréj matki i przyszłość małego brata. Wyboru wielkiego nie ma. Ciężkie bramy zamykają wszystkie niemal drogi zarobkowania, zostało wolnych kilka ścieżek tylko. Nauczycielstwo jest może najdostępniejszą z nich, a zapewne także i najodpowiedniejszą. Na tém polu, jak i na każdém zresztą innėm, kobiéta z mężczyzną dla wielkiego mnóstwa powodów konkurencyi wytrzymać nie jest w stanie, używa téż zwykle jednéj tylko broni: sprzedaje swój czas, swoje siły i zdolności coraz taniéj, obniżając przez to nietylko własny zarobek. lecz i dochody męża, brata, ojca.

Ta komplikacya stosunków społecznych nie stanowi zresztą właściwości ani chwili obecnéj, ani kraju naszego, cierpi nad nią już od lat wielu Europa cała, a pojedyńczy lekarze społeczni, zarówno jak i konsylia, nadaremnie łamią głowę nad środkami jéj usunięcia. Co gorsza, nie ma pewności, czy środki takie dadzą się kiedykolwiek odnaleść. Stoimy zdaje się wobec ułomności, którą nas natura udarowała, a słabe środki ludzkie pokonać nie są w stanie. W takich wypadkach należy chociaż osłabiać złe skutki kalectwa.

Warunki miejscowe nie pozostały jednak bez pewnego wpływu na zaostrzenie téj powszechnéj dolegliwości. Między innemi jest i to,

że mężczyźni w większéj liczbie kupią się na tych samych wąskich ścieżynach.

Jeżeli rzeczywiście nadszedł rok kryzysowy, jeżeli nauczycielki będą miały czasy jeszcze gorsze do przebycia niż dotąd, to naturalnie trzeba byłoby szczerze i energicznie zająć się wyszukaniem jakich środków ratunkowych. Bodaj czy i tak nie zbyt długo zamykaliśmy oczy na to, co się koło nas działo. Pozwalaliśmy stosunkom układać się bez wszelkiéj interwencyi, a nawet bez usiłowania interwencyi. Nauczycielki może u nas liczyć należy tylko na dziesiątki lub setki, ale naprzód stanowią one znaczny procent wśród ogółu kobiét wykształconych, kosztowały zbyt wiele społeczeństwo, aby, pomijając nawet względy moralnéj natury, można było patrzéć spokojnie, jak marnieją przed czasem, dławione pracą nad siły i nękane nędzą. Powtóre, te nauczycielki związane są z tyluż rodzinami i tylko wyjątkowo szczęśliwy ojciec może być wolny od obawy, że córka jego nie będzie musiała więdnąć wśród mozołów nauczycielskiego zawodu.

O ile oczywistą jest potrzeba, aby społeczeństwo zwróciło uwagę na tę sprawę i zajęło się nią, o tyle trudną wydaje mi się odpowiedź na pytanie: w jaki sposób? Nietylko nie potrafiłbym nic dokładnego powiedziéć, ale nawet najogólniejsza idea nie nasuwa się wyobraźni mojéj, w jaki sposób dałoby się to zrobić. Wolno przypuszczać, że nikt tymczasem gotowéj odpowiedzi nie posiada, jeżeli dotąd nie słyszeliśmy o żadnym projekcie. To jednak, rzecz prosta, nie dowodzi, iż wcale nie ma ratunku. Ameryka istniała przed Kolumbem, a możność zbudowania telefonu przed Edissonem. Gdyby ktoś sprawę tę wziął gorąco do serca i zajął się dokładnie jéj poznaniem, to możeby jednak coś dało się zrobić — łudzić się nie wypada, że wiele.

Z prawdopodobnego zmniejszenia się uczniów i uczenic w roku bieżącym nie należy wyciągać zbyt pośpiesznie wniosku, że osłabł popęd do nauki wśród ogółu. Może tu działać przyczyna inna. Warunki wykształcenia uległy i ulegają przeobrażeniom, społeczeństwo potrzebowało pewnego czasu, aby się wśród nich rozejrzéć i zoryentować, następnie zaś mogło się zwrócić do sposobów bardziéj racyonalnych i bardziéj odpowiadających potrzebie.

Bieżący rok szkolny jest bardzo ważnym dla męskich szkół realnych: przyśpieszoną została o lat sześć reforma planu nauk i wprowadzona w życie już teraz. Znikną wykłady chemii, mechaniki, geometryi wykreślnéj, natomiast powiększona będzie liczba godzin historyi, geografii, języków.

Zmiany te odbiérają szkole realnéj charakter techniczny i czynią

ją bardziéj ogólną, rodzajem gimnazyum bez starożytnych języków. Nastąpiły one podobno ze względu na to, że ani chemia, ani mechanika, ani geometrya wykreślna tym, którzy na szkole realnéj poprzestają, przydać się nie może na nic, wskutek zbyt szczupłego zakresu, niedostatecznego przygotowania uczniów i t. d., dla tych zaś, którzy idą do zakładów wyższych słuchanie przedmiotów usuniętych jest całkiem bezużyteczne, bo tam je rozpoczynają od początku. Należy zauważyć, iż wszystko to zależało od nauczycieli i od programu. Oczywiście i z chemii, i z mechaniki i z geometryi w szkole średniéj można zrobić skrócenie i ulementarnienie kursu uniwersyteckiego, rodzaj parodyi nauki, która nikomu pożyteczną nigdy nie była; to też usunięcia nikt opłakiwać nie ma powodu. Ale z drugiéj strony, wykłady w szkole średniéj, racyonalnie prowadzone, téj znacznéj części wychowańców, którzy nie idą do politechniki, lecz wstępują do fabryk i warsztatów, dać mogły były wiadomości bardzo potrzebne, dla reszty zaś wcale nie zbyteczne.

Reforma, o któréj mowa, miała zdaje się być niejako skutkiem wprowadzenia w życie szkół przemysłowych średnich, nastąpić dopiéro po ich otwarciu, i może przyczynić się do zniknięcia szkół realnych, czyniąc je niejako bezużytecznemi i zbytecznemi. Rzecz się przedstawia odmiennie w tych miejscach, gdzie pogłoski o średnich politechnikach umilkły. Skutki jednak mogą być też same.

Kiedy omawiane w licznych instancyach szkoły mechaniczne, chemiczne, budowlane i t. p. nikną coraz bardziéj w perspektywie zapomnienia, powstaje szkoła, która nie narobiła uprzednio żadnego hałasu. Władza zatwierdziła świeżo pierwszą w kraju naszym szkołę ogrodniczą. Powstaje ona w Częstochowie za inicyatywą i z funduszów d-ra Zawady. Ministeryum rolnictwa zawarło z właścicielem kontrakt rejentalny 12-letni, i zobowiązało się udzielić 2,000 rs. zapomogi rocznie. Prócz tego, wychowańcy, kończący kurs 3-letni, posiądą prawa trzeciéj kategoryi pod względem służby wojskowéj. Rząd powiększać będzie nauczycielom pensye rocznie o $^1/_4$ pobieranéj poprzednio płacy. Natomiast ministeryum zastrzega sobie nad szkołą nadzór, który ma sprawować zarządzający lasami gubernii warszawskiéj. Wybór dyrektora i nauczycieli należy do właściciela szkoły, ministeryum będzie ich tylko zatwierdzać. Do szkoły wstępować mogą bez egzaminu chłopcy, którzy ukończyli 2 klasy w szkole miejskiéj, od innych wymagany jest egzamin. Kandydaci nie mogą być starsi nad lat 14. Nauka bezpłatna, tylko za całkowite utrzymanie w internacie oznaczona jest płaca 120 rs. rocznie. Plan szkoły obejmie następujące przedmioty: religię, języki (ruski i polski),

matematykę, nauki przyrodnicze, ogrodnictwo, a prócz tego jeszcze wykładane będą pszczelnictwo, koszykarstwo i garncarstwo. Lekcye rozpoczynać się mają 15 października i trwać do 1 kwietnia, w lecie zaś odbywać się będzie tylko rysowanie planów, niwelacya, mierzenie ziemi oraz inne odpowiednie zajęcia praktyczne w ogrodach owocowym i warzywnym, szklarni, inspektach i t. d.

Kuryery, podawszy wiadomości powyższe o szkole, komunikują również niektóre szczegóły o jéj właścicielu. Dr. Zawada jest częstochowianinem, ukończył instytut pomologiczny w Pruszkowie, a przedtém i potém praktykował w różnych miejscach i ogrodach, poczynając od ogrodu ojca swojego i braci Hozerów w Warszawie, a kończąc na Mackay'u w Liège i *Jardin des Plantes* w Paryżu. Stopień doktorski uzyskał dr. Zawada w Niemczech na wydziale przyrodniczym. Naturalnie pedagogiczne przymioty i kompetencya fachowa kierownika nowéj szkoły będą miały wpływ decydujący na wartość i powodzenie szkoły.

Jeżeli przez dwa lata (pierwsze lub następne) liczba uczniów nie dosięgnie 15-tu, to ministeryum cofnie przyrzeczone subsydyum. Nie ma chyba jednak obawy, aby zaszedł taki wypadek. Szkoły fachowe bardzo są u nas potrzebne, potrzebniejsze niż gdzieindziéj, wskutek warunków miejscowych; dotychczas ich wcale prawie nie mamy, szczególniéj na prowincyi; ogrodnictwo ma, jak zapewniają ludzie kompetentni, wielkie widoki rozwoju i powodzenia; ono powinno podtrzymywać zachwiane rolnictwo. Raczéj więc spodziewać się należy, że dobry przykład Częstochowy znajdzie wkrótce naśladowców w innych okolicach, a przedewszystkiém w takich, które nie mają tak łatwéj komunikacyi z Warszawą.

Szkoła nowa ma już być otwartą w styczniu roku przyszłego.

Najpóźniéj ze wszystkich szkół czynnym być począł uniwersytet. 11 września odbył się dopiéro „Akt uroczysty“. Z przemowy rektora dowiadujemy się, iż zostało 406 tysięcy rs. przeznaczone na „budowlane potrzeby“. Przedewszystkiém wybudowany będzie „wspaniały“ gmach na bibliotekę, ze wszelkiemi możliwemi udogodnieniami technicznemi. Dziś biblioteka zawiera 300,000 tomów, nowy budynek obliczony jest na milion. Gmach, gdzie się dotychczas mieściła biblioteka, obrócony zostanie na audytorya, dawniejsze zaś audytorya pójdą na rozszerzenie laboratoryów, gabinetów i t. d. Co prawda jednak to suma 400 tysięcy jest w stosunku do zapowiedzi i zamiarów bardzo skromna. Sam wspaniały gmach, ze wszystkiemi możliwemi udogodnieniami technicznemi pochłonąć może sumę taką,a może nawet i większą.

W roku ubiegłym (znajdujemy w sprawozdaniu prof. Czausowa)

uniwersytet warszawski liczył 1164 studentów, 10 wolnych słuchaczy i 108 farmaceutów. Z téj liczby po odrachowaniu tych, którzy wystąpili lub byli wydaleni za niepłacenie wpisu:

na wydział filologiczny	uczęszczało	52,	zdało zaś egzaminy	30	t. j. 76,8%
„ „ matemat.	„	74	„ „ „	48	„ 64,8%
„ „ przyrodniczy	„	62	„ „ „	47	„ 75,8%
„ „ prawny	„	385	„ „ „	326	„ 84,8%
„ „ lekarski	„	573	„ „ „	405	„ 70,6%
farmaceutów było:		84	„ „ „	36	„ 42,8%

Z tabliczki powyższéj widzimy, że dwa pierwsze wydziały filologiczny i matematyczno-przyrodniczy stanowią mniéj niż $^1/_6$ ogółu studentów. Na ten stosunek zwrócono już uwagę i z faktu, że przewaga prawników i lekarzy stale wzrasta, wnioskowano o upadku wśród młodzieży naszéj dążeń idealnych, zamiłowania do nauki czystéj. Może wniosek był słuszny, a może zbyt pośpieszny i na niewystarczających danych oparty.

Na uwagę zasługuje też inna strona tabelki—procent zdających egzaminy. Jak na zakład wyższy naukowy jest to procent mały, jeżeli nawet nie bardzo mały. Szkoła średnia to jakby sieć, która zagarnia wszystko, co spotka na drodze, do uniwersytetu idzie już pewien wybór, nie dzieci, ale dojrzewająca młodzież, świadomie chcąca się uczyć w pewnym celu i w oznaczonym, a wybranym swobodnie kierunku. Tymczasem procent nie sięga 85, a spada aż na 64; a farmaceutów ani połowa nie staje do egzaminów lub się obcina! Znam szkoły średnie, gdzie większy procent corocznie dostaje promocye.

Pomoc materyalna dla studentów w zeszłym roku szkolnym wynosiła 53,567 rs. Ze stypendyów ministeryalnych korzystało 38 studentów, którzy otrzymali 10,500 rs. Ze specyalnych funduszów uniwersytetu wydano 14 studentom 2,800 rs. Z zapisów prywatnych, którymi zarządza uniwersytet, 99 studentów otrzymało 14,876 rs., a z tych, którymi dysponuje kurator, 65 studentów otrzymało 9,572 rs. Jednorazowych wsparć wypłacono: z funduszów Głównego Naczelnika Kraju rs. 2000, z funduszów Kuratora — 281 i z funduszów, pochodzących z ofiar prywatnych, zabaw i t. d. 7112 rs. Uwolniono od wpisu w obu półroczach 212 studentów, co się równa sumie 6425 rs.

Sprawozdanie, odczytane na akcie, w tym punkcie było prawie tak ogólnikowe jak ustęp powyższy, dokładnego więc pojęcia ilu studentów i jacy korzystali ze stypendyów i zapomóg mieć nie można. Bardzo być bowiem może, iż niektórzy ze stypendystów byli jednocześnie zwalniani od opłaty wpisu.

Kiedy mowa o uniwersytecie, wypada mi krótką wzmiankę po-

święcić nowemu wydziałowi przy wszechnicy krakowskiéj, który właśnie, w chwili gdy piszę te słowa ma otworzyć gościnne podwoje dla słuchaczów. Właściwie będzie to nie nowy wydział, lecz „studyum rolnicze“ przy wydziale filozoficznym.

Wypadek zdarzył, że bezpośrednio po odczytaniu programu wykładów na 6-ciu półroczach owego studyum wpadła mi w rękę skarga jakiegoś wieśniaka na pisma rolnicze, drukowana parę tygodni temu w „Wieku.“ Wieśniak dowodzi, że pisma przynoszą rolnikom korzyść niewielką, gdyż trzymane są w tonie zbyt wysokim i nie rachują się z ekonomiczną możnością kraju i czytelników swoich. Opisują więc jak można zapomocą elektryczności wpłynąć na szybszy rozwój roślin, jak się wydmy piasczyste zamienia na glebę pszenną, co dla ogromnéj większości ziemian może być tylko ciekawe, nie zaś przydatne.

Skarga ta, nie mam zresztą pojęcia czy słuszna, nasunęła mi pytanie, czy rolnictwo w uniwersytecie nie jest za wysokie dla biedy galicyjskiéj. Naturalnie w każdym gmachu, niezależnie od tego co się dzieje w innym jego skrzydle i jaki tytuł przyozdabia front jego, można przystosować plan i wykłady do praktycznych potrzeb. Tak: ale miejsce i otoczenie zwykle wywierają wpływ; przynależność do ciała uniwersyteckiego kładzie pewne wymagania — czy więc rolnictwo galicyjskie otrzymało to, czego potrzebuje?

Pytania powższe stawię tylko jako pytania, do sformowania zarzutu nie mam bezpośredniéj znajomości rzeczy; wiem przytém ze słyszenia, iż było ono przedmiotem sporu w prasie miejscowéj; zapewne, po stronie uniwersytetu znaleść się musiały racye cięższe i przeważyły. Niektóre z tych racyi przytoczyły pisma warszawskie, o kilku także mówiła mi osoba kompetentna, muszę jednak wyznać, że wszystko to nie wydaje mi się wystarczającém, gdyż zawsze chodzi nie o potrzebę główną — rolnictwo galicyjskie, lecz o względy uboczne.

Przedewszystkiém więc studyum mniéj kosztuje, bo nietrzeba było budować nowego gmachu, tworzyć nowéj biblioteki i wielu nowych katedr i t. d. To słuszne, ale w Krakowie jest téż szkoła techniczna, która dawała téż same ułatwienia.

W statucie powiedziano że jednym z celów otwarcia „studyum“ było, aby uczniom umiejętności prawnych i politycznych, jako téż innych wydziałów, dać sposobność do nabycia niektórych wiadomości z zakresu rolnictwa, któreby w swym przyszłym zawodzie mogli zużytkować. Nie jest zupełnie widoczne, ażeby prawnicy gwałtownie potrzebowali „w przyszłym swoim zawodzie“ wiadomości rolniczych; trafniejszym wydaje mi się wzgląd odwrotny, na który mi zwrócono uwagę, mianowicie, że rolnicy w uniwersytecie będą mogli słuchać

wykładów innych, potrzebnych im zarówno do wykształcenia ogólnego, jak i dla potrzeb życia praktycznego.

Przytém podobno miano na uwadze, że młodzież ziemiańska, mając swoją szkołę wyłączną, wyodrębnia się, tworzy światek w sobie zasklepiony. Tutaj będzie wciągnięta w wir ogólnego życia młodzieży, dotknie się warstw innych, pozna ich pojęcia i dążenia. Doświadczenie Dublan i innych zresztą szkół podmiejskich przekonało, że młodzież wymyka się z pod kontroli, przesiaduje tygodnie w sąsiedniém mieście i najszkodliwiéj czas trwoni zamiast się uczyć. W Krakowie dostanie się pod ogólny rygor. Znowu całkiém to słuszne, tylko zupełnie ten sam cel dałoby się osiągnąć w szkole technicznéj.

Nareszcie, zakładając studyum, miano na widoku wstrzymanie w kraju téj bogatszéj młodzieży, która licznie podobno wyjeżdża rok rocznie do uniwersytetów austryackich i niemieckich na wydziały rolnicze, które tam istnieją. I tu zgodzić się trzeba, że pobudka to całkiém sympatyczna, ale ilu jest tych paniczów? czy większość nie potrzebowałaby czego innego?

Za najważniejszy uważać trzeba wzgląd, iż Galicya nie zależy od siebie i inicyatorowie nowéj szkoły rolniczéj musieli iść po linii najmniejszego oporu. To co się stało, było możliwe; na coś innego, choćby znacznie lepszego, bodaj czy nie wypadłoby czekać tak długo, jak na wydział lekarski we Lwowie. To jest już całkiem decydujące. Dorzucam jeszcze nadzieję, że nowy wydział *almae matris* krakowskiéj stanie się początkiem całego przyszłego szkolnictwa rolniczego, wywoła je i obsadzi swymi wychowańcami. Ze sprawozdania p. Sempołowskiego z wystawy wiedeńskiéj w sekcyi rolnéj dowiadujemy się, iż Czechy posiadają aż 38, wyraźnie trzydzieści osiem szkół rolniczych, a wszystkie one stawiły się do popisu i zadziwiły świat cały rezultatami swéj pracy na rozmaitych polach. Jak wobec saméj już liczby mizerniuchno wygląda Galicya, niby biedak, który długo, długo jeszcze i z mozołem dorabiać się musi, aby dojść do znośnego dobrobytu. Kiedy inne części monarchii habsburskiéj pokazywały swoje rolnictwo, Galicya, jak dzika kraina, pozostająca na pierwszym szczeblu rozwoju cywilizacyjnego, wystąpiła... z trofeami myśliwstwa.

Tak się już ludzie przyzwyczaili pomiatać Galicyą, widzieć w niéj samo tylko złe, że każde oskarżenie znajduje wiarę i rozgłos. Na pochyłe drzewo skaczą nawet takie kozy, które właściwie nie mają żadnego prawa do wyprawiania podobnych harców gimnastycznych. Świeżo właśnie na rachunek dzikości stosunków galicyjskich zapisano bez wahania fakt całkiém fałszywy, który powinien był jednak obudzić wątpliwości.

We Lwowie jeden z dzienników otrzymał memoryał, odsłaniający niby tajemnice zakładu dla obłąkanych w Kulparkowie, pisany przez pensyonarza tego zakładu, więc waryata. Iskra, rzucona nad Pełtwią, w jednéj chwili wznieciła pożar w prasie warszawskiéj. Z wyjątkiem zdaje się dwu pism, wszystkie uderzyły na alarm i poczęły wołać: zgroza, zgroza! Przypomniała się historya o żebrach połamanych ś. p. Izydora hr. Dzieduszyckiego, o któréj też każdy starał się krzyczéć, a mało kto pragnął poznać ją bliżéj. Jeden z dzienników tutejszych bez najmniejszych skrupułów, nie licząc się z tém, że słowa jego są ciężkiém oskarżeniem osób żyjących, twierdził, iż zakład kulparkowski jest „czémś w rodzaju piekła dantejskiego, widownią scen najokropniejszych, formalną mordownią ludzi“.

Ogłoszono za „zasługę“ redaktorów „Dziennika polskiego“, iż sprawę tę w swojém piśmie poruszyli, chociaż panowie ci mieli do Kulparkowa bliziutko i otrzymawszy oskarżenie od waryata, powinni byli przynajmniéj pojechać na miejsce i dowiedziéć się co i jak rzeczywiście było. Nie zrobili tego, wszczęli tylko hałas, nie troszcząc się wcale o jego słuszność, znaczenie, pożytek.

Jeden z dzienników tutejszych skomponował nawet „*interview*“ z osobą, któréj na oczy nigdy nie widział.

Wydział krajowy wydelegował komisyę, która zbadała rzecz na miejscu, poznała przeszłość oskarżyciela, wysłuchała zeznań osób bezstronnych i okazało się, że porucznik Zakrzewski, oskarżyciel, cierpi na manię wielkości i halucynacye, że pisanie memoryałów podobnych jest dlań chlebem powszednim, że ,,Dantejskie piekło" istnieje w jego wyobraźni, że stosowano doń środki przez naukę zalecane, a jedyną awanturą było, iż on sam, oskarżyciel, spoliczkował dyrektora zakładu, tak jak niegdyś w ten sam sposób postąpił z prymaryuszem u pijarów, gdzie go pierwotnie oddano.

Oto przykład czuwania prasy nad sprawami społecznemi, przestroga jak należy ufać temu, co się pisze o ludziach i instytucyach. Przychodzi mi na myśl inna wrzawa dzienników, od któréj już uszy bolą, która działa niby emetyk, na każdego, co nie choruje na potrzebę odżywiania się codziennie skandalem. Mówią o sprawie Boulanger'a i o coraz nowych odkryciach jego spólników czy sekretarzy. Już wielu proroków nowych podpisało z tego powodu wyrok śmierci na Francyę, a nie dbając, że się opierają akurat na materyale zupełnie tak wiarogodnym, jakiego sami wczoraj dostarczali do sprawy kulparkowskiéj. Tylko jeżeli łatwowierność względem Galicyi, choć może mniéj jeszcze sympatyczna, jest czémkolwiek usprawiedliwiona, to pośpie-

szny pesymizm względem Francyi kompromituje tylko surowego sędziego.

To jest okropna rzecz. Od dwu tygodni niepodobna prawie gazety wziąć do ręki, żeby nie znaleźć historyi o przekupstwie, o zarazie, o intrygach, kłamstwach i t. d. jakichś Boulanger'ow, Mermeix'ow. Dillon'ow Laguerr'ow i t. p., którzy ani historyi ani czytelników naszych nic a nic nie obchodzą. W Paryżu piorą brudną bieliznę, my zaś się chlapiemy w mydlinach. I to stale, z chciwością sprowadzamy sobie ten towar. A co najgorsza, że końca temu nie widać. Znowu jakiś ladaco napisał pieprzne kłamstwo, żeby wyłudzić nieco franków od łatwowiernych i zaczęła się nowa serya. Dosyć, dosyć już, na litość.

Zboczywszy nieco, wracam jeszcze do szkół. Warszawski instytut weterynaryjny miesiąc temu skończył pół wieku istnienia.

Otworzono go w r. 1840, 1-go września pod nazwą „szkoły weterynarzy.“ Była to wtedy skromna szkółka, do któréj przyjmowano prawie każdego, kto chciał wstąpić, gdyż przy egzaminie wymagano ledwie pisania, czytania i czterech działań, kurs był dwuletni. W sześć lat potem dodano kurs trzeci i kandydaci musieli skończyć przynajmniéj 4 klasy. Tytuł też brzmieć począł „szkoła weterynaryjna.“ Czwarty kurs został dodany dopiero w r. 1858. Potem w różnych jeszcze czasach szkoła przechodziła przez różne zmiany aż wreszcie w roku przeszłym dostała nazwę „instytutu“ a i obecnie jest zakładem naukowym wyższym, posiada przywileje, laboratorya i t. d.

Jeżeli do tego dodamy, że weterynarzy u nas jest stosunkowo niewielu, można byłoby mniemać, iż dzisiaj owych studentów oczekuje los godny zazdrości. Tymczasem tak nie jest wcale. Znam jednego weterynarza, jedynego w powiecie, zajmującego stanowisko urzędowe, który od głodowéj śmierci ratuje się dawaniem lekcyj rysunków w szkole powiatowéj.

We Francyi przed wyborami wszystkie partye starają się skaptować weterynarzy, gdyż ci mają znaczny wpływ na ludność wiejską. Tam chłop sam się nie leczy tak prawie jak u nas, ale gdy mu bydlę lub koń zachoruje, czémprędzéj posyła po weterynarza. U nas się na to wcale nie zanosi, co gorsza, a zarazem dziwna, intelligencya wiejska, obywatele też obchodzą się środkami domowemi, nie dają ani przykładu ani zachęty, Jest zupełnie równie niedorzeczném powierzać zdrowie wołu jak i człowieka znachorowi. Wołu zresztą leczyć trudniéj, bo nie powié, co mu dolega.

To jedna chmura, zasłaniająca horyzonty młodym weterynarzom. Jest druga, bardziéj może jeszcze przykra i niemniéj szkodliwa. W epoce, która jest spadkobierczynią tylu deklamacyi o szlachetności

pracy, o tem, że wszystkie zawody są równe, istnieje bardzo niedorzeczne uprzedzenie, które niejako poniża weterynarzy w opinii ogółu. Pewnie to pozostałość z tych czasów, kiedy leczeniem zwierząt zajmowały się osobistości niepewne, kurujące czarami i zamówieniami. Dzisiejszy weterynarz, to człowiek z wyższą wiedzą, już przez to zasługujący na szacunek. Czas też już dawno, aby dawny przesąd zniknął i śladów po sobie nie zostawił. Dzięki jemu w znacznéj części, weterynarya ściąga przeważnie tylko ludzi, którzy pożegnać musieli inne zamiary i z musu szukają przytułku w szkole, niewymagającéj patentu dojrzałości. Oczywiście taki stan rzeczy wpływa na to, iż adepci weterynaryi uważają choć w części i po cichu zawód swój za smutną konieczność, jeżeli nie za nieszczęście i nie mogą znaleźć w sobie tego zapału, który potrzebny jest niezbędnie do pracy twórczéj, do przekroczenia ciasnego kółka rzemieślniczej roboty z musu i dla chleba tylko.

Wypada mi jeszcze kilka słów rzucić na trumnę dwu ludzi. których nazwiska splątane są nierozdzielnie z wspomnieniami tych czasów dzieciństwa, kiedym się ćwiczył w trudnéj sztuce czytania. W zeszłym miesiącu zeszli ze świata: Jan Kanty Gregorowicz i profesor uniwersytetu Mikucki. Opowiadania Janka z Bielca, drukowane w „Przyjacielu dzieci“ w r. 1860 czy 1861 z ilustracyami, do dziś dnia stoją mi w pamięci, jakbym je wczoraj odczytywał. Potrafiłbym je niemal dosłownie powtórzyć. Szczepiły one wśród dzieci, ubranych w czyste sukienki, miłość braterską dla biednéj obdartéj hołoty wiejskiéj. Nie mogę dziś powiedziéć, czy były to rzeczy udatne czy nie, pisane z talentem, lub bez niego, wiém tylko, żem prosił, aby mi je odczytywano, choć już umiałem je na pamięć i że nie zostały bez dobrego wpływu.

Z książeczkami pomysłu prof. Mikuckiego, spotkałem się w kilka lat późniéj w szkole elementarnéj. Tu znowu pamiętam to tylko, żem nigdy ich czytać nie lubił i że ani na mnie, ani na żadnego kolegę mego wpływu nie wywarły. Co zamierzał osiągnąć twórca ich — nie wiém i domyślić się nie mogę. Przypominam je sobie, jako zagadkę psychologiczną. Niegdyś pewien mówca jako szczyt niepowodzenia podał czarną polewkę w konkurach: panny się nie dostało i ludzie urągają. Tu podobno niepowodzenie było jeszcze większe bo i strata potrójna.

Lus.



NEKROLOGIA.

† **Mikucki Stanisław** ur. około r. 1820 na Litwie z biednych rodziców, pracy własnéj i gorliwości zawdzięczał wykształcenie średnie i uniwersyteckie. Studyował filologię głównie słowiańską i uzyskawszy stypendyum rządowe w Petersburgu, robił wycieczki po Litwie i zdawał sprawę z nich pod względem językowym petersburskiéj akademii nauk w r. 1855 i 1856. Pierwsza atoli jego praca drukowana wyszła w r. 1852 w Petersburgu i zawierała porównania pierwiastków sanskryckich ze słowiańskiemi. Już w téj pierwszéj robocie jego okazało się zamiłowanie do etymologii, która następnie z latami wzmagała się tylko. W r. 1858 i 1860 odezwał się w „Bibliotece Warszawskiéj" w kwestyach i sporach gramatycznych. Gdy powstała Szkoła Główna, powołano go na pomocnika bibliotekarza: a obowiązki te spełniał i po zamianie Szkoły na uniwersytet. W uniwersytecie był z początku docentem, potém profesorem nadzwyczajnym filologii porównawczéj i wydał kilka rozprawek tyczących się tego przedmiotu. Lekceważył on naukę zachodnią, mianowicie niemiecką, i chciał torować sobie własną oryginalną drogę w badaniach językowych. Nie posiadając wszelako umysłu systematycznego, ulegał raczéj prawu swobodnego kojarzenia się wyobrażeń i nie unikał zboczeń z tém prawem związanych. Żadnéj większéj pracy drukiem nie ogłosił. W życiu był rubasznym oryginałem. Umarł w początkach września r. b. w Warszawie.

† **Gregorowicz Jan Kanty,** syn kupca futer Jana i Maryi z Trzebieńskich, urodził się w Warszawie r. 1818 i tu uczęszczał do szkół pijarskich. Gdy ojciec po r. 1831 handel zwinął i osiadł we wsi Bilczy w pow. sandomierskim, Jan miał sposobność zbliżenia się do ludu i poznania drobnych szczegółów jego życia. Straciwszy ojca w r. 1835, jako najstarszy w rodzinie, objął zarząd gospodarstwa. W 1847 przeniósł się na Mazowsze do Zegrza nad Narwią, gdzie został czynszownikiem wieczystym na stu morgach gruntu. Pogorzel i inne klęski pozbawiły go całego mienia; w roku tedy 1849 osiadł stale w Warszawie i oddał się piśmiennictwu. Wydrukowawszy w „Bibliotece Warszawskiéj" r. 1850 pierwsze swoje „Obrazki Wiejskie", pozyskał rozgłos wśród ogółu czytającego, a ogłosiwszy tegoż roku w „Rocznikach gospodarstwa krajowego" swoje „Uwagi nad środkami podniesienia w kraju naszym gospodarstwa wiejskiego", zainteresował ekonomistów. Odtąd był jednym z najpłodniejszych autorów od r. 1850 do 1863 oraz redagował z kolei kilka pism aż do

śmierci. Oddzielnie ogłosił: „Obrazki wiejskie“ (Warsz. 1852, tomów 4), „Zarysy wiejskie“ (1854, tom. 2), „Tomek Beznogi i Proszaki“ (t. r. tom. 3), „Dwie sceny z pożycia wiejskiego“ (t. r. tom. 2), „Różne różności“ (1856), „Dobry ekonom“ (1858, tom. 2), „Tomek Sandomierzak“ (t. r. tom. 2), „Gawędy księdza proboszcza pod lipami“ (t. r.), „Elementarz dla chłopców wiejskich“ (1859), „Książeczki obrazkowe“ (1862/3), „Obrazki historyczne“ (1862/3), „Ukryte skarby“ (1867), „Pierwsze książeczki na gwiazdkę dla dzieci wiejskich i miejskich“ (1874), „Wieś Świątniki“ (1887). Podawał także obrazki swoje w formie dramatycznej, jako to: „Nowomodne zaloty“ (1855), „Janek z pod Ojcowa“ (1862), „Werbel domowy“ (1862). Redagował: w r. 1851 „Gazetę Rolniczą“, w 1854 „Gazetę Codzienną“ wspólnie z Lewestamem i Prackim, w 1858 „Wolne żarty“ wraz z Lewestamem, w 1860 „Kmiotka“. Nabywszy na własność od dawna istniejący „Magazyn Mód“, podniósł wartość literacką tego pisma, a zmieniwszy w r. 1862 tytuł na „Tygodnik Mód“, później „Tygodnik Mód i Powieści“, kierował nim do zgonu. Od r. 1867 objął redakcyą „Przyjaciela dzieci“ i swojemi utworami (powiastkami, powieściami i drobnemi artykulikami) wielce się przyczynił do jego ulepszenia i rozpowszechnienia. Wiele pisał bezimiennie, wiele pod przybraném nazwiskiem Janka z Bielca. Szanowany i lubiany zmarł w Warszawie 15 września r. b.

Wydawcy: ***W. Spasowicz*** i ***A. Pawiński.***—Redaktor ***P. Chmielowski.***

Дозволено Цензурою. Варшава, 22 Сентября 1890 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

w kwartale III-cim 1890 r.

1. **Życie i listy Karola Darwina** oraz **Autobiografia autora,** wydana przez jego syna, Franciszka Darwina, przełożył *Józef Nusbaum* d-r zoologii. Zeszyt V (premium „Przeglądu Tygodniowego"). Warszawa, 1890 (str. 249—312).
2. *Bernard Perez.* **Psychologia dziecka.** I. Trzy pierwsze lata życia dziecka. Przekład z 4-go wydania *Maryi Dzierżanowskiéj.* Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1890, 8-o, str. 380.
3. **Zdrojowiska krajowe.** Busko, Solec, Sławinek, Nałęczów, Nowe Miasto nad Pilicą i Ojców. (Sprawozdanie z wycieczki naukowéj po kraju). napisał *Józef Zawadzki,* ordynator kliniki terapeutyczn. w Warszawie. Warszawa, 1890, małe 8-o, str. 123.
4. **Przeszłość i stan obecny** zakładu leczniczego w Nałęczowie (z powodu 10-letniego jego istnienia), str. 12.
5. *Rudolf Falb.* **Przewroty we wszechświecie.** Z trzeciego wydania niemieckiego przełożył *W. P.* (z 96 drzewor. w tekscie). Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1890, 8-o, str. 323 i VI.
6. *Aleksander Czołowski.* **Z przeszłości Jezupola i okolicy.** Lwów, 1890. skład głów. w księg. Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie, u Gebethnera i Wolffa w Warszawie, 8-o, str. 163.
7. Kilka słów **o hygienicznem znaczeniu sportu kołowego.** Skreślił d-r med. *Fr. L. Neugebauer.* Warszawa, 1890, 8-o, str. 15.
8. **Historya rewolucyi francuskiéj.** Tom II. Ark. 1—6. (Dodatek do „Prawdy". Kwartał II, 1890 r.).
9. **Ze studyów nad dziejami wołoskiemi.** I. Początki Mołdawii i wyprawa Kazimierza Wielkiego r. 1359. Przez *Aleksandra Czołowskiego.* Lwów, 1890, 8-o, str. 30.
10. **Busko.** Podał *d-r Józef Grabowski,* asystent uniwersytetu warszawskiego, lekarz zdrojowy. Warszawa, 1890, małe 8-o, str 47.
11. **Słownik geograficzny** Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich. Tom XI. Warszawa, nakł. Wład. Walewskiego, 1890, wielkie 8-o, zeszyt 122, str. 81—160; zeszyt 123, str. 161—240.
12. **Studya heraldyczne** przez *Antoniego Małeckiego.* Lwów, Gubrynowicz i Schmidt; Warszawa, Gebethner i Wolff, 1890, 8-o, tom I, str. 351; tom II, str. 399 (z rysun.).
13. **Jurgis Durnialis,** opowieść wiejska. Napisał *Brolis* (z rysun.). Warszawa, 1890, 8-o, str. 44.
14. **Na służbę Bożą.** Opowiadanie przez *Bronisława Grabowskiego.* Warszawa, 1890, 8-o str. 46 (z dwoma rysun.).
15. **Nasi wrogowie i przyjaciele wśród ptaków.** Z K. Wodzickiego i W. Taczanowskiego wybrał *M. B(rzeziński).* Warszawa, 1890, 8-o, str. 78 z licznemi drzewor.
16. **Liryka Sarbiewskiego.** Napisał *St. Windakiewicz.* (Osobne odbicie z XV tomu Rozpraw i Sprawozdań wydziału filologicznego Akademii Umiejętności). Kraków, 1890, 8-o, str. 39.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.

TREŚĆ.

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególném uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz spółczesnego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Kronika artystyczna.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Obożna, 5.

